



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>



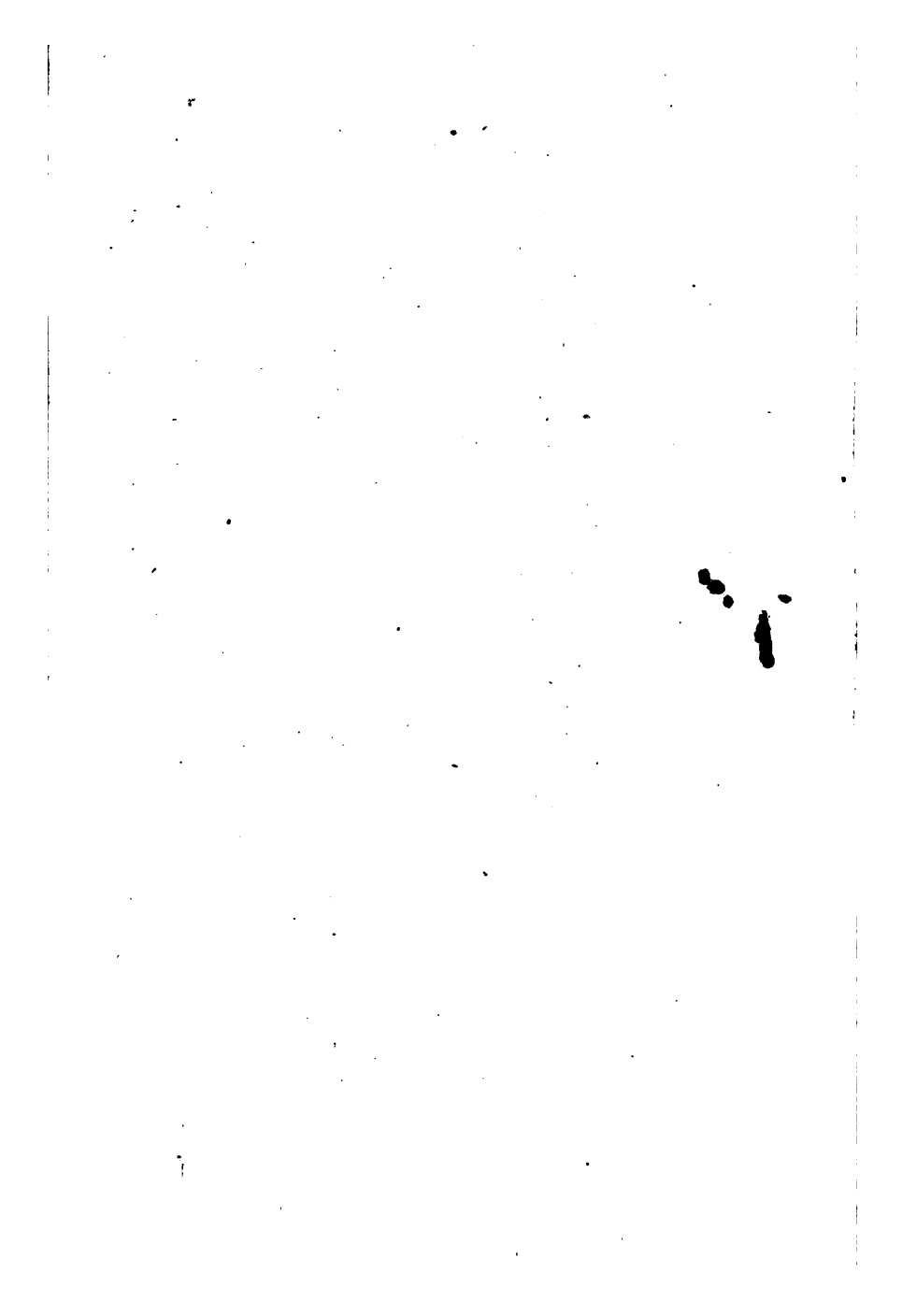
STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES





STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES







273, 129.

L 223

JÓZEF KALLENBACH

L 223

CZASY I LUDZIE



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1905

4278

PG7013

K3

SŁOWO WSTĘPNE.

Rozproszone po czasopismach studia moje i szkice podaję tu razem. Mówią one o różnych czasach i ludziach, mają przecież jeden rys wspólny, który pozwolił na umieszczenie ich w jednym, zbiorowym tomie. Oto wszystkie te, większe i mniejsze studia starają się rozjaśnić jakąś część dziejów polskiej myśli i oświaty polskiej.

Wszystkie artykuły w tym tomie nie są dosłownym przedrukiem; uległy poprawkom, a czasem doczekały się znacznego rozszerzenia. Tak n. p. sylwetka jubileuszowa Antoniego Małeckiego wzbogaciła się licznymi nowymi rysami, których nie poskąpił sam czcigodny Jubilat.

Artykuł o British Museum zawiera także, obok dawnych, najnowsze wskazówki.

Rzecz o młodych latach Zygmunta Krasieńskiego mogłaby się tu wydawać zbyteczną wobec dwutomowej monografii. Zawiera przecież w streszczeniu dzieje bardzo ważnej w życiu poety epoki, a skoro nie wszędzie i nie każdy ma czas i możliwość odczytania dwu tomów, niech poprzestanie na krótkiej historii zawiązków Nieboskiej i Irydiona. Zresztą, nawet po wydaniu mej monografii, mogłem i ten drobny fragment uzupełnić małymi wprowadzicami, ale zupełnie nowymi szczegółami.

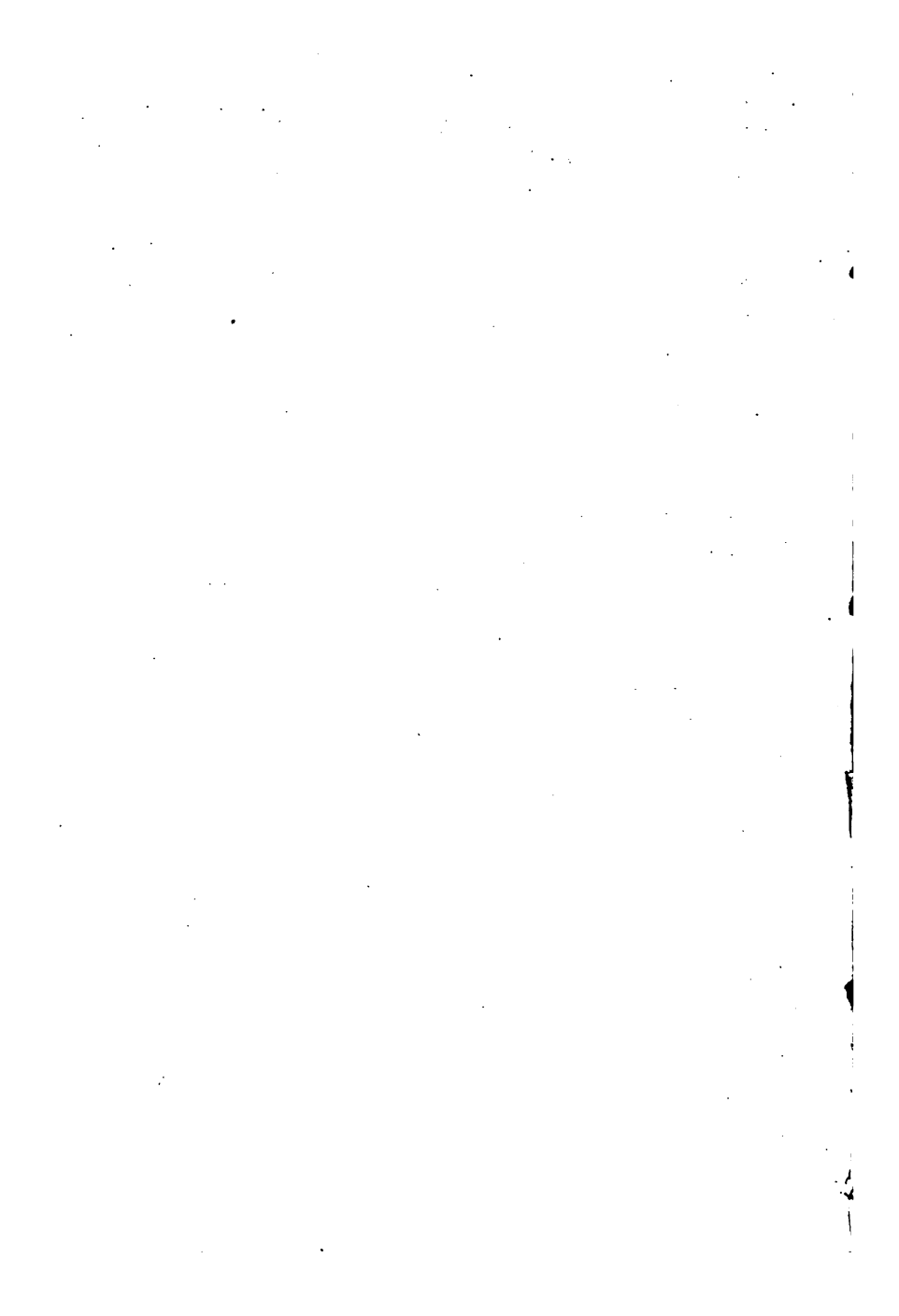
We Lwowie d. 25 Marca 1905 r.

J. K.

I.

KRAJ LAT DZIECINNYCH







223

Stałem w Nowogrodku w cichy, pogodny wieczór lipcowy. Bez przewodnika, sam, z tłumem cisnących się myśli, rychło znalazłem się wśród ruin zamczyska, oświetlonych czerwienią zachodzącego słońca. «Zamek na barkach nowogrodzkiej góry», dziś nawet, w ubóstwie dwóch tylko rozpadających się baszt, przejmujące sprawia wrażenie. Widok stąd rozległy i przepiękny. Oko mknie na krańce widnokregu, ocienionego borem nieprzejrzanym, nurza się w zieleni bujnej, która jak morze, rozlewa się u stóp wałów zamczyska; zieleni chłonie w siebie domostwa pobliskie, na prawo i na lewo, a z splątanej gęstwiny wierzchołków drzewnych wynurzają się ruiny farnego kościoła i dachy zczerniałe ubogich mieszczan. Powoli, z tego zalewu zieleni, wydobywa się cichy, cmentarny urok przeszłości. Baszty zamczyska skarżą się ranami czerwonymi cegieł nadwyreżonych, jamami w potężnych murach, które czas pokruszył; dach fary prześwieca, jak rzeszoto, a pochyłona

u szczytu jego ozdoba zdaje się upatrywać na ziemi miejsca w trawie dla blizkiego już upadku. Ruina powszechna przejmuje na wskrós duszę. Z zadumy budzi smętny, przenikliwy, przeciągły ton pieśni wieśniaczej, dolatującej tu na wyżyny wałów z rozległych pól okolicznych:

Słuchałem piosnek. Nieraz kmieć stuletni
 Trącając kości żelazem oraczem
 Stanął i zagrał na wierzbowej fletni
 Pacierz umarłych; lub rymownym płaczem
 Was głosił, wielcy ojcowie — bezdzietni.
 Ja słuchałem zdala,
 Tem mocniej widok i piosnka rozżala,
 Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

Te ruiny, ten widok czarowny dziś, zachwycający przed stu laty, przemawiały do wrażliwej duszy chłopięcej, która zapełniała pustkowie i gruzy czarodziejską fantazyą:

Z gruzów powstają kolumny i stropy...
 I widać zamków otwarte podwoje
 Korony książąt, wojowników zbroje...
 Marzyłem cudnie —

Całe tło «Grażyny», cały nastrój rycerski «Wallenroda», jest tutaj na tem wzgórzu zamkowym, w tych potężnych basztach, dumnych w swem wielkiem sieroctwie; te ruiny wołały już do dziecka przenikliwym głosem przeszłości, wciskały się w duszę wrażliwą na piękno, czekały na rozkwit sił geniu-

sza — a te echa przeciągłych i jęklwych pieśni wiejskich, co dziś tu, jak niegdyś, z łąk i pól dochodzą, rozmarzały wcześniej ucznia szkoły dominikańskiej.

I.

Dziś jeszcze Nowogródek raczej do wsi dużej, rozrzuconej w ogrodach, niż do miasteczka podobny; przed stu laty dzieciństwo tutaj było zaiste «sielskie» — w porównaniu z dobą dzisiejszą było też «anielskie». Pełną oddychał wówczas pierśią Nowogródek. Sejmiki tu odprawiane, zjazdy ziemiańskie, sądowe, jarmarczne, gwarem i życiem napelniały miasteczko; na rynku ciżba drobnej, zaściankowej szlachty w strojach charakterystycznych.

Kościół przy kościele, klasztor przy klasztorze (Bazylianie, Bonifratrzy, Dominikanie, Jezuici, Franciszkanie, Bazylianki i Dominikanki) ze szkołami, szkółkami, przytułkami. Palestra z całym bogactwem prowincjonalnych typów, po których i tradycja już zaginęła — kwestarze rubaszni, karczmcy charakterystyczne z rojną i wrzaskliwą rzeszą żydowską...

W dni powszednie ciszę Nowogródka przerywała chyba tylko szkolna młodzież. Tuż przy kościele dominikańskim (dziś parafialnym, jedy-

nym)¹⁾, mieściła się szkoła powiatowa, kierowana przez wyznawców reguły św. Dominika. Ani śladu dziś tej szkoły. Tylko chodnik biegnący teraz środkiem ulicy wskazuje, dokąd szły niegdyś mury szkoły powiatowej. Na dole były klasy, na górze wcale zasobna biblioteka (rozproszona po r. 1863); w środku, gdzie dziś ogród przy plebanii, był dziedziniec szkolny. Boczne i tylne skrzydła budynku wypełniały cele księży. Dziś jeszcze ta część gmachu dochowała się w pierwotnym kształcie i stanowi mieszkanie dla proboszcza.

Sygnaturka nad dachem gimnazyalnym zwoływała uczniów na lekcye trwające od 9-ej do 2ej. — Mundurki szkolne były szafirowo-granatowe, przypominające umundurowanie ułanów wileńskiego pułku, lampasy podwójne, czapki zwykłe. Każda klasa miała swoją chorągiew, była też muzyka własna studencka²⁾.

Dom Mikołaja Mickiewicza był w innej stronie miasteczka. Dziś na tem miejscu stoi dworek p. Dą-

¹⁾ Farny kościół nie był nigdy ani przez władzę świecką, ani przez duchowną zamknięty; niedbalstwo i opieszałość własna zrujnowały ten zabytek dawnych czasów. Wnętrze kościoła wygląda dziś, jak po napadzie Tatarów.

²⁾ Szczegółów tych i innych o dawnym Nowogródku udzielił mi zacny staruszek, p. Leonard Trojański, który z nadzwyczajną czerstwością i pamięcią wyborną, przy 88-miu latach życia, opowiada doskonale czasy swego dzieciństwa. Chodził on jeszcze do szkoły dominikańskiej.

browskiego, nie podobny całkiem do starego domu, w którym się wychowywał Adam Mickiewicz. Kto chce mieć pojęcie, jak wyglądał dom Mickiewiczów, niech obejrzy w Nowogrodzku domy drewniane, o starym miejscowym stylu, z charakterystycznym ganeczkiem o czterech kolumnkach drewnianych. Naprzykład domy Wakulskiego (Bryczkowskiego), Gnoińskiego (obecnie hr. Grabowskiego) i innych. Podmurowania takiego, jakie ma dom p. Dąbrowskiego, wystawiony na miejsce starego z gruntu na nowo, nie było w starym dworku Mickiewiczów, który stał wyżej niż dzisiejszy budynek. Tylko grusza w ogrodzie za domem (nadpalona w czasie pożaru Nowogrodzka, ale jeszcze zielenią okryta), stoi jakby na piedestale z mury; to dziwne na pozór wzniesienie pokazuje wyżynę, na której wznosił się dawny dom Mickiewiczów. Ta grusza jest dziś ostatnim żywym świadkiem dzieciństwa Adama Mickiewicza. Wartoby ją otoczyć przynajmniej żywopłotem.

Z tego-to domku bliżej było do ruin zamkowych niż do szkoły dominikańskiej. Ruiny wcześniej od szkół zaczęły go uczyć: *lapides clamabant*. Przeszłość wrastała dzień po dniu do chłopiących zabaw, splatała się z nimi...

»Tum z dziećmi na dziedzińcu przesypywał piasek,
Po gniazda ptasze w tamten biegaliśmy lasek,

Po błoniach z studentami graliśmy w zajęcia.
Tam do gaju chodziłem w wieczór lub przede dniem,
By odwiedzić Homera, rozmówić się z Tassem,
Albo oglądać Jana zwycięstwo pod Wiedniem.
Wnet zwoływam współuczniów, szykuję pod lasem!

.

Szkoła dominikańska dawała sporo wiedzy, urozmaiconej, praktycznie do potrzeb życia zastosowanej. Nie zapominajmy, że nie była to szkoła luzem idąca, że rozwijała się pod mądrą opieką kuratora wileńskiego; że dawała drukowane roczne «popisy», że wizytatorowie z ramienia Uniwersytetu Wileńskiego wysyłani, notowali ściśle postępy nauczycieli i zaniedbania, że ogólny pęd ku naukom był wtedy znaczny, żywotny, bujny, najpiękniejsze rokujący nadzieje — a zrozumiemy, że Adam Mickiewicz wywoził stąd w 17 roku życia doskonałe podstawy do nauki uniwersyteckiej w Wilnie.

II.

Wywoził podstawy umysłowe; gorzej było z materyalnem uposażeniem młodziutkiego abiturienta. Znane to rzeczy, znane powody, dla których Adam Mickiewicz szuka opieki u dziekana wydziału matematyczno-przyrodniczego, księdza Mickiewicza. Nie było dla niego innego sposobu ukończenia uniwersytetu, jak zapisanie się w poczet

stypendystów Seminarium Nauczycielskiego, z obowiązkiem odwdzięczenia się Uniwersytetowi Wileńskiemu służbą nauczycielską w gimnazyach. Pisze zatem Adam Mickiewicz pierwsze w swem życiu zobowiązanie publiczne, składa następującą, tu po raz pierwszy ogłoszoną deklaracją, i podpisuje ją z ogromnym rozmachem, z fantazyą godną ucznia pierwszego roku uniwersyteckiego:

Niżej na podpisaniu wyrażony, przyymiąc dobrowolnie stan akademicki, to jest stan publicznego nauczycielstwa, poddaię się wszystkim ustawóm i rozporządzeniom temu stanowi przepisany, z zaręczeniem: iż gdy w przeciągu piérwszego roku bawienia się mego w Seminarium Nauczycielskiem, przy Imperatorskim Wileńskim Uniwersytecie, w rzeczonym stanie utrzymanym, a w dalszych latach w przepisanych naukach doskonalonym zostanę, urząd nauczycielski, w miarę lat w Seminarium przepędzonych, licząc za jeden rok pobytu dwa lata służby, z powinności, gdzie i kiedy Uniwersytet postanowi, sprawować będę. Dalsze zaś lata dobrowolnego uczenia (lubo od mojej woli) co do trwania w stanie nauczycielskim, zależeć będą, gdy jednak z tego stanu oddalić się zechcę, wprzód Uniwersytet o tém uwiadomię. W przypadku uchybienia któregokolwiek z przepisa-

nych obowiązków, nieposłuszeństwa i wszelkiego przeciwko karności, poddaię się sądowi Uniwersytetu. Takowe zaręczenie własnoręcznym podpisem utwierdzam.

W Wilnie r. 1815 Mies. Października 1. dnia.

Adam Mickiewicz.

Tem zobowiązaniem rozpoczynają się lata pracy, lata filareckie.

Wiadomo dziś szczegółowo, czem były te lata dla Mickiewicza i jego druhów.

Przecież żywego, barwnego tła uniwersyteckich, wileńskich czasów, nie mamy jeszcze, bo mieć mogliśmy ¹⁾. Odtworzy je ktoś, gdy staną się ogólnie przystępnymi materiały pierwszorzędne, autentyczne do dziejów Uniwersytetu Wileńskiego i kuratoryi księcia Adama Czartoryskiego. Rozwinie się wspaniała karta zasług cywilizacyjnych Wilna i Krzemieńca, a z pozółkłych ksiąg statystycznych, z protokołów posiedzeń Wydziałowych, Rady Uniwersytetu, raportów Wizytatorów i dyrektorów szkół powiatowych wstanie z martwych dawne, bujne, własne umysłowe życie, oryginalne, bogate

¹⁾ Pełne zasługi, trzytomowe dzieło Józefa Bielińskiego: *Uniwersytet Wileński* nie mogło wyczerpać przedmiotu dla braku wielu najważniejszych źródeł, o czym pisze sam autor w tomie I, na str. 4—6,

i w różnorodnych swych objawach niezmiernie ciekawe.

Jedyną na razie wiedzeni ciekawością, a ograniczeni krótkim czasem przebijaliśmy się przez setki woluminów i aktów, szukając przedewszystkiem lat uniwersyteckich Adama Mickiewicza, a potem nauczycielstwa jego w Kownie.

Z różnych opowiadań wiadomo, że Mickiewicz nie należał do najpilniejszych słuchaczy: «sam sobie był profesorem» pisał potem Domeyko. Są jednak dowody urzędowe, że czasu w Seminarjum Nauczycielskiem nie tracił. Studya szły z początku drogą wskazaną przez księdza Mickiewicza, dziekana wydziału przyrodniczego.

W spisie urzędowym z r. 1816 czytamy:

Mickiewicz Adam, K. N.

Słuchał kursów przez lat: 1

Zdawał examen z F. Ch. Al. (Fizyki, chemii, Algebry).

Otrzymał stopień: czerwca 27-go.

aff.	neg.
6	3

Znaczy to, że przy głosowaniu na stopień kandydata trzy noty były ujemne, zwyciężone sześciu dodatniemi. — *Rapport Ogólny* z r. 1816 zawiera listę uczniów, którym w r. 1816 po odbyciu ścisłych egzaminów, «przyznane są w Imperatorskim Uniwersytecie Wileńskim stopnie uczone». Wymie-

nieni tu są: Czeczot Jan, Jeżowski Józef, Kaczkowski Karol, Karpowicz Abdon, Mickiewicz Adam, Mickiewicz Stefan, Przeclawski Józef i Zan Tomasz.

Przyszły twórca *Dziadów* zaczyna zatem «urzędowo» od fizyki, chemii i algebry. Co prawda, studyował r ó w n o c z e ś n i e milsze sercu przedmioty. «Szczególna wiadomość o uczniach Seminarium Nauczycielskiego, będących w r. szkolnym 1815—1816» zawiera przy nazwisku Adama Mickiewicza w rubryce: Jakich słucha nauk? — następujący wykaz: «Literatury Starożytne — Polska - Historia powszechna». Od r. 1816 w spisie alfabetycznym znajduje się przy nazwisku Mickiewicza wzmianka, że jest na Oddziale Literatury. — W czwartym roku studyów Uniwersyteckich (1818—1819), Mickiewicz składa i półroczne egzamina, wymagane od stypendysty Seminarium Nauczycielskiego, i magistruje się, a przynajmniej część egzaminów magisterskich składa. Ciekawe pod tym względem wskazówki daje nam, nieznaną dotychczasowym biografom poety: «Xięga Zdań Professorów Imperatorskiego Uniwersytetu Wileńskiego o postępkach uczniów Seminarium Nauczycielskiego z roku 1818 i 1819». Czytamy tam:

XV. Logika.

Mickiewicz Adam. Postępek z 1-go półrocza:
znakomity.

z 2-go półrocza: —

Adnotacya: Examinu 2-go nie zdawał dlatego, że się podał do stopnia magistra.

XVII. Literatura Grecka.

Mickiewicz Adam. (Ręką Grodka, nie władającego, jak wiadomo, zbyt poprawnie językiem polskim, zapisano) «Nie dał Examen(!) dla przyczyni niżej wymien(ionej).

XVIII. Literatura Łacińska.

Mickiewicz Adam. «Nie dał Examen, albowiem na stopień magistra został examinowany».

XIX. Literatura Rosyjska.

Mickiewicz Adam. Z 1-go półrocza: рѣдко ходилъ.
Z 2-go półrocza: рѣдко ходилъ.

XX. Literatura Polska.

Mickiewicz Adam. Z 1-go półrocza postępek: *wielki*,
Z 2-go półrocza nie zdał egzaminu, bo został magistrzem.

(notę «wielki» wśród wszystkich współegzaminowanych tylko Mickiewiczowi dał L. Borowski).

XXI. Język Niemiecki.

Mickiewicz Adam. 1-e półrocze: *dobry, dobry*.
Egzaminu nie zdawał, bo
magistrował się.

XXII. Język Angielski.

Mickiewicz Adam. 1-e półrocze: *znakomity*.
2-e półrocze: *znakomity*.

Egzamina ustne na stopień magistra złożył Mickiewicz w końcu maja i z początkiem czerwca 1819 r. (szczegóły podaje IV tom «Korespondencji A. M.»); pozostawała do skreślenia rozprawa magisterska, na temat: *De criticae usu atque praestantia*. Czasu wiele nie było, skoro już we wrześniu t. r. miał ukończony uczeń Uniwersytetu objąć stanowisko nauczyciela szkoły Kowieńskiej. Spędzać lato w murach miejskich dla pisania rozprawy — rzecz przykra; gdyby tak na wsi pracować można? Malewski, druh serdeczny, był przecie czas jakiś podbibliotekarzem w bogatej bibliotece hr. Adama Chreptowicza w Szczorsach, niedaleko Nowogródka. Nęciła tam i wiejska cisza i biblioteka bogata. Mickiewicz jedzie w pierwszej połowie lipca roku 1819 do Szczors, opatrzony listem polecającym do hrabiego Adama Chreptowicza. List ten z autografu, odszukanego w Szczorsach podaję:

Jaśnie Wielmożny Mci
Dobrodzieju!

Znajoma uczynność JWPana dla pracujących w naukowym zawodzie, i osobiście doświadczane łaski ośmielaią mnie do zanieśienia nowej prośby. Oddawca tego listu, towarzysz mój szkolny i przysły nauczyciel JP. Adam Mickiewicz, ma z polecenia Fakultetu Literatury dla otrzymania uczonego stopnia wygotować w przeciągu wakacyynym rozprawę. W tym celu chciałby przeyrzeć Xiążnicę Szczorsowską, i ieśliby znalazł co do swey rzeczy przydatnego upraszać o krótkie pożyczanie, a choćby to mu się i nie powiodło, zawsze poznanie Opiekuna Edukacyi Krajowéy, pod którego dozorem w rodzinnem mieście Nowogródku pracować może będzie, i zwiedzenie zamożnéy Biblioteki bez korzyści dla niego bydź nie może. Przyymiy więc JWPan śmiałą prośbę ucznia za uczniem, i moje wyznanie dozgonnéy wdzięczności i uszanowania, z któremi zostaię.

JWWMPana
Dobrodzieja
sługą
Nayniższym
Fr. Malewski.

D. 10 Lipca 1819
Wilno.

Czy Mickiewicz znalazł w Bibliotece Szczorsowskiej potrzebne do rozprawy dzieła, nie wiemy, bo rozprawy samej nie mamy. To pewna, że w Szczorsach był, że po studyach w pięknej auli bibliotecznej, zachwycać się musiał wspaniałym parkiem tamtejszym, a w poblizkim, wązkim tu jeszcze Niemieńskie kąpielisko nieraz użył. Ale bliskość Nowogródka nie dała zapewne długo w Szczorsach zabawić, wakacje były nie długie, a serce ciągnęło do swoich, do Zaosia...

Zaosie uważane jest za miejsce urodzenia poety. Nie brak jednak argumentów, przemawiających za Nowogródkiem. Wiadomo, że na szali dowodów za i przeciw zaważył głównie list Aleksandra Mickiewicza do Franciszka Mickiewicza z r. 1860, gdzie młodszy brat objaśniał starszemu, z jakiego powodu z całego rodzeństwa jeden jedyny Adam nie urodził się w Nowogródku, lecz w Zaosiu. Szczegóły drobiazgowo, przytoczone tam przez Aleksandra M., zdawały się wykluczać wszelką możliwość pomyłki. Cóż z tego, kiedy niedawno ogłoszony list tegoż Aleksandra do A. E. Odyńca (z końca 1858 r.), zaprzeczył twierdzeniu, co do Zaosia w tych kategorycznych słowach: «A d a m rodził się w Nowogródku, lecz ten dom stanął w ośm lat po jego urodzeniu i on mieszkał w nim tylko lat kilka»¹⁾. — Gdy tak Aleksander M.

¹⁾ *Księga Pamiątkowa*. Tom I. Warszawa, str. 26.

co innego twierdzi w liście do brata, a co innego w liście do Odyńca i tym sposobem zostawia znowu otwarte pole przypuszczeniom, podam tutaj kilka szczegółów, które zdają się przeważać szalę na korzyść Nowogródka.

Faktem jest, że Zaosie należało wówczas do parafii w Stwołowiczach i że dzieci, urodzone w Zaosiu chrzczone bywały w Stwołowiczach. Dochowana księga tamtejszej parafii liczne zawiera na to dowody. Przytoczę tylko jeden: Terajewiczom, spokrewnionym z Mickiewiczami rodzi się dziecko w Z a o s i u; trzymają je do chrztu w S t w o ł o w i c z a c h 25-go kwietnia 1801 r. Mikołaj Mickiewicz (ojciec Adama) z Agatą Majewską. — Gdyby się Adam Mickiewicz urodził był w Zaosiu, zwykłym obyczajem byłby powinien być ochrzczonym w Stwołowiczach. Zważmy, że chrzest odbył się w zimie, bardzo ostrej, jak wiadomo, i że do Stwołowicz wiorst kilka, do Nowogródka zaś z Zaosia co najmniej pięć godzin drogi i to nie najlepszej, po leśnych ostępach i wybojach w lutym!

Charakterystycznym jest następnie fakt, że w urzędowych zapiskach uniwersytetu Wileńskiego, w rubryce daty i miejsca urodzenia Adama Mickiewicza, nigdzie nie jest wymienione Zaosie; co prawda, nie jest też wymieniony Nowogródek. Zapisano tylko ogólnikowo: «parafii nowogrodzkiej». Może kiedyś znajdzie się szczegół pozwalający

na rozstrzygnięcie kwestyi spornej. To pewna, że dla poety równie drogie było Zaosie, jak Nowogródek dla wspomnień dziecinnych i chłopięcych.

Z czasem Zaosie stało się może miłsze, bo bliższe Tuhanowicz!

Po miłych wakacyach, z początkiem września 1819 roku musiał młodziutki nauczyciel rozpocząć w Kownie «obuczanie łbów źmudzkich». Ciężka to była sprawa dla geniuszu poety, co właśnie rwał się ku słońcu, ku przestworzom i «nad poziomy wylaływał...» A tu szara czekała, codzienna, nużąca w klasie robota — otoczenie prozaiczne...

Ale hasła filareckie nie były od święta i na święta tylko — zapowiadały właśnie codzienną, mrówczą, społeczną pracę. I Mickiewicz zaprzął się do nauczycielskiej taczki. Że pracował pilnie i dzielnie, póki sił fizycznych starczyło, o tem świadczą urzędowe o nim «opisy służbowe»; mniej było dotychczas wiadomości o stosunku młodziutkiego nauczyciela do uczniów.

Jakże miło wyczytać w sprawozdaniu urzędowym wizytatora okręgu wileńskiego uboczną przynajmniej pochwałę. Gdy już Mickiewicza w Kownie nie było, gdy dla słabego zdrowia na urlopie w Wilnie przebywał, naznaczono na jego miejsce do Kowna niejakiego Mikołaja Kozłowskiego. O tym nauczycielu literatury i historyi pisze wizytator:

«JPan Mikołay Kozłowski przyjechał do szkoły i wszelką znalazł gotowość w wypracowanych gorliwie i umiejętnie seksternach przez poprzednika swojego, Adama Mickiewicza, żadney swoiey litery nie dał, nie pracował... u uczniów miłości niema, owszem wszyscy, porównując go z poprzednikiem, pragną naygoręcey zmiany». Chłopięce «łby żmudkie» poznały się jednak na wartości nauczyciela, Adama Mickiewicza.

III.

W opisie służbowym («formularnym spisku») stanu nauczycielskiego w Kownie z roku 1821 pod nazwiskiem Adama Mickiewicza w rubryce: «Czy żonaty? Ile dzieci?» zanotowano: «żonaty, dzieci nie mają». Czy mimowolna to pomyłka urzędnika w przepisywaniu z brulionu, czy błędna informacya — jakkolwiek bądź, notatka ta na ironią zakrawa. Gustaw — żonaty!

Lata nauczycielskie zbiegły się z najboleśniej-
szym w życiu jego zawodem sercowym. Dzieje
tej smutnej, beznadziejnej miłości znane są na po-
zór do najdrobniejszych szczegółów, a przecież
jakże mało, jak niedokładnie znaną nam jest sama
heroína. Ileż najsprzeczniejszych sądów krąży o Ma-

ryli! Czy kochała szczerze? Jak mogła, kochając poetę, oddać rękę innemu? A potem? Życie pańskie po ślubie przez lat kilka czy nie dowodziło miłości wielkiej dla Mickiewicza? Więc pocóż ślub, niemiły sercu? Ileż na pozór zawilości i jaki twardy do zgryzienia orzech psychologiczny! Sądzę, że, aby zrozumieć tę miłość, trzeba na chwilę zapomnieć o dzisiejszym sposobie kochania się i flirtów, a przenieść się duszą w one odległe lata i owoczesne społeczeństwo. Czasy to były niedobre. W nowogrodzkich stronach łamał się stary rzeczy porządek z nowym, nieokreślonym jeszcze i luźnym, a zwłaszcza rozluźniającym obyczajem. W zaściankach drobna szlachta wiodła dawny, prosty tryb życia — ale po dworach większych panowało życie bez myśli i bez troski ani o to, co przeszło, ani o to, co przyjść mogło. Licznie i gęsto rozkwaterowane wojska wносиły swój sposób życia. Panny lgnęły do pięknych mundurów oficerskich; uwodzenia i uwożenia z domów obywatelskich, kończące się koniecznym ślubem, nie należały do rzeczy wyjątkowych, a kto chce mieć pojęcie o tem, jak się to praktykowało, ten niech odczyta nudną, źle napisaną, ale obyczajowo wierną *Powieść z czasu mojego*, czyli *Przygody Litewskie* (Poznań, 1858), która właśnie nowogrodzki powiat i czasy 1812 roku opisuje. Żyjący świadkowie, ci, co mogą dzieciństwem swem zasięgnąć lat owych, lub im najbliższych,

potwierdzają w zupełności, że tak właśnie było. Ton panował u góry kosmopolityczny, francuszczyzna panoszyła się, poczucie obowiązków społecznych zamierało, a po wytyczeniu 1812 roku prostracya i bezmyślne życie nad stan krzewiło się spokojnie. Na takim tle odbijała dziwnie uroczo Maryla Werzszakówna; jej zapał dla wszystkiego, co swojskie, jej inne, całkiem poważne, pojmowanie życia i wykształcenie niepospolite sprawiały, że wśród najświetniejszego zebrania, ona, nie pociągająca wdziękiem urody niewieściej, przykuwała do siebie czarem ujmującej rozmowy. Zetknięcie się tak bogatej duszy z filaretami, a zwłaszcza z ich przewódcą, Zanem, tylko na dobre wyjść mogło Maryli. Z natury skłonna była nie do czczych, sentymentalnych rojeń (o co ją, niestety, dziś tak często posądżają), ale do działania. A że młodzież uniwersytecka wileńska garnęła się do szerszej pracy, że taki Czeczot np. żył tylko nadzieją uspołecznienia ludu białoruskiego i widział w tem, od lat chłopięcych niemal, cel życia — więc nic dziwnego, że filareci zjednali rychło Marylę dla swych idei, że po niej spodziewali się jak najzbawienniejszego wpływu na te warstwy, do których sami dotrzeć nie mogli. Na tem tle wspólnych ideałów zawiązał się rychło przepiękny stosunek dwojga dusz promienistych i promieniejących. Maryla widziała zrazu w młodym studencie Uniwersytetu, natchnionego piewcę hasał T. Zana, on w niej so-

jusznicę sprawy. Tak to rozumieli starsi, tak bracia Maryli, tak jej narzeczony. A młodzi po niewczasie opatrzyli się, że są jakby dla siebie stworzeni:

Postawą sobie bliźcy, jednostajni wiekiem,
Ten sam powab we wszystkim, to samo niechcenie.
Też same w myślach składnie i w uczuciach płomienie.

Zupełne zaufanie do własnych sił i zasobów moralnych pozwalało przedłużać z roku na rok ten łańcuch, który się «rozciągał», ale «nie pękał». Maryla mogła się łudzić, że oboje, wyrzekłszy się szczęścia ziemskiego, poświęcą się całkiem sprawie, droższej nad «szczęście w domu». Było to złudzeniem duszy młodej, złudzeniem szlachetnem. Nie było złudzeniem jej przecucie. Przeczuta ona skarby tego wielkiego serca, które miało za miliony ukochać, i powiedziała sobie, że serca tego zabierać nie ma prawa. Gustaw narzeka:

Słyszałem od niej słówek piękno brzmiących wiele,
Ojczyzna i nauki, — sława, przyjaciele!

Gustaw mógł zapewniać, że teraz «ten groch całkiem od ściany odpada» — ale przyszedł czas, kiedy Konrad ironii Gustawowej zaprzeczył, zamarzył o «tryumfie Milcyada» i «objął w ramiona wszystkie przeszłe i przyszłe pokolenia...»

Już Gustaw, w spokojniejszej chwili, składał hołd prawdzie:

I jakież są jej grzechy?
Czyli mię słówkiem dwuznacznem podwiódła?
Czy wabłącemi łowiła uśmiechy?
Albo kłamliwe układała lice?
I gdzież są jej przysięgi? Jakie obietnice?
Miałem-że od niej choć przez sen nadzieję?
Nie! nie! sam urojone żywiłem mamidła,
Sam przyprawiłem jady, od których szaleję!

A Konrad ukorzy się z czasem przed wielką ofiarą Maryli, oceni to, że się wyrzekła szczęścia w domu i napisze do wspólnego powiernika, Domeyki, z Poznania 1832 roku: «Nie będziemy już nigdy widzieć się z sobą. Ale powiedz jej, że ona zawsze ma w sercu mojem miejsce, z którego nikt jej nigdy nie usunął i gdzie jej nikt nie zastąpi:

Do obojga stosują się te wspaniałe wiersze:

Młodości! Jakże wielkie tve ofiary!
Jam miłość, szczęście, jam niebo za młodu
Umiął poświęcić...

Czem był dla Maryli Adam, ledwo się domyślać można z kilku jej listów, ostrożnych, w obawie przejęcia pisanych, gdzie rzadko tylko wielkie uczucie słówkiem małem się zdradzi. Ale jest fakt, na pozór błahy, a tak rzewny! W późnych swych latach miała pani Marya Puttkamerowa przy sobie siostrzenicę rodzoną, córkę brata swego, Józefa Wereszczaki, dzisiejszą panią Cywińską. Jej to opowiadała nieraz staruszka o filareckich cza-

sach; razu pewnego, porwana wspomnieniami młodości, wydobyła Maryla z ukrycia i pokazała siostrzenicy białą, muslinową, dawną swą sukienkę... Chowała ją jak relikwię: w niej ostatni raz widziała Adama Mickiewicza, gdy opuszczał na zawsze Litwę! ¹⁾).

Dziś jeszcze, po latach tylu, ta wielka miłość szlachetna, czysta, wzniosła, takim jest owiana urokiem, tak silnie promienieje, że do Tuhanowicz spieszą starzy i młodzi, by odetchnąć na chwilę tamtą atmosferą i przeżyć górnie bodaj chwilkę. I nikt nie doznaje zawodu:

Jej pełne dotąd jeszcze wszystkie okolice:
Tu po raz pierwszy boskie obaczyłem lice,
Tu mnie pierwszej rozmowy uczciła wyrazem,
Tutaj na wzgórku Russa czytaliśmy razem.

¹⁾ Pani Cywińska, dziś przeszło siedmdziesięcioletnia, pełna energii, właścicielka Siohdy, niedaleko Tuhanowicz, opowiedziała mi jeszcze jeden fakt, usłyszany od swej ciotki. Maryla skomponowała walca i odegrała go Mickiewiczowi. Zachwycony poeta pyta: komu będzie ten walc poświęcony? w lubej nadziei, że on dostanie tę cenną pamiątkę. Ale Maryla, przekomarzając się, mówi, że walc ten jest dla pana Tomasza. »Tak? Dla Tomasa?« — woła blady ze wzruszenia poeta, i zanim Maryla się spostrzegła, wydobył z kieszeni scyzoryk i zaczął w największej pasyi wbić sobie ostrze w piersi. Wyrwała Maryla nożyk z rąk Mickiewicza, zabrała i schowała na pamiątkę. — Autograf walca, skomponowanego przez Marylę, z dopiskiem własnoręcznym poety, pomieściła w podobiznie *Księga Pamiątkowa na uczczenie setnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza*, tom pierwszy, str. 32.

Altankę jej pod temi uwiązałem chłody,
Z tych lasów przynosiłem kwiateczki, jagody,
Z tych zdrojów, stojąc przy mnie, wywabiła wędką
Srebrnopiórego karpia, pstrąga z krasną cętką...

Tuhanowicki dwór, gościnnie po staremu, i ofi-
cyna, gdzie mieszkali w lecie Zan, Czeczot i Mic-
kiewicz, znane są z albumów i widoków, świeżo
wydanych. Ale czego żadna fototypia nie odtwo-
rzy, to prześlicznego parku, który po prawej stro-
nie dworu się rozciąga. Stuletnie dęby, wiekowe
lipy panują tu młodszym brzożom, grabom i aka-
cyom. Nie jedno się zmieniło w tym parku; od
kilkudziesięciu lat niema już owej «długiej ulicy»,
w której Maryla znikła «na kształt błyskawicy».
Święto «ulicę» w nieobecności właściciela, źle zro-
zumiawszy jego polecenie. Inna powstała, w innym
miejscu «ulica». Olbrzymie kobierce łąk o bujnych
trawach, ujęte są wzgórzami, które wydają się
wyższe, bo starodrzewem porośłe. Charakterystyczną
cechą olbrzymiego ogrodu są właśnie te wzgórza,
malowniczo rozrzucone. Na jednym z nich para
kochanków *Nową Heloizę* czytała. W noc księży-
cową, przy współdziałaniu mgły i srebrzystego
blasku miesiąca, park cały wyglądał jak marzenie:

Cała ziemia kroplistą połyskała rosą.
Doliny mgła odziewa...
Spójrzę, na dół, na szpaler, patrz, tam przy altanie
Ujrzałem ją niespodzianie.
Suknię między ciemnymi bielejąca drzewy,
Stała w miejscu, grobowej podobna kolumnie.

Słynna altana, bardzo bliska dworu, z widokiem na okno pokoju Maryli, była wówczas zapewne bardziej widna ze wzgórza w parku, mniejsza na pozór, skromniejsza. «Altanką» zwie ją gdzieindziej poeta. Była jego «szczęścia kolebką i grobem». Tu poznał, tu pożegnał. Dwanaście lip stworzyły okrąg szczupły, zaledwie dostateczny na pomieszczenie ławki. Zacisznie tu i błogo. Z uszanowaniem zbliżamy się do tej altany, pamiętnej w dziejach poezji polskiej. Czas, co tyle ruin potworzył, uszanował to miejsce, uczcił je i ozdobił. Lat już ośmdziesiąt przepłynęło nad temi lipami. Rozrosły się one, niekrępowane niczem, swobodne; jedne przegięły się aż ku ziemi, inne wysoko wystrzeliły smukłemi gałęziami, hen ku niebu, tworząc z całości jakby kolosalny bukiet lip. Najwspanialszy to pomnik, jaki przyroda litewska położyła tu, na grobowcu wielkiej miłości. Olbrzymie mauzoleum zieleni. Bukiet lip wonny, kwitnący, ożywiony przytłumionym brzękiem pszczół, rojnie szmerzących w pracy. Miód stąd chyba najśodszy na tej ziemi...

IV.

Tuhanowicze nie tworzą w Nowogródzkim bynajmniej wyjątku pod względem piękności przyrody. Całe Nowogródzkie pełne jest uroczych krajobrazów. Ziemia to pagórków leśnych, ziemia łąk

zielonych, o takim bogactwie i różnorodności widoków, że nawet oko, znarowione zagranicznymi, osławionymi z nadzwyczajności miejscami, znajdzie tu czem wzrok popieścić i zachwycić. Domejko jeszcze w czterdzieści lat po wyjeździe z Litwy miał w sercu i oku te strony, i świetnie je scharakteryzował w liście do Bohdana Zaleskiego: «Ledwo wyjedziesz z Nowogródka ku Koreliczom, Szczorsom i Mirowi, otwierają się we wszystkich kierunkach wzgórze i zwolna podnoszące się i zniżające pola, przyozdobione miejscami w dębowe i brzoźowe gaje. Co kilka mil schodzisz na szerokie, zielone łąki, wygony, sianożęcia, po których środkiem, jak okiem zajrzysz, wiją się srebrzyste rzeki i ruczaje, a po brzegach ciągną się długie wsi i zaścianki, sznury naszych nieoszacowanych pereł. Od każdej wsi spuszcza się ku sianożęciom warzywne ogrody sielskie, wiśniowemi drzewami ocienione, a nad wsią górują uprawne polećki, żółte, płowe, zielone, zmieniające barwę według pory roku. Opodal ujrzyś kościółek na wzgórzu, karcznię, wiatrak i dwór szlachecki z lipowym szpalerem i topolami wysadzaną drogą». — Odrębność krajobrazów jest zdumiewająca. Na przestrzeni kilkudziesięciu wiorst coraz to inny charakter widoków. Na północo-wschód od Nowogródka, w pobliżkiej Horodziłówce i Horodecznej, p. Zygmunta Kiersnowskiego, mamy falisty krajobraz, jakby żywcem wyjęty z kantonu Wodej-

skiego, lub Fryburskiego. Wązka, lecz bystra rzeczulka wije się tu wężowato wśród pięknych zarosli i na wiorstowej długości daje racyę bytu aż pięciu młynom! Jakże inaczej wygląda krajobraz na południowy wschód od Nowogródka w kierunku Świtezi. Lasy tu przed stu laty panowały niemal wyłącznie, «pełne zwierzta bory», drogi wązkie, niełatwe na wiosnę i w jesieni do przebycia, widoki, godne Ruysdaela, pełne niespodzianek zachwycających, jak cicha, przezrocza Świtez, lub parowów, umajonych zielenią, ozywionych stawami, jak w Sienieźycach. Cała droga z Zaosia i Tuhanowicz do Nowogródka, którą Mickiewicz od dzieciństwa i w młodości tylekroć przebył, jest prześliczna, zwłaszcza między Tuhanowiczami a Siohdą (Worończa, Rajce). Student nowogrodzki bywał zapewne często z kolegą, Nikodemem Kiersnowskim, w pobliskiej Horodecznej na majówkach w Zielone Świątki. Z rodziną Kiersnowskich wiązały Mickiewiczów bliskie stosunki. Najstarszego syna Mikołaja Mickiewicza, Franciszka, trzymał do chrztu łowczy nowogrodzki, Waleryan Kiersnowski, z Imć panią Rozalią Orzeszkową.

Mimowoli a ustawicznie szuka po tych okolicach wzrok nasz tła do *Pana Tadeusza*. Z poznanych miejscowości najwięcej, acz niezupełnie, przypada do opisu poety dwór w Cząbrowie p. Juliana Karpowicza. Cząbrów, niedaleko Świtezi, należał przed stu laty do Użłowskich. U nich to

przebywała jako panna respektowa, Barbara Majewska, i stąd, z Cząbrowa, wyszła za mąż za Mi-kołaja Mickiewicza. Aniela Uzłowska trzyma też do chrztu Adama Mickiewicza. Nie można wątpić, że gdy dziecko podrosło, nieraz odwiedzało tu z rodzicami swymi matkę chrzestną. Dla matki poety Cząbrów był jakby domem rodzinnym. Dwór w Cząbrowie był może pierwszym z większych dworów wiejskich, zapamiętanych przez dziecko, które w Zaosiu i okolicy tamtejszej skromniejsze tylko widywało zabudowania. Dwór w Cząbrowie leży właśnie wśród pól, malowanych zbożem rozmaitem, na pagórku niewielkim,

Dwór szlachecki z drzewa, lecz podmurowany,
Świeciły się zdaleka pobielane ściany,
Tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi
I stodołę miał wielką...

Dziś to o tyle zmienione, że topole wycięto przed dworem, a front ganku nieco podwyższono. Nie myślę się zresztą upierać przy tem przypuszczeniu, że Cząbrów był jedynie podstawą topografii Soplicowa; owszem, z góry zaznaczam, że inne szczegóły mogły być wzięte to z Tuhanowicz, to z Horodziłówki; ale w Cząbrowie na-więcej przypomniało mi się Soplicowo. Mickiewicz, który wedle własnej definicji, «nie tworzył

prawie nic, lecz przypominał», gdy na bruku paryskim przeniósł się duszą utęsknioną «do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych», nie wytrwał przy jednej jakiejś miejscowości. Zwiedzał w nadzwyczajnej swej pamięci jedną okolicę po drugiej, aż z tej pielgrzymki duchowej utworzył najwspanialszą syntezę nowogrodzkiego krajobrazu. Las w nim panuje, jak panował w rzeczywistości. Już młodzian rozkochał się w olbrzymach puszczy, w równiakach litewskich wielkich kniaziów, w drzewach Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa, co mu wśród ciszy ostępu świadczyły o zamierzonych wiekach. Do nich, jak do druhów, tęsknił poeta:

Drzewa moje ojczyste! jeśli niebo zdarzy
 Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy,
 Czyli was znajdę jeszcze? Czy dotąd żyjecie?

«Błahy strzelec» tu nie zwierzy, a dumań szukał samotnych, podpatrzył życie lasu i przeniósł urok jego, zapach i kolory do kart nieśmiertelnego arcydzieła.

Nad ludźmi z *Pana Tadeusza* przeszła niszcząca fala zdarzeń i zmiotła ich z powierzchni. Luźne, rojne przed stu laty zaścianki i okolice, bądź znikły, bądź też zubożały, zdrobniały i blizkie są zaniku. Przecież nie zaginęły jeszcze do szczętu. Po mowie, po głosie, po jasnym czole i bystrym wzroku, poznasz potomka Mazurów, którzy przed

czterystu laty karczowali tu lasy i szerzyli niekrwawe zdobycze pług polskiego. Dziś strzechy ich pochyliły się, ściany zczerniały, wszystko zgnębione ubóstwem:

Wszystko nadzwyczaj stare, zgniłe; domu dachy
Świeciły się jak gdyby od zielonej blachy
Od mchu i trawy, która buja jak na łące.
Po strzechach gumien, niby ogrody wiszące
Różnych roślin, pokrzywa i krokos czerwony,
Żółta dziewanna...

I tu natura dotrwała dłużej od ludzi...

A już jeśli gdzie, to tutaj, zdawało się, przetrwają po wieki stosunki, które wydały największego naszego poetę. Kraj był jakby w sobie zamknięty; nieprzebytym borem, jak wałem, objęty, chroniący miłośnię ludzi od wpływów niedobrych. Sieć gęsta wspólnych zasad, upodobań, tradycyj, tysiącnymi splotami wiązała tę drobną rzeszę ze sobą i tworzyła z niej jakby żywą, wzorzystą tkaninę...

Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny,
Jak świat jest boży, tak on był nasz własny!
Jakże tam wszystko do nas należało!...
Jak każdy kątek ziemi był znajomy
Aż po granicę, po sąsiadów domy...

Stąd szły soki żywotne, którymi żył nie tylko wielki poeta, ale wielki obywatel. Z tej drobnej

rzeszy zaściankowej wyszedłszy, on się po sam koniec życia czuł wygnanym, bo mu wszędzie było tam gorzej, «im dalej od Nowogródzkiego powiatu», im dalej od zaścianków. U szczytu sławy i natchnienia, o nic Boga nie prosił, tylko o to, by mu z wędrówki pozwolił wrócić

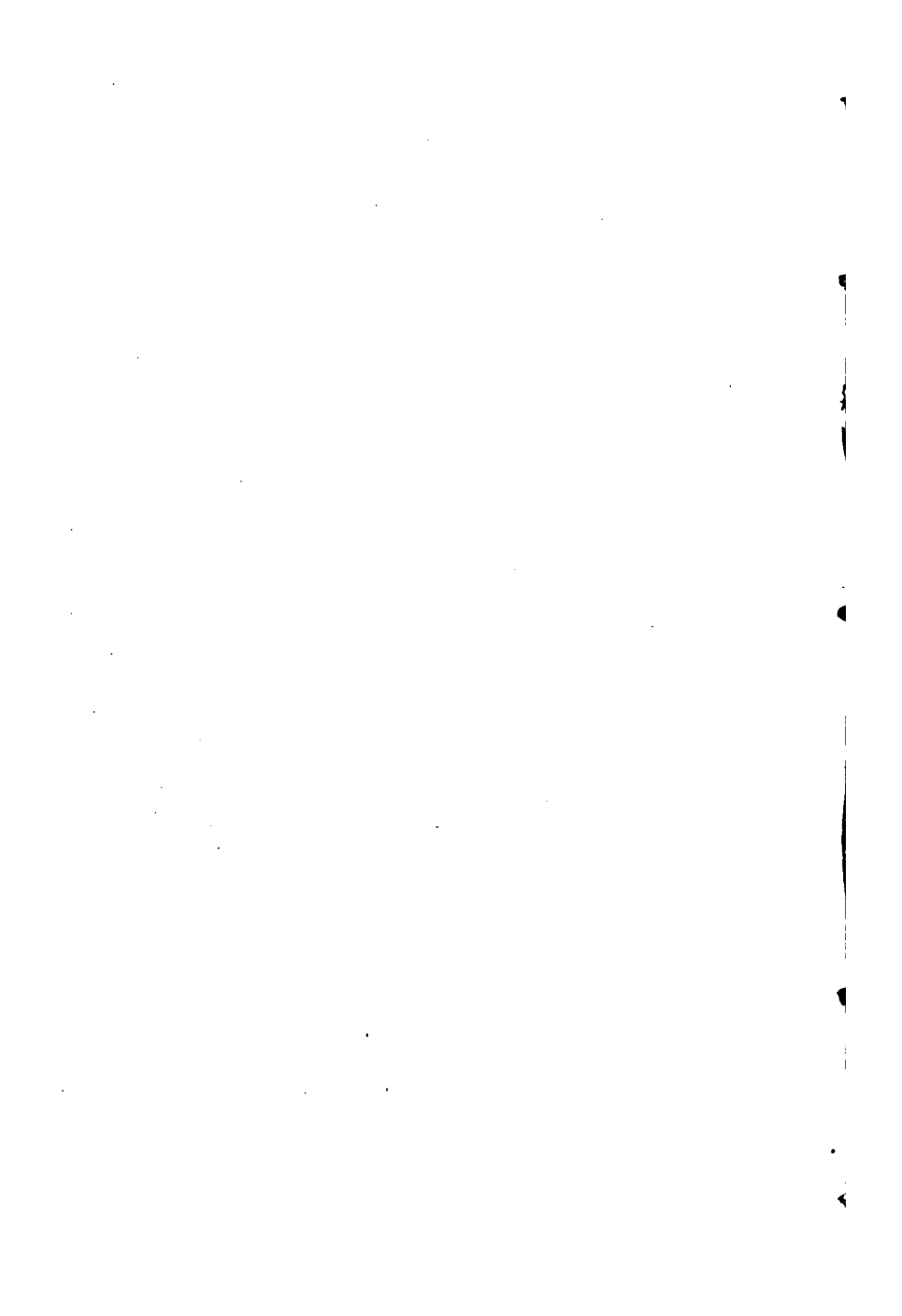
I znowu dom zamieszkać na ojczystej roli
I służyć w jeździe, która wojuje szaraki,
Albo w piechocie, która nosi broń na ptaki;
Nie znać innych, prócz kosi i sierpa rynsztunków,
I innych gazet, oprócz domowych rachunków!...

Dziś życzenie takie okrzyczanoby jako — filisterskie, ale kto sięgnie na samo dno tych pragnień, kto dotrze do źródła tej gorzkiej tęsknoty, ten zrozumie, dlaczego nad wszystkie zagraniczne ponęty on stawiał wyżej kraj lat dziecinnych, kraj, nie zmieniony wypadków strumieniem; dlaczego nad laury Kapitolu droższy mu był

Włanek rękami wieśniaczki usnuty
Z modrych bławatków i zielonej ruty...



II.
KURATORYA WILEŃSKA
(1803—1823)



Dzieje oświaty na Litwie i Rusi nie są nam jeszcze dokładnie znane.

Mamy wprawdzie osobne dzieła poświęcone historii uniwersytetu wileńskiego ¹⁾ i liceum krzemienieckiego ²⁾, wydrukowano cenny materiał do dziejów szkolnictwa na Białej Rusi ³⁾ — rozpoczął się więc ruch na tem polu, — ale dalecy jeszcze jesteśmy od upragnionego celu. Z doniosłych skutków domyślamy się raczej wielkiego znaczenia kuratorji wileńskiej; ale krążymy dotychczas około brzegów przedsięwzięcia, pełnego najciekawszych szczegółów; — do odtworzenia całego gmachu, stawianego miłującą ręką księcia Kuratora, brakło

¹⁾ Józef Bieliński. *Uniwersytet Wileński (1579—1831)* Kraków, 1899—1900. Trzy duże tomy z licznymi ilustracyami.

²⁾ Michał Rolle. *Ateny Wołyńskie*, Lwów 1898.

³⁾ Józefa Twardowskiego: *Wizyta Jeneralna szkół i zakładów edukacyjnych w Gubernii Mińskiej odbyta w r. 1819*. Wydał J. Twardowski w *Archiwum do Dziejów Liter. i Ośw.* Tom X. 305—631.

zrazu materyałów, bądź ukrytych, bądź rozproszonych. Miejmy nadzieję, że skoro dziś te materyały są już dostępne, sam urok przedmiotu przynęci licznych pracowników.

Uwidocznili się doniosłość Kuratorji Wileńskiej dla życia umysłowego Litwy, Białej Rusi, Wołynia, Podola i Ukrainy, odzyską dzieje oświaty na rozległych przestrzeniach ziem litewsko-ruskich, ukazą się rozmiary tej oświaty, jej pogłębenie i rozlanie się w najdalsze zakątki.

Od dawna uwielbieniem i czcią otoczono wspomnienie Uniwersytetu Wileńskiego i podległych rządowi jego licznych szkół średnich i powiatowych. Do niedawna jeszcze pokazywano sobie sędziwych starców o płomiennym i jasnym wzroku i szepłano za nimi: to Wileńczyk, to Krzemieńczanin, to uczeń Śniadeckiego, to Borowskiego słuchacz, to jeden z ostatnich uczniów wileńskiego uniwersytetu... — aż w końcu wymarli.

Czem dla tego Uniwersytetu był jego zwierzchnik narodowy, Księżę kurator, wiedzieliśmy i wiemy zaledwie w przybliżeniu. O Kuratorji wileńskiej Księcia Adama mówiono nam jak o jednej z wielu zasług pełnego trudów żywota; dziś coraz jaśniej rozumiemy, że była ona jego najważniejszem dziełem, że była siejbą cichą, niepozorną, niekrzykliwą najzdrowszych ziaren, które okryły zielenią i kwiatem nawet pozorne pustkowia i nieużytki. Plon zeszedł bujny i trwał.

Czuli to współcześni, rozumieją coraz lepiej potomni. Ale poza ogólnikowymi hołdami uznania nie mogliśmy dotychczas dostrzedz duchowych rysów samego twórcy wiekopomnego dzieła; nawet najdokładniejszy dziś znawca owej epoki Dr J. Bieliński, autor trzypięciotomowej monografii o Uniwersytecie Wileńskim, przestudyowawszy mnóstwo rękopiśmiennych materiałów, wyznał krótko: «Zasługi Księcia Czartoryskiego, jako Kuratora Okręgu naukowego wileńskiego były znakomite — dotychczas należycie nieocenione». Otóż zadaniem niniejszego szkicu będzie próba oświetlenia tak ważnej postaci, a to zapomocą nieznanych dotychczas materiałów źródłowych.

I.

Czartoryski może być uważany za głównego twórcę reformy szkolnej, której wyrazem był ukaz Aleksandra I-go z d. 24 stycznia 1803 r. powołujący do życia nowe okręgi naukowe (wydziały). Już sam terytoryalny obszar okręgu naukowego wileńskiego, świadczy o duchowym ojcostwie Kuratora. Nie było to dziełem przypadku, że Uniwersytet Wileński uznano, jako serce, ożywiające swem tętnem i zasilające krwią swoją tak odległe kresy, jak Kamieniec Podolski i Witebsk!

W pierwszym swym raporcie do hr. Zawadow.

skiego, ministra oświaty, daje Księżę Kurator w r. 1803 tablicę statystyczną podległych sobie szkół w guberniach: Wileńskiej, Grodzieńskiej, Mińskiej, Witebskiej, Mohylowskiej, części Kijowskiej, Wołyńskiej i Podolskiej. Olbrzymie te przestrzenie obejmujące 8.355 mil kwadratowych, miały w roku 1826 — 10,635.400 mieszkańców (M. Mochnacki). Nie mogąc tu wchodzić w szczegóły, powiem krótko, że na tej przestrzeni było w r. 1803 szkół zaledwie 70, nauczycieli 349, uczniów 10.140.

Po 17-tu latach kuratoryi Adama Czartoryskiego znajdujemy tam w r. 1820: szkół 430, nauczycieli 983, uczniów 21.174 (dziewcząt 1098). A zatem sześć razy tyle szkół, ile zastał, a w nich przeszło dwa razy tyle uczniów i niemal trzy razy tyle nauczycieli! Cyfry tu wymowniejsze od wszelkich pochwał.

Czartoryski mianowany w r. 1803 kuratorem, był wtedy w samym rozkwicie sił męskich, w 32-im roku życia; zrazu przeważnie zajęty w ministeryum spraw zagranicznych, stale musiał przebywać w Petersburgu; ubocznie tylko, ale za to — dodajmy — bardzo skutecznie dzięki swym osobistym wpływom, działał dla Wilna i jego okręgu naukowego. Opuścił Petersburg w r. 1810; czas jakiś podróżywał. W r. 1812 zajął znane stanowisko roztropne, nie dając się złudzić pozorom potęgi Napoleońskiej. Po burzy, po uspokojeniu się i ustaleniu

spraw politycznych wraca z zamiłowaniem do czynności Kuratora na dobre i na stałe w r. 1816.

Otóż od tej właśnie daty możemy szczegółowo, niemal tydzień po tygodniu przypatrywać się pracy organizatorskiej Księcia Kuratora, a to dzięki obfitej korespondencji nieurzędowej i urzędowej z kolejnymi rektorami uniwersytetu: Śniadeckim, Malewskim i Twardowskim ¹⁾.

Po tylu latach, które mgłą zasłoniły postać zwierzchnika i opiekuna szkół na Litwie, możemy znowu zbliżyć się do niego, przeżyć chwilkę w tej podniosłej atmosferze rozumnego i obywatelskiego działania. Poznamy Kuratora, jakiego nie miał żaden wówczas kraj w Europie, człowieka bystrego i przenikliwego, wychowawcę narodu, opiekuna myśli społecznej i czujnego strażnika, nawołującego w porę do pracy, ostrzegającego na lata całe. Poznamy go w stosunku do młodzieży i do profesorów, w stosunku do uniwersytetu, szkół średnich i najniższych; poznamy go w dobrej i złej doli.

Zaznaczymy przedewszystkiem, że Czartoryski podjął się czynności kuratorskich z zupełną świadomością, do czego dąży i z wybornem przygo-

¹⁾ Korespondencja ze Śniadeckim dochowała się fragmentarycznie, listy do Malewskiego obejmują przeciąg lat sześciu; korespondencją zaś z Józefem Twardowskim wydano niedawno w *Rocznikach Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu*. (T. XXVI, 1899 r.).

towaniem do tego trudnego zadania. Miał plan doskonale obmyślany. Jego okręg naukowy miał być żywym organizmem, w którym najmniejsze kółeczko szkółki powiatowej było na swoim miejscu; sprężyną poruszającą ten złożony mechanizm kilkuset szkół był t. zw. Rząd Uniwersytetu Wileńskiego — ale tym, co ożywiał Uniwersytet był znowu on sam, Kurator. Wszystkie promienie tych setek ognisk oświaty, mniejszych i większych, roznieconych od północnych do południowych granic olbrzymiego okręgu naukowego, miały się skupiać i przechodzić przez ognisko Kuratora i znowu od niego rozbiegać się od kresu do kresu.

Rozpatrując się w ogromnym natłoku rękopiśmiennych statystycznych wykazów, projektów, komisji, programów szkolnych gimnazjalnych i uniwersyteckich, zdumieni jesteśmy niezmierną pracowitością Księcia, rozległym horyzontem jego wiedzy, przenikliwością sądu.

Uznawszy Uniwersytet Wileński za główną sprężynę wielkiego mechanizmu naukowego, starał się przede wszystkim Kurator, aby profesorowie tworzyli organizm silny, jednym ożywiony duchem. W tej też myśli pisał do Śniadeckiego:

«Chciej WPan czuwać nad tem, aby Profesorowie i Członkowie Uniwersytetu oddawali wzajemnie należną sobie sprawiedliwość, aby zachowywali w obejściu się jeden dla drugiego tę uprzejmość i łagodność w postępowaniu, która tak jest

przyzwoita i tak istotnie potrzebna w każdym społeczeństwie, a tem bardziej w społeczeństwie ludzi uczonych, aby przeciwnem temu postępowaniem nikt nie był odrażony od pełnienia swoich obowiązków pomimo najlepszych swoich chęci i nie tracił ochoty być użytecznym, lecz owszem, aby wszyscy, czyniąc ofiarę ze wszelkiej osobistości i przy zbawiennej emulacji zachęcając się nawzajem, zmierzali wspólnie do jednego celu: dobra i użytku powszechnego¹⁾.

Już ten wyjątek mały świadczy o doskonałej znajomości usposobień i drażliwości ciała naukowego, które należało i należy do rodzaju przeczułonych nerwowo: *irritabile genus*. Cóż dopiero, jeżeli na takim tle nerwowem zaczną dokazywać różnice temperamentów i upodobań, płynące z odmiennych narodowych cech. W braku sił krajowych, powołanie z samego początku uczonych obcych było poprostu twardą koniecznością; ale cudzoziemcy ci obok rzetelnej wiedzy i ogromnej nauki, wnosili z sobą ducha rozmaitego, ambicje wielkie, rywalizacje, które nie dawały się nagiąć i zaprządz do zgodnego pożytku. Nie tu miejsce rozstrząsać niesnaski między profesorami, zastanawiać się w czem zawinił taki np. Lobenwein, a w czem Groddeck²⁾; wystarczy stwierdzić, że

¹⁾ Z Wilna 19 lipca 1808 r.

²⁾ Mówi o tem historyk Uniwersytetu Dr Bieliński (w t. III, str. 533 i nast): «powstały zatargi z Grodkiem, który nie mógł

Ksiązę Kurator miał trosk niemało z ciałem profesorskiem i dążył stale do tego, aby z czasem przybyszów zastąpić młodemi narodowemi siłami, po których spodziewać się miał prawo, że pracować będą zgodnie i gorliwie dla dobra kraju. Tem się tłumaczy znaczny szereg stypendystów, wysyłanych z inicjatywy Księcia za granicę, na naukę; Kurator zawczasu dbał o to, by dalszy rozwój Uniwersytetu był już całkiem narodowy, a zarazem zupełnie odpowiadający wysokości naukowej zagranicznych uniwersytetów.

Powołani z zagranicy uczeni, dodawszy imionami swymi blasku nowemu Uniwersytetowi, bardzo rychło zaczęli z góry patrzeć na domorosłych profesorów, uważać się za niezbędnych, a w dalszym toku niechętnie znosili kontrolę swej pracowitości; zaproszeni przez Kuratora do robót programowych i przygotowawczych w różnych komisjach, przezeń utworzonych, zaczęli się krzywić na takie, jakoby nadprogramowe, przeciążenie pracą. Czartoryski, który sam nie znał granic poświęcenia dla dobra powszechnego, a pracował bez wytchnienia — zgorszony był i nieraz oburzony takim sobkowskiem zapatrywaniem ludzi, którzy

tęgo przenieść na sobie, aby Jan Śniadecki śmiał utrzymywać, że katedra historii jest niepotrzebną w Uniwersytecie, i na odwrót dziwił się Grodek, jak można za nauki matematyczne i naturalne dawać stopnie naukowe».

przyświecać mieli młodzieży przykładem bezinteresowności i wyższego, szlachetniejszego zapału. To też kilkakrotnie, w ciągu długoletniego zawodu zwierzchnika, wraca do tej sprawy Ks. Kurator; bądźto kiedy wymaga od profesorów większej ilości godzin wykładowych w stosunku do wysokiej na owe czasy ich pensji rocznej, bądź kiedy chce unormowania szczebli hierarchicznych, zupełnie w duchu dzisiejszych kategorii na docentów (adjunktów), ale płatnych, profesorów nadzwyczajnych, a wreszcie zwyczajnych. Myślą przewodnią jego było tu: «aby przez stopnie idąc młody człowiek nie natychmiast, lecz dopiero z czasem, przez pracę i zasługi do katedry dochodził i miał zawsze jakiś cel dalszy do dostąpienia». (Luty 1829). Oto ustęp dotyczący poruszonej tylko co sprawy; «Powiada Rada — pisze Kurator do Rektora Malewskiego — że Profesorowie używani są do komitetów bez osobnej za to płacy; to też w tych Komitetach, gdzie płacy nie biorą, niewiele jest śladów ich roboty. Oprócz tego Ustawa Uniwersytetu między powinności ich i to policzyła. Równają się z Profesorami innych uniwersytetów, a zapominają, że pensye ich, płacone w srebrze, dwa i trzy razy są większe. W żadnej gałęzi służby publicznej nie ma większych pensji. A wreszcie! cóż za wyrażenie w przedstawieniu od ciała uczonego, które przeto i moralności dawać wzór powinno: «We wszystkich innych Uniwersytetach profesorowie

nic darmo nie robią». Piękny przykład do naśladowania i przytaczania! Nie wiem jeszcze, czy równie prawdziwy? To nas nauczyć powinno, jakiej ostrożności potrzeba w posuwaniu na wyższe pensye, kiedy się przekonywamy, że razem z dostatkiem i taki sposób myślenia przychodzi...»

Niebawem potem dał Księżę Kurator dosadniejszy wyraz swemu niezadowoleniu (15 sierpnia 1819 r.). Uznawał, że sędziwy Malewski pracował, ile mu siły pozwalały, ale o profesorach tak pisał: «ależ inni profesorowie, jak mało dbają o użytek publiczny, o sławę Uniwersytetu, o swoją własną. Nie dosyć jest kurs przyjęty wytraktować, trzeba jeszcze dbać o ciało, którego się jest członkiem, trzeba pamiętać, jak ważną część, dobro kraju, Rząd nauczycielom w zupełnej ufności powierzył, trzeba nadewszystko pamiętać, że przyjdzie pora, w której człowiek prawy wyrzucać sobie będzie, jeżeli nie był tyle ile mógł być pożytecznym».

Głębiej w rzecz samą wnika Kurator w liście obszernym z Paryża 15 grudnia 1820 r. w odpowiedzi na długi raport Malewskiego z d. 14 października t. r. Oddawszy znowu sprawiedliwość pracowitości Malewskiego, wykladał mu swój sposób zapatrywania na obowiązki rektora Uniwersytetu:

«Miejsca WMPana szczególniejszy ten jest obowiązek, abys drugich do pracy zachęcał i przy-

nagłał, kierował w niej i utrzymywał. Apatya w podwładnych może być także skutkiem, albo małej na nich uwagi, albo zbytniego pobłażania, albo braku zachęceń, albo zrażenia przez niewymierzanie surowej sprawiedliwości. Talent prawdziwy oburza się na potrzebę dworowania, nie ulega jej z początku, ale rzadko się zdarza, aby tę tęgość charakteru zachował długo, kiedy się ujrzy bez promocyi. Wtenczas oddaje się lenistwu, jako nagrodzie pewnej za doznane znoje w pochlebianiu i skarbieniu sobie łask Mecenasów. Szczere zgłębienie tych przyczyn przy WMPana doświadczeniu, takcie i znajomości ludzi, powinnyby nam wskazać sposoby ożywienia u nas zapału do nauk i do dobra publicznego. Rozciągnij swoje postrzeżenia także i do szkół niższych. Tam także namiętności i niewiadomość szkodzą naszym celom. Nalegaj surowo na wypełnianie przepisów; ale nie pozwalaj rozkrzewiać się intrydze. Niech nauczyciel będzie pewny, że dla otrzymania pochwał i nagród Uniwersytetu trzeba jedynie oddać się całkiem swemu przedmiotowi. Wtenczas ustaną te ciągłe swary i kłótnie, co się najwięcej rodzą z zaprowadzonego zwyczaju tajemnych raportów jednych nauczycieli na drugich. Ocenienie pracy nauczycieli powinno się jedynie opierać na świadectwie wizytatorów i na postępie uczniów, który protokoły surowo robione (na co trzeba, aby były pu-

bliczne) wykazują. Ten artykuł poprawy w szkołach powiatowych jest nader ważny.

Nieprzystojne postępowanie nauczycieli powiatowych zadaje nieraz mocny cios konsyderacji Uniwersytetu. Oddaleni od szkół, widzicie tylko wypadki ważniejsze, a obywatele zbliżka na nie patrząc, oburzają się na szczegóły prawdziwie sprosne i sądzą Uniwersytet po nauczycielach, jakich wysła¹⁾. Chciej także przyjąć za prawidło, aby szkoły nowo otwierające się obsadzać nauczycielami już w innych doświadczonymi. Tu są większe trudności, szkoła niema jeszcze żadnego wzięcia. Pierwiastkowe wprowadzenie porządku, same nawet mechaniczne dopilnowanie powstających do-

¹⁾ Mówiąc o urządzeniu Liceum Krzemienieckiego w r. 1819, proponuje ks. Adam ministrowi nowy artykuł prawa, którym bezsprzecznie uprzedzał wiek swój więcej niż o 50 lat: «Jestem zdania, by pr a w e m było nakazano, aby uczniowie po skończeniu swych kursów dwa lata jeszcze pozostawali przy liceum dla udoskonalenia się w językach, jakie im będą potrzebne, a także w naukach, które oni sobie według własnej woli obiorą, mając na względzie przyszły swój zawód... Zauważyłem, że młodzież w tych guberniach za bardzo wczesnie opuszcza szkoły. To jest powodem, że owi z niezupełnem wykształceniem młodzieńcy nabierają przesadnych pojęć o swej uczoności, co oczywiście powstrzymuje ich w dalszym postępie. W 8 lub 10-ym roku poczyna naukę, w 20 lub 22 kończy, właśnie w tym czasie, gdy myśl dopiero poczyna dojrzewać, a w którym prawa krajowe dają młodzieży swobodę woli». (Żmłogrodzki, *Zasady pedagog. Przewodnik nauk. lit.* Lwów 1885, str. 966.

piero zakładów, wymaga więcej doświadczenia i rozsądku po rządcach szkół takich. Dozorcy Międzyboski i Klewański posiadają dosyć nauki, ale postrzeżono w nich znaczny brak zimnej rozważi, godności urzędowi odpowiedniej i postępowania przyzwoitego, obok atoli przesadzonych wymagań konsyderacyi i akomodacyi. Klewański, jak mi to brat mój powiadał, wpadł raz do zgromadzonych u siebie nauczycieli ze szpadą w rękę i nie wiem, jak się ta scena skończyła. ...Zaczynają się znowu jak widzę w Uniwersytecie niesnaski. P. Grodeck znowu na ich czele...»

Przytoczyłem umyślnie dłuższy wyjątek z listu Kuratora, aby dać przykład bezpośredni szczegółowego wnikania w potrzeby i braki szkolnictwa okręgu wileńskiego. Doskonale on rozumiał, że od projektu do czynu dzieli nas nieraz przepaść lenistwa, to też napędzał Malewskiego jak mógł do pracy: «Na papierze — pisał mu w sierpniu 1817 r. — wieleśmy zrobili — lecz w istocie nic jeszcze. Skutki i egzekucya od WMPana i kolegów zależą».

Bezwątpienia znaczna część winy zaniedbania się podwładnych organów szkolnych tkwiła w starości Malewskiego. Przytem dłuższa nieobecność Księcia w kraju z powodów zdrowia w r. 1820 musiała dezorganizująco oddziaływać na Uniwersytet. Przekonał się o tem osobiście i naocznie Kurator podczas swego pobytu w Wilnie w marcu 1822 r.

Nawet obecność Kuratora nie mogła wówczas przyspieszyć toku spraw zaległych; aż wreszcie Czartoryskiemu brakło cierpliwości i w osobnej odezwie «o przyspieszenie przedstawię» (22 marca 1822 r. Nr 128) wezwał Rektora do porządku:

Do Rektora Imper. Wileńskiego Uniwersytetu.

Nie odbierając względem szkół Mohylewskich, względem opactw bazylińskich, czynności Komitetu Szkolnego i Ekonomicznego, względem projektu izb dozorczych, urzędzenia kursów w Uniwersytecie i względem wielu innych ważnych interesów, ani od rządu, ani od rady Uniwersytetu tak długo oczekiwanych przedstawię, widzę się przymuszonym ponowić tu tylokrotne już moje nalegania i zalecić WMPanu jak najmocniej, abyś mi bez dalszej i najmniejszej zwłoki o pomienionych interesach przysłał raporta, złożywszy na za-
decydowanie ich sessye nadzwyczajne, gdyby tego potrzeba była.

Dziwić się mi przychodzi, dlaczego i skąd te nowe zwłoki powstają, kiedy w tyłu listach swoich zapewniałeś mnie WMPan ustawnie, że już wszystko gotowe i tylko czekasz na moje przybycie.

A. Czartoryski.

Oto w ogólnych zarysach stosunek Kuratora do ciała profesorskiego. Z dochowanych listów możnaby wydobyć niejedną ciekawą opinię Kuratora o tym lub owym profesorze. Wszakże nie o to nam chodzi. Zależy nam raczej na ogólnym wykreśleniu zasad, któremi się kierował Kurator: widzimy, że dbał o dobre imię Uniwersytetu, powagę jego naukową i ducha obywatelskiego. Jak trudno było nawet dla niego uniknąć nieporozumień, widać np. ze stosunku do Lelewela, który na wiele lat przed r. 1830 już miał widocznie jakieś uprzedzenia względem Kuratora, skoro tenże musiał je zbijać w osobnym liście do Rektora Uniwersytetu (listopad 1818 r.):

«Następną pocztą pisać będę do WMPana obszerniej; teraz chcę go tylko uspokoić względem p. Lelewela. Nie mam nic przeciw niemu i nie miałem. Te same uwagi, które mu zrobiłem w Wilnie winny go były przekonać, że się po nim spodziewam Profesora, dla Uniwersytetu prawdziwie pożytecznego. Jeśliby go to przywiązało do Uniwersytetu, podaj go WMPan na adjunkta. Mojem jest życzeniem, aby mógł na parę lat pojechać zagranicę. Spodziewam się, że tego nie odrzuci. Chciej go WMPan wyrozumieć, a potem wniesiesz ten projekt na Radę Uniwersytetu. Przez czas podróży jego kursu historyi dawałby jaki zastępca...»

Mówiliśmy już, że Kurator niezbyt zadowolony ze starszej generacji profesorów, a głównie z przy-

byszów, wiele sobie obiecywał pociechy z młodszych latorośli, mających się zagranicznymi studiami przygotować do objęcia z czasem katedr w Uniwersytecie wileńskim. I tu znowu warto przyrzeć się, jakie miał zapatrywania Czartoryski na podróże naukowe zagraniczne. Widzimy, że nawet dla Lelewela uważał podróż za granicę za niezbędną. Młodszych, jak Wiszniewski i Gołuchowski starał się skierować do Anglii. Zależało mu bardzo na tem, aby młodzi uczeni przyswajali sobie najnowszą metodę naukową, aby zagranicą starali się w specjalności swej odznaczyć, zwrócić na się uwagę profesorów zagranicznych i kiedyś w kraju utrzymać związek duchowy z Zachodem. Przytem ciągle zwracał baczną uwagę na zadośćuczynienie wszystkim potrzebom naukowym Uniwersytetu Wileńskiego. Lękał się zrazu, by Śniadecki nie faworyzował nauk ścisłych ze szkodą t. zw. «humaniorów»; to też zastrzegał się przeciw jednostronnemu traktowaniu stypendyów zagranicznych. W liście do Śniadeckiego z Warszawy 4 listopada 1816 roku wyraźnie to podkreślał: »Co do wysłania młodych ludzi zagranicę odbiera zlecenie Uniwersytet i piszę do Ministra: Moje zdanie jest, iż nie tylko fizyczne i matematyczne nauki zyskać mogą na podróżach, ale też koledzy innych wydziałów, jako to Historia, Filozofia, Prawo itd., byle wybory młodych kandydatów szczęśliwie się udały.

Słuchanie wielkich mistrzów, przypatrzenie się nowym i różnym obiektom, obyczajom, zakładom, inny świat, inne zdania i sądzenia rozprzestrzeniają umysł i rozum; zasłonę wązkiego i małego okręgu zdejmują z oczu, innego człowieka tworzą, cel nauki wyświecają, doświadczenie stokroć pomnażają, rozwijają sposobności: tych skutków nic zastąpić nie potrafi; i któraż nauka ich nie potrzebuje, aby godnie tak jak przystoi w Uniwersytecie, dawana była?»

W kilka lat potem, z Paryża, 30 marca 1820 r. wyprawił ważny i ciekawy, długi list do Malewskiego, dowodzący, jak nigdzie nie tracił z uwagi swej kuratorji; oto najważniejszy ustęp:

«Smutek mię nieraz prawdziwy ogarniał, widząc jak Uniwersytet nasz mało tutejszym Instytutom i uczonym jest znajomy. Zaiste, nie jest to wina ostatnich, którzy powszechnie uchodzą za ludzi prawdziwie dla dobra nauk i postępu oświecenia wylanych, najchętniej w związki uczone wchodzących, byle ich tylko do tego wezwano. Zaklinaj więc starszych profesorów, aby dawne związki z uczonymi za granicą wznowić chcieli, a na tych co niedawno do kraju wrócili nalegaj nieustannie, aby porobionych znajomości nietylko nie zaniedbywali, ale owszem ciąglą z nimi w przedmiotach sobie właściwych utrzymując korespondencyą, ziścili oczekiwania kraju, do wydoskonalenia siebie i nauki, do rozszerzenia jej granic i wpływu,

do obeznania wreszcie innych narodów ze stopniem, na jakim ona u nas zostaje, ciągle i skutecznie się przyczyniali. To nowym bodźcem dla prawdziwych stanie się talentów, które krzepią się i wzrastają w miarę rozpowszechniającego się przed nimi pola użyteczności ich usiłowań i w miarę pomnożonej liczby do ocenienia prac takich, sędziów; to zachęci także i skłoni tutejszych uczonych do zajmowania się staranniej uczniami, których im tu przysyłamy.

Potrzeba takiego dozoru czuć mi się więcej jeszcze dała od czasu mej podróży. Wypytywałem o naszych wędrowców często napróżno. Godziło się jednak, aby wysłani kosztem rządu, a przez to samo nad innych wyniesieni, postarali się byli dać poznać swoim nauczycielom, a nie chowali się w tłumie pospolitych słuchaczy. Należy surowo wymagać nadal od wysłanych, aby przywozili świadectwa profesorów, których kursa słuchali, a i tym, co jeszcze z zagranicy nie wrócili, nie zawadzi podobne zrobić polecenie».

Czynności Kuratora i rozległy zakres jego ważnych obowiązków poznać można tylko z całej urzędowej korespondencji. Zanim ujrzy ona światło dzienne, podajmy przynajmniej jeden taki list urzędowy w całości. Lepiej niż wszelkie streszczenia da on nam poznać nadzwyczajną pracowitość Kuratora i przenikliwy wzrok jego, obejmujący olbrzymie przestrzenie naukowego okręgu:

«d. 23 (11) listopada 1818 r. z Sieniawy.

Do Rektora Sz. Malewskiego.

Po powrocie moim do Wołosowic z ostatniej szkół objazdżki, wyruszyłem zaraz w dalszą podróż i nie miałem czasu pisać do WMPana, oprócz słów kilka z Krzemieńca o Izbach dozorczych.

W Gimnazjum Winnickiem przez trzy dni z nie-małą przyjemnością słuchałem Egzaminów. Stan kwitnący tej szkoły dowodzi, że ważnym i potrzebnym jest w Dyrektorze przymiotem: niemordująca się czynność. Prawda, że i nauczyciele są dobrze dobrani. Szczególnie P. Miładowski zasługuje na pochwałę. Za lat kilka, które mu dodadzą powściągliwości i z doświadczeniem powagi, na bardzo dobrego uformuje się Prefekta, jeśli pracować nie przestanie. W uczniach wiele znalazłem emulacyi i zapału do nauki. Dochodziły mnie z boku nieprzyjemne wieści o nadużyciach kassowych. Podał także nauczyciel Komarnicki (któremu jako kalece, trzeba już dać emeryturę) skargi na architekta, tu przyłączone. Trzeba, żeby Rząd Uniwersytetu obrócił całą swą czujność na budowy robiące się w szkołach Podolskich: bo w istocie zdawało mi się postrzegać jakąś niedobłą ligę między Dyrektorem, Architektem i Przełożonym Szkoły Kamienieckiej. Na ten koniec ustanówcie w Winnicy Komitet Budowniczy i Gospodarski, przepiszcie mu instrukcją, warując szczególniej

kontrolę co do materyałów, których część z ofiar pochodzi. Posłałem do Rządu Uniwersytetu interes metra fechtunków J. P. Castel; trzeba go przywiązać do Gimnazyum Winnickiego, dając mu mieszkanie i małą nagrodę. Niech Dyrektor zrobi z nim kontrakt i poda go Wam do potwierdzenia. X. Maciejowski ¹⁾ ma szczególny talent do uczenia początków — posiada do tego znajomości potrzebne i metodę szczęśliwą — rozumiem, że do ułożenia ksiąg elementarnych przydałby się z korzyścią. Gdyby mu dać jakie w Wilnie beneficjum, pracowałby w Komitecie Szkolnym.

Odsyłam WMPanu rozprawę Daniłowicza. Nie uważając, że to jest oryginał, jakie mi przyszły w czasie czytania uwagi, pisałem po bokach. Chciej WMPan pokazać one JP-u Daniłowiczowi; prosiłbym jednak o przysłanie mi tego egzemplarza napowrót, skoro sobie kopią tekstu zrobicie. Sposób, jakim JP. Daniłowicz myśli swoje wyraża, bywa czasem niedokładny, tak, iż rozmaicie słowa jego tłómaczyć można i stąd część moich uwag zapewne powstała. Może często jednego z nim byłem zdania, a jednak zdawało mi się, że on coś przeciwnego utrzymuje. Życzyc także wypada, aby autor więcej dawał bacności na Ducha Ogółu,

¹⁾ Ks. Michał Maciejowski, Rektor szkoły podolskiej. Pisał *O sposobie uczenia j. greckiego*. W Białymstoku, 1815, 8-o. Błęński, II, 682.

a w podobnych jak ta rozprawa kwestyach — na roztrząsane kodexa, nietylko prawnika, ale prawoznawcy, moralisty i polityka starał się patrzeć okiem. Niektóre także błędy autora może są skutkiem wiary w Opinię, która przez niejaki czas była w Polsce powszechną, a którą nazwaćby można nie tak skutkiem rozważki i doświadczenia, jak raczej uczuciem narodu wdzięcznego. Wreszcie P. Daniłowicz wart zachęcenia i opieki Uniwersytetu, zasługuje, aby mu podać sposoby dalszego doskonalenia się.

Odebrałem od Ołdakowskiego ¹⁾ list z Gietynki, który WMMPanu posyłam (do zwrócenia). Znać w nim człowieka dojrzałego, gorliwego i bardzo pracowitego; ten pewnie już nie zawiedzie nadziei Uniwersytetu. Odpisuję mu dzisiejszą pocztą i WMPana proszę, abyś do niego napisał. Żałuję jak najmocniej, że się wzbrania jechać do Anglii. Podróż do tego kraju mam za nieodbicie potrzebną dla poświęcających się naukom moralnym, prawnym i administracyjnym. Jedna niewiadomość języka i niemożność nabycia jej prędko, może go exkuzować. W takim razie musiałbym zezwolić, aby powrócił wprost z Gietynki do Uniwersytetu na jakiś czas dla doświadczenia się w nowym (jak

¹⁾ Ignacy Ołdakowski (1785—1821), dr. obojga praw, wyśnany r. 1817 na koszt rządu za granicę, wykładał od września 1819 r. prawo narodów, polityczne i przyrodzone. Ob. Bieleński, III, 282.

mówi) zawodzie, dla zrobienia porządnego zbioru nabytych teraz wiadomości i dla przygotowania się na podróż — do Anglii, bo bez niej wiele mu brakować będzie. Radbym, żeby i Daniłowicz swego czasu tam pojechał.

Raporta Xiędza Bobrowskiego ¹⁾ także wiele zawierają dowodów jego przykładania się. O Podczaszyńskim ²⁾, Ablamowiczu ³⁾, Drzewińskim ⁴⁾, Herberskim ⁵⁾, Polińskim ⁶⁾ i Miechowiczu ⁷⁾, wiele jest niemniej nadziei; a tak z jednym tylko biednym nie udało się nam Sobolewskim ⁸⁾. Przyznaję, że go trzeba cofnąć z Paryża, ale niewiem, czy się

¹⁾ X. Michał Bobrowski, prof. teologii w Uniwersytecie Wileńskim.

²⁾ Karol Podczaszyński (1790—1869), architekt, objął w r. 1819 katedrę architektury tamże.

³⁾ Ign. Ablamowicz, prof. fizyki w Krzemieńcu.

⁴⁾ Feliks Drzewiński, prof. fizyki w Uniwersytecie Wileńskim. Bieliński III, 160—161.

⁵⁾ Wincenty Herberski (1784—1827) okulista, Bieliński III. 193—195.

⁶⁾ Michał Pełka Poliński (1784—1848) prof. matematyki i mechaniki, bibliograf, zbieracz, przechował w znacznej części archiwum Kuratorji i Uniwersytetu Wileńskiego, znajdujące się od r. 1902 w Bibliotece Czartoryskich w Krakowie.

⁷⁾ Franciszek Miechowicz (1783—1852) prof. architektury i mechaniki w Krzemieńcu, tudzież geometrii wykresnej,

⁸⁾ Ludwik Sobolewski (1791—1830) magister filozofii (1811 r.) polyglotta, adjunkt Uniwersytetu, miał objąć katedrę po Grodsku, z powodu choroby (zdaje się epilepsji), nie przyjął jej. Ob. Bielińskiego, t. III, str. 333—337.

godzi wywieść go ztamtąd w połowie kuracyi, kiedy tu nie znajdzie może podobnej. Prawda, że 400 franków na miesiąc jest za wiele, ale jak z listu P. Pozzo di Borgo okazuje się, medyk Esquerot obiecywał go wyleczyć przed nowym rokiem; i wreszcie co w proporcycę 800 rubli, wyznaczonych mu na rok do 400 franków na miesiąc nie dostanie, ja zapłacę. Jeżeli zaś wyleczonym być nie może, zapewne, że przystojniej sprowadzić go zaraz do Wilna, niż w Paryzkim szpitalu zostawić. W jego stanie i pociechy wiele skutkować mogą. Napisz więc do jego kolegów, niech mu powiedzą, że go Uniwersytet nie opuści, że będzie miał jakąkolwiek pensją itp.

Dzieło Michelisa ¹⁾ o akuszeryi, które Uniwersytet uznał niegodnym dedykowania Tronowi, komitet uczony przy Ministeryum kazał wydrukować kosztem Uniwersytetu, biorąc za pretext, że w polskim języku niemamy dzieł jeszcze w tej nauce. Posyłam WMPanu kopię pisma Ministra. Obliguj Mianowskiego ²⁾, lub innego z fakultetu medycznego profesora, aby mi przysłał rejestr dzieł polskich o położnictwie traktujących. Nie licząc dzieła nowego P. Mianowskiego, mamy podobno kilka innych w tej materii. Chciałbym komitetowi uczo-

¹⁾ Bieliński, II, 350.

²⁾ Mikołaj Mianowski (1783—1843) dr. medycyny, zrazu prof. fizyologii, następnie położnictwa. Bieliński, III, 255—261.



nemu wskazać one, aby uwolnić Uniwersytet od niepotrzebnego na druk kosztu.

Chciej także wypisać mi wszystkie prawne powody, dla których nie można zabronić *Kuryerowi Litewskiemu* drukowania w dodatkach pozwów i innych pism prawniczych, żąda bowiem tego Minister, jak się WMPan z przyłączonej tu kopii pisma jego dowiesz.

Interes Chodakowskiego¹⁾ przypominam WMPanu. Chce on mieć list odkryty, polecający go wszelkim władzom i osobom prywatnym, któryby mu ułatwił poznanie się z Uczonymi, wejście do wszystkich Archiwów i Bibliotek. Proszę WMPana, podług przyłączającej się tu jego noty kazać napisać wspomniany list we 3-ch językach: Polskim, Ruskim (literami Cerkiewnymi, aby je w całej Słowiańszczyźnie przeczytano) i Łacińskim, formą patentu na członka honorowego z pieczęcią Uniwersytetu i jeśli można na Pargaminie. Takowy list przez Siebie podpisany prześlij i do mojego podpisu.

Z Żytomierza pisałem do WMPana o Panu Felińskim²⁾; przewidziałem niejako myśl, którą mi podajesz, bom pisał o nim i do Pana Jana Śnia-

¹⁾ Zoryan Dołęga Chodakowski, pseudonim Adama Czarnockiego, głośnego archeologa Słowiańszczyzny, o którym zaraz wlecej Czartoryski nam powie.

²⁾ Feliński Alojzy, znany autor *Barbary Radsiwilłówny*, dyrektor Liceum Krzemienieckiego od września 1819 r.

deckiego. Mam nadzieję, że on trudności robić nie będzie, a WMPana proszę, abyś ten interes raczył przyspieszyć; dobrze, aby od nowego roku mógł p. Feliński wejść w urzędowanie. Obawa, aby za nowego Dyrektora nie odnowiły się scyssye dawniejsze, jest płonną, bo P. Feliński człowiek dojrzaly i o dobro Gimnazjum gorliwy prawdziwie, łatwo oceni szkody, jakieby stąd dla Gimnazjum wynikły, a zdaje się nie mieć takiej miłości własnej, żeby dla osobistości poświęcał dobro szkoły.

P. Bielecki ¹⁾ wprowadzie fizykę dosyć ozięble w Winnicy daje, lecz powiada, że wtenczas tylko jej nie lubi, kiedy niema gabinetu, a chociaż w Winnicy prosił o matematykę, w Krzemieńcu rad przyjmie fizykę. Moznaby więc Hreczynę ²⁾ do matematyki, a Bieleckiego użyć do fizyki, w której się on już teraz jasno tłumaczy.

Co do Międzyboża, jeżeli WMPan rozumiesz, że P. Kołpaczkiwicz jest za młody (którego wszakże godzi się na co lepszego użyć), to proszę o innego kandydata, bo Zienowicz ³⁾ może dobry na

¹⁾ Paweł Bielecki, uczeń Uniwersytetu Wileńskiego, kandydat stanu nauczycielskiego w oddziale nauk fizyczno-matematycznych. Bieliński, II, 789.

²⁾ Grzegorz Hreczyna (1796—1840) prof. geometrii i algebry w Krzemieńcu, potem prof. Uniw. w Charkowie.

³⁾ Może tu mowa o Stefanie Zienowiczu, nauczycielu Liceum Krzemienieckiego, przyrodniku. Bieliński, I, 153.

nauczyciela, ale boję się go wziąć na Przełożonego, zdał mi się bowiem zgryźliwy i śledziennik.

Za Ossolińskim Gubernator bardzo obstaje; chciałem pisać oń do Biskupa, lecz wstrzymam się póki mi nie przyszlesz obiecanego objaśnienia ¹⁾).

Rekomenduję Komitet budowniczy i gospodarski w Winnicy; niech raporta złożą o tem, co się dotąd zrzuciło i postawiło i plany tego, co się ma wybudować z anszlagami i co po czym się będzie robić. Proszę nagiąć naszych sztycharzy, aby czemprędzej ryciny dwie L. Sapiehy i Koniecpolskiego skończyli. Czekam na nie z niecierpliwością.

A. X. Czartoryski.

Ale rozległy zakres obowiązków Kuratora nie wyczerpywał jeszcze całej jego energii. Nie poprzestawał na żmudnej roli baczego opiekuna, dbałego o ścisłe wypełnienie obowiązków tak profesorów, jak i uczniów, współdziałał także czynnie i samodzielnie przy tworzeniu nowych katedr, i tutaj składał świetne dowody wszechstronnego, istotnie wiek swój wyprzedzającego umysłu.

Ceniąc nadzwyczajnie zasługi naukowe i prawość charakteru Śniadeckiego, zdawał sobie równocześnie jasno sprawę, że znakomity ten rektor Uniwersytetu nie mógł się wyzwolić z pewnych uprzedzeń, co do takich gałęzi naukowych, jak hi-

¹⁾ Dotąd dyktowany list, dalej autograf Księcia Kuratora.

storia i literatura, które lekcewały. Czartoryski z ogromnym taktem i wyrozumiałością, przytakując na pozór zapatrywaniom Śniadeckiego, prosto wał je i rozszerzał dla dobra Uniwersytetu i nauki. Lękając się słusznie, aby za przewodem Śniadeckiego nauki ściśle nie wzięty w Wilnie góry i nie przytłumiły nauk, «tyczących się li umysłu i gustu», w tonie spokojnym, ale stanowczym, domagał się jako Kurator uwzględnienia swych życzeń. Ciekawe są pod tym względem wynurzenia Czartoryskiego w liście do Śniadeckiego z d. 3 sierpnia 1809 r.:

Bez wiedzy i upoważnienia Kuratora ogłosił Uniwersytet Wileński (t. j. właściwie Śniadecki) w r. 1809 konkurs, celem obsadzenia katedry Poezyi i Wymowy. Książę Kurator dowiedział się dopiero z *Kuryera Litewskiego* o takim konkursie i w liście do Śniadeckiego z d. 3 sierpnia t. r. «z zalem» wyrażał przekonanie, że w tak stylizowanym konkursie «nie jeden będzie mógł dostrzedz brak głębokiej znajomości traktowanej materji, a niekiedy i logiki». Ostry swój sąd tak dalej uzasadnia Kurator: «Uniwersytet zastrzega sobie, aby przyszły Profesor nie wyłuszczał zasad nauki, którą ma dawać, twierdząc, że jej zasady są wspólne wszystkim językom». Zbija to Czartoryski, a w końcu ironicznie pyta: «Czyż Uniwersytet żąda, aby jego profesor Poezyi i Wymowy nie kształcił uczniów, jak tylko na samych Sekretarzów, umiejących listom dać tok gładki?»

Połknął na razie tak gorzką pigułkę Śniadecki, gdy jednak po roku nadeszła dobra praca konkursowa z Wołynia (jak się potem pokazało, autorem jej był Euzebiusz Słowacki), rektor nie omieszkiał uwiadomić o tem Kuratora, przyczem nie zaniedbał dodać, że nie najgorszy musiał być tekst konkursu, skoro przecie dobrą pracę wywołał. Kurator nie uznał takiego argumentu. Cieszył się w liście do Śniadeckiego z d. 31 stycznia 1811 r., że Uniwersytet otrzymał dobre konkursowe studyum i tak dalej pisał: «Jeżeli ono w rzeczy samej tak jest porządnie ułożone i pięknie napisane, jak W Pan mówisz, dziwić się potrzeba, że autor onego znalazł sposób zrozumienia ogłoszonego programmatu, że zgadnął, czego po nim chciano i że domyślił się odpowiedzieć na to, o co Uniwersytet nie zdawał się wcale zapytywać».

Że Kurator istotnie żywo i głęboko przejmował się ważną sprawą obsadzenia odpowiednią siłą katedry literatury polskiej w Wilnie, widzimy to w kilka lat potem. Kiedy po przedwczesnej śmierci Euzebiusza Słowackiego katedrę znowu obsadzić należało, uważał ksiądz wybór Leona Borowskiego za tymczasowe załatwienie sprawy — szukał zaś lepszego kandydata, któryby słusznym jego wymaganiom sprostał¹⁾. W liście do Malewskiego (lipiec, 1819 r.) rozwinął wtedy obszernie swe za-

¹⁾ Nowy konkurs podany jest w dziele Bieleńskiego, II, 716.

patrywania, tak trafne i celowi odpowiednie, że chyba dziś nawet nietylko nie są przestarzałe, ale owszem, pozostaną na długo jeszcze ideałem do urzeczywistnienia.

«Zastanowienie się — pisze Kurator — nad ciągłym niedostatkiem profesora wymowy w Uniwersytecie, oraz nad zaradzeniem temu niedostatkowi, dało mi pilniej rozważyć stan literatury naszej. Bacząc poziomy jej stopień, jej ruch niepewny i postęp leniwy, śledziłem tego przyczyn, nie tych, o których tylko rozprawiać można, lecz owych, co wiążąc się z pierwszemi naukami młodych, są pod bezpośrednim wpływem czuwających nad Edukacją. Byt i dążenia polityczne kraju, stopień jego znaczenia, rząd wewnętrzny, cywilizacya, słowem wszystko, co może wpływać na duch narodu, wszystko bez wątpienia wpływa najwięcej i na stan literatury; być jednak muszą i są okoliczności, że tak rzekę literackie, które ze swojej także strony tamują, lub przyspieszają jej postęp. Z tych to ostatnich dwie dostrzegłem, które szkodzą literaturze naszej: zaniedbanie literatury starożytnej i wyłączne oddanie się francuskiej».

Co się tyczy studyów klasycznych, Kurator sądzi, że było ono u nas wtedy powierzchowne, kończyło się w liceach i gimnazyach, albo ograniczało się do czytania lichych przekładów. Francuskie utwory, jako kopie oryginału, jako naśladownictwo wzorów pierwotnych greckich, lub rzymskich, nie

powinny dla nas być wzorem wyłącznym do ślepego naśladownictwa. Krótko to zaznaczywszy, tak pisze dalej Czartoryski:

«Stosownie do tych postrzeżeń, podam WMPanu dalsze moje uwagi względem uformowania profesora wymowy dla Wilna. Im większa postrzeza się troskliwość Uniwersytetu o kształcenie profesorów w rozmaitych gałęziach nauk, tem więcej żałować przychodzi, że katedra literatury polskiej od tak dawna zaniechaną zostaje. Chciałbym, żebyś WMPan obrócił całą swoją gorliwość ku temu celowi. Potrzeba, żebyś upatrzył którego z uczniów obiecującej zdatności i gorliwości i zajął się kierowaniem jego udoskonalenia, a to stosownie do tego planu:

Literatura grecka i rzymska, której powinien będzie już mieć dobre początki, najprzód go ma zająć. Niech ją gruntownie pojmie, niech się napoi jej duchem, ale, pamiętając zawsze, że nie jej jedynie ma się oddawać, że nie komentarze, nie edycje są jego celem, ni też pisanie po łacinie, po grecku. Dwie tu prócz tego konieczne następczą się uwagi... n a p r z ó d, że Grecy byli pierwsi, którzy czerpali w niezmaconym jeszcze źródle przyrodzenia, że dzieła ich, będąc wzorem szczerem i nieszukanej prostoty, są najbezpieczniejszym przykładem do naśladowania. Powtóre: że język i literatura grecka daleko mniej jest u nas upowszechniona, jak łacińska».

Zaraz po tych słowach zastrzega się Czartoryski, że «nie jest bynajmniej myślą moją samymi tylko starożytnych ograniczać się wzorami». Książę Kurator doskonale to rozumie i wyraźnie zaznacza, że duch czasu wymaga więcej, «kiedy nowa cywilizacja nowy tor myślom nadała». To też literatura polska, «tak daleko pozostała za innemi», powinna dziejom tych nowszych obcych literatur pilnie się przypatrzeć:

«Ledwie puszczającym się w zawód należy zapatrywać się na tych, co go ze sławą przebiegli. Dlatego poznanie literatur: włoskiej, francuskiej, angielskiej i niemieckiej za konieczny obowiązek przyszłego profesora literatury polskiej kładę. Ile winne starożytnym, ile samym sobie, jak postępowały, jak cofały się czasem: oto są dla niego główne punkta w tem poznawaniu. Istotnym zaś do tego będzie obowiązkiem umienie tychże języków, ażeby samemu przez siebie poznawać, a nie na wiarę drugich wychwalać lub ganić dzieła, o których sądzić przyjdzie. Chciałbym nawet więcej; chciałbym, żeby literatura ludów wschodnich obca mu nie była. Nie stałoby się to dla niego ważnym pożytkiem widzieć obraz myśli człowieka, gdzie niebo, rząd, obyczaje, cywilizacja, tak są różne od naszych — dla niego, który powinien mieć najczystsze wyobrażenie o tem, co i jak wpływa na postępek i kierunek literatury».

Czartoryski żąda od takiego przyszłego profe-

sora literatury polskiej bystrego syntetycznego umysłu; te studia nad literaturą powszechną mają rozszerzyć jego horyzont i wyrobić w nim jasną świadomość i delikatne poczucie, w czym widzieć, lub gdzie szukać narodowych pierwiastków polskiej literatury. «Ze zlanego w umyśle ogółu powszechnej literatury» — mówi Czartoryski — ma ten idealny profesor «pojąć wyobrażenie drogi, po którejby nasza różnie postępowała, żeby, poznawszy skarby obcych narodów i prawdziwą ich wartość i środki do nich wiodące, a idąc wzorem ich uprawy, rzucić nasiona właściwych nam pło-
nów, a czego nam niebo nie odmówiło, złem pielęgowaniem nie tłumić».

«Przyszły więc nauczyciel, któremu historia narodu naszego, jego obyczajów, charakteru, skłonności, dobrze znaną będzie, weźmie za najpierwszą potrzebę poznanie przez siebie samego pisarzy naszych każdego wieku, pilne i powtarzane zastanowienie się nad nimi, nad ich duchem, nad ich językiem: jaki postęp zrobili? dlaczego wyżej nie poszli? jakby nadal poczynać należało? jakie wyobrażenia względem literatury upowszechnić? — a to wszystko rozważać będzie z tą dokładnością, która nie pozwala wyrokować powierzchownie i z tem powątpiewaniem filozoficznym, które, broniąc od zrozumiałości, uczy oddzielać z przyjętego mniemania, co tylko w niem fałszywego się pokaże.

«Ominąć tu nie można, że co się tyczy samego języka, wiadomość pobratymczych dyalektów, a szczególnie słowiańskiego, czyli cerkiewnego, ważnym i istotnym stanie się dla niego skarbem. Tam często po radę i wsparcie nie napróżno będzie się mógł w potrzebie uciekać.

«Tak przygotowanego potrzeba będzie wysłać na zwiedzenie obcych krajów, już to, aby, ocierając się o różnorodność opinii, nadał większą giętkość, większą swobodę i wolniejsze pole władzy myślenia. Podług tych myśli zechcesz WMPan polecić w swoim czasie Fakultetowi właściwemu podanie planu szczegółowego ćwiczenia się i ułożenia instrukcyi dla przeznaczonego na to miejsce, a razem przysłać mi względem tego swoje uwagi. Jeżeli się zgodzisz na zasady, nie pozostanie, jak tylko trafny wybór uczynić: czy to między obiecującymi studentami Uniwersytetu, czyli też między młodymi Literatami, którzy już dali dowody talentu — i podług powyższych myśli nadać kierunek pracom wybranego».

Prześliczny ten projekt księcia Kuratora powinien był zaraz wejść w życie; trudno tu obronić się przykrej myśli, że gdyby na czele Uniwersytetu stał był wówczas człowiek bystrzejszy i młodszy, byłby projekt Kuratora wziął do serca i starał się o jego spełnienie. Nic tu nie uniewinni Malewskiego. Wszakże «obiecujących studentów Uniwersytetu» nie brakowało wówczas w Wilnie —

wszakże w tym samym miesiącu, kiedy Czartoryski podawał swój znakomity projekt katedry literatury polskiej, złożył egzamina magisterskie 21-letni kandydat filozofii, który miał wszelkie kwalifikacje takiego właśnie profesora literatury polskiej, o jakim marzył Czartoryski: był bowiem doskonałym uczniem Grodka i Borowskiego, znał literatury obce: włoską, francuską, angielską i niemiecką. Tego ucznia Uniwersytetu znał przecie Malewski, bo był on serdecznym druhem jego syna Franciszka i gościł często w jego domu, a nazywał się — Adam Mickiewicz.

Z niemiejszą pieczołowitością troszczył się Kurator o katedrę historii. Jeszcze w r. 1809, kiedy się słusznie lękał, że Śniadecki zechce w Uniwersytecie przewagę dać naukom ścisłym z pokrzywdzeniem t. zw. «humaniorów», w sposób delikatny, ale i stanowczy zarazem, wykazywał Śniadeckiemu doniosłość historii. Zdaniem znakomitego przyrodnika, «do tej katedry (historii) dosyć jest pamięci i rozsądku». Nie przeczy temu Czartoryski «te albowiem dwa przymioty uważam za dostateczne dla wszelkich nauk...»; ale zaraz potem wykazuje, czem powinna się stać katedra historii w Uniwersytecie:

«Prawda, że historii można się samemu nauczyć; więcej powiem, że to dopiero dobrze umiemy, czegośmy się sami nauczyli; lecz zakłady Edukacji publicznej są właśnie na to, ażeby ułatwić naby-

wanie nauki, ażeby można było powziąć łatwo i w porządku te wiadomości, którychbyśmy z ciężkością i długo sami dochodzić musieli, ażeby nas postawić na prawdziwej drodze i wskazać źródła do nabycia przez własną pracę zupełnej i doskonałej wiadomości w wybranej potem od nas nauce.

«Katedra historyi w Uniwersytecie większe sobie zamierza cele. Historia, filozoficznie dawana, jest szkołą wszelkiego stanu ludzi; w niej bowiem każdy na swoim stopniu znajdzie prawa, podług których ma działać; jest opisaniem postępów rozumu, cywilizacji, legislacji i wszelkich zaprzątnień ludzi we względzie ich wpływu na los społeczności, jest, jednym słowem, nauką, która jeżeli będzie w duchu prawdziwym i należytyymi stopniami upowszechnioną, najbardziej w kraju może uszlachetnić uczucia i w umysłach zaszcześcić zdrowe i rozsądne sądzienia o rzeczach, które najbliżej każdy naród dotyczą: ważne skutki, których nauki dokładne (*exactes*) dopiąć nie mogą! Zalecam więc WPanu, ażebyś nie lada jakiego profesora do historyi wybierał, ale, owszem, starał się najdatniejszego, jeżeli byź może, dostać, równie jak i do innych katedr, i tym wyborem, jako ważnym i interesującym nader przedmiotem, zaprzątnął się. Talent z rozsądkiem wszędy wartości doda, wszędy użytecznym być umie, cóż dopiero w hi-

stori, gdzie za każdym prawie krokiem, potrzebna jest wiadomość dokładna i rozmaita, krytyka pewna, rozsądek wyborny, wymowa piękna, gdzie wielką część nauki profesor powinien z własnego funduszu dostarczyć, jeśli potrafi się przejąć ważnością tej nauki i zechce jej dać właściwy obwód, duch i kierunek? Gdzież się nakoniec nauczyciele szkolni tego nauczą, jeżeli nie w Uniwersytecie?». (List z d. 3 sierpnia 1809 roku).

Dziś zdania takie wydać się mogą komunałami, ale zważmy, że pisane były przed stu laty, że skierowane były do Rektora Uniwersytetu, do jednego z najświetlejszych w kraju umysłów, a zrozumiemy dopiero ich potrzebę, doniosłość, konieczność moralną. Szczęśliwym był, bez wątpienia, Uniwersytet Wileński, mając Śniadeckiego na czele — szczęśliwszym jeszcze, że nad Śniadeckim stał wszechstronny Kurator, pozbawiony wszelkiej ciasnoty zapatrywań.

Nie mniejszą pieczę otoczył Czartoryski katedrę filozofii. «Ten, co filozofii się poświęci, «chciałbym, aby nie był obcy naukom matematycznym» (do Malewskiego). Już to zdanie jedno dowodzi, jak gruntownych wymagał Kurator podstaw naukowych i jakie miał wszechstronne o doniosłości nauk filozoficznych wyobrażenie.

Kiedy z czasem cała korespondencja kuratorska ks. Adama ujrzy światło dzienne, pokaże się

dowodnie, jakim był niezrównanym opiekunem oświaty naszej i nauk. Nie wiem, czy była wówczas jaka gałąź wiedzy, jakaś katedra nauk ścisłych, lub historycznych, rolnictwa, mechaniki, technologii i t. d., i t. d., któraby była pominięta w urzędowej działalności Kuratora. Samo rejestrowanie tej urzędowej czynności, list po liście, zabrałoby zbyt dużo czasu. Z natury rzeczy musimy tu poruszyć tylko ogólnie interesujące kwestye, które i dziś nie utraciły bynajmniej znaczenia.

Do takich należy sprawa znanego badacza starożytności słowiańskich Czarnockiego (Chodakowskiego), której tu, w kilku bodaj słowach, dotkniemy, aby zaznaczyć, jak i na tem polu wyprzedził Czartoryski współczesne mu horyzonty i sięgał wprost do tego, co jest przedmiotem dzisiejszych etnologicznych poszukiwań. Chodakowski (Czarnocki), ten pierwszy alchemik słowiańszczyzny (słowiańskiej archeologii), szukał funduszków, potrzebnych do odbycia podróży po ziemiach słowiańskich. Uniwersytet wileński niezbyt pochopnie zgodził się na jego propozycye. Kurator, któremu Czarnocki był już z Sieniawy znany i przez księcia generała Z. P. zalecony, pragnął wykazać potrzebę badań, przedsięwziętych przez Chodakowskiego, a zwłaszcza jego podróży po krajach słowiańskich, całkiem nam wówczas nieznanym, tak, że Czartoryski wprost pisze do Malewskiego: «Należałoby podróżników, tak jak w głąb Afryki, na wszystkie

strony do nieznanых stref Słowiańszczyzny wysyłać». Kurator miał przedewszystkiem na względzie sprawę naukowe, ale doskonale rozumiał, że takie poważne zajęcie się przeszłością Słowiańszczyzny, może dla nas przynieść także inną korzyść: hegemonię duchową w Słowiańszczyźnie. W sposób ostrożny, ale dość przecie przejrzysty, pisze do Malewskiego:

«Prawda, że naród polski jest pokrajany i ubogi. Dlatego też, że pokrajany, trzeba się starać przynajmniej literaturą, wiadomościami, wyszukiwaniem wspólnych początków, w połączeniu go utrzymać. Ponieważ w tem wszystkim, co się ściąga do potęgi, musi ustępować innym plemionom, nie pozostaje mu szukać pierwszeństwa, jak tylko przez zalety umysłowe, i starać się celować w przedmiotach i naukach. Jednak próżno się będzie piąć do tego rodzaju pierwszeństwa, jeżeli naprzód własnych rzeczy nie zgłębi i nie pozna. Wszystkie plemiona (słowiańskie) wyrzucają nam jakąś oziębłość do słowiańskich początków! Z wielu względów użytecznie nam będzie, w imieniu nauk i wspólnych wyszukiwań, pobratać się z innymi plemionami; ta gałąź Słowian, która się pospieszy z pobratymcami zaprowadzić naukowe związki, która pierwsza wynajdzie nich pierwobytnę jedność i biegną się zrobi w ich starodawnościach, zyszcze niezawodnie w ich oczach palmę pierwszeństwa dla własnej literatury i ję-

zyka, które tym sposobem najdroższym się plonem z bogacą. Wolno nam Polakom, chcieć wyścignąć drugich w tym zawodzie; należy przynajmniej nie dawać się im uprzedzić, a broń Boże, ostatnimi zostać. Wszakże wyszukiwania względem dawnej Słowiańszczyzny wówczas dopiero prędsze i pomyślne skutki obiecywać mogą, kiedy się wszędzie razem rozpoczną; wstydemby było i wielką szkodą tego plemienia, któreby się w tej wspólnej pracy nieczynnym i oziębłym okazało» (1818 r.).

Tak to Kurator i na zewnątrz pragnął znacznie Uniwersytetu podnieść i wewnątrz jego siłę wzmocnić. Pod tym jednak względem pobyt Kuratora zdala od Uniwersytetu i wzmagające się z wiekiem niedołęstwo Malewskiego, sprzyjało niesnaskom wśród profesorów; dziś jeszcze słyszymy bolesne westchnienie Czartoryskiego w tych słowach z d. 30 lipca 1821 r.: «Radbym, żeby choć raz drzewo oliwne zakwitło w Uniwersytecie».

II.

Co się tyczy młodzieży, to z natury rzeczy wynikało, że Kurator nie mógł mieć żywych, ciągłych i bezpośrednich stosunków z młodzieżą uniwersytecką. Ale że jej moralne i materialne dobro leżało mu przedewszystkiem na sercu, wi-

dzimy to z licznych ustępów korespondencji z rektorem, gdzie ciągle wypytuje się o uczniów zdolniejszych, o wyjazd ich za granicę; «wojażerami», jak ich nazywał, ciągle się opiekuje, radby ich widzieć jak najwięcej, po nich wiele, najwięcej się spodziewa, dba o nich i stale pamięta. Mamy nawet ciekawy dowód, że umiał się ująć za krzywdą materialną: kiedy Jeżowski wydał w r. 1822 Horacyusza ody celniejsze z doskonałymi objaśnieniami, otrzymał od Uniwersytetu za ledwie pożyczkę na druk. Kurator, wśród licznych innych spraw uniwersyteckich, poruszonych w liście do Rektora z d. 21 lutego 1822 r., pamięta o Jeżowskim i pisze tak: «Jeżowskiemu pożyczacie tylko 300 rsr. Należałoby mu dać jakąś nagrodę, kiedy pracę jego tak chwalicie i kiedy on zezwolił na niższenie ceny swego Horacyusza».

Podobnież upomni się o Mickiewicza w liście z Sieniawy (26 stycznia 1823 r.): «talentem, jaki okazał, zasługuje na to, aby go z oka nie spuszczać, i gdy teraz nic więcej dlań uczynić nie można, chciałbym przynajmniej, abyś go przeniósł do jakiego gimnazjum, gdzieby mniej godzin zatrudniony w klasach, miał czas sam nad sobą pracować»¹⁾.

Gdy stypendysta, Ludwik Sobolewski, dostał w Paryżu choroby nerwowej, Kurator, jak widzie-

¹⁾ Korespondencya z J. Twardowskim, 68.

liśmy, poleca, aby go tam leczono, a sam z własnej szkatuły dodać pragnie brakujących pieniędzy.

Nie skończyłbym, gdybym chciał tu zestawiać wszystkie dowody drobiazgowej opieki i czujności Kuratora nad ukochanym swym dziełem; rzecz można, że, choć oddalony od Wilna, wiedział lepiej, niż ktokolwiek, jakie są niedostatki, braki, potrzeby Uniwersytetu, i podobny do wielkiego mechanika, najmniejszego nie lekceważył kóteczonek, najmniejszej śrubki, wiedząc, jak od pozornych drobiazgowców nieraz porządny obieg dużego koła zależy. Dość powiedzieć, że nawet na to zwracał uwagę, ile dzieł naraz może profesor pożyczyc z biblioteki uniwersyteckiej.

Rozległy i dalekonośny wzrok jego ducha obejmował szczególną pieczołowitością szkoły parafialne, szkółki drobne, elementarne, któremi, jak siecią, coraz gęstsza, pragnął pokryć Litwę i Ruś całą. A gdy najgorętszej sprostał potrzebie, gdy już dziesiątki tysięcy chłopców czerpało ze strumyków oświaty, pomyślał Czartoryski i o szkołkach żeńskich. Wiedział dobrze, czem dla przyszłych narodu pokoleń mają się stać Polki, to też wychowanie płci żeńskiej było dla niego poważną troską, tem poważniejszą, że bystro oceniał słabe strony natury niewieściej. Jak przed kilku wiekami Kromer, tak w r. 1820, Czartoryski widział wady narodu naszego i tak je określał: «niewaga, brak zastanowienia się, wstręt do ciągłej pracy,

lekkość, powierzchowność, próżność, wielkie o sobie rozumienie, chęć odmiany i nieograniczanie się». Otóż w stosunku do płci żeńskiej wady te doskonale zróżniczkował, a znając całą Rzeczpospolitą i wszystkie warstwy narodu swego, wybornie ówczesne strony ujemne umysłowości kobiecej scharakteryzował. Znał juści niejedną Teli-menę po dworach i dworkach:

«Płeć żeńska, w naszym społeczeństwie posiadająca wiele zalet, ma także swoje osobne wady. Próżność, afektacja, przechwycona tkliwość, a raczej udawanie tkliwości, kokieteria, lekkość, romansowość, małoważenie prawideł przyjętych, brak porządku, rozrzutność, nieujęta chęć strojów i zabaw, a stąd nieumiarkowanie w wydatkach i potrzebach pieniężnych — oto są wady kobiet naszego narodu, które już nie w wyższych tylko klasach nieszczęśliwy wpływ swój rozpościerają, ale, zszedłszy i do licznych a uboższych klas, tam za prawdziwą klęskę winny się poczytać, bo prócz nędznych śmieszności, rodzą wstręt do pracy i porządku, i wyzuwają z prawideł moralności. Edukacja terazniejsza kobiet puszcza wodze tym niszczącym wadom, zamiast je poskramiać. Takie jest w tej mierze powszechne obłąkanie, iż największa część rodziców przekonaną jest, że kiedy ich córka umie cokolwiek tańczyć, kiedy brząka na fortepianie, lub im przyniesie pobazgrane rysunki, a do tego francuzczyznę kaleczy, już zo-

stała doskonale wychowaną. Ten jest cel edukacji większej liczby pensyj w naszym kraju. Mało tam o tem myślą, aby młodej panie dać poznać jej przeznaczenie, nie mówią nic o jej obowiązkach w dalszem życiu, względem rodziców, względem męża, względem dzieci...»¹⁾).

Pragnieniem ks. Adama było otworzyć w całym okręgu kuratorskim szereg szkótek i szkół dla płci żeńskiej, odpowiednio do tego, czego dokonał dla męskiej.

Z myślą o szkótkach wiejskich łączyła się czuła i rozumna troska o dobro włościan. Uniwersytet Wileński posiadał w zarządzie swym liczne majątki i wsie, zapisane na cele oświaty; miał więc do czynienia z chłopami, wówczas obarczonymi poddaństwem, z finansami, wynikającymi z tego poddaństwa. (Wykaz beneficjów podaje Bieliński, I, 375—379). Otóż jest rzeczą prawdziwie piękną i wzruszającą poznać tu szlachetne zapatrywania Kuratora, wybiegające dalej poza bezduszny formalizm urzędników uniwersyteckich. List z d. 10 marca 1818 r. jest wymowniejszy od wszelkich pochwał. Zmartwiony nad wyraz propozycją Uniwersytetu w sprawie dóbr beneficjalnych, pisze Czartoryski:

«Widzę, że ta rzecz cała zupełnie nie postępuje, że Uniwersytet albo waha się jeszcze nad

¹⁾ Żmigródzki, *Przewodnik nauk. lit.*, 1885, str. 1063.

zasadami mu podanemi, albo też, co mi z trudnością przypuścić przychodzi, że chciałby dłużej jeszcze zostawić beneficya w terażniejszym stanie. Nie przeczę, że w tak ważnym przedmiocie nie należy się spieszyć, ale pewnie nikt nie zarzuciłby nam pośpiechu w doprowadzeniu do skutku zamiaru, który od r. 1810 projektowany, co roku roztrząsany, co roku miał się już wykonać i dotąd jeszcze zostaje tylko projektem. Nie wiem także, czy uchwalona na sejmikach w Wilnie włościańska komisya przeszkadza nam w czemkolwiek. Wszak zasady wieczystej dzierżawy na pierwszym mają celu ulepszenie bytu włościan, zaśłonę ich od niesłusznych dworu wymagań, oświecenie odpowiednie stanowi, słowem uwolnienie od poddaństwa. Cóż innego poda wzmiankowana komisya? Będą jej myśli liberalniejsze od naszych? Gdy więc i ten powód nie zdaje mi się być dostatecznym, rozumiem, że nie należy odkładać raz ułożonego zamiaru... ale przeciwnie, zaraz zadzierżawiać na wieczność beneficya i dać przykład drugim, jak mają sobie postąpić. Ten cel zgodny jest i z przeznaczeniem Uniwersytetu, który faktami najlepiej nauczy, i godny jest ducha, którym się rządzić za chlubę sobie pocztujecie. Bóymy się także, aby niezaszły przeszkody, których dziś domyśleć się nawet niepodobna, a które pomyślność Uniwersytetu na długi czas odsuną, jeżeli teraz nie wy-

konamy wszystkiego, co jest w naszej mocy«. — Pisał to na lat pięć przed katastrofą.

Taką dbałość o włościan przebija się w rok potem w liście z d. 17 marca 1819 r. w sprawie rozdania gruntu włościanom i z d. 26 marca t. r., gdzie w odpowiedzi na zapytanie i niepewność Rektora, co zrobić z pieniędzmi, pozostałymi z wieśniaczych podatków na rekruta ze wsi Remigola, Kurator musi dopiero tłumaczyć i wyjaśniać, że pozostałe 84 ruble należy zwrócić włościanom, «jako ich własność». Aż dziwno i przykro, że Rektorowi Uniwersytetu trzeba taki prosty o b o w i ą z e k objaśniać, a nie mniej przykrym do czytania dziś jest i taki ustęp tegoż listu: «W wielu miejscach sposób wybierania podatków skarbowych jest b. niedogodny, częstokroć dowolny i połączony z niemałym dla włościan uciskiem. Dobrze byłoby, aby troskliwość Komitetu zwróciła się na ten przedmiot, w celu zapobieżenia mogącym zdarzyć się nadużyciom, aby rozkład podatków do wybrania z włościan nie zależał od arbitralności bądź rządzców dóbr, bądź posesorów, aby nie wybierać więcej, niż należy, a jeśli co pozostanie od składki, aby gromadom zwracać, zdając przed nimi rachunek z użytych pieniędzy».

Łatwo wyobrazić sobie, jak się musiał Czartoryski ucieszyć, gdy go doszła potem wiadomość o dobrym wyniku oczyszczania włościan.

Wykroczyłbym jednak z właściwego szkicowi temu zakresu, gdybym zastanawiać się chciał nad społecznymi zapatrywaniami księcia Adama Czartoryskiego. Są w korespondencji jego kuratorskiej takie sprawy, które właściwie nadawałyby się do rozpatrywania tylko w zbiorowej ocenie zasług społecznych księcia Adama; do takich należy, obok wspomnianej już włościańskiej, sprawa oświaty i szkół żydowskich, znakomicie traktowana w listach do Twardowskiego. Pomijamy ją tutaj, skoro cała ta przepiękna i ważna korespondencja jest już ogłoszona drukiem. Powiedzmy tylko, że sprawa żydowska jest tak pojęta po ludzku i przedstawiona tak praktycznie, że po dziś dzień nic u nas pod tym względem mądrzejszego nie wymyślono i nie powiedziano.

A tak, nie było w tych latach, rzecz można śmiało, żadnej sprawy ważniejszej na polu oświaty i wychowania na Litwie i ziemiach ruskich, którąby się szczerze Kurator nie zajął. Nawet sprawy duchowne, które miały osobnych kościelnych zwierzchników, opierać się musiały nieraz o Kuratora, zwłaszcza w szkołach, kierowanych przez zakonników. Otóż te właśnie szkoły pozostawiały wiele bardzo do życzenia. Duchowieństwo zakonne tamtejsze nie cieszyło się poważaniem ludności. Szły skargi na Dominikanów w Nowogródku w r. 1817. Podobnie złą opinią odznaczyli się kks. kanonicy laterańscy, kierownicy szkoły Słonimskiej. «Nie

można mieć gorszej od nich opinii» — pisze Czar-toryski w jednym z listów ¹⁾. Nie brakło zatem troski, kłopotów wszelakich Kuratorowi; wszystkie znosił z poświęceniem się cichem, z wytrwałością i nadzieją, że praca jego wyda plon, że już go wydaje i rokuje najlepsze na przyszłość nadzieje. Jakoż tak było. Jakiegokolwiek były osobiste wady profesorów, przyznać trzeba, że sama między nimi rywalizacya, odbijająca się niekorzystnie w spra-wach zarządu, zmuszała ich przecie do wielkiej pracowitości i do pilnego zajęcia się żądną wiedzy i oddaną nauce młodzieżą. Rosły nowe pokolenia, przejęte gorącym poczuciem obowiązku społecznej służby.

Powiał duch odrodzenia po kraju całym od Niemna do Dniepru i Smotrycza. Z Wilna i Krze-mieńca, jak z gór stokorodnych rozlewały się na wsze strony ożywcze strumienie; padało ciche ziarno i wschodziło bujną zielenią. Już kwitły zboża, cieszył wzrok swój niemi i już o kłosach gęstych i żniwie myślał gospodarz-Kurator, gdy wtem złowroga, gradowa burza nadciągnęła.

Nie będziemy tu przypominać pamiętnej w dzie-jach naszych sprawy filareckiej. *Sunt lacrimae rerum.*

Co się dzieć musiało w duszy Kuratora, gdy

¹⁾ Smutną ilustracją upadku Karmelitów jest przeor ich w roli denuncyanta (Tward., 257).

w gmachu tyloletniej swej pracy ujrzał Nowosilcowa, możemy się ledwie domyślać. Co do mnie, nie znam boleśniejszej księgi, jak korespondencya Czartoryskiego z rektorem, Józefem Twardowskim, w latach, zamykających czynności kuratorskie.

Z chwilą, gdy Czartoryski zrozumiał, że podkopano zupełnie jego stanowisko, wpływowe niegdyś w Petersburgu, i że oczekują jego dymisji, wręczyć ją musiał, widząc, że już się Uniwersytetowi na nic przydać nie może.

Wieść o dymisji Czartoryskiego gromem pa-
dła na Wilno, na cały okręg naukowy. Domyślano się końca. Twardowski pisał ze smutkiem bezgranicznym (28 paźdz. 1823 r.): «Teraz sam jestem wśród burzy, grożącej zniszczeniem zakładowi, którego obronić ani mogę, ani potrafię...» Machinalnie załatwiał dalej czynności urzędowe, donosił o biegu nauk, pomyślnym jeszcze, idącym dawnym, znakomicie zorganizowanym rozmachem; lecz w końcu swego raportu ze łzami w oczach pisał: «Ale to wszystko nie pobudzi do życia po odejściu osoby, która jedna tylko utrzymać mogła i wzniecić duch w całym tem ciele. Ja upadam na duchu, myśląc o przyszłości...» (str. 184). Czartoryski wręczył Aleksandrowi I osobiście swą dymisyę w Wołosowcach 20 paźdz. 1823 r. w nocy francuskiej.

Ustępował Czartoryski. W liście z d. 22 paźdz. 1823 r. żegnał się z rektorem Twardowskim, a przezeń z Uniwersytetem Wileńskim. Jest tam kilka

słów prostych, a lepiej, niż wszelkie charakterystyki, malujących duszę człowieka; on je stosuje do Twardowskiego, my dziś do niego: «Za cóż najprostsze widoki, chęci, samem dobrem ogólnem tchnące, najczystsza gorliwość, bezsilnemi muszą pozostać? Kończę ten list z uczuciem bolesnem i trudnem do wyrażenia. Nie mogę jeszcze wierzyć, aby tak długie i trwałe stosunki miłego obowiązku i ciągłego zajęcia, miały już być zerwane; aby zakłady i osoby, które nieustannie dotąd myślą moją były, obcemi dla mnie miały zostać i żeby już mi nie wolno było i nie należało niemi się trudnić, bronić ich, za nimi się wstawiać. Dręczy mnie bojaźń przyszłości, a kiedy wstecz rzucę okiem, smucę się także, że nie dość i nie dosyć dobrze potrafiłem uczynić. Pozostaje nam ulga w prawości sumienia i w przekonaniu że się zawsze wszystko robiło podług sił i poznania, że wola nigdy skazoną nie była, że w tych ostatnich trudnych okolicznościach niczegośmy nie opuścili, aby ocalić Edukacyą i postawić ją na najświetniejszym stopniu zgodnie z dobrem kraju...».

Gdy nadeszło w maju 1824 r. urzędowe uwolnienie Czartoryskiego ze stanowiska Kuratora, rektor Twardowski dał wyraz uczuciom całego Uniwersytetu:

«Nie potrafię — pisać — wyrazić, ani opisać, jak wiadomość o dymisji WXMości, zwłaszcza w tym czasie, wszystkich przeraziła, jak gwałtow-

nem uczuciem głębokiego, dojmującego smutku, przejęła prawdziwie czułych i wdzięcznych dla osoby WXMości, który byłeś tak długo ojcem, opiekunem i dobroczyńcą tego naszego zakładu, i którego pamięć, jakkolwiek bądź nigdy zatartą nie zostanie, owszem, z czasem... będzie jeszcze mocniej jaśnieć, bo ją uznawać będzie bezstronna sprawiedliwość...»

Im dokładniej wnikać będziemy w zasługi kuratorskie księcia Adama, tem lepiej społeczna ich doniosłość, dziś zwłaszcza, się uwydatni. «Był pedagogiem narodu, kształcił pokolenie przyszłości» — powiedział o nim zwięźle i trafnie p. Michał Żmigrodzki.

Jeśli raz jeszcze rzucimy pożegnania wzrokiem na księcia Kuratora, to, streszczając wrażenia nasze, wyniesione z korespondencji jego niewydanej, powiemy:

W stosunku do Uniwersytetu i całego okręgu naukowego rozwija stałą pieczołowitość, nieznużoną przez lat szeregi. Ma dla dzieła swego serce kochającej matki, której żadne dziecko nie jest obojętne, lub choćby mniej kochane: najstarsze, czy najmłodsze, ogarnia równie czułym i przenikliwym wzrokiem, wie, czego mu brak, jakich starań wymaga, jakie ma zalety, czy wady. Czartoryski szkółką powiatową równie troskliwie się opiekuje, jak Krzemieńcem, lub Wilnem — o nauczycielu, biedującym w zapadłym Litwy zakątku tak

samo pamięta, jak o gwiazdach Uniwersytetu, jak o emerytach, lub na wozach wyprawionych młodzieńcach — on żyje w Uniwersytecie, a Uniwersytet w nim.

Tradycyjna dobroć serca była przemagającą ducha jego treścią. Mogła się i wtedy, i potem miękkością zbytnią wydawać. Ton przeważny listów jego każe przypuszczać, że w stosunku do rektorów i profesorów był raczej za uprzejmy, za łagodny, za dobry. Tak szanował cudze przekonania, że swoje nieraz z umysłu przyćmiewał, byleby kogoś nie urazić zbytnią stanowczością.

W pamięci wdzięcznej społeczeństwa wysuwa się dziś na pierwsze miejsce organizatorska praca odrodziciela ducha i myśli: widzimy go w r. 1808, jak egzaminuje w Nowogrodzkiej szkole chłopców, wśród nich dziesięcioletniego Adama Mickiewicza, jak się przejeżdża po Wołyniu i Podolu, notując skrętnie pracowitość nauczycieli i postępy uczniów, jak do Krzemieńca powołać chce z Gdańska Mrongowiusza, do Wilna Brodzińskiego, jak w Paryżu, czy Lucce, żyje troskliwą myślą o tem, co się dzieje w Słonimie, lub Mińsku. Wielki, nieznużony to ogrodnik w naszej winnicy. Widzimy to poważne, surowe, suche oblicze, to czoło mądre, zorane myślami i troską, te oczy przenikliwe a rzewne, zapatrzone w dal pokoleń, i czujemy coraz goręcej tętno tej duszy, wielkiej nietylko «serca męką»,

nietylko «zamiarami», ale i niespożytym wiekowym skutkiem — a twierdzimy wraz z poetą, że swoim

Wielkim, cichym, dumnym smutkiem,
Pełną niegdyś darów ręką,
Smętną — wziętą z nieszczęść sławą,
Był szlachcicem — i miał prawo...

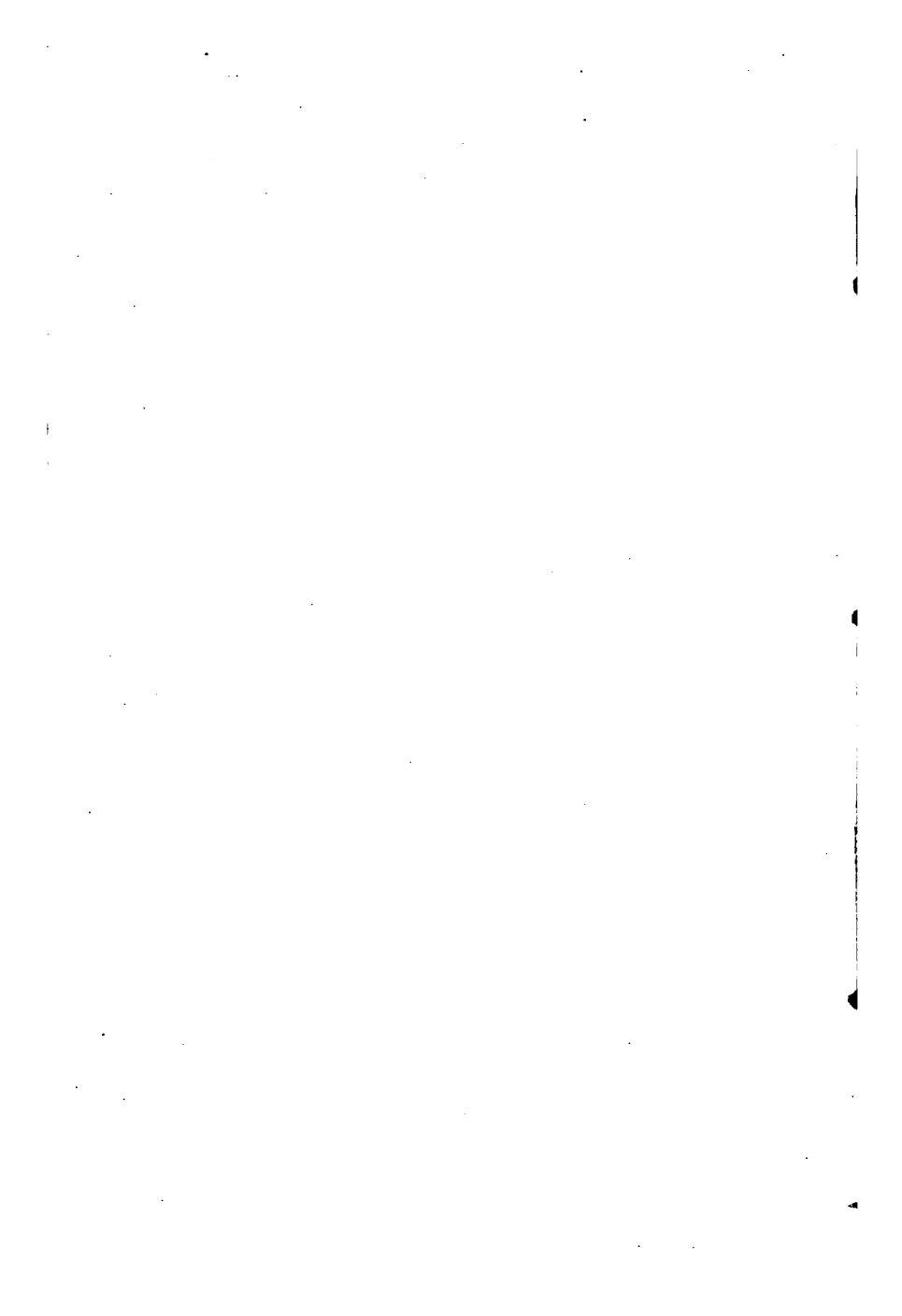


III.

TŁO OBRZĘDOWE „DZIADÓW“

STUDYUM PORÓWNAWCZE





I.

W przedmowie do *Dziadów*, wydanych w Wilnie 1823 roku, Mickiewicz nadzwyczaj zwięźle określa znaczenie tego obrzędu ludowego. Wspomniawszy krótko, że «uroczystość ta początkiem swoim zasięga czasów pogańskich», poeta podaje następnie ważne szczegóły, dotyczące obchodzenia uroczystości *Dziadów* za czasów jego młodości: «W terażniejszych czasach pospółstwo święci Dziady tajemnie w kaplicach lub pustych domach niedaleko cmentarza. Zastawia się tam pospolicie uczta z rozmaitego jadła, trunków, owoców i wywołują się dusze nieboszczyków». Mickiewicz wyraźnie mówi o tem, że przed laty uczestniczył w obchodzie *Dziadów*, najprawdopodobniej w okolicach nowogrodzkich na Białej Rusi: «Cel tak poważny święta, miejsca samotne, czas nocny, obrzędy fantastyczne przemawiały **niegdyś** silnie do mojej imaginacyi».

Nieodżałowana to szkoda dla naszego ludo-

znawstwa, że Mickiewicz tak krótko opisał obrzędową stronę uroczystości ludowej «Dziadów». Był on jeszcze świadkiem naocznym obrzędów, które z czasem zaczęły stawać się coraz rzadszymi, w miarę, jak duchowieństwo coraz silniej sprzeciwiało się tym obchodom i postanowiło «oświecać lud, wytępić reszty zabobonu». Już w roku 1835 Teodor Narbutt, pilnie zajmujący się kwestią obchodu ludowego Dziadów, trafia tylko na szczątki tej uroczystości: «Zbierałem — mówi — rozmaite resztki tych obrządków żałobnych»¹⁾. Narbutt ani słowem nie wspomina o miejscu, na którym się Dziady odbywały, albo raczej mówi tylko o uczcie w izbie. Przeciwnie Mickiewicz kilkakrotnie z naciskiem uwydatnia, że uroczystość odbywa się we wsi zbiorowo, nie w poszczególnych domostwach. Ksiądz w czwartej części *Dziadów* tak wyrzeka przed Gustawem na obchody ludowe:

«...Dziady te północne **schadzki**
Po cerkwiach, pustkach lub ziemnych pieczarach
Pełen guślarstwa obrzęd świętokradzki...»

Lud wie doskonale o nieżyczliwym dla «Dziadów» usposobieniu w plebanii i we dworze. W pierwszej części poematu czytamy:

¹⁾ *Dzieje staroż. nar. litewskiego* przez T. Narbutta, Wilno 1835, tom I, str. 314.

Spieszmy się w tajnym obrzędzie,
Z cichem pieniem, wolnym krokiem...
Ze łzami idziem na groby.
Spieszmy cicho i powoli
Poza cerkwią, poza dworem,
Bo ksiądz gusłów nie dozwoli
Pan się zbudzi nocnym chorem.

Łatwo domyśleć się, że wobec podwójnego wpływu, niechętnego Dziadom, wpływu dworu i proboszcza, lud zniewolony był zaniechać zbiorowych obrzędów i porzesał na domowym obchodzie, którego się jednak nie wyrzekł. Zobaczmy poniżej, że i dziś jeszcze Dziady obchodzą na Białej Rusi, jakkolwiek nie tak świetnie, jak za młodych lat Mickiewicza.

Cóż mogło lud nakłonić do pielęgnowania tak starannego uroczystości, poświęconej zmarłym przodkom? Wszakże Kościół, uwzględniając słuszną potrzebę serca, wprowadził doroczny Dzień zaduszny i zachęca wiernych do ofiar mszalnych za dusze najbliższych i najdroższych nieboszczyków. Lud białoruski uporczywie trzyma się starodawnej tradycji i niezależnie od obrządków kościelnych składa zmarłym jadło i napoje, nawet kilka razy do roku.

Poeta nasz staje w obronie tradycji ludowych i wymownie przekonywa księdza:

Przywróć nam Dziady!...

Jeśli żałując śmierci dobrego dziedzica,

Lud zakupioną świecę stawia mu na grobie,
W cieniach wieczności jaśniej błyszczą się ta świeca,
Niż tysiąc lamp w niechętniej palonych żałobie.
Jeśli przyniesie miodu plastr i skromne mleko
I garścią mąki grobowiec posypie:
Lepiej posili duszę, o! lepiej daleko
Niż krewni modnym balem, wydanym na stypie.

Ta wiara ludu białoruskiego sięga korzeniami swymi prastarych pokładów wspólności indo-europejskiej. Mickiewicz wiedział o tem doskonale i widocznie czynił nawet studia w tym kierunku, skoro w przedmowie napisał: «Godna uwagi, iż zwyczaj częstowania umarłych zdaje się być wspólny wszystkim pogańskim ludom w dawnej Grecyi za czasów homerycznych, w Skandynawii, na Wschodzie i dotąd po wyspach nowego świata». — Zastanówmy się dokładniej, o ile miał słuszność.

II.

Cześć oddawana zmarłym przodkom sięga najodleglejszej starożytności. Pierwotna ludzkość staje w zadumie i przestachu wobec pierwszych wypadków naturalnej śmierci. Oto sędziwy patryarcha, dziad, pradziad licznie rozrodzonej rodziny, pewnego poranku nie przebudził się ze snu. Co się z nim stało? Potężne jego ciało leży nieruchome, krzyk i płacz niewiast i dzieci nie poruszy go z odrę-

twienia... W pokoleniu rozpacz i strach przed zagadką śmierci... Głowa rodu, postać groźna, przed którą korzył się szczep cały, już nie powstanie. Ale z tą myślą trudno się oswoić: tyle lat żyło się razem. Miałożby to życie ustać całkiem i na zawsze? Wszakżeż ciało jest jeszcze; niepodobna, aby to, co ożywiało tę sędziwą postać, miało kiedyś zginąć na zawsze. Kto wie, czy nie powróci kiedy na ziemię? A jeśli tak, jeśli powróci zmarły, to należy go dalej czcić i szanować, jak za życia, pamiętać o tem, aby mu nie brakło po śmierci tego, co mu było miłe za życia.

Zupełnie naturalne uczucie obawy, niepewności wobec grozy śmierci jest, zdaje się, zawiązkiem pierwotnych uczuć religijnych. Według Fustel'a de Coulanges, autora znakomitej książki: *La Cité antique*, człowiek czcił zmarłych przodków, zanim korzył się przed Indrą lub Zeusem: bał się zmarłych i modlił się do nich. Tu ma być źródło najpierwotniejszych religijnych uczuć. Nie życie, ale śmierć przeniosła myśl ludzką po raz pierwszy ze sfery widzialnej do sfery niewidzialnej.

Najstarsze księgi indyjskie określają już dokładnie cześć dla zmarłych. Hymny Rig-Vedy wspominają o tej czci. Księga praw Manu mówi o starożytności tego zwyczaju, jakkolwiek cześć zmarłych jest tam już przesłoniętą późniejszym wyobrażeniem o metempsychozie. Po dziś dzień Indowie składają swym dziadom ofiary. Księga

Manu zaleca, aby ofiara gospodarza domu dla zmarłych, składała się z ryżu, mleka, owoców. Według wiary Indów duchy przodków schodzą ku ofiarnikowi w chwili, gdy tenże zastawia im ucztę i duchy te pożywają ofiarę z wielką rozkoszą. Ofiary te należało zdaniem Indów składać regularnie, jeżeli zmarły miał być szczęśliwy. Jeżeli się zaniecha ofiar, dusza zmarłego opuszcza swój grób i staje się duszą błędną, *dręczącą ludzi żyjących* (upiorem). Ofiara zmarłym składaną bywa przez rodzinę pozostającą: w uczcie żałobnej mogli brać udział wyłącznie tylko krewni zmarłego, obcych wykluczano. Uczta żałobna ma na celu zapewnienie zyczliwości zmarłego dla pozostałej rodziny.

Księgi praw Manu nie dają nam wielu szczegółów o tym obchodzie zmarłych dlatego, że w epoce, kiedy księgi te były spisane, wiara w metempsychozę wzięta była górę nad starszemi wierzeniami indyjskiemi. Ale już to samo, że prawodawca musiał przejść do ksiąg swych także stare wierzenia, dowodzi, że zakorzenione były silnie w powszechnej tradycji¹⁾.

Ta powszechna tradycja indyjska jest spuścizną zamierzchłej starożytności. Ludy pierwotne, nie mając wyrobionego pojęcia o stworzeniu pierw-

¹⁾ Fustel de Coulanges: *La Cité antique etc.*, 2 édition, str. 17—18.

szego człowieka, szukały, jak mogły najbliżej, wy-tłómaczenia zagadki bytu. Dla człowieka pierwotnego rodzice byli istotami niemal świętymi, bo im zawdzięczał on życie i wychowanie. Cześć, oddawana rodzicom za życia, nie ustawała z ich śmiercią. Uczucie to tak jest naturalne, że widzimy je jako związek religii u wszystkich niemal ludów na kuli ziemskiej: u Chińczyków, wśród dzikich w Afryce i w Australii ¹⁾. Zwolna utrwalająca się tradycja wiąże w ten sposób pokolenia zmarłe z żyjącymi. Zmarli potrzebowali żyjących, a żyjący zmarłych. Dziadowie łaknęli i pragnęli po śmierci i wyczekiwali ofiar pośmiertnych od żyjących potomków. Pokolenie żyjące, czcząc swe Dziady, swe zmarłe przodki doroczną daniną, jednało sobie życzliwość nieboszczyków. W ten sposób tworzył się w kolei wieków dziwny, nieprzerwany łańcuch mistyczny, wiążący duchowo przeszłe pokolenia z przyszłymi.

Dokładniej od Indów przechowali Grecy tradycyjną cześć dla zmarłych. Epos homeryckie daje nam klasyczny przykład uczczenia duszy zmarłego Patroklesa. Achilles działa tu systematycznie pod wpływem tradycyjnego rytu: wylewa wino w nocy dla uczczenia duszy przyjaciela, którą wywoływa przytem (ψυχὴν κικλήσκων Πατροκλῆος δειλοῖο, II,

¹⁾ Fustel de Coulanges: *L. c.*, str. 37. Ob. także: Tylor: *Primitive Culture*, str. 181—2.

XXIII, 221). Na grobie Patrokła składa Achilles dzbany miodu i oliwy. Cześć oddawana herosom w starożytnej Helladzie jest prawdopodobnie szczątkiem pierwotnej ogólnej i rozpowszechnionej ofiary dla zmarłych protoplastów rodu. Bogom składa się ofiary w dzień, herosom wieczorem lub w nocy. Ofiaruje im się zwierzęta czarnej maści, krew zwierząt splywać powinna na ziemię lub na ognisko dla nasycenia herosów (*αιμαχουρία*). Mięso należy zupełnie spalić, ludzie nie powinni go spożywać. Na tę ofiarę zaprasza się herosów ¹⁾).

Słusznie utrzymuje E. Rohde, że podanie o herosach nie było wynikiem poetyckich fantazyi, ale po prostu zabytkiem starej, przedhomeryckiej wiary, która przechowała się i przetrwała wieki, dzięki miejscowej czci, oddawanej przodkom: «ważniejsi herosowie, czczeni przez większe gminy, uchodzili wszędzie za przodków, za protoplastów wspólnot krajowych, miejskich i rodowych» ²⁾).

¹⁾ Rohde: *Psyche. Seelencult u. Unsterblichkeitsglaube der Griechen*, Freiburg i. B. 1890, str. 140: «Dieses Opferritual ist fast völlig identisch mit der Weise in der man die Seelen verstorbener Menschen verehrte. In der That sind sie (die Heroën) nichts anderes als die Geister verstorbener Menschen». Rohde dochodził do przekonania, że cześć dla herosów w Grecyi była właściwie kultem «dziadów», t. j. przodków (Ahnencult).

²⁾ Ibid. 149.

Kult zmarłych, zdaje się, był powszechnym w Grecyi, jakkolwiek źródłowo nie da się wiek za wiekiem wysledzić, a to z powodu braku za-
bytków piśmiennych. Tylko taką powszechną wiarą w konieczność i potrzebę czczenia zmarłych dadzą się wytłómaczyć znane fakty historyczne: Kara śmierci na wodzów ateńskich za to, że pozostawili ciała zmarłych żołnierzy bez pogrzebu, albo owe zbiorowe Dziady greckie, które tak pięknie opisał Plutarch:

Po bitwie pod Plateami pogrzebano żołnierzy na polu bitwy. Platejczycy zobowiązali się corocznie urządzać ucztę pogrzebową dla zmarłych. W rocznicę bitwy udawali się w wielkiej procesyi na mogiłę, kryjącą zwłoki dzielnych wojowników, i składali im mleko, wino, oliwę, tudzież zabijano ofiarę. Złożywszy pokarmy na mogile, wzywali osobną formułą zmarłych, aby przyszli i pożywali ucztę.— Uroczystość ta odbywała się jeszcze za czasów Plutarcha, który widział obchód owych Dziadów w 600-tną rocznicę bitwy pod Plateami.

U tragiczków greckich znajdujemy liczne dowody czci i ofiar dla zmarłych.

U Ajschyla Klitemnestra dowiedziawszy się we śnie, że cień Agamemnona zagniewany jest na nią, posyła mu celem przebłagania na grób pokarmy i napoje. Elektra błaga duszę zmarłego ojca o wy-

słuchanie jej modłów i prosi o przyjęcie libacyi na grobie. [Choëph. 124—135] ¹⁾).

Cześć oddawana zmarłym była w Helladzie prywatna i publiczna. Prywatna (właściwie «dziady», πατριάζειν) szła na wyłączny użytek zmarłych przodków rodziny, to też ofiara taka składaną bywała wyłącznie przez rodzinę pozostałą, a w żałobnej uczcie dorocznej mogli brać udział wyłącznie tylko krewni zmarłego według prawa Solona [Demosth. 43, 62]. Dusze zmarłych zależne są od czci, jaką im składa pozostała rodzina ²⁾. Niedowiarek Lucian [de luctu, 9] żartuje sobie z tej czci, niezbędnej dla zmarłych, i zapytuje, co robi zmarły, który nie pozostawił po sobie syna? Nie odbierając po śmierci na grobie pokarmów, wiecznie łaknie. Ale wierzący Grek przewidywał i taką sytuację bezdzietnego zmarłego. Jeśli nie miał syna, to zawczasu przysposabiał jakiegoś młodzieńca na syna, a d o p t o w a ł kogoś umyślnie w tym celu, aby zabezpieczyć sobie regularną ofiarę po śmierci. To jest jeden z ważnych powodów wprowadzenia adoptacyi u Greków, jak tego dowiódł Rohde.

Nawet Epikur ulega powszechnemu prądowi i w testamencie zastrzega sobie cześć i ofiary dla

¹⁾ Eurypides: *Orest.* 115—125; *Hec.* 536. Liczne miejsca zestawia Fustel de Coulanges, l. c. 16—17.

²⁾ *Ihr Loos bestimmt sich nach der Art dieses Cultes.* Rohde, l. c. — Podobnie Fustel de Coulanges.

swej duszy. Dziwi się tej nielogiczności filozofa Cycero [De finibus 2, 102].

Te prywatne ofiary ceniom zmarłych przodków już samą powszechnością swoją prowadziły do tego, że mniejsze i większe gminy w poczuciu wspólności rodowej zaczęły składać wspólne doroczne, publiczne ofiary zmarłym. W Atenach nazywały się one Γενέσια i były obchodzone 5-go Boëdromion przez wszystkich obywateli, jako wspólne święto zmarłych. Oprócz tego przechodziła się ważna wiadomość o obchodzie, zwanym Χύτροι lub Χύτραι (także Χύτρα). Tak się zwał trzeci dzień świąt kwietnych Ἀνθεστήρια, przypadających na drugą połowę lutego i pierwszą połowę marca. W dniu tym, poświęconym Hermesowi, towarzyszowi dusz zmarłych, stawiano dla zmarłych w garnkach (stąd nazwa χύτρα) gotowane jarzyny i nasiona. Po domach ugaszczano dusze zmarłych, w końcu zaś — i na to zwracam szczególną uwagę — wypraszano za drzwiami duszyczki, zupełnie tak samo, jak się to po dziś dzień po ukończeniu Dziadów odbywa na Białej Rusi. Formuła jest energiczna i posłyszemy ją niebawem w łacińskim języku. W Grecji brzmiała: θύραζε Κήρες οὐκ ἔτ' Ἀνθεστήρια, za drzwiami Kery, już po Antesteriach! ¹⁾

¹⁾ Κήρες, prastare określenie duszyczek zmarłych; wyrazu tego już Homer nie używa w pierwotnym znaczeniu. Ob. Rohde,

Już z tego krótkiego przeglądu zwyczajów greckich, związanych z czią dla zmarłych, widać dostatecznie, jak wielkie znaczenie pod względem społecznym i cywilizacyjnym miały obchody żałobne i ofiary zmarłym przodkom składane. Szcześnie duszy za grobem zależało ostatecznie od rodziny pozostałej. Dla tej rodziny zaś dusze zmarłych rodziców są poniekąd istotami świętymi, którym cześć niemal boską się składa. «Bezwątpienia natrafiamy tu — mówi słusznie Rohde — na samo źródło wszelkiej wiary w dusze i jesteśmy skłonni uznać jako przeczucie trafne to mniemanie (Fustel'a de Coulanges), które w owym najstarszym familijnym kulcie dusz widzi zapowiedź wszelkiego kultu dalszych wspólnot obrzędowych (*Cultgensenschaften*)»¹⁾.

Nawet trzeźwy i praktyczny Rzymianin wierzył w duchy i upiory i pilnie przestrzegał czi

l. c. 218—219. Coroczne zaduszki greckie zestawia Rohde w trzecim przypisku do str. 216.

¹⁾ Rohde, l. c. 231. — Ihering, nie mogąc zaprzeczyć doniosłości ofiar składanych zmarłym, stara się obniżyć ich wartość cywilizacyjną i dowodzi, że nie miłość dla zmarłych, ale obawa przed upiorami skłaniała do ofiar pierwotnych w zaraniu ludzkości. Jednakowoż sam przyznaje, że w dalszym toku dziejów z uszlachetnieniem obyczajów uczucie strachu ustąpiło pietyzmowi dla zmarłych rodziców. Ob.: *Vorgeschichte der Indoeuropäer* von R. v. Ihering, Leipzig 1894, str. 59—60. — Ostatecznie dwa te uczucia: strachu i pietyzmu mogły się razem mieścić w duszy naszych przodków aryjskich.

dla zmarłych. Wiara w duchy da się wcześniej stwierdzić w poezji rzymskiej, n. p. u Plauta (M^ostellaria). Dusza tam błąka się po śmierci, ponieważ przy pogrzebaniu zwłok nie zachowano wszystkich obrzędów. Wergiliusz na wielu miejscach Eneidy mówi o składaniu pokarmów i napojów dla zmarłych:

ergo instauramus Polydoro funus et ingens
 aggeritur tumulo telus; stant manibus arae...
 inferimus tepido spumantia cymba lacte
 sanguinis et sacri pateras animamque sepulchro
 condimus et magna supremum voce ciemus.

(Aen. III. 62 sqq.).

Z tego ustępu doskonale widać, że zdaniem Rzymian nie samo tylko martwe ciało składano do grobu; *animam condimus*, duszę zamykano w grobowcu i żegnano ją głośno.

Do powyższego ustępu z III. księgi Eneidy dodaje komentator Servius ciekawą uwagę: »*placantur sacrificiis, ne noceant*«. A więc pobudką do ofiar, składanych na grobie, byłby wzgląd zupełnie egoistyczny w pojęciu rzymskim: zabezpieczenie się od szkód, które mógłby wyrządzić niezaspokojony duch zmarłego¹⁾.

Dokładniejsze szczegóły rytuału ofiar gro-

¹⁾ Toż samo zapatrywanie panuje po dziś dzień na Białej Rusi, jak niebawem zobaczymy.

bowych podaje Eneida w V. księdze w w. 75 i nn.):

ille e concilio multis cum milibus ibat
 ad tumultum magna medius comitante caterva,
 hic duo rite mero libans carchesia Baccho
 fundit humi, duo lacte novo, duo sanguine sacro,
 purpureosque iacit flores ac talia fatur:
 Salve, sancte parens; iterum salvete, recepti
 nequiquam cineres animaeque umbraeque paternae.

 caedit binas de more bidentis
 totque sues totidem nigrantis terga iuencos;
 vinaque fundebat pateris animamque vocabat
 Anchisae magni manisque Acheronte remissos.

Owidiusz w Fastach mówi o duszach zmarłych i o tem, że żywią się pokarmami, złożonymi dla nich:

Nunc animae tenues et corpora functa sepulcris
 Errant; nunc posito pascitur umbra cibo.
 (Fast. II., 565—6).

Ogólna nazwa dusz nieboszczyków była *lemures*; z tych dobre duchy czczono u Rzymian jako bóstwa domowe (*lares*), złe zaś jako upiory, duchy nocne (*larvae*), które błąkały się po nocy i szkodziły żyjącym¹⁾. Aby je uspokoić i oddalić

¹⁾ Horacy śmieje się z tych zabobonów i czarów tessalskich: «Nocturnos lemures portentaque Thessala rides? — *Epist.* II, 2, 209.

od domu, obchodzono w maju święto, zwane *lemuria*. Ovidius przechował nam ciekawy i bardzo malowniczy obrazek tajemniczego obrzędu, w którym łatwo dostrzedz resztek starych prarzymskich «Dziadów». Owidyusz nawet nazwę *lemuria* wywodzi od Remusa (Remuria) mitycznego i zaznacza sam starożytność obrzędu (Fast. V. 421 sqq.):

Ritus erit veteris, nocturna Lemuria, sacri:
 inferias tacitis Manibus illa dabunt..
 iam tamen extincto cinerū sua dona ferebant
 Compositique nepos busta piabat avi..
 nox ubi iam media est somnoque silentia praebet
 et canis et variae conticuistis aves,
 ille memor veteris ritus timidusque deorum
 surgit; habent gemini vincula nulla pedes:
 signaque dat digitis medio cum pollice iunctis,
 occurat tacito ne levis umbra sibi;
 terque manus puras fontana perluit unda
 vertitur et nigras accipit ante fabas
 aversusque iacit, sed dum iacit: Haec ego mitto
 his, inquit, redimo meque meosque fabis!
 hoc novies dicit, nec respicit: umbra putatur
 colligere et nullo terga vidente sequi
 rursum aquam tangit..
 et rogat, ut tectis exeat umbra suis
 cum dixit novies: **Manes exite paterni!**
 respicit et pure sacra peracta putat.

W opisie tym zwrócić przede wszystkim należy uwagę na szczegóły następujące: 1) Ovidius uważa

dwukrotnie obrządek jako stary; 2) ofiara ma charakter błagalny okupu, oczyszczenia (*piabat; redimo me meosque*); 3) północ, jako czas obrzędu; 4) milczenie, cisza nie przerywana szczeniem psa (toż samo zauważymy niebawem na Dziadach litewskich); 5) ofiarujący odprawia obrzęd boso; 6) czarny kolor pożywienia dla dusz (*nigras fabas iacit*); 7) wezwanie cieniów oczyszczonych do opuszczenia domostwa, analogiczne z grekiem: $\theta\acute{o}\rho\alpha\zeta\epsilon\ \text{K}\eta\rho\epsilon\varsigma!$ To odpędzanie duchów uwydatnił Mickiewicz w *Dziadach* w sakramentalnych, powtarzających się zwrotkach: «Zostawcież nas w spokoju, a kysz, a kysz!» — zupełnie według obrządku ludowego. Dziś jeszcze na Białej Rusi ten, co czyta modlitwy, a więc kierownik obrzędu, woła:

Swiatyje dziładŷ, zowiem was!
 Swiatyje dziładŷ, idzicie do nas!
 Jeść tut uśò, szto Boh daŷ,
 Szto ja li was ochwiarowaŷ,
 Czym tolko chata bohata.
 Swiatyje dziłady prosim was,
 Chodzicie, lãcicie do nas!

Po skończeniu wieczerzy tenże woła:

Swiatyje dziłady! wy siudy prilãcieli,
 Pili i jeli,
 Lãcicież ciãpier do siãbe,

Skażicie, czaho jeszcze wam trzeba?

A lepiej lącicie do nieba!

a kysz, a kysz!¹⁾

Obok obchodu *lemuria* czcili Rzymianie zmarłych coroczną ucztą; w takiej uczcie mogli brać udział wyłącznie tylko krewni zmarłego (a więc znowu jak w Grecyi); obcych nie dopuszczano. Mówi o tem Cicero (de leg. II., 26) i Varro (de l. l. VI, 13): *ferunt epulas ad sepulcrum, quibus ius ibi parentare*. Nazwą specjalną tych uczt jest: *parentalia* lub *parentatio*, odbywać «Dziady», *parentare* (odpowiednio do greckiego: *πατριάζειν*). Szczegóły bliższe tej uroczystości, dotyczące np. pokarmów itp., nie przechowały się u pisarzy rzymskich.

III.

Chrześcijaństwo bardzo wczesnie zajęło nieprzychylnie stanowisko wobec dorocznych uczt dla zmarłych. Tertulian wywodząc obrządek ten z odległej starożytności, kiedy to krew ludzka miała być dla dusz zmarłych niezbędnym pokarmem, z wyraźną pogardą wyraża się o ofiarach

¹⁾ Ob.: *Materiały dla isuczenia byta i jazyka ruskago nasienienia siewiero-zapadnago kraja, sobrannyje* P. W. Szejnom, t. I, Czaść' II, 1890», str. 596.

dla zmarłych: *«Idololatria parentationis est species»* ¹⁾ Św. Augustyn, znacznie później, samym sposobem wyrażenia się stwierdza, że wśród Rzymian stary obyczaj widocznie zniknął i schodził zapewne w najniższe warstwy społeczeństwa wobec racjonalizmu sfer inteligentnych. Z następujących słów św. Augustyna wnosić można, że za jego czasów zwyczaj starożytny tak dalece zaniedbanym był wogóle, że mógł nawet uchodzić za jakiś nowy zabobon ²⁾. *«Miror, cur apud quosdam infideles hodie tam perniciosus error increverit, ut super tumulos defunctorum cibos et vina conferant»*. Zdaje się, że wogóle Kościół zachodni energiczniej wykorzenił szczytki «dzia-
dów», niż Kościół grecki. Focjusz, patriarcha carogrodzki (wiek IX. po nar. Chr.), w słowniku swoim pod wyrazem *καθήδρα* mówi o zwyczaju greckim zgromadzania się w dzień trzydziesty po śmierci członka rodziny na jego grobie, celem wspólnej uczt i wypełnienia tradycyj-

¹⁾ *Tertulliani opera omnia, ed. Migne Parisiis 1879. I. De spectaculis, c. XII.* Prof. Adam Młodoński zwrócił łaskawie uwagę moją na inny ustęp Tertulliana: *De testim. animae* 4: *«Vocas porro securos (defunctos), si quando extra portam cum obsoniis et matteis tibi potius parentans ad busta recedis, aut a bustis dilutior redis. — Nam in convivio eorum quasi praesentibus et conrecumbentibus sortem suam exprobrare non possis»*.

²⁾ *S. August. serm. 15 de Sanctis.*

nych obrzędów¹⁾. Zebrań takich na grobach miało być cztery (prawdopodobnie w ciągu roku). Możemy w tem widzieć złagodzenie pierwotnego zwyczaju zostawiania jadła i napitku na grobie. W tej formie rozszerzył się zwyczaj z Grecji przez Bułgaryę i Ruś południową na północ. *Pomięszanie* właściwych Dziadów ze zwyczajami późniejszymi widnieje doskonale n. p. w opowiadaniu Melecjusza: «zmarłego męża oplakuje żona przez dni 30 ciągle, krewni w dniu 3, 6, 9 i 40 sprawiają uczty, nie używając w nich nożów i siedząc w milczeniu. Po uczcie zamiata ofiarnik izbę, wołając na duszyczki: jadłyście, piłyście, teraz idźcie precz. Wtenczas dopiero zaczyna się rozmowa i pijatka»²⁾.

Jest rzeczą charakterystyczną, że dzielnice polskie, jak Wielka i Małopolska, Mazowsze i t. d., przechowały bardzo słabe ślady pierwotnych Dziadów; widocznie wpływ duchowieństwa katolickiego był tam pod tym względem bardziej stanowczy, niż n. p. na Litwie i Rusi. Znany jest opis Dziadów w Prusiech starożytnych i na

¹⁾ τῆς τριακοστῆς ἡμέρας τοῦ ἀποθανόντος οἱ προσήκοντες συνελθόντες κοινῇ ἐδέχοντο ἐπὶ τῷ ἀποθανόντι — καὶ τοῦτο καθέδρα ἐκαλεῖτο, ὅτι καθεζόμενοι ἐδείπουν καὶ τὰ νομιζόμενα ἐπλήρου. ἦσαν δὲ καθέδραι τέσσαρες. Ob. Rohde l. c. 114.

²⁾ *Lud Polski...* przez Ł. Gołębiowskiego... w Warszawie 1830, str. 253.



Żmudzi w *Kronice* Strykowskiego ¹⁾. Toż samo przekazał nam o dawnych Dziadach w prowincjach nadbałtyckich Chr. Hartknoch ²⁾. Wszystkie te opisy pozostawiają pod względem dokładności w szczegółach wiele do życzenia. Dla ludzności porównawczego zaginęły bezpowrotnie zasadnicze przesłanki do wysnucia naukowych wniosków.

Weźmy n. p. zwyczaj pogrzebowe, zanotowane jeszcze przez Czerwińskiego przed 94 laty: «W zadniestrzańskiej okolicy... gdy zmarłego męża w trumnie wynoszą, żona chwyta nowy garczek, rzuca o ziemię, tłucze i tak daleko, jak się obejście rozciąga, o wsem sieje» ³⁾. Do faktu tego dołącza Czerwiński objaśnienie, najwidoczniej *ad hoc* dorobione i zabarwione sentymentalnie: «To garnka tłuczenie oznacza, że nędzne człowieka życie, jak glina (*dlaczego glina ma być nędzna?*), łącno podlega zniszczeniu i tym jeszcze u gminu tłomaczone sposobem, że przedtem mąż staraniem żony miał pokarm z tych garnków, o wies był jego chlebem(!); tracąc go, nie potrzebuje tego wszystkiego w domu, psuje i wyrzuca, chcąc *jakoby z głodu* przez żal za nim gi-

¹⁾ Ob. Tretiaka: *Mickiewics w W. i K.* t. II.

²⁾ *Alt- u. Neues Preussen*, 1684.

³⁾ *Lud Polski*, l. c. 254. — Czerwiński: *Okolica Zadniestrzka między Stryjem i Łomnicą*, we Lwowie u Schnejdera, 1811.

nać». Tu najwidoczniej tradycyjny zwyczaj przetrwał wieki, ale tylko co do formy; znaczenie zwyczaju, duchowa treść jego ulotniła się. Przypomnijmy sobie, że nazwa święta pogrobowego w Atenach $\chi\acute{\upsilon}\tau\rho\alpha\iota$ wywodziła się od garnków, że w tychże Atenach utrzymywało się na parę wieków przed Chr. przekonanie, jakoby zmarli przyczyniali się do rozwoju gospodarstwa i że na świeży grób rzucono tam przeróżne nasiona¹⁾, — a zwyczaj z okolic zadniestrzańskich ukaże się nam, jako spuścizna zamierchłej przeszłości.

Na początku zeszłego stulecia obchodził lud nad Dniestrem cztery dni zaduszne: około Bożego Narodzenia, wielkiego postu, narodzenia Matki Boskiej i około św. Piotra. Czerwiński podał nadto ważny szczegół następujący: «Jest zwyczaj, że gdy kto raz sprawi obiad zaduszny, kapłan imię jego wraz ze wszystkimi zmarłymi krewnymi wpisuje w osobny pamiętnik; w dni zaduszne cały ten rejestr, chociażby najdawniejszy był i najliczniejszy, w czasie mszy św. kapłan wyczytać musi». Rusini na Podlasiu także czterokroć do roku sprawiali uczty żałobne: w wilią Zielonych świątek, w zapusty przed wielkim postem, w wielkanocną sobotę i na Wszystkich Świętych. «Miskę z pirogiem pszennym lub

¹⁾ Rohde *l. c.* 226, (1).

żytnim i rozmaityą strawą, jako to: kaszą jaglaną lub jęczmienną, kurzącą się jeszcze, wszedłszy do kościoła w dzień Wszystkich Świętych, stawiają na ołtarzu. Gdy kapłan te ofiary błogosławi i odprawia nabożeństwo, zwane Parastas, mieszka każda gospodyni swe potrawy, a para z nich przylemnaną ma być z martwych cieniem. W upominalną (= wielkanocną) sobotę i wilię Zielonych świąt wcześniej stół zastawiają i zapraszają dusze z martwych, mówiąc: *przydy duszyczko do toho obida ubohoho*. — Istnieje ten zwyczaj w łosickim, bialskim i włodawskim powiecie¹⁾.

Za czasów uniwersyteckich Mickiewicza pojawił się ciekawy artykuł Maryi Czarnowskiej w *Dzienniku Wileńskim* (r. 1817, październik, nr. 34 od str. 396—408) pod tytułem: «Zabytki mitologii sławiańskiej w zwyczajach wiejskiego ludu na Białej Rusi dochowywane». Mamy tam obok opisu «Kupały», Rusałek itp. także opis t. zw. *Radawnicy*. Są to właśnie Dziady wiosenne²⁾. Autorka opi-

¹⁾ *Lud Polski*, 256—7.

²⁾ «Dziady wiosenne albo Radawnica». Por. *Opisanie powiatu Borysowskiego*, Wilno 1847 (str. 379—380). — Na Wołyniu zwie się ta uroczystość «Nawski tyżdeń» czyli «tydzień umarłych». Ob. opis obchodu w studyum, p. t.: *Przyczynek do etnografii ludu ruskiego na Wołyniu* przez p. Zofię Rokossowską (w opracowaniu ś. p. prof. Kopernickiego). Kraków 1887, str. 45. — Osobne odbicie z t. XI *Zbioru wiad. kom. antrop. Akad. Umiej.*

suje szczegółowo zwyczaj ten tak, jak go obchodzili wieśniacy i wieśniaczki w powiecie czerykowskim gubernii mohylewskiej, we wsi Hubieńszczyzna (nad rzeką Wołczas, wpadającą do rzeki Soż). Mamy tu odmiankę Dziadów: zamiast w nocy odbywają się one między drugą a trzecią godziną popołudniu we wtorek po przewodniej niedzieli. Wieśniacy i wieśniaczki «zbierają się na mogiły, nie mające zazwyczaj oparkania. Tam zasiadają około grobowca swych rodziców, dzieci, mężów, żon i innych krewnych».

Na każdym miejscu, gdzie leży pogrzebiony, płacząc, tarzają jajka i oddają je żebrakom, którzy się na ten dzień zgromadzają i nabożnie śpiewają pieśni. Następnie rozścielają na grobowcu obrus, stawiają na nim przyniesione potrawy, polewają grobowiec wódką i miodową sytą, a potem zasiadłszy na tej mogile osób dla siebie najmilszych, jedzą, zaprosiwszy pierwszej umarłych na swoją ucztę temi słowy: *światyje radzicieli, chadzicie k nam chleba i soli kuszat, staryje i małyje*. Potrawy nie powinny być w liczbie parzystej, t. j. ma ich być pięć, siedm lub też dziewięć, a wszystkie niepoliwczaste. Trzeba, żeby były konieczne: miód, twaróg, bliny, t. j. naleśniki grube z mąki gryczanej, jajka, kiełbasy lub też szwina wędzona... Resztę, jaka się zostaje od zjedzenia, oddają żebrakom. Po jedzeniu jeszcze do umarłych czy-

nią taką odezwę: «maji radzicieli, wybaczajcie, niedziwicie, czym chata bahata, tym i rada».

W dalszym toku zaznacza także autorka, że podobnych obchodów w roku jest cztery. Radawnica ma być z nich najświetniejsza; na M. Czarnowskiej uczyniła wrażenie, jak mówi, «szanowne»: «Widząc tych biednych wieśniaków, podzielonych na gromady, tu i owdzie rozsypane i oplakujące stratę najmilszych sobie osób, wzrusza się dusza i łzy się dobywają. Nie można na ten dramatyczny obraz patrzeć obojętnie».

Nie chcąc zbyt przeciążyć uwagi czytelnika opisami *Dziadów* na Białej Rusi, pominię tu szczegóły, podane przez Narbutta, które gdzieindziej przytoczyłem ¹⁾.

Natomiast uważam za stosowne umieścić jeszcze ustęp z rzadkiej książki litewskiej, zawierający opis stypy litewskiej, nadzwyczaj zbliżony do tego, jaki podał Narbutt, ale z ważnemi i ciekawemi odmiankami. Oto przekład polski litewskiego tekstu: (Powróciwszy z pogrzebu) «wypadało nietylko uczestników pogrzebu, lecz także i umarłych ugasażać i zachęcać do jedzenia i picia, co się odbywało z wielką ciszą takim zwyczajem: W czystej izbie nakrywano stoły, stawiano

¹⁾ *Adam Mickiewicz*, Kraków 1897, str. 138—140. Narbutt przejął nawet nazwę białoruską «chautury» (= stypa) fałszywie. jako nazwę litewską «dziadów». O nazwie «chautury» dokładniej napiszę na innym miejscu.

na nich lampki i czary, napełnione miodem i piwem. Tymczasem uczestnicy pogrzebu zgromadzali się tam w wielkim skupieniu; kiedy się już zesłi, gospodyni kładła potrawy na stół. Gdy tak wszyscy pogrążeni w smutku stoją, wtedy gospodarz albo jeden z rozsądniejszych wymawiał po cichu te słowa: «Duszycki umarłych, chwalebnych włóścian tego domu, sławnych mężów broni i gospodarstwa, szanownych gospodarzy w domu i na polu; wy, za których dzisiaj ten dom wspominki robi za dusze nieboszczyka, za duszycki jego rodziców pochowanych, krewnych i tych wszystkich, którzy pochodzą z tego domu — chodźcie na ten posiłek, na taki poczęstunek, na jaki nam wystarczyło; cieszcie się z tego pokarmu, jako i my radujemy się, wspominając was; pożywajcie, miłe podziemne obywatelki». Po krótkim milczeniu dalej mawiał: «Siądźcie, jedźcie, ile wam bogowie pozwalają». Tymczasem inni uczestnicy pogrzebu, jak mówiłem, pogrążeni w smutku, milczeli, jak nieżywi, mając oczy utkwione w stół; niektórzy z modlących się widzą jakoby w parze (bijącej) od potraw uczujące cienie umarłych i słyszą ich szelest. Jeżeli w tym czasie przypadkiem na podwórzu pies zaszczekał, to zaraz mówili, że którakolwiek duszycka narzeka, nie chce do domu wstąpić i potem nie da pokoju przez cały rok temu domowi. Dlatego zamykano psa, ażeby on drażniony przez «złego»

nie odstraszył jakiegokolwiek duszyczki, idącej stypę spożywać. Gospodarz, zaczekawszy chwilkę i obejrzawszy się na wszystkie strony, znowu odzywał się temi słowy: «Przebaczcie duchy umarłych»; znowu pomilczawszy mówił: «Z Bogiem, wędrujcie sobie zdrowe, błogosławcie nam żyjącym i temu domowi udzielcie pokoju. Wracajcie tam, gdzie was czekają, tylko wracając, nie róbcie szkody naszym łąkom, zbożom i ogrodom». Wszyscy nisko skłaniali się na wszystkie strony i mówili: «Niema ani ducha». Następnie gospodyni zebrawszy potrawy i zlawszy napoje z lampek i czar do dzbanków, wszystko to wystawiała za okno, jakoby dla zmarłych; kto zaś to wszystko tam zjadał i wypijał, o to nie dbano; zwykle też zabierali to żebracy i biedni. Tymczasem w izbie obracali na drugą stronę obrusy na stołach, zastawiali powtórne potrawy i wtedy uczestnicy pogrzebu, zebrani za stołem, znowu modlili się i pierwsze czary napełnione miodem i piwem znowu wystawiali za okna pragnącym duszyczkom; w końcu sami usiadłszy, zaczęli jeść i pić, mówiąc: wieczny odpoczynek umarłym. Po jedzeniu znowu modlili się za umarłych, później zmiótłszy w izbie i sieniach kości i okruszyny z potraw, jeżeli jakie spadły, składali to z pozostałymi potrawami do plecionki i nieśli na groby; jadł te resztki kto chciał. Idąc do domu z mogił, tak samo mówili zmarłym: »z Bogiem«;

kości i resztki jedzenia zakopywali tamże do ziemi, albo składali do kostnicy i powracali do domu stypę albo ucztę umarłych dokończyć»¹⁾).

Jeśli się w końcu zapytamy, gdzie i jak dzisiaj, w teraźniejszych czasach obchodzą u nas Dziady, to przedewszystkiem możemy z zadowoleniem folklorystycznym stwierdzić, że na Białej Rusi, w miejscowościach niedalekich od stron rodzinnych Mickiewicza, przechowało się pojęcie o znaczeniu i istocie Dziadów względnie czyste i dokładne. Z dotychczasowego przedstawienia faktów wynikało jasno, że Dziady są prastarym obrzędkiem czci dla zmarłych, oddawanej przez głowę rodziny żyjącej głowom zmarłym tejże rodziny, zatem obrzędkiem *κατ'έξοχήν* rodzinnym. Celem zaś było: pozyskanie sobie życzliwości zmarłych przez spełnienie niezbędnej dla owych zmarłych ofiary. Cóż nam dzisiejsze badania, w tym kierunku na Białej Rusi poczynione, mówią? Oto: «chłop zaprzestaje odprawiania dziadów wówczas, kiedy się wprowadzi do nowo, na innym miejscu wzniesionej chaty... lecz tylko

¹⁾ Tytuł książki: *Budą Senowęs Lėtuwju Kalnienu ir Zėmajtiu isvrasę pagal senowęs Rasztu*, Jokyb's Laukys. Petropillė 1845 (na str. 150—151). — Zwrócenie uwagi na tę książkę, jak niemniej przekład z litewskiego, powyżej umieszczony, zawdzięczam uprzejmości szanownych moich fryburskich słuchaczy, księży Litwinów: D. i M.

do tej pory, dopóki mu ktoś z domowników w tej chacie nie umrze»¹⁾). Jest to pierwotne zupełnie pojęcie rodzinnej ofiary, kultu domowego, które w dalszym toku rozszerza się od krewnych na domowników wogóle. Zdaniem ludu uroczystość Dziadów obchodzoną jest na to, «żeby dusze z tamtego świata żyjącym sprzyjały, bo skoro im lżej, to i one proszą Boga, aby w gospodarstwie się szczęściło»²⁾). Na Rusi litewskiej obchodzi lud Dziady jeszcze trzy razy do roku: 1) Wielikije Dziady na tydzień przed niedzielą zapustną; 2) Kańczanskije Dziady na tydzień przed Zielonemi Świętami i 3) Asiennije Dziady na tydzień lub dwa przed WW. Świętymi. Ludność katolicka prawie że już nigdzie w tych stronach Dziadów nie obserwuje³⁾). Tyle dałoby się powiedzieć o Dziadach u nas za dni dzisiejszych.

Ale czy już nigdzie zresztą w Europie nie obchodzą Dziadów? Czy prastary ten obyczaj zaginął w krajach «cywilizowanych»? Zdawałoby się, że tak, że pod koniec wieku XIX. starodawna cześć dla zmarłych zagaśła, a uczyty dla nich znikły bezpowrotnie... A jednak nie! Obchodzą po dziś

¹⁾ Ob. pełną zastęgi pracę Michała Federowskiego; *Lud Białoruski na Rusi litewskiej*, tom I., Kraków, Akademia Um. 1897 r., str. 267. nr. 1356.

²⁾ Tamże nr. 1355. Ciekawe szczegóły zawierają nry 1357, 1358, 1521—1523.

³⁾ Tamże 1523.

dzień Dziady na samym krańcu Francji, w tym klasycznym kraju starych wierzeń i starych zwyczajów — w Bretanii! Niedawno temu zasłużony badacz i poeta bretoński, Anatol Le Braz, ogłosił opis «*Nocy zmarłych w Bretanii*», w którym ku niemałemu zdumieniu znalazłem tak silną analogię z naszymi Dziadami, że nie waham się uznać w bretońskiej nocy zmarłych prastary szczątek odwiecznej uczty dla nieboszczyków. Dziady białoruskie i Dziady bretońskie mają tyle zasadniczych cech wspólnych, że nawet pobieżny na nie rzut oka przekona każdego o zasadniczym tle wspólnem uroczystości, obchodzonej w tym samym czasie przez dwa ludy, które nie wiedzą nawet wzajemnie o swej egzystencji, nie dopiero o tem, że je łączy tajemny węzeł mistycznych Dziadów ¹⁾.

W górzystych okolicach Bretanii obchodzą jeszcze w wilię WW. Świętych tak zwaną *noc zmarłych*. Mieszkańcy wybrzeży nadmorskich już nie obchodzą starych zwyczajów. Wspomniany autor bretoński opisał dokładnie taką noc umarłych w miejscowości Spézet, położonej w górzystej stronie, zwanej *Ménez* (góry) niedaleko Quimper. Wierzą tam jeszcze silnie w duchy, upiory i strachy. W wilię święta umarłych duchy spieszą do

¹⁾ A. Le Braz: *Une nuit des Morts en Basse-Bretagne. Revue des deux mondes* 1-er novembre 1896, pp. 147—167.

dawnych swych siedlisk za życia. Według powszechnego przekonania nie należy zmarłych zbyt długo opłakiwać, ale też nie należy o nich zapominać. Zapomnieni mogą się mścić...

Wierzą tam, że szaleńcy znoszą się z duchami nieboszczyków. W Spézet żyje niejaki Michał Inizan, przewany *ptaszkiem śmierci*. Zapowiada on w wilię WW. Świętych, ilu ludzi we wsi za miesiąc umrze. Przez cały rok nie widać Inizana, ale na noc zmarłych zjawia się zawsze... niewiadomo na pewno, czy to żywy człowiek, czy upiór. O starej bretonce Nann Coadélez, żyjącej jeszcze, mówi, że za życia była już w czyśćcu.

A. Le Braz wybrał się umyślnie do Spézet na noc umarłych, zaproszony przez imiennika, rzekomo krewnego dalekiego, który jest w Spézet właścicielem oberży. Le Braz trafia do wsi na nieszpory *czarne*, odprawiane w kościele. Po śpiewie i wspólnej modlitwie rozchodzą się bretończyki i bretonki na groby: każda rodzina odwiedza mogiłę swych przodków. Niektórzy udają się do wspólnej kostnicy, gdzie nagromadzone są czaszki i reszty szkieletów na wpół zbutwiałych. Stara Bretonka odmawia głośno drżącym głosem pieśń w kostnicy, której każdą strofę przerywa chór obecnych, błagający Boga o przebaczenie dla zmarłych. Przed 40 laty odprawiano jeszcze wspólną procesję po cmentarzu. Przy każdym grobie odmawiano litanie na pamiątkę

umarłych, których długi rejestr znany był i tkwił w pamięci naczelników rodzin¹⁾. Dziś zaniedbują tej procesyi. Po niesporach rozchodzą się do domów.

Późnym wieczorem w oberży, w której gości Le Braz, zostają tylko członkowie rodziny, zasiadają do stołu, jedzą i piją w milczeniu. Od czasu do czasu czerpią ze dzbana, napelnionego jabłecznikiem; wtedy ten, co czerpie, mówi głośno:

— «Zdrowie żyjącym!»

Na co inni odpowiadają chórem:

— «Boże, przebacz duszom zmarłym!»

«Ta uczta rodzinna — pisze Le Braz — miała nastrój prawdziwie uroczysty i poniekąd liturgiczny». Stary pasterz bretoński z długą, siwiejącą brodą, jak patryarcha, wstał i rzekł: «Pokój ludziom na ziemi! Pokój zmarłym w grobie!»

Po uczcie zapalają fajki, butelka krąży z rąk do rąk. Rozpoczyna się rozmowa o zmarłych w ciągu roku. Obsiadają komin, gdzie rozłożono duży ogień i gwarzą do późna. Le Braz ma wrażenie czegoś archaicznego na widok tych starych Bretonów przed ogniskiem rodzinnem: «Takie były zapewne czuwania w noc zmarłych w da-

¹⁾ Por. wyżej opis Czerwińskiego.

wnej, aryjskiej epoce, pod strzechą pierwszych pasterzy».

O jedynastej w nocy rozlega się na dworze łoskot drewnianych chodaków i dźwięk dzwonka. Czuwający przed ogniskiem ze drzeniem żegnają się znakiem krzyża. To przeszedł «zwiastun zmarłych». W wilię 1 listopada jeden z wieśniaków obiega sioko z dzwonkiem, przypominając, że się zbliża północ, godzina zmarłych.

«Dość już korzystaliśmy z ogniska — mówi jeden z wieśniaków — ustąpmy miejsca przodkom! Śmierć jest zimna. *Zmarłym zimno!*»¹⁾ Staruszka Nann dodaje: «Oby im było miłym ciepło ogniska!» Na co każdy z obecnych mówi: *Amen!* — zupełnie jak na zakończenie modlitwy. Wreszcie krewni rozchodzą się. Gospodyni i staruszka Nann nakrywają stół dla zmarłych. Z potraw widać: kawałki słoniny, placki hreczane²⁾ i ogromny dzban mleka. Gospodarz objaśnia Le Braz'owi: «Zmarli lubią mleko. Mleko oczyszcza». Kiedy Le Braz trochę

¹⁾ Pustelnik (IV cz. *Dziadów*): (zaczyna drzeć)

Jak mnie zimno!

Jak tu zimno! (idzie do pieca).

²⁾ Na Rusi litewskiej toż samo. Placki z mąki hreczanej zwą się *ahładki* lub *haładki* (Le Braz: galettes de sarrasin). Ob. *Lud Białoruski* nr. 1523. — Szan. Autor, p. M. Federowski, pisze mi w tym względzie: W Stonimskim na chauturach międy innymi potrawami muszą być placki gryczane, które

niedowierzająco zapytuje, czy zmarli przyjdą na tę ucztę, przerywa mu żywo gospodyni domu: «Czyż możesz (!) Pan wątpić o tem? Z pewnością umarli przyjdą. W tej chwili już są blisko domu. Zasiądą tutaj, gdzieśmy siedzieli, będą mówić o nas tak, jakżeśmy o nich mówili i odejdą dopiero nad ranem»¹⁾).

Stara Nann czuje już nawet dreszcze. To zmarły przybliży się. Trzeba wyjść z izby. Nann radzi Le Braz'owi, aby tej nocy spał twarzą do ściany. Przed zaśnięciem Le Braz słyszy śpiewy przed domem. To tradycyjni piewcy śmierci, którzy krążą od domu do domu, śpiewając w noc Dziadów skargi dusz zmarłych.

Le Braz nie ma słów na określenie przygnębiającej melancholii śpiewu nocnego w wilię WW. Świętych.

Starcy z chóru tak śpiewali:

lud miejscowy zowie haràczyje, ze względu na to, że je wprost z pieca podają. Z dziwną zgodnością podaje Le Braz: «des crêpes chaudes». *La Légende de la Mort*, str. 284. (Crêpe: «dünnere Pfannenkuchen aus Buchweizen»). Ob. *Lud Białoruski*, I. c. nr. 1523.

¹⁾ Zdarza się jakoby często, że domownicy słyszą w nocy poruszanie się stołków. Nazajutrz czasem można zauważyć, że goście nocni zmienili talerze. Nad rankiem udają się zmarli razem z żywymi na mszę, odprawianą za ich dusze w parafialnym kościele. *La Légende de la Mort en Basse-Bretagne...* par A. Le Braz, Paris 1893, str. 287.

Dobrze wam leżeć w łóżku wygodnie,
Lecz biedni zmarli tak spać nie mogą,
Wygodnie słodko wam się rozciągnąć
A biedni zmarli na oślep błędzą...

*

Białe płótno, desek pięć,
A pod głowę wiązka słomy,
A nad sobą pięć stóp ziemi:
Oto całe nasze mienie...

Starcy śpiewali w imieniu dusz, jakby już sami byli temi duszami; opowiadali o strasznej samotności, o długich niepokojach, o licznych czyścowych mękach; żyjącym wypominali ich niestałość i zapowiadali, że świat im kiedyś odplaci taką samą powszechną niewdzięcznością i wiecznym zapomnieniem...

Kobiety zaś i młodzieńcy z chóru krzyczeli, bijąc o szyby okien:

Przychodzimy od Jezusa
Zbudzić was, jeżeli śpicie,
Zbudzić was z pierwszego snu
Na modlitwę za umarłych.
Nuże z łóżek na ziemię! bosą nogą na ziemię!
Chyba żeście chorzy, albo już nieżywi...»

«Nigdy — mówi Le Braz — wyrzekanie bardziej rozpaczliwe nie obito się o me uszy. Zwłaszcza nuta starców była tak ponurą, że serce drętwiało, jak na krzyk jaki rozdzierający, jak na

wycie skądś, z samej otchłani śmierci. Doznałem, wyznaje, ulgi, kiedy w końcu żałobni śpiewacy oddalili się, a wicher zgłuszył ich głosy».

Oto szczątki Dziadów bretońskich. Są one nadzwyczaj ważne, przechowały bowiem szczegóły takie, jakich napróżno szukaliśmy w opisach *Dziadów* litewsko-ruskich, a które — i to jest celem naszych wywodów — odnajdziemy u Mickiewicza. Resztki dawnych Dziadów bretońskich widzimy wreszcie w owym przekonaniu ludu tamtejszego, że w roku są trzy uroczystości, w czasie których zmarli się schodzą: 1) Wilia Bożego Narodzenia, 2) Noc św. Jana, 3) Wilia WW. Świętych ¹⁾.

Bretońskie *Dziady* uległy w kolei wieków niektórym zmianom. Jak widzieliśmy, uczta dla zmarłych odbywa się *po* uczcie dla żyjących; o wezwaniu zmarłych do uczty także nie słyszymy. Być jednak może, że obecność «surdutowego» Le Braz'a działała hamująco na gospodynię i starą Nann, które wezwania tego mogły dopełnić w duchu, po cichu, aby nie dziwić zbyt «profesora» ²⁾.

IV.

Rozejrzawszy się tak w różnych resztkach starożytnej czci dla zmarłych, powróćmy do naszych

¹⁾ Le Braz: *Le légende de la Mort* en B. B. str. 274—5.

²⁾ Pan Le Braz jest profesorem licealnym w Quimper.

najpiękniejszych, najdroższych *Dziadów* Mickiewicza. Jaśniej teraz zrozumiemy niejednen szczegół, a przede wszystkim stwierdzimy, że *Dziady* nie tylko jako prześliczna fantazyja poetycka zajmują jedno z pierwszych miejsc w piśmiennictwie naszym, ale że utwór ten ma bezwzględna wartość dla ludoznawstwa, a to w przedmiocie, sięgającym samego brzasku cywilizacji ludzkiej. Dosłowniej, niż się nam dotychczas wydawać mogło, należy brać oświadczenie Poety: «Śpiewy obrzędowe, guśla i inkantacye są po większej części wiernie, a niekiedy dosłownie z gminnej poezyi wzięte».

Na szczególniejszą uwagę zasługują pod tym względem fragmenty pierwszej części, nie wydane za życia Mickiewicza. Są one chronologicznie najstarsze i przedstawiają ważny moment nocnej wędrówki «wieśniaków, niosących jedzenie i napoje» na groby. Nieodżałowana szkoda, że pierwsza część nie doczekała się wykończenia. Wiadomo, że jeszcze w r. 1840 w Lozannie dorabiał Mickiewicz ustępy do tej części. Jest zaś ta część z tego względu ważna, że w niej chciał poeta podać niektóre zwyczaje i przepisy, jak i kto ma Dziady obchodzić. Że obchód spólny nie wszystkim był dostępny, wnosimy z chóru Młodzieży:

Tu guślarz kazał młodzieży
 Stańc na drogi połowie:
 Tam na wzgórk u włoska leży
 A tam moglińnik w dąbrowie.

Młodzież:

.
 Nie godzi się do wsi wracać
 Nie godzi się biedz w ich ślady,
 Tu będziemy święcić dziady
 I *piosnkami* noc ukracać.

Na uroczystość Dziadów idą tylko starcy
i dzieci:

Zaszło słońce, biegną dzieci,
 Idą starce, płaczą, *nuca*,
 Lecz znowu słońce zaświeci.
 Wrócą dzieci, starce wrócą.

 Niech więc dzieci i ojcowie
 Idą w kościół z prośbą, z chlebem,
 Młodzi na drogi połowie
 Zostaniem pod czystym niebem.

Potwierdza to dyalog dziecka ze starcem. Dziecko wyraża przekonanie, że «dzisiaj w nocy umarłych spotkamy», boi się i nie ma ochoty iść na cmentarz. Starzec chce iść sam:

Nie zabłądę, wszak co rok chodziłem tą drogą
 Zrazu jak ty, mój synu, z niemowlęcą trwogą,
 Potem jak chłopiec pełen ciekawej ochoty,
 Potem z tęsknotą, teraz nawet bez tęsknoty.

W Bretanii słyszeliśmy w noc Dziadów ponurą pieśń starców. Tu w pierwszej części *Dziadów*

Mickiewicz najwyraźniej zaznacza: idą starce, płaczą, nucą.

Niestety, pieśni tej starców białoruskich nie mamy i treści jej możemy się domyślać tylko («nucimy piosnkę żałoby»):

Mrok tajemnic nas otacza,
Pieśń i wiara przewodniczy,
Dalej z nami, kto rozpacza,
Kto wspomina i kto życzy!

W pierwszej części swego poematu dał nam Mickiewicz zarys przygotowań do obrzędu, pochód na groby; w drugiej mamy wspólne, gromadzkie, doroczne święto:

Czyścowe duszeczki!...
Każda spieszcie do gromady!
Gromada niech się tu zbierze!
Oto obchodzimy Dziady!
Zstępujcie w święty przybytek;
Jest jałmużna, są pacierze,
I jedzenie i napitek.

Guślarz zaklina i przyzywa dusze najpierw «lekkim, jasnym znakiem», paląc garść kądzieli; następnie o północy wzywa dusze z najcięższym duchem, zaklinając je na żywioł ich, «ognisko»; w końcu zaprasza guślarz «pośrodkie duchy», zapalając wianek święconego ziała. Już ten porządek, albo raczej nieporządek dziwi

nas trochę: dlaczego po najlżejszych duchach idą najcięższe, a dopiero potem duchy pośrednie? Mickiewicz uległ tu, zdaje się, estetycznym względom kontrastów: dzieciom niewinnym przeciwstawił okrutnego dziedzica, a pięknej ale nieczułej Zosi blade widmo rozkochanego upiora. Że zaś porządek zaklęć był rytualnie inny, widzimy z «Nocy Dziadów» w III. części. Guślarz mówi tam do Kobiety:

Czy słyszysz te śpiewy w dali,
Już się tam ludzie zebrali,
Pierwszą klątwę już zaklęli:
Klątwę wianka i kądzieli:
Wezwali powietrznych duchów.

Po niejakiu dopiero czasie:

Widzisz, blask z kaplicy bucha:
Teraz klęli ognia władzę;
Ciała w mocy złego ducha
Z pustyń, z mogił wyprowadzą...

Guślarz (w II. części) na zakończenie wzywa wszystkie dusze razem na biesiadę «drobną»:

Garście maku, soczewicy
Rzucam w każdy róg kaplicy

Po tej ceremonii wezwania i ugoszczenia duchów, po północy, gdy «straszna ofiara skoń-

czona», guślarz każe «zapalić lampy i świece» i zapowiada:

Czas przypomnieć ojców dzieje.

Nie łatwo było dotychczas zrozumieć, o jakich to dziejach mowa. Że nie jest to wymysł poety, dowodzi trzecia część *Dziadów* (scena XI), gdzie także Guślarz objaśnia Kobięcie:

Wkrótce, wkrótce koniec dziadów,
Słyszysz — trzeci kur już pieje,
Tam śpiewają ojców dzieje
I rozchodzą się gromady.

Opowiadanie Le Braz'a dowodzi, że w Bretanii przechował się wiernie ten szczegół tradycyjnej uroczystości: wspomnianie zmarłych przodków, ich zasług itd.¹⁾ «Ojców dzieje» były zatem przypomnieniem zmarłych przodków i prawdopodobnie wyszczególnieniem ważniejszych zalet, cnót itd.

W kilku szczegółach drobniejszych możemy stwierdzić, jak wiernie powtórzył poeta przesady

¹⁾ *Revue d. d. m.*, novembre 1896, str. 162—3: «Vous est-il jamais arrivé de penser à l'ancêtre, qui, le premier porta notre nom?... Les commensaux s'étaient mis à deviser entre eux des morts de l'année; ils énuméraient les mérites de chacun, ses vertus... Cela donnait l'impression d'une sorte de litanie funèbre, improvisée verset par verset et que ponctuait à chaque pause un perpétuel: Dieu lui pardonne». Por. wyżej w opowiadaniu Czerwińskiego z okolic naddniestrzańskich szczegół o długim rejestrze zmarłych, czytany w cerkwi. Ob. także: *La légende de la mort* l. c., str. 283.

ludu białoruskiego. Dusze dzieci i dziewczycy zjawiają się w cerkwi, ale widmo złego dziedzica nie ma wstępu do wnętrza kaplicy i odzywa się «z a o k n e m». Podobnie w okolicach białoruskich utrzymują, że «katoryje duszy żywuć u piekli, to im tuolki muožno praż u o k n a da chaty i k a ś c i o ła p a h l e d a ć»¹⁾.

Upiór w IV. części *Dziadów* jest stosownie do przyjętych wyobrażeń zziębnięty:

Zbladłeś, przeziębłeś strasznie, drzysz jak listek.

O tem, że zmarłych dusze lubią się grzać przy ognisku, mówiliśmy już poprzednio.

W miarę opowiadania Gustawa o 10-ej, o 11-ej i 12-ej w nocy, po pianiu koguta, gaśnie jedna, druga świeca, wreszcie lampa przed obrazem. To gaśnięcie światła znajdujemy także w legendzie bretońskiej: «*La porte ouverte*»: wieśniacy czuwają w noc przy zmarłym; dyabeł wciąż otwiera drzwi, pomimo, że ciągle je zamykają domownicy. Wszyscy w strachu. Wreszcie: «*L'horloge de la maison tinta lentement l'heure de minuit. Et, quand le douzième coup eut sonné, les chandelles qui brulaient auprès du lit du mort s'éteignirent comme d'elles-mêmes*»²⁾.

* * *

¹⁾ Federowski, l. c., nr. 1045.

²⁾ *La Légende de la Mort* etc. par A. Le Braz, str. 119—120.

Dostatecznie już stwierdzono doniosłość wpływu poezji ludowej i wierzeń ludowych na rozwój uczuć Mickiewicza. Sam poeta kilkakrotnie z naciskiem zaznaczył w prelekcjach literatury słowiańskiej cześć i głębokie przywiązanie do tych skarbów fantazyi ludowej, z których w dzieciństwie hojnie na resztę życia zaczerpnął. Ale wątpliwości ulegać nie może, iż najdonioślejszy wpływ na poetę i myśliciela wywarły ludowe «Dziady», «najpiękniejsze święto, bo święto pamiętek». Obrzędy fantastyczne przemawiały niegdyś silnie do imaginacji dziecka. Z czasem uwagę wierzącego młodziana znęciła ta szczególna okoliczność, «iż obrzędy pogańskie pomieszane są z wyobrazeniami religii chrześcijańskiej»; aż wreszcie nauczyciel kowieński, zastanawiając się nad owymi fantastycznymi obrzędami, przekonał się, «że we wszystkich zmyśleniach poczwarnych można było dostrzedz pewne dążenie moralne i pewne nauki gminnym sposobem zmysłowie przedstawiane».

W wspomnieniach młodości, a zwłaszcza dzieciństwa sielskiego, anielskiego, błyszczą Dziady, jak święty i cudowny Gral, ukryty w najtajniejszych ducha głębinach, jak żywe źródło mistycznej pociechy na dni posuchy i upału życia. Tajemnicę własnego i powszechnego bytu ludzkości pragnął poeta wyczytać w nierozrwalnym związku pokoleń zmarłych z tymi, co żyją, ale z kolei przejdą jako wody wiosenne... Nic dziwnego, że taki

poemat pozostał niedokończonym, jakkolwiek po tylekroć w ciągu dwudziestu lat nad całością myślał Mickiewicz, a nawet po napisaniu *Pana Tadeusza* wyznawał: «Z Dziadów chcę zrobić jedyne dzieło moje warte czytania...»

Zasadnicza myśl poematu nie mogła być inna, niż podstawna idea samej uroczystości, nadającej nazwę poematowi. Idea uroczystości Dziadów jasna jest na przestrzeni tylu tysięcy lat życia ludzkości. Od Indów do Bretonów wierzyli i wierzą ludzie w duchów obcowanie...

Czcij zmarłych, a będziesz miał w nich opiekunów, doradców, pomoc. Śmierci niema:

Gdyby z twych oczu ziemskie odpadło nakrycie,
Obaczyłbyś niejedno w koło siebie życie,

(*Dziady*, IV. cz.).

Otoczeni jesteście ciągłym, nieustającym wpływem świata zaziemskiego. Anioł-Stróż mówi do uśpionego Gustawa-więźnia:

Ledwie dobra myśl zaświeci,
Brałem duszę twą za rękę
Wiodłem w kraj, gdzie wieczność świeci.

Duch w końcu Prologu III. Części ogłasza:

Człowieku! gdybyś wiedział, jaka twoja władza!
Gdybyś wiedział, że ledwie jedną myśl rozniecisz
Już czekają w milczeniu jak gromu żywioły,
Tak czekają twej myśli szatan i anioły;
Czy ty w plekło uderzysz, czy w niebo zaświecisz.

Próby wytlómaczenia *Dziadów* jedną zasadniczą ideą spotykały się zwykle z zarzutami, że idei takiej Mickiewicz przy tworzeniu *Dziadów* nie miał, że ideę tę lub ową krytycy, trochę na wzór «niemiecki», *ex post* wkładają do poematu.

Oczywiście, o wiele łatwiej nazwać *Dziady* poematem biograficznym i widzieć w nich historię własnego *ja* Poety. Tylko, że w takim razie, chcąc szukać głównej idei w historii owego *ja*, w jego przeobrażeniach, dojdzie się w końcu do pytania, jak też poeta sam na swoje *ja* się zapatrywał i jak je sobie objaśniał? A ponieważ zapatrywanie poety i jego sposób objaśnienia zagadki bytu własnego mieszczą się właśnie nie gdzieindziej, tylko w *Dziadach*, więc mamy wszelkie prawo a nawet obowiązek szukać *tam* idei głównej tego znakomitego utworu, będącego istnym punktem archimedesowym dla oparcia wywodów o naturze duchowej Mickiewicza. Skoro zaś mowa o poszukiwaniu tej idei głównej, to zaraz trzeba dodać, że wykazał ją sam poeta, bardzo wcześnie, bo jeszcze w roku 1833 lub 1834. W chwili, kiedy *Dziady* miały się ukazać w przekładzie francuskim, Mickiewicz, trafnie przypuszczając, że dla cudzoziemca niejedno może być niejasnym w poemacie niedokończonym, napisał dla użytku tłómacza, Burgaud des Marets, po francusku krótki rzut oka na *Dziady*. Z uwag poety, tak cennych do rozjaśnienia idei głównej, podam

kilka najważniejszych. Przedewszystkiem dowiadujemy się, że Dziady, jakkolwiek niedokończone, w myśli poety tworzyły całość organiczną¹⁾. Poeta chce uwydatnić czytelnikom francuskim «myśl panującą i tendencję autora»²⁾. Cóż jest tą myślą przewodnią, tą ideą-matką *Dziadów*?

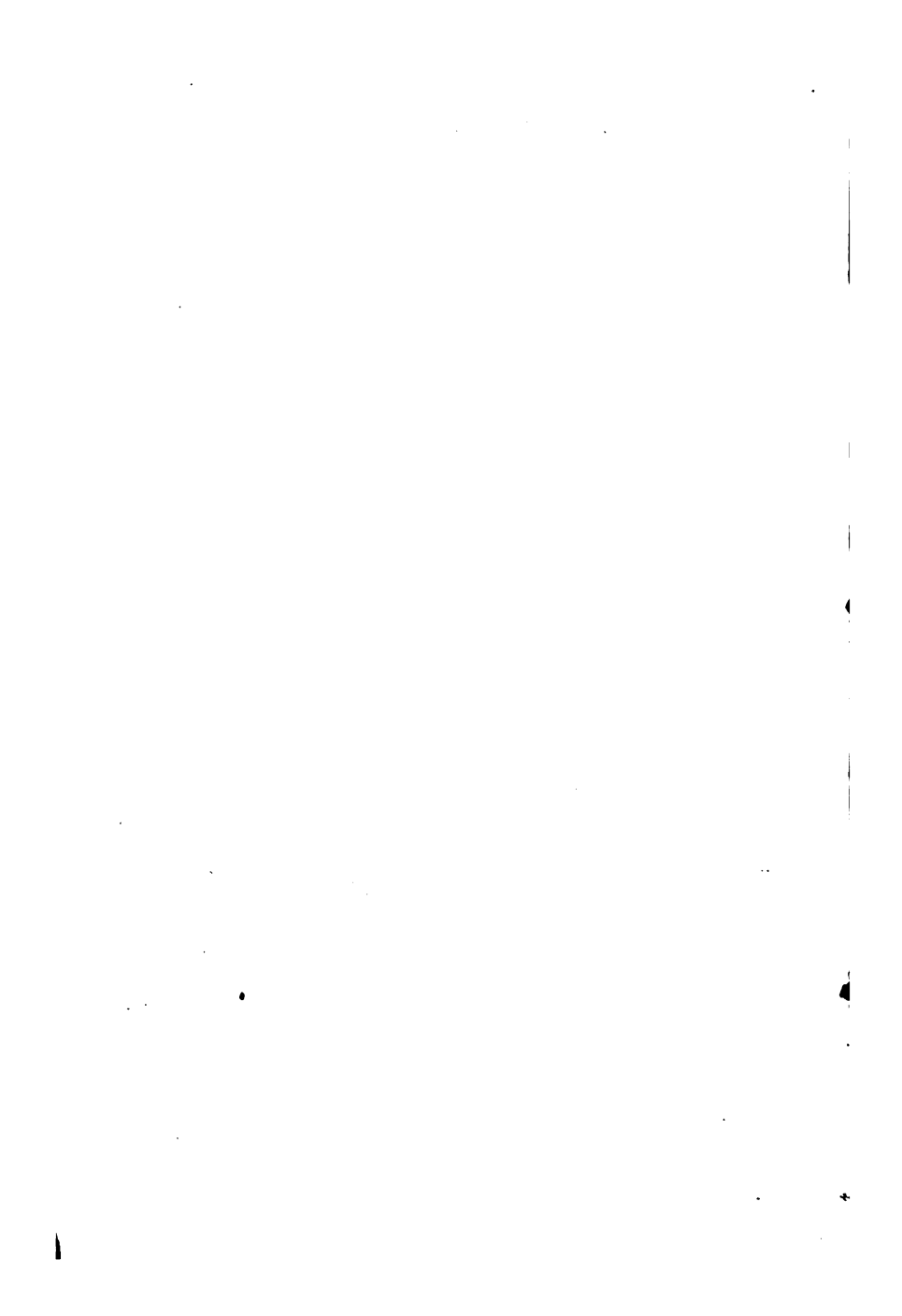
«Wiara w wpływ świata niewidzialnego, duchowego na sferę myśli i działań ludzkich — oto idea-matka polskiego poematu; idea ta rozwija się postępowo w różnych częściach dramatu, przybierając różne kształty, stosownie do różnicy miejsc i epok»³⁾. Określenie powyższe idei poematu jest zarazem najlepszą definicyą przewodniej idei uroczystości ludowej, starożytnego obrzędu aryo-europejskiego, który niespożytą swą siłę żywotną czerpał już przed tysiącami lat głównie i wyłącznie z wiary w życie za grobem, z wiary w wpływ świata niewidzialnego na myśli i działania pokoleń żyjących.

¹⁾ *Mélanges Posthumes...* publiés par Lad. Mickiewicz, Paris 1879, t. II., str. 219 i nn.: »l'ouvrage... semble attendre des développements subséquents qui doivent lier ces fragments et en former un tout organique.

²⁾ La pensée dominante et la tendance de l'auteur.

³⁾ Tamże, 220.

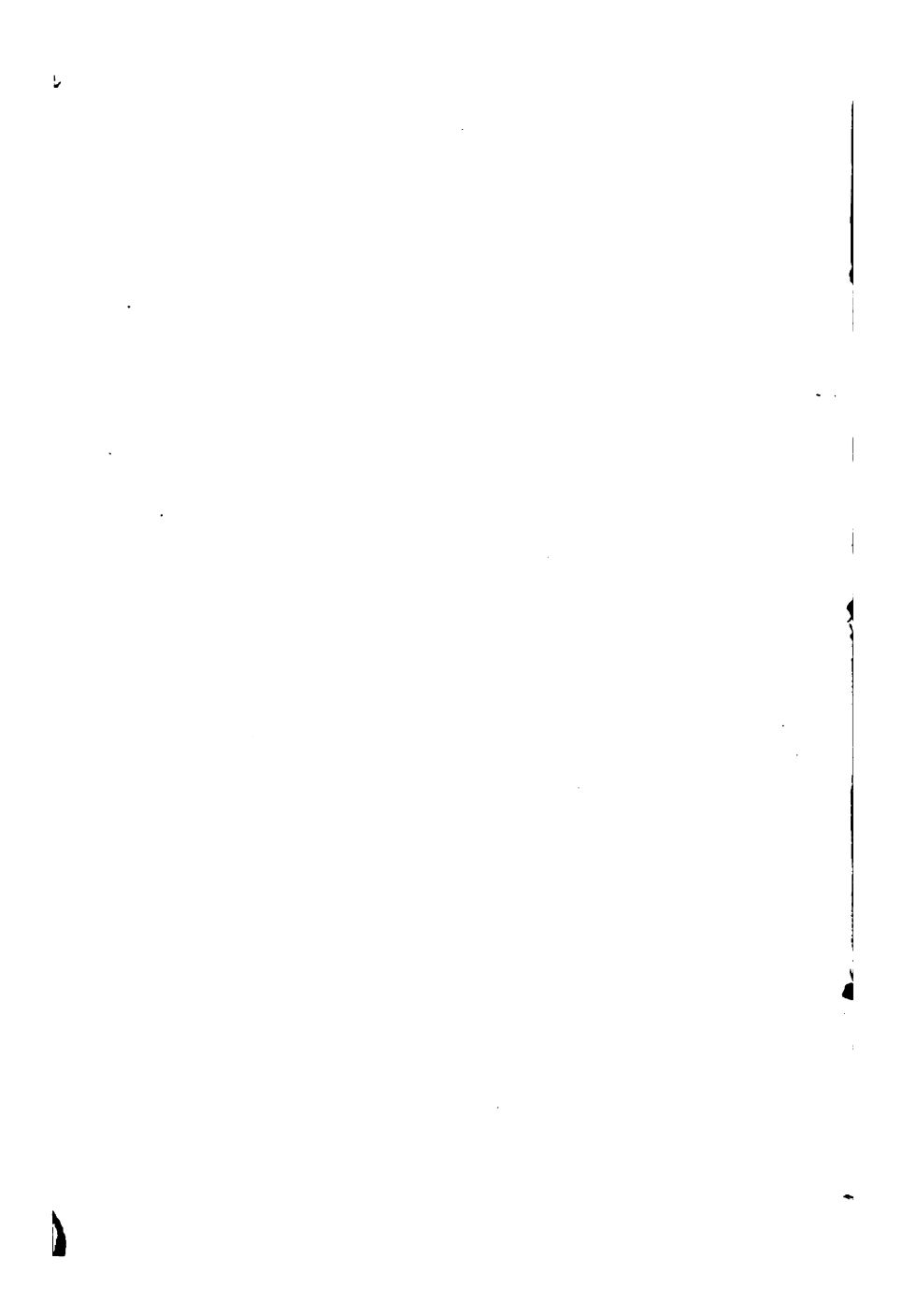




IV.

„WIECZORY W NEUILLY“





I.

Korespondencya Adama Mickiewicza pozostanie na długie lata jeszcze bogatą kopalnią szczegółów, rozjaśniających życie i twórczość poety. W listach do przyjaciół, pisanych z otwartością i prostotą, Mickiewicz daje wyraz swym radościom i smutom, swym sympatyom i niechęciom, wyobrażeniom o literaturze, sztuce i polityce. Biografowie i krytycy poety czerpią też obficie z korespondencyi jego. Najważniejsze, najciekawsze ustępy z listów Mickiewicza są dzisiaj już prawie tak samo ogółowi naszemu znane, jak miejsca klasyczne z *Grażyny*, *Dziadów* lub *Pana Tadeusza*. Jednakże nie wszystko w korespondencyi poety jest zupełnie jasne; tu i owdzie znajdują się wzmianki, dotyczące osób i stosunków, znanych tylko przyjaciołom Mickiewicza, nieraz przydałby się komentarz do takich listów, które wspominają o ówczesnych «nowościach» literackich, dzisiaj pogrążonych w zapomnieniu...

Chciałbym przypomnieć właśnie jeden taki ustęp z korespondencji Mickiewicza. Jest to wyjątek z listu poety do A. E. Odyńca, z d. 20 maja 1828 r. Mickiewicz znajdował się wtedy w Petersburgu i polemizował listownie z Odyńcem w różnych kwestyach estetycznych, przede wszystkim zaś w kwestyi dramatu. Oto kilka wyznań Mickiewicza, z tego właśnie listu wyjętych (Kor., IV, 103): «Jestem zabity Szekspirzysta. Lubo dozwalam odmieniać formy i ekonomię dramatu, ale zawsze szukam ducha poetyckiego i prawdy historycznej. Powtarzam milion razy, że nasz wiek potrzebuje dramatów historycznych». — Nie o te jednak wyznania chodzi nam dzisiaj, ale o zakończenie tego listu, które tak brzmi w całości:

«Ale, ale, biegnij zaraz do księgarni, szukaj, kupuj, chwytaj i czytaj dzieło francuskie pod tytułem: *Les Soirées de Neuilly*, jeżeli się nie mylę w ortografii ostatniego wyrazu, bom na krótki czas miał książkę w ręku. Autor *l'abbé de...* (zmyślone nazwisko). Są to sceny dramatyczne, podług mnie najciekawsze i najpoetyczniejsze dzieło naszej epoki, może stanowić epokę w sztuce dramatycznej, a przynajmniej obwieszcza nową, szczytną formę, różną od greckiej i od Szekspirowskiej; formę prawdziwie naszego wieku, do tegoczesnych zdarzeń najstosowniejszą. Zawsze myślałem, że Francuzi, mimo terazniejszy zupełny upadek poezyi, są na

dobrej drodze, i że nowy rodzaj poezji dramatycznej u nich ¹⁾ powstanie, może w drugiej lub trzeciej generacji. Dzieło, o którym piszę, jest dowodem, że się nie mylił, i zapowiada z daleka ważne dla poezji odmiany, nowe formy.

«Ale wątpię, czy w Warszawie znajdziesz te *Soirées*. Wasi literaci, opatrzeni w Laharpe'a, Dameron'a, pocóż mają czytać nowe rzeczy?»

Kto bada dokładniej poglądy estetyczne Mickiewicza, dla tego nie może być obojętnym ustęp wyżej przytoczony. Któż dziś mówi o *Soirées de Neuilly*? kto je czyta? Czyżby Mickiewicz miał się zupełnie pomylić, twierdząc, że to «dzieło najciekawsze i najpoetyczniejsze» obwieszcza «nową formę?» P. Chmielowski, który szczegółowo rozpatrzył *Estetyczno-krytyczne poglądy Adama Mickiewicza* w trzecim tomie *Pamiętnika Towarzystwa literackiego im. A. M.* (Lwów, 1889, str. 4—40), tak pisze o *Soirées de Neuilly*: «Żałuję mocno, że książki tej nie znam; możnaby bowiem z niej wywnioskować, o co chodziło Mickiewiczowi, gdy rozmyślał o nowych formach dramatu».

List Mickiewicza do Odyńca pobudził ciekawość moją w końcu 1887 roku, kiedy w Krakowie w wykładach uniwersyteckich objaśniałem *Dziady*. Znalazłem wtedy w Bibliotece Muzeum Czarto-

¹⁾ Podkreślone przez Mickiewicza.

ryskich niepozorny tomik p. t.: *Les Soirées de Neuilly* i wrażeniami, wyniesionemi z odczytania tej książki, podzieliłem się wówczas z moimi słuchaczami. Niedawno zapragnąłem ponownie odczytać dzieło, które tak niegdyś zajęło Mickiewicza. Starłem się sprowadzić z bibliotek książkę dziś zapomnianą i rzadką, a gdy się to nie udało, los posłużył mi lepiej, pozwalając nabyć antykwarycznie *Les Soirées de Neuilly* i to nie jeden tomik, lecz dwa, które widocznie miały swego czasu wielkie powodzenie, skoro doczekały się czterech wydań. Oto dokładny tytuł, oraz króciutka treść dzieła «najciekawszego i najpoetyczniejszego»:

Les Soirées de Neuilly, esquisses dramatiques et historiques par M. de Fongerey, ornées du portrait de l'auteur et d'un facsimile de son écriture. Le vrai est ce qu'il peut. Quatrième édition. Tome premier. Paris, Montardier, Libraire. 1828.

Tom drugi ma równobrzmiący tytuł, tylko zamiast *Quatrième édition* czytamy: *Troisième édition*, następnie: *Tome deuxième*. Stron 427.

Przypatrzmy się najpierw treści pierwszej tego tomu: Rozpoczyna go *Notice sur M. de Fongerey*. Jest to zmyślona biografia zmyślonego autora. Domniemamy autor *l'abbé de Fongerey* jest typem człowieka zmiennych przekonań. «Wierny» sługa tronu przed rewolucją, przeistacza się ksiądz de Fongerey w wiernego obywatela Grivet [podczas rewolucyi, żeni się, a obywatelka Grivet przed-

stawia boginię Rozumu w uroczystości *de l'Être suprême*, przyczem zaziębia się z powodu lekkiego stroju i umiera. Napoleon mianuje obywatela Grivet, który tymczasem przerodził się w księdza de Fongeray, jałmużnikiem przy jednej z księżniczek krwi cesarskiej. Po Waterloo gorliwy bonapartysta służy jeszcze gorliwiej Ludwikowi XVIII-mu i kończy żywot w r. 1824, jako profesor greczyzny w Saint-Acheul.

Po tej pseudo-biografii mamy «Wstęp» (str. 11—12), w którym rzekomy wydawca objaśnia genezę *Soirées de Neuilly*. «Jakiś pan de L. zebrał w zamku swym w Neuilly liczne towarzystwo. Dla skrócenia wieczorów jesiennych postanowiono grać komedye, a nie mając żadnych, napisano kilka; wydawca podaje wierną kopię. Od przyjęcia, jakiego doznają te komedye u publiczności, będzie zależało wydanie dalszych seryi.

Następuje szereg utworów scenicznych, napisanych prozą i poprzedzonych krótką przedmową. Podając ogólną treść tych *Soirées de Neuilly*, nie wdaję się na razie w krytykę i rozbiór ich estetyczny. Przekraczałoby to znacznie zakres niniejszej notatki. Pierwszy utwór sceniczny ma tytuł: *Les Alliés ou l'invasion*. Chodzi tu o sprzymierzeńców rojalistycznych Francyi z r. 1814.

Drugi utwór w szeregu *Wieczorów w Neuilly* nazywa się *Une conspiration de province*. Rzecz dzieje się w r. 1820 w małym miasteczku fran-

cuskiem. W przejeżdżającym *incognito* ministrze marynarki wietrzą miejscowe władze emisariusza bonapartystycznego i wśród pociesznych zabiegów arestują przedstawiciela władzy legalnej. Jest to niejako «Rewizor» Gogola na wywrót, i kto wie, czy utwór ten nie poddał pierwszej myśli «Rewizora» Puszkiniowi, a następnie Gogolowi.

Trzeci wieczór w Neuilly ma tytuł *Les Conversions*. Jest to uscenizowana satyra na frymarczenie przekonaniai religijnymi. Hrabina de Brécourt, występująca w pierwszym akcie jako dama światowa lekkich obyczajów, jest w drugim akcie pobożną księżką klasztoru. Ducroisy z ateusza i tancerza staje się z potrzeby dobrym katolikiem (*Jésuite de robe courte*). Pułkownik Lambert, bonapartysta, bezbożnik i konspirator, «nawraca się» na obrońcę ołtarza i tronu, ale w końcu sztuki znowu zmienia przekonania. Czwarta sztuka *Les Français en Espagne* jest epizodem wojny domowej w Hiszpanii 1823 r. Charakterystyczną przyprawą tego utworu są silne zwroty satyryczne, dotyczące rozwiązłości kobiet w Hiszpanii i zepsucia mnichów, rządzących motłochem miejskim i wiejskim.

II.

Drugi tom *Wieczorów w Neuilly* rozpoczyna przedmowa autora do publiczności: «Oskarżano

mnie (z powodu pierwszego tomu) równocześnie o radykalizm, jezuityzm, gallikanizm, ateizm... Za wiele na raz».

Autor usprawiedliwia się, wyznając, że w «obrazie współczesnego społeczeństwa obowiązany jest szkicować wielorakie figury — *et si malheureusement tout le monde en France ne ressemble pas à M. de Bonald, peut on m'en faire un crime?* Autor tak formułuje swe wyznanie wiary: «Nie jestem ani sędzią, ani kaznodzieją; staram się być malarzem».

Pierwszym w tym tomie, a najdłuższym w całym zbiorze utworem scenicznym jest *Malet ou une conspiration sous l'empire*. Przedmowa zaznacza, że chodzi tu o fakt historyczny, o spisek republikanina Malet'a, który z końcem października 1812 r., korzystając z wyprawy Napoleona w głąb Rosyi, omal że nie obalił Cesarstwa, rozpuściwszy fałszywą wieść o śmierci Napoleona. Autor mówi o swej sztuce: *C'est l'histoire qui l'a faite, et non pas moi. Je n'ai inventé aucune scène, aucun détail caractéristique*. Dramat ten w trzech aktach (od str. 16 do 229) największe wywarł wrażenie na Mickiewiczu, jak to niebawem zobaczymy.

Drugą sztuką sceniczną w 3 aktach (str. 243—328) jest zjadliwa satyra na duchowieństwo, p. t.: *Dieu et le diable*. Wprawdzie autor zastrzega się, że «nie uderza na katolicyzm, tylko na wstrętny jezuityzm, który zrobił z rzeczy najbardziej świę-

tych narzędzia policyi i rozboju (brigandage) — niemniej jednak organizacja kościelna, która w zasadzie mogłaby doprowadzić do takich nadużyć, jest tu poddana krytyce zjadliwej i przesadnej. O księżach nowszej szkoły (1825 r.) wyraża się autor w zdaniu powtarzanem odtąd nieraz: *Ils ne pensent pas à servir Dieu, mais à se servir de Dieu*. W końcu sztuki, dla złagodzenia ostrych zarzutów, dowiadujemy się, że ksiądz, dopuszczający się szeregu nadużyć nie jest księdzem, tylko byłym seminarzystą, poszukiwanym oddawna przez policyę.

Tom drugi *Wieczorów w Neuilly* kończy się jednoaktówką p. t. *Les Stationnaires*. Mamy tu do czynienia z trzema oryginałami: jeden jest typem z *ancien régime*, drugi z czasów Rzeczypospolitej, trzeci z czasów Cesarstwa. Trzej starszakiowie kłócą się i dysputują zawzięcie, wierni swym sympatyom i antypatyom politycznym. Młody, 25-letni Francuz z politowaniem słucha wywodów i sporów przestarzałych i jest reprezentantem swoich czasów, wiedząc dobrze, że jego syn będzie miał także inne kiedyś poglądy.

Podałem jak najkrócej treść *Wieczorów w Neuilly*, gdyż, jak widzieliśmy z listu Mickiewicza do Odyńca, poeta ani słówkiem nie napomyka o treści zachwalanych przez siebie *Soirées de Neuilly*, ale zaleca przedewszystkiem formę utworu, «różną od greckiej i od Szekspirowskiej».

Zastanowię się więc nad formą *Wieczorów w Neuilly*.

Les Soirées de Neuilly należą do najwcześniejszych objawów dramatu romantycznego we Francyi. Aleksander Dumas, oddając na scenę dramat swój *Henryk III i jego dwór* (odegrany 11 lutego 1829 r.) pisze w przedmowie: «Nie mogę się nazwać twórcą nowego rodzaju (dramatycznego), gdyż w istocie niczego nowego nie stworzyłem. Przedemną już i lepiej odemnie, utworzyli nowy rodzaj dramatu pp. Victor Hugo, Mérimée, Vite, Loeve-Weimars, Cavé i Dittmer; składam im podziękowanie: zrobili mnie tem, czem jestem».

Mérimée ogłosił znany *Théâtre de Clara Gazul* w r. 1825, następnie *Jacquerie* (1828), a wymienieni powyżej Dittmer i Cavé są właśnie autorami *Les Soirées de Neuilly*. Była to szczęśliwa wówczas spółka literacka, która niebawem rozprężyła się. Adolf Dittmer, były oficer kirasyerów gwardyi królewskiej, odbył wyprawę do Hiszpanii w 1823 r., należał następnie czas jakiś do redakcyi głośnego czasopisma *le Globe*, gdzie poznał się z p. Cavé, z nim napisał do spółki *Les Soirées de Neuilly* i wydał je w 1827 r., niemal równocześnie z dramatem W. Hugo: *Cromwell*.

Nowość, wprowadzona do dramatu przez W. Hugo, Mérimée'go, autorów *Les Soirées de Neuilly*, Vigny'ego i innych, polegała na zniesieniu dawnych reguł «klasycznego» dramatu: «jedności», stylu wznio-

słego i t. d. *Wieczory w Neuilly* (gdyż do nich musimy się tu ograniczyć) mogły się rzeczywiście podobać publiczności francuskiej nadzwyczajną werwą dyalogu, potocznym, codziennym stylem, częstymi aluzyjami politycznymi. Zupełna swoboda co do czasu i miejsca akcji dramatycznej była na owe czasy rewolucją literacką. To, co W. Hugo uzasadniał w długiej i trochę przesadnej przemowie do *Cromwella*, to pp. Dittmer i Cavé, nie bawiąc się w teorye, podawali w żywych i udatnych obrazach scenicznych. Cztery wydania, jakich doczekały się *Wieczory w Neuilly* w przeciągu roku, świadczyły najlepiej o poczytności utworu. Dzisiaj dowcipy, gęsto tam rozsypane, zwietrzały do szczytu, satyryczne ostrze zardzewiało i stępiło się, a język potoczny uległ przeobrażeniu i wygląda już dzisiaj na stosunkowo starannie oczyszczony — ale w 1828 roku! Mickiewicz słusznie z tych *Soirées de Neuilly* wróżył odmianę smaku literackiego we Francyi. Nie zdaje mi się, aby przed wyjazdem swym z Rosyi Mickiewicz poznał był inne objawy dramatu romantycznego francuskiego; byłby się bowiem wyraził bardziej stanowczo i dokładnie w słynnej przedmowie do wydania petersburskiego swych poezyi. Czytamy tam w przypisku długim, oceniającym sztukę dramatyczną u nas i u innych narodów: «Teraz (1828 r.) we Francyi sceny historyczne wróżą nowy dla Europy rodzaj dramatyczny, od formy greckiej, szekspirow-

skiej i kalderonowskiej różny». Zdanie to jest jakby parafrazą odpowiedniego zdania z listu do Odyńca i dowodzi, że dramatów Mérimée'go i W. Hugo wtedy jeszcze Mickiewicz nie znał, a miał tylko na myśli *Les Soirées de Neuilly*, które mają dalszy tytuł: *esquisses dramatiques et historiques*.

Jak dalece zaś przypadły Mickiewiczowi do smaku *Wieczory w Neuilly*, dowodzi także następujący wyjątek z *Listów z podróży* Odyńca. 4-go kwietnia 1830 r. donosi Odyńiec przyjacielowi (tom III, str. 307):

«Francuzi, podług niego (Mickiewicza), właściwej sobie formy dramatu nie stworzyli dotąd u siebie; chociaż po nich się on to właśnie spodziewa, że kiedyś stworzą prawdziwie nowożytny historyczny dramat, którego już pierwsze zarody upatruje w znajomych tobie *Les Soirées de Neuilly*, a mianowicie w *Sprzysiężeniu Malleta*.

Gdyby mnie spytano: czy *Soirées de Neuilly* nie zostawiły śladów w twórczości Mickiewicza dramatycznej? — odrzekłbym, że sam wzór udramatyzowania chwili niemal współczesnej w *Wieczorach w Neuilly* (*Les Conversions*: rzecz dzieje się w r. 1821; *Dieu et le Diable*: 1825 r.: *Les Stationnaires*: Septembre 1827!) mógł być dla Mickiewicza zachętą do odtworzenia (w luźnych scenach dramatycznych) tych zdarzeń, których

w r. 1824 był uczestnikiem. Rozmowa literacka w Salonie Warszawskim zbliża się w nastroju satyrycznym bardzo do sposobu traktowania rzeczy w *Wieczorach w Neuilly*, a teoria dramatu romantycznego, wyzwalającego się z przepisów starych, przemawia tam ze znanych satyrycznych wierszów:

Wieleż lat czekać trzeba, nim się przedmiot świeży,
Jak figa ucukruje, jak tytuń uleży?

LITERAT I.

Niema wyraźnych reguł.

LITERAT II.

Ze sto lat.

LITERAT I.

To mało!

LITERAT III.

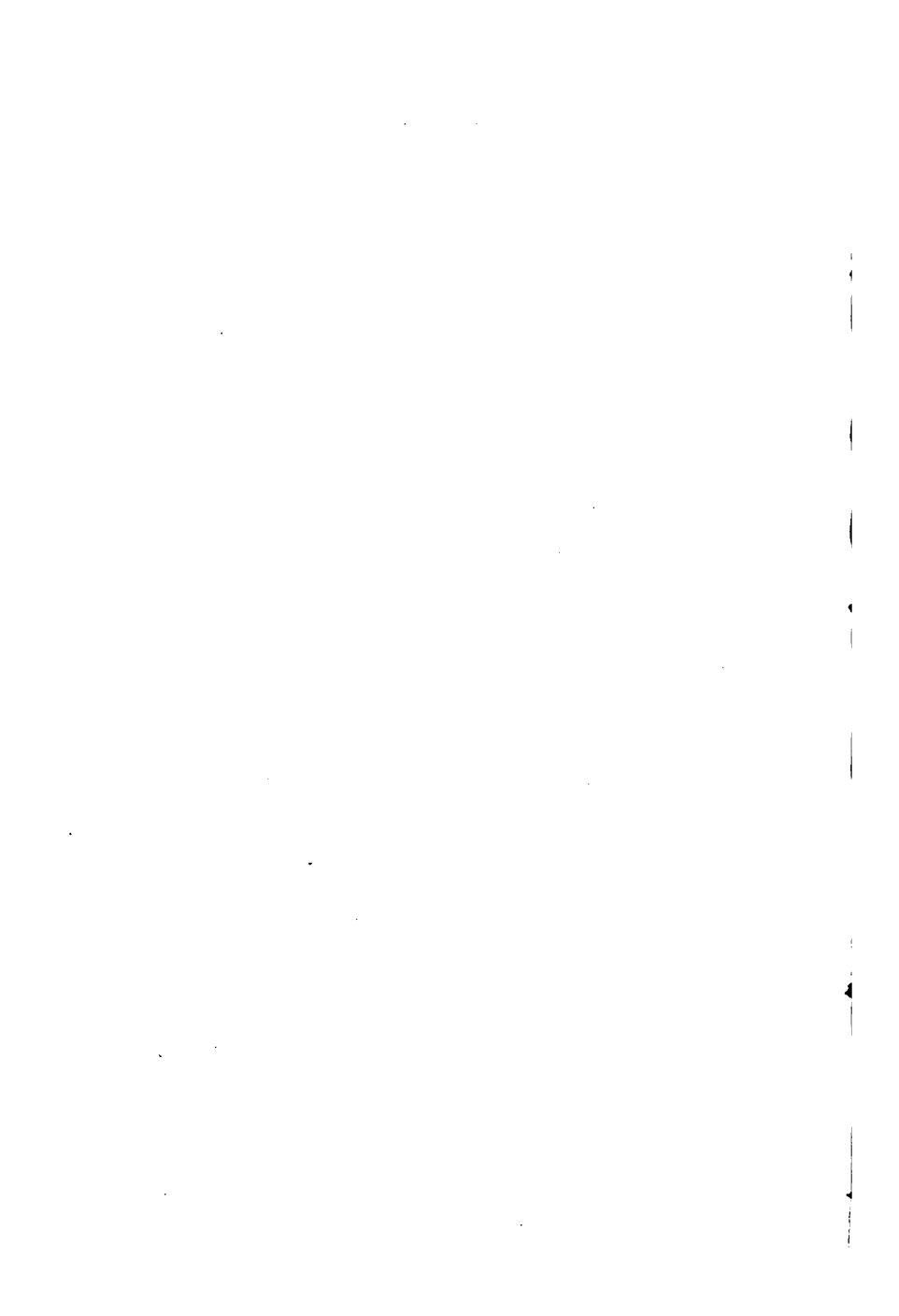
Tysiąc, parę tysięcy.

Mickiewicz długi czas żywił zamiary napisania dramatu historycznego; skończyło się na próbach francuskich, a szczątki dramatu polskiego, pisanego jeszcze na kilka tygodni przed zgonem w Konstantynopolu, dowodzą, jak usilnie myśl jego wracała do form dramatycznych. Przeszkodą w wykonaniu planów dramatycznych mogło być także wzniosłe pojęcie o znaczeniu dramatu, z ja-

kiem dziś jeszcze dramaturgowie rzadko są w zgodzie :

«Dramata nie będą tylko dla zabawy możnych próżniaków, ale raczej dla nauki ogółu obywateli, który z nich będzie się uczył historii przeszłości, jak Grecy uczyli się poetyckich tradycji swoich».

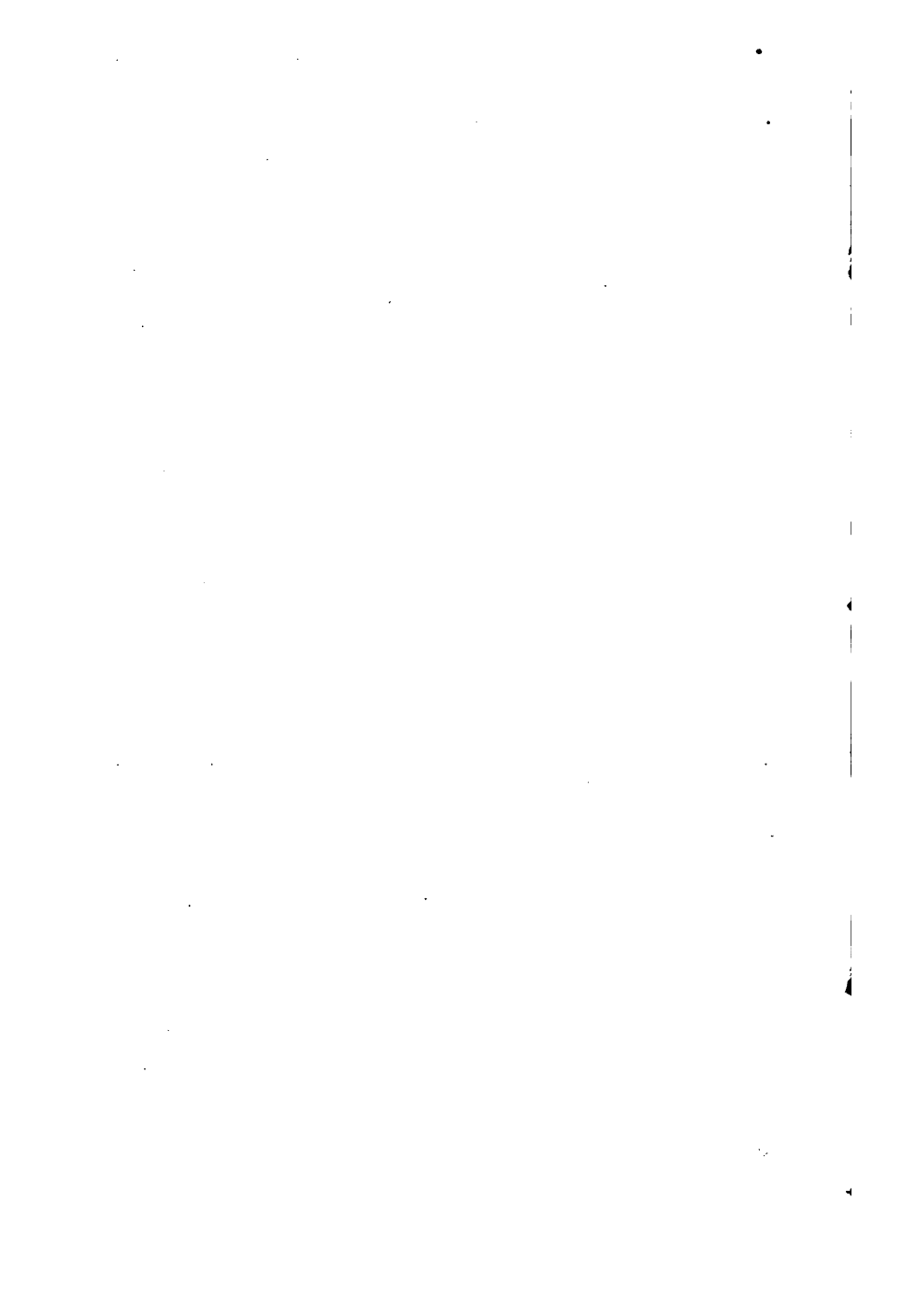




v.

O MALARSTWIE RELIGIJNEM





Zapomniany artykuł Mickiewicza o sztuce religijnej, który tu w przekładzie polskim podaję, ukazał się w marcu 1835 r. w Paryżu, w piśmie p. t.: *Revue du Nord et principalement des pays germaniques, fondée par J. E. Boulet, de Metz et R. O. Spazier de Leipsick*. Na str. 105 pierwszego rocznika tego pisma czytamy: *Beaux Arts.— De la peinture religieuse moderne des Allemands*. Do nagłówka tego dodano od redakcyi w przypisku następującą uwagę:

Introduction à une série d'articles de M. Adam Mickiewicz sur la peinture allemande.

Zapowiedzianej seryi uwag Mickiewicza o sztuce niemieckiej nie znajdujemy w *Revue du Nord*. Artykuł, którego przekład dosłowny, o ile możności wierny, przytaczam niżej, ciągnie się w *Revue du Nord* (1835 r.) od str. 105 do 114. Oprócz rozprawy Mickiewicza, mamy w pierwszym tomie owej *Revue* kilka artykułów, dotyczących Polski: *Coup d'oeil sur la Lithuanie; Parallèle historique*

entre l'Espagne et la Pologne (przekład z Lelewela); *Nouvelles Littéraires et scientifiques de la Pologne*; nadto: *Littérature russe: Mazeppa, roman historique par Thadée Bulgarine*, a wreszcie na str. 576. *Semaine de miel d'un conscrit. Fragment des Mémoires d'un sergent polonais*, bez podpisu jakiegokolwiek. Skądinąd wiadomo, że ten utwór jest pióra Mickiewicza.

Artykuł o malarstwie religijnem niemieckiem przedrukowało w 11 lat po jego ukazaniu się w *Revue du Nord* inne czasopismo paryskie, poświęcone sztuce i literaturze: *L'Artiste, Revue de Paris, Beaux-Arts et Belles-Lettres*. W VI tomie tego pisma (IV Série, 15-e livraison, No. du 14 juin 1846) na str. 240 mamy nasz artykuł z nagłówkiem: *Fragment sur la Peinture*. Było w tym przedruku myśli naszego wieszczka piękne uznanie Francuzów dla uwag poety o malarstwie. Nie tak skwapliwi, jak Francuzi, pozwoliliśmy długie lata przeleżeć myślom Adama w zapomnianem i nieznanem dziś czasopiśmie francuskim¹⁾. A przecież myśli te o sztuce, jakkolwiek fragmentarycznie rzucone, godne są uwagi naszej, już choćby z tego

¹⁾ Wprawdzie pojawił się w r. 1837 w I tomie *Pamiętnika Naukowego* w Krakowie artykuł p. t.: «O malarstwie religijnem», ale bez żadnego podpisu ani w tekście, ani w spisie rzeczy. Nikt nie mógł się wówczas domyśleć, że to przekład artykułu Mickiewicza. Ob. Chmielowski: *Materyały do bibliografii Mickiewiczowskiej*. R. VI *Pamiętnika Tow. im. Mick.* we Lwowie, 1898 r., str. 557.

tylko względu, że na wyobrażenia estetyczne poety jasne rzucają światło. Napisał je poeta w najlepszej epoce, niedługo po *Panu Tadeuszu*, na krótko przed dramatami francuskimi, pisał w ciszy domowej, niby na wsi... (Kor. I, 153).

Ale myśli te o malarstwie religijnem nie powstały dopiero w r. 1835 w Paryżu. Początek ich i źródło — we Włoszech, w Rzymie, w owych pierwszych wrażeniach wspaniałych pomników sztuki, zwiedzanych gorączkowo przez poetę. Kilka wyjątków z listów Mickiewicza najlepiej usposobienie jego ówczesne określi.

Dnia 2 lutego 1830 r. pisze z Rzymu Mickiewicz do Fr. Malewskiego między innymi: «Muzea i galerye zwiedzam, których ogrom głowę zawraca. Przed wiosną nietylko pisać, ale i myśleć nie zdołam». Tymczasem już w dwa miesiące potem, pisze do Józefa Jeżowskiego: «Otwierają się powoli zmysły moje dla sztuk, które oceniać i rozewnać poczynam. Pomaga mi wiele jeden artysta Polak, Stattler, którego zdania przemawiają do mnie i wzbogacają mnie; wszystkie galerye z tamtej strony Alp są dzieciństwem... Natchnienia poetyckiego nigdy nie miałem, zamroczony i rozerwany mnóstwem przedmiotów, które się nieprędko skryształizują i w warstwy ułożą. Muszę też na papier wyrzucić część teoretycznych a raczej praktycznych myśli o sztuce już gotowych». (Kor. IV. 112, kwiecień 1830 r.).

Myśli owych nie spisał jednak wówczas poeta. Przyczyny łatwo się domysleć. Wskazuje ją Mickiewicz w liście do Stattlera, pisanym w rok po liście do Jeżowskiego: «Stracę może u ciebie łaskę, kiedy się przyznam, że mię mokry arkusz niemieckiej brudnej gazety więcej teraz zachwyca, niż wszystkie *Vinci i Rafaele...*» (Kor. I. 82).

Dziadów część trzecia, a potem *Pan Tadeusz* i znowu dalsze, niestety zagubione urywki *Dziadów* odwróciły myśli poety w inną stronę. Dopiero 29 października 1835 r. tak się Mickiewicz tłómaczy poniekąd przed Odyńcem: «Nic też prawie tego roku nie zrobiłem, oprócz kilku kawałków po francusku. Jeśliś ciekawy, a znajdziesz gdzie *Revue du Nord*, jest tam mój jeden artykuł o malarstwie i drugi anonim: *La semaine de miel d'un conscrit*».

Równocześnie donosi Odyńcowi o książkach przeczytanych, które zachwala przyjacielowi; były to dzieła Saint-Martina i wizye mniszki: *Das bittere Leiden Jesu Christi*, «najwznioślejsze poema» zdaniem Mickiewicza.

Mickiewicz, który w lutym r. 1834 zapowiadał Odyńcowi, że «nigdy już pióra na fraszki nie użyje», przebywał w r. 1835 i następnych ważne duchowe przesilenie.

W grudniu r. 1834 powstało przy udziale czynnym poety w Paryżu stowarzyszenie religijne Braci Zjednoczonych. Dało ono znamiennej nastrój my-

słom i pracom Mickiewicza. Myśl wyrażona przełotnie w lutym r. 1834 (w liście do Odyńca), że poeta już nigdy pióra na fraszki nie użyje, myśl ta powraca w liście do Kajsiewicza (paźdz. 1835 r.), ale rozwinięta i uzasadniona: (Kor. I, 156) «Zbyt wiele pisaliśmy dla zabawy, albo celów zbyt małych. Przypominaj proszę te słowa Saint-Martina: *On ne devrait écrire des vers qu'après avoir fait un miracle.* Mnie się zdaje, że wróca czasy takie, że trzeba będzie być świętym, żeby być poetą; że trzeba będzie natchnienia i wiadomości z góry o rzeczach, których rozum powiedzieć nie umie, żeby obudzić w ludziach uszanowanie dla nauki, która nadto długo była aktorką, nierządnicą, lub polityczną gazetą. Te myśli często budzą we mnie żal i ledwie nie zgryzołę; często zdaje mi się, że widzę ziemię obiecaną poezji, jak Mojżesz z góry, ale czuję, że nie godzien zejść do niej...» Zupełnie to samo zapatrywanie na sztukę, tylko w obszerniejszym uzasadnieniu swych myśli, rozwinął Mickiewicz w artykule: *De la peinture religieuse moderne des Allemands.* Jeszcze raz echo tego artykułu powraca w liście Adama do Stättlera z d. 25 marca 1836 r.: «Powiadano nam, że miałeś zamiar udać się znowu zagranicę i Paryż odwiedzić. Trudno zgadnąć, dlaczegobyś przedsiębrał tę podróż, bo znasz lepiej ode mnie lichy stan sztuki w tym kraju; ale nigdy się nie domyślił, do

jakiego stopnia spodlenia moralnego przyszli tu artyści i jak wszystko stało się tandetą i kramką kupiecką.

Że wreszcie Mickiewicz miał, jak się zdaje, dalszy ciąg artykułu o malarstwie, którego nie drukował, można wnosić z innego listu do Stattlera (bez daty, najpóźniej z r. 1838): «Jeśli mnie dasz znać o sobie, przesłę ci także moje plany i marzenia malarskie, z których zrobisz, co ci się podoba. Szkoda, żeś nic nie przysłał na ekspozycję do Paryża; pomyśl o tem na rok przyszły».

«Kilka lat temu nie warto było pokazywać twojej roboty Paryżowi, boby się na niej nie poznano; ale teraz zachodzi wielka odmiana w sztuce. Już Overbeck i Cornelius uznani za pierwszych mistrzów; już szkoły düsseldorfskiej próby zajęły bardzo tutejszą publiczność, a chociaż dziennikarze nie oddali im należnej sprawiedliwości, przecież artyści zaczynają poznawać, że tylko malarstwo chrześcijańskie ma przed sobą przyszłość, a inne rodzaje są tylko zabawką...»

Nie te górują dziś w malarstwie zapatrywania, nie tym artyści dzisiejsi hołdują przekonaniom, jakie Mickiewicz w r. 1835 miał o malarstwie. Niech odpowiedniejsze od mego pióro wyda sąd o tych pomysłach estetycznych autora *Dziadów*. Mnie niech tylko wolno będzie stwierdzić, że i w naj-

nowszej krytyce historycznej dzieł sztuki odezwał się poważny głos, dziwnie zgodny z pojęciami naszego wieszcz. Antoni Springer, niepospolity krytyk i wytrawny znawca dzieł sztuki, po 35-letnich sumiennych studyach, po wszechstronnem rozejrzeniu się w arcydziełach sztuki minionych wieków i dzisiejszej doby, temi słowy kończy uwagi swe o sztuce XIX wieku:

«Nastawać na to tylko, aby obraz był technicznie doskonały i wywoływał zewnętrzny efekt — znaczy to wyprzeć sztukę z życia umysłowego narodu i wydać ją na pastwę miłośników chciwych wrażeń. Niektórzy twierdzą, że jedynie możliwem, jedynie godnem zadaniem sztuki jest: malować naturę i człowieka w jego zmysłowym bycie. Poszczególne kierunki naszego życia umysłowego sprzyjają takiemu zapatrywaniu. Ale gdzie niemasz Bóstwa, tam rychło jawią się duchy i upiory...»

ADAM MICKIEWICZ.

O nowszem malarstwie niemieckiem religijnem.

Rzut oka na upadek malarstwa chrześcijańskiego. — Przewaga ducha pogańskiego w sztuce. — Reformacya Lutra. — Pierwsze objawy renesansu. — Szkoła Davida Cammucini'ego.

Malarstwo chrześcijańskie przechowało aż do czasów Leona X charakter duchowy, równie daleki od zmysłowości starożytnych, jak od mechanizmu nowoczesnych fabrykantów obrazów. Wiadomo, że pobożni malarze średniowieczni nie uważali bynajmniej sztuki swej za rzemiosło; zdaniem własnem i ogółu spełniali urząd do pewnego stopnia kapłański. Natchnienie czerpali w modlitwie, pomysłów do obrazów szukali w ewangelii, a modelów w świecie nadziemskim. Otóż ewangelia była wtedy historyą powszechną i prawem pospolitem ludów. Istniał zatem czuły i stały związek między artystami a ludem, skoro i artyści i lud

w tejsamej wychowali się wierze i w tychsamych tradycjach wzrosli. Owe niezliczone głowy Chrystusa, utworzone przez malarzów przeróżnych krajów i talentów, uznawano wszędzie i czczono, bo wszystkie miały, mniej lub więcej, ten sam charakter Boski i ewangeliczny ¹⁾. To też powszechnie wierzone, że obrazy te były kopiami jednego, autentycznego i cudownego obrazu ²⁾. Anioły unoszące się ponad ołtarzami i pod kopułami tumów, nie były utworem dziwacznej fantazyi; one wyrażały w oczach ludu rzeczywistość istotną. Nie będąc podobnymi do ludzi śmiertelnych, były one podobne jedne do drugich: wszystkie miały cechy niebian, wspólne rysy niebiańskiej rodziny; kształty, ruchy, figury tych nadziemskich istot były zupełnie zgodne z tem pojęciem, jakie sobie lud prosty o nich wyrobił z opowiadań ewangelicznych, z legend i z Dantego. Jak się udało artystom przedstawić takie pojęcie? Czy przeczuli ów świat ziemski, czy może go zwiedzili? Jakże to było możliwem nakreślić podobne kształty, nie widziawszy ich pierwwej w zjawieniu? Powszechnie mówiono wówczas o zjawieniach, widzeniach — wierzone w nie. Nic zatem dziwnego, że gmin chrze-

¹⁾ Por. uwagi Lavatera o głowach Chrystusa.

²⁾ Tradycya przypisywała ten obraz pędzlowi św. Łukasza, który stał się patronem sztuki.

(Wszystkie przypisy są pióra Mickiewicza).

ścijański oddawał sztuce takiej część tej czci, jaką otaczał Boga i Świętych swoich. Niezdolny osądzić stronę techniczną obrazu, gmin, uduchowiony przez religię, odczuwał to, co jest najwznioślejszem w sztuce: ideę obrazu, jego cel i doniosłość.

Tymczasem, dzięki współzawodnictwu malarzy, strona techniczna robiła szybkie postępy; niebawem zdawało się, że sztuka osiągnęła pod pędzlem Rafała sam szczyt doskonałości. Arcydzieła tego wielkiego mistrza są uważane za wzory sztuki chrześcijańskiej.

Równocześnie jednak zaczęła się ogólna reakcja przeciwko duchowi średnich wieków i ich dziełom, to jest przeciw chrystyanizmowi. Różne przyczyny, działające razem na opinię ogółu i upodobania malarzów, wzniciły w jednolitej dotychczas sztuce żywioły różnorodne a rozkładowe.

Już głowy Kościoła, który stał się panem świata, poczęły ulegać wpływowi swego wysokiego stanowiska. Usadowieni na ruinach Kapitolu, z widokiem pomników wielkości pogańskiej, zapragnęli papieża umieścić Boga w świątyni, godnej Jowisza, otoczyć swój tron świetnością konsulów i imperatorów. Już używali pieniędzy chrześcijańskich na ten cel światowy; wnet się zwrócili ku talentom chrześcijańskim. Malarze wyszli tłumnie z zakonów i bractw, przenieśli swe pracownie do pa-

łaców papieży, kardynałów, książąt — i sztuka zaczęła się sekularyzować.

Podziw dla zabytków starożytności, głoszony przez papieży, wzniecony przez uczonych i erudyty, stał się modą, monomanią stulecia. Przepłacano, odnawiano, szukano posągów i płaskorzeźb.

W tym celu uprzątano ruiny świątyń i cyrków, otwierano grobowce. Wywoływano ducha pogaństwa, i duch pogaństwa postuszny był nowym czarodziejom. Nieznacznie zjawił się znowu na wzgórzach i ulicach Rzymu cały Olimp z marmuru i bronzu, cały tłum posągów. Dwa światy, dwie sztuki stanęły przeciw sobie, gotowe do walki. Sztuka chrześcijańska z niebios, zda się, zstąpiła, jak nowe Jeruzalem, niesiona przez aniołów i świętych — rozszerzała się po ziemi; zanim ją jednak pokryła, pogańska sztuka zmartwychwstała, z otchłani wyszła nakształt potworu o stu głowach bogów, nimf i półbogów.

Ci bogowie, tacy dumni i tacy piękni, obnażając swe ciała jędrne, tworzyli dziwne przeciwieństwo z przezroczystymi a leciuchnymi kształtami aniołów i świętych. Te nimfy i półbogi, w całej swej zmysłowej piękności i muskularnej sile, zdawały się kusić i wyzywać czystość dziewic chrześcijańskich, męczenników pokorę i ascetyczną chudość zakonników.

Tak bogate wykopaliska, przedmioty tak nowe, ściąły ku sobie wzrok, czarowały wyobraźnię. Michał Anioł, którego posępna i dumna dusza odczuwała silnie pogańską starożytność, nie mógł już oderwać wzroku od oblicza Jowisza, od torsu Herkulesa ¹⁾. Stał się, naprzekór samemu sobie, naśladowcą Greków. Rafael, więcej wrażliwy i czulszy, ale też słabszy i bardziej zmysłowy, zachwycił się Apollinami i Wenerami. Pod wpływem tego przejęcia się zmienił dawniejszy swój sposób malowania. Starał się nadać formom więcej krągłości i miękkości, kolorytowi więcej blasku. Zapomniał zwolna nauk owego czystego i spokojnego ducha, który natchnieniem go darzył w pracowni Perugin'a i w klasztorze Sieny. Ani słowa — wydoskonił techniczną stronę malarstwa, stworzył obrazy, tryskające życiem i prawdą, prawie że namacalne, tylko prawda ta była coraz bardziej materyjalną. Jego Madonny nabrały wyrazu Fornariny, a jego apostołowie wyrazu filozofów greckich.

Obok Rzymu, Rzeczpospolita Wenecka wza-
stała w potęgę, jaśniała bogactwem i przepychem. Ten potrójny charakter Wenecyi, wywarł swój wpływ na jej pomniki. Artyści wśród miasta swobodnego a zmysłowego, zasmakowali w polityce

¹⁾ W podeszłych latach wyrzucał sobie gorzko wielki artysta swoje bałwochwalstwo przed złotym (jak go nazywał) ciecem. Por. jego *Sonety*.

i w zabawach. Zaniedbali Ewangelię dla historii krajowej i współczesnej. Na obrazach w Palazzo Ducale czapka doży dominowała w grupach historycznych i zastępowała krzyż. Portrety wielkich panów i pięknych pań wtargnęły do obrazów ze Starego i Nowego Testamentu; złotogłów i jedwabne szaty okryły ciała świętych i wydały się bardziej malowniczymi, niż proste sukno dawnych mistrzów. Wenecja tym sposobem stworzyła obrazy historyczne, rodzaj pośredni między sztuką religijną a malarstwem, które zwą niewłaściwie rodzajowem.

Podczas gdy duch pogaństwa nurtował zcicha grunt rzymski, i kiedy duch miejscowy włoskich miast mięszał swe natchnienia do natchnień Ewangelię, inny, nierównie groźniejszy wróg godził na średnie wieki z tamtej strony Alp. Był to duch reformacyi, który podobien smokowi św. Jana, spadł nagle na Niemcy, «paląc połowę ziemi i zaturwając źródła połowę». Reformacya zniszczyła poezję obrzędów religijnych; przecięła kanały, które żywiły sztukę, łącząc ją z niebem. Odtąd artyści mieli opuścić świątynię.

Rozproszeni po świecie, jedni błądzili w polach i lasach, podpatrując i naśladowując naturę martwą (peizaż); inni zakładali swe pracownie na placach i targach, i pracowali dla zabawy bogatych mieszczan i kramarzy (szkoła flamandzka). Kilku we Francyi było na żoździe dworaków i zalotnic,

a przy ich boku parało się rzemiosłem niskiem, które miało w sobie coś z dworactwa i z tapicerstwa. Był to ostatni stopień upadku malarstwa. Sztuka, jak ewangeliczny syn marnotrawny, opuściwszy Kościół, dom ojcowski, bawiła czas niejaki na wielkim świecie, ale wnet zstąpiła do szynków i dobiła się wreszcie w domach rozpusty.

Byłoby długą i żmudną rzeczą przechodzić wszystkie działy tej historii. Nieraz zatrzymywała się sztuka w ruchu zstępującym, nieraz próbowała się podnieść. Były dobre głowy, sumienne talenty, które czuły zło i usiłowały mu zapobiedz. Ale zamiast szukać przyczyn zła w osłabieniu zapału religijnego, oni szukali tych przyczyn w wadliwości metody i w braku techniki dzisiejszej. Przeświadczeni o niższości współczesnych malarzy pod tym względem, zwrócili się ku arcydziełom wieku Leona X. Z tych arcydzieł zrobili oni przedmiot studyów, że tak rzekę, anatomicznych i alchemicznych. Cyrklem rozmiarowali rysunki Rafaela, badali przez lupę pociągnięcie pendzla Vinci'ego, analizowali w tygielku farby szkoły weneckiej. Dla wskrzeszenia sztuki, zamiast ożywić ducha, oni lepili (*replâtrer*) formę. Stąd poszedł ów eklektyzm śmieszny, któremu się uroiło, że potrafi połączyć w jednej i tejsamej kreacyi rozmaite zalety Rafaela, Tycyana i Correggia; stąd owe cudaczne systemy grup, które jedni chcieli układać

w trójkąty, a drudzy woleli urządzać w kształcie winogron; stąd to wreszcie owe tomowe przepisy o wyborze modelów, o kostymie i kolorycie lokalnym, o architekturze i t. d.

Artyści tej nowej szkoły uczyli malarstwa tak, jak retorzy, którym się zdaje, że uczą swych uczniów poezji. Zbadali oni, zgłębili, wyuczyli się wszystkich składowych części sztuki, posiadli wszystkie jej tajniki, ale geniuszu twórczego im brakło. Rafael Mengs może być uważany za typ owych eklektycznych artystów.

August Schlegel stosuje do nich tę naukę ewangeliczną: «Znajdźcie wprzód Królestwo Niebieskie (natchnienie, idee), a ziemskie dobra (metoda, styl) będą wam później dane».

Rewolucye artystyczne dokonywały się zbyt wolno i w sferze zanadto wysokiej, aby lud mógł ich przyczyny zgłębić; ale on odczuł wnet ich skutki. Dostrzegł on złych tendencyi sztuki i przestał ją szanować. Ten sam lud, który uwielbiał niegdyś Madonny starego Cimabue, który korzył się w zachwycie przed Madonnami Giotta, ten lud włoski taki żywy i taki wrażliwy, stanął zimny i niewzruszony przed utworami Carracchi'ch, Allorich, Guida i Guercina. A przecież nie zatracił on poczucia sztuki, z uporem strzegł w kościołach arcydzieł Rafaela i Correggia, gotów był z bronią w ręku niedopuszczać ich zabrania; ale ten lud nie dbał wcale o nowsze utwory. Widział w nich same

obce i niezrozumiałe sceny, figury pogańskie i barbarzyńskie; nie poznawał już w tych obrazach swej Ewangelii. Ani tytuły szumne, jakimi ozdabiano artystów, ani pochwały i zachęty, szczerze im udzielane przez papieży i uczonych, nie zdołały zrehabilitować malarstwa w oczach tłumu. Wielkie jury ludowe wydało swój werdykt: uznało nowe obrazy za to, czem były rzeczywiście — za przedmioty handlu, za sprzęty; pytano się o ich cenę i przechodzono dalej. Tak straciła sztuka, wypierając się ducha ewangelii, cały swój wpływ moralny, całą swą popularność.

Tu zbliżamy się do nowego przełomu. Tak zwykłym w historii ludzkości nawrotem, sztuka stoczywszy się do ostatniego szczebla upadku, rozpoczęła dzwigać się w górę. Ta ostatnia reforma nie zrodziła się w szkołach; zdecydował o niej we Francji wielki przewrót polityczny, w Niemczech obudzenie się ducha religijnego.

Rewolucya r. 89, która wstrząsnęła tak silnie duszą narodów, wywarła wnet wpływ swój na utwory artystyczne. Mówiono wtedy we Francji o prawie przyrodzonym, o społeczeństwie pierwotnem, o prostocie starożytnej; i sztuka też musiała się zbliżyć do natury. David, gorący republikanin i wielki wielbiciel starożytności, zwrócił się ku staremu Rzymowi. Nie znajdując pomiędzy współczesnymi sobie modeli na swych trybunów i konsulów, szukał ich w muzeach i na scenie.

Otóż statuy i aktorowie, służący za modele Davidowi, mieli więcej prawdy i życia, niż ich można było znaleźć w malarstwie starej szkoły, z jej kupidynami o kołczanach herbowych, z pasterzami w perukach i nimfami w dworskich sukniach. David wyprowadził sztukę ze sfery codziennego życia prozaicznego, wyniósł ją na szczyt malarstwa historycznego; pozostawał tylko krok jeden do utworzenia malarstwa religijnego.

Na nieszczęście upadek wolności powstrzymał nagle polot tego śmiałego malarstwa demokratycznego. Sztuka ponownie straciła swoją ideę-matkę, swój dogmat rodzajny; stała się zabawką modną. Jakaś zachcianka pierwszego konsula, jakiś romans modny, zwycięstwo wielkiej armii lub przedstawienie świetne w Operze, stwarzały nowe rodzaje malarstwa, dostarczały artystom przedmiotu i modeli. Malarstwo nabierało kolejno charakteru ossianicznego lub żołnierskiego, anakreontowego lub romantycznego, mieszczańskiego lub proletaryuszowego. Każdego dnia powstawało nowe imię i nowa szkoła, żyjące tak długo, jak jeden fejleton i jedno ministerium.

Tymczasem wojska francuskie, idee polityczne i artystyczne Francuzów weszły do Włoch.

Jest faktem, że malarstwo włoskie, nawet w dobach najsmutniejszych swego upadku, nie upadło tak nisko, jak malarstwo flamandzkie i francuskie. Malarstwo włoskie zachowało zawsze pewną tra-

dycyjną godność, jakiś rodzaj przyzwoitości; ale pozbawione zapału, a co za tem idzie, siły życia, nie byłoby nigdy pochwyciło wątku dawnej spuścizny bez pomocy obcej. Umysty, które ożywiły Włochy, przysły z drugiej strony Alp, z Francji i z Niemiec. Tak powstała szkoła Cammucinięgo, a później szkoła lombardzka, rzekomo romantyczna ¹⁾.

Cammucini jest najślawniejszym, a prawdopodobnie ostatnim przedstawicielem szkoły polityczno-historycznej. Przeszedł Davida ilością i bogactwem swoich utworów, dokładnością swych rysunków i blaskiem kolorytu. Wydobył wszelką możliwą treść z idei Davida i rozwinął wszystko, co się tam w zarodku znajdowało; można powiedzieć, że wyczerpał swój rodzaj. Ale pomimo całego swego talentu i wszelkich wysiłków, nie wywarł on żadnego wpływu na lud; w końcu znużył nawet dyletantów. By zrozumieć liczne jego obrazy i szkice, trzeba znać Liwiusza i Tacyta, a lud nie troszczy się o annały; miłośnik sztuki, uderzony zrazu wartością obrazów, dziwi się rychno jednostajności przedmiotów i środków artystycznych. Są to zawsze Rzymianie, zawsze senatorowie i plebejusze, rozstawieni w grupach teatralnych, zawsze w togach elegancko ułożonych,

¹⁾ Pomówimy później o tej szkole Medyolańskiej.

zawsze uzbrojeni w nosy orle, wzrok srogi i szty-
let, zawsze zabijający lub zabijani.

Cammucini próbował sił swoich w rodzaju
religijnym z wielkiem powodzeniem, ale nie oka-
zał tu żadnej samodzielności i pozostał eklekty-
kiem.

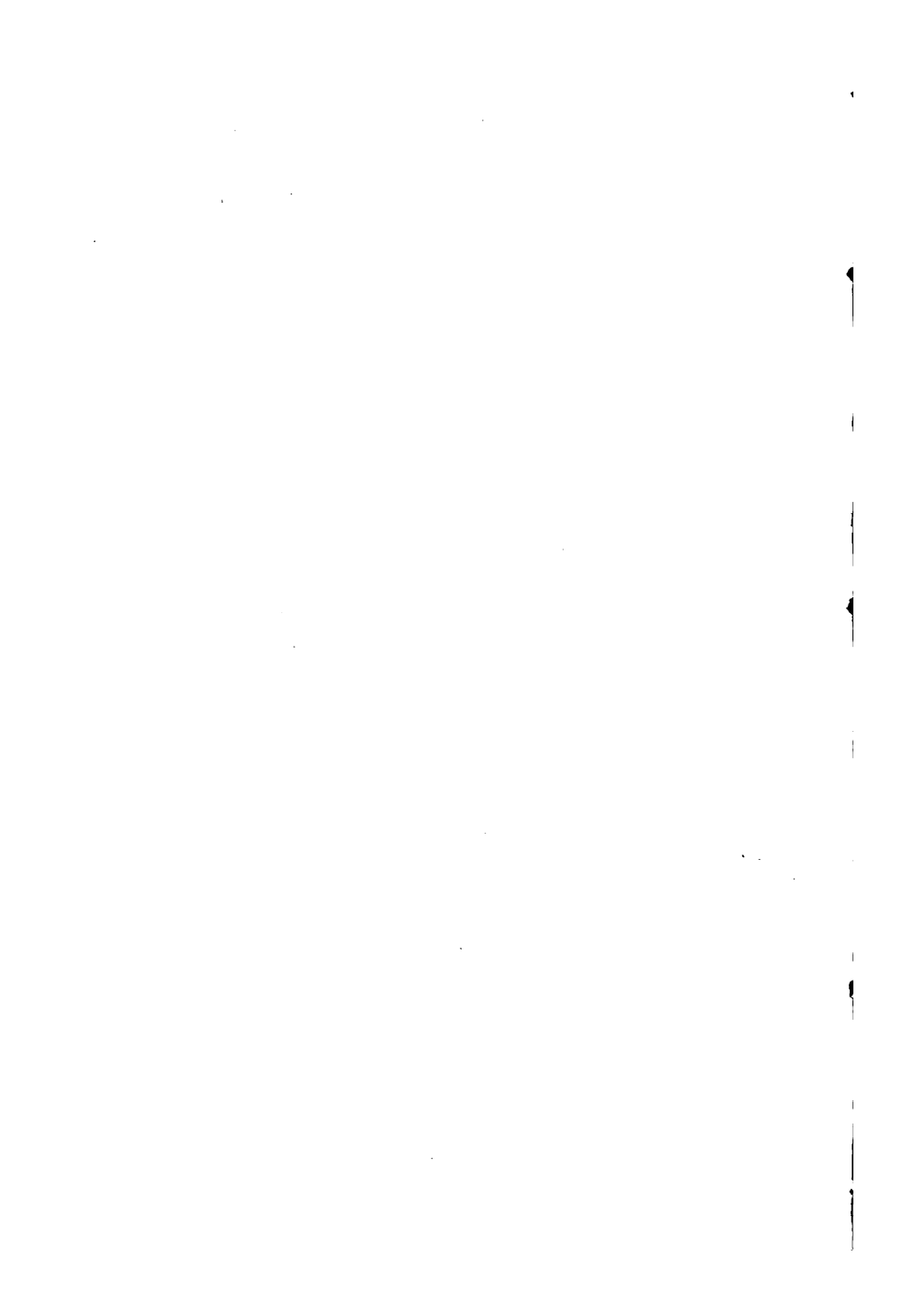


THE
LIBRARY OF THE
MUSEUM OF MODERN ART
1900 AVENUE OF THE AMUSEMENTS
NEW YORK, N. Y. 10022

VI.

SŁUCHACZ MICKIEWICZA





Z początkiem listopada r. 1898 wyjechałem do Lozanny, aby porozumieć się ostatecznie z rektorem tamtejszego uniwersytetu, panem Renevier, w sprawie obchodu Mickiewiczowskiego i umieszczenia tablicy pamiątkowej. Chodziło przede wszystkim o szczegółowe oznaczenie miejsca dla tej tablicy. Mury stare byłej Akademii, poprzecinane u dołu szerokimi oknami, nie nadawały się do symetrycznego umieszczenia tablicy pamiątkowej; korytarze zaś schodowe są wąskie i ciemne. Z obrad naszych wynikło, że na razie najstosowniejszem dla tablicy pamiątkowej miejscem byłaby sala wykładowa Mickiewicza. Rektor Renevier chciał przeszukać archiwalne papiery, aby z nich dowiedzieć się na pewno, w której sali Mickiewicz wykładał. Ale rychlej od dokumentów urzędowych rozstrzygnął kwestyę jeden z ostatnich żyjących jeszcze słuchaczy Mickiewicza w Lozannie, ho-

norowy profesor tamtejszego uniwersytetu, p. Herminjard.

Poznałem prof. Herminjard'a dzięki uprzejmemu pośrednictwu p. Józefa Orpiszewskiego, inżyniera kolei Jura-Simplon, urodzonego w Lozannie i znającego wybornie wszystkie miejscowe stosunki. Razem z p. Orpiszewskim udałem się do prof. Herminjard'a, który przyjął nas z ujmującą prostotą i gościnnością. Był to starzec słusznego wzrostu, krzepki, mimo lat ośmdziesięciu, które obieleły mu gęstą czupryną i brodę, ale nie zdołały zagasić bystrości przenikliwego wzroku, jakim bada przybyszów. Dr A. L. Herminjard, to jedna z chwał lozańskich, wyborny znawca dziejów Szwajcaryi romańskiej i znakomity wydawca monumentalnej publikacji: korespondencji reformatorów narodowego helweckiego kościoła w w. XVI. Poważne, długoletnie studia nadały rysom starca pewną surowość, przypominającą wizerunki Kalwina.

Zaczęliśmy mówić o Adamie Mickiewiczu. Prof. Herminjard z góry uprzedził, że licznych wspomnień o poecie naszym nie ma; kiedy Mickiewicz był profesorem łaciny w Lozannie, p. H. był młodziutkim praktykantem w tamtejszej bibliotece uniwersyteckiej i nieśmiało zbliżał się do człowieka, otoczonego aureolą sławy i cierpienia. Ale na wykłady jego pilnie uczęszczał i oto szczegóły, jakie sobie dokładnie przypominał:

Mickiewicz wykładał po południu w sali t. zw. «teologicznej», która do dziś zachowała to miano. Na wykładach Mickiewicza bywał w sali ścisk (*salle comble, on y était serré*), słuchacze nie notowali wykładów, bądź to dla ścisku, bądź dlatego, że woleli słuchać ognistej wymowy, która wywierała olbrzymie wrażenie. P. Herminjard doskonale przypomina sobie lekcję o Prudencjuszu, znane skądinąd szczegóły o siepaczach rzymskich, znęcających się nad dziećmi pierwszych chrześcijan, szczegóły tak straszne, że wzruszony Mickiewicz przestał mówić, a słuchacze z zatamowanym oddechem odczuli, odgadli duszą, co się działo wówczas w sercu poety.. Mickiewicz mówił dobrze po francusku, a czasem nadawał zwrotom swym osobny przysmak cudzoziemczyzny. Sędziwemu słuchaczowi wyrывał się okrzyk podziwu dla genialnej pamięci profesora-poety. Długie ustępy z listów Cycerona przytaczał Mickiewicz z pamięci.

Akademia lozańska nie miała wówczas wielu studentów rzeczywistych. Ścisk na wykładach Mickiewicza tem się objaśnia, że na jego prelekcye przychodziło dużo osób z miasta: urzędników, inteligencji i t. d.

P. Herminjard przypomina sobie wieczór, spędzony w towarzystwie Mickiewicza. Było to u profesora literatury niemieckiej, Nesslerera, który widocznie na cześć polskiego poety wydał wieczór.

Towarzystwo było przeważnie niemieckie. Oczekiwano przybycia Mickiewicza. Nadszedł — ale w jakimże stanie? Nessler mieszkał w domu nowym, przy nowej niebrukowanej drodze. Mickiewicz, nie znając dobrze drogi, natrafił na kałużę i wszedł do salonu z przemoczonymi nogami, zabłocony do kolan. Oczywiście nie mógł być w najlepszym humorze. Napróżno uprzejmy gospodarz deklamował z zapalem wyjątki z przekładów niemieckich poezji Mickiewicza: zgromadzeni Niemcy wykrzykiwali z zapalem: *prächtig!! wunderschön!!* — ale Herminjard miał to wrażenie, że Mickiewicz był smutny. Podano herbatę i grano następnie Mickiewiczowi Beethovena. Muzyka dopiero rozruszała go i lepiej usposobiła. Oto szczupła wiązanka wspomnień z przed lat 60! Prof. Herminjard zadumał się o czasach swej młodości, widocznie szukał jeszcze i badał sam siebie, ale nic więcej powiedzieć nie mógł. Wszedł nowy gość, rozmowa przeszła na Włochy, dokąd się starzec na zimę wybierał. Zaczęliśmy się żegnać. Z rozrzewnieniem, nie wolnem od zazdrości, patrzałem na prof. Herminjarda: on go jeszcze słyszał i podziwiał, był jego słuchaczem! ¹⁾

¹⁾ Żył jeszcze wtedy czterej inni słuchacze Mickiewicza w Lozannie, ale nic ciekawego nie mieli do powiedzenia o naszym geniuszu. Są to pp.: J. L. Galliard, Berney, b. radca stanu i pastorowie Blanchard i Cordey.

Od słuchacza podążyłem wprost do sali wykładowej Mickiewicza. Trzeba było czekać, bo odbywał się właśnie jakiś wykład. Nareszcie dostałem się do sali «teologicznej». Na pierwszy rzut oka stwierdziłem z przyjemnością, że się tu nic od czasów Mickiewicza nie zmieniło. Tylko starości patyną powlokły się ściany, dziś ciemno-zółte; też stare ławy studenckie, amfiteatralnie ku ścianom się wznoszące, i — katedra, katedra Mickiewicza, charakterystyczna, zwyczajem tutejszym wysoko wzniesiona nad audytorium, rodzaj ambony, do której po schodkach wchodzić trzeba. Teraz lepiej rozumiemy słowa poety, wyrzeczone do przyjaciela lozańskiego, Justa Olivier'a, w chwili, gdy wstępował na katedrę przed pierwszym swym wykładem:

Il me semble, que je monte à l'échafaud.

Tutaj to, obok tej katedry, wmurowano tablicę pamiątkową z medalionem brązowym poety-profesora. Trudno o lepsze miejsce. Gdyby nie rury dla gazowego oświetlenia, konieczny dowód nowszych czasów, możnaby mieć złudzenie, że Mickiewicz wejdzie do tej sali, i że z katedry wykładowej przez stare okna spojrzy na majestatyczny Leman, daleko w dole migocący w promieniach słońca, kędy

Nad wodą wielką i czystą
Stały rzędami opokl...

I czy nie na tej to katedrze zrodziły się owe
rzewne strofy:

Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada,
W oczy zagląda i głośno zagada:
Dusza wówczas daleka, ach, daleka!
Błąka się i narzeka, ach, narzeka!

* * *

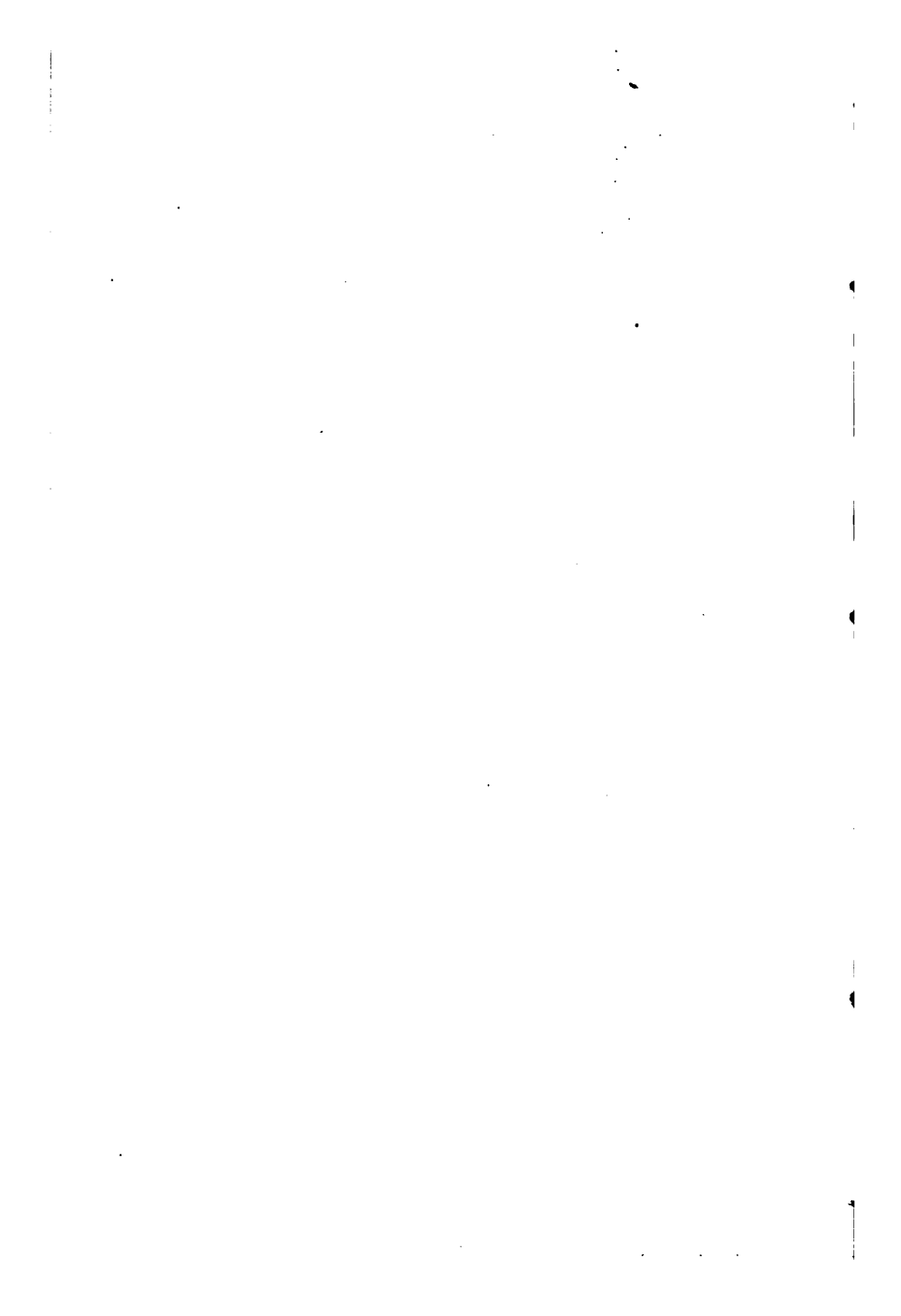
Jest u mnie kraj, ojczyzna myśli mojej,
I liczne mam serca mego rodzeństwo,
Piękniejszy kraj, niż ten, co w oczach stoi...

Wiadomo, że uroczystość wręczenia tablicy pamiątkowej Mickiewicza uniwersytetowi lozańskiemu odbyła się z wielką uroczystością wśród tłumu gości zblizka i z daleka, w sali sejmowej kantonu wodejskiego w setną rocznicę urodzin poety ¹⁾. Imieniem rządu kantonalnego dziękował radca stanu Virieux, a rektor uniwersytetu, znany geolog, Renevier, zapewniał, że po wybudowaniu nowego

¹⁾ Szczegółowy opis obchodu znajduje się w broszurze p. t.: *Uroczystość Mickiewiczowska w Lozannie* d. 24 grudnia r. 1898. *Sprawozdanie Komitetu Paryż*, 1899. (G. Gebethner i Ska w Krakowie).

gmachu uniwersyteckiego (mającego się wznieść kosztem milionowego zapisu Rosyanina, Gabryela Riumina), tablica pamiątkowa z medalionem Adama Mickiewicza znajdzie honorowe miejsce w nowej auli uniwersyteckiej.

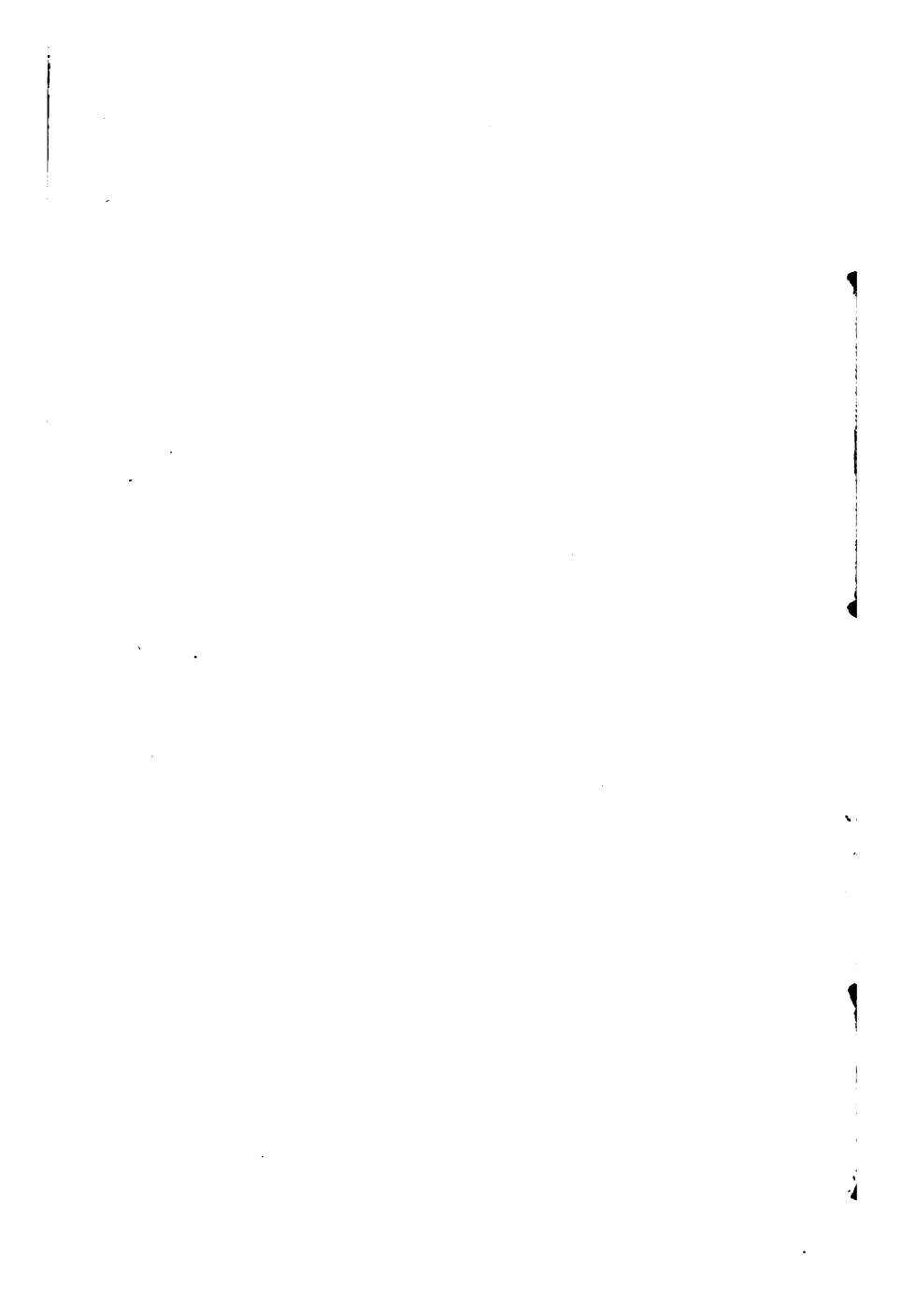




VII.

Z MŁODYCH LAT ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

STUDYUM PSYCHOLOGICZNE



«Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały». — Głęboką tę myśl okupił Zygmunt Krasński ciężkiem, osobistem doświadczeniem. Dojrzały w cierpieniach myśliciel orzekł o tej rzeźbiarce, o młodości, że cios jej dłuta jest «wieczno-trwały». Poznać zatem dokładnie młode lata Zygmunta Krasńskiego znaczy to wnikać w początki duchowe wielkiego poety i zrozumieć dzieje niezwykle wewnętrznego jego rozwoju.

Od lat kilku badanie tej młodości stało się możliwem.

Do niedawna jeszcze nie można było rozwikłać następującej zagadki psychologicznej: jakim cudem autor *Grobu Reichstalów* i *Władysława Hermana* mógł po przez «Agaj-Hana» przedzierzgnąć się w genialnego twórcę *Nieboskiej Komedyi*? Przeskok zdawał się zupełnie dziwnym, niezgodnym z prawami ewolucyi duchowej. Cokolwiek się bowiem kładło na szalę anormalnych, wyjątko-

wych u geniusza zdolności, zagadka pozostawała zagadką.

Nie mamy pretensji do całkowitego jej dziś rozwiązania. Chcielibyśmy tylko, wiedzeni pewną i silną nicią Aryadny, przejść jaknajkrótszą drogą przez ciemny labirynt duchowych tajników twórczości i z niepozornych początków literackich Zygmunta Krasińskiego przedostać się do tej pełni uczuć i myśli twórczych, która jest matką *Niebo-skiej* i *Irydyona*. Nicią Aryadny będą dla nas zwierzania poufne, szczerze, a więc pewne, samego poety. Przytem nieodzownem tu będzie współdziałanie łaskawych czytelników; ich pamięć musi przyjść z pomocą wywodom moim, które z konieczności będą bardzo krótkie i zwięzłe. Uzasadnienie bowiem wniosków, poparcie ich szczegółowe tekstami utworów Zygmunta Krasińskiego, zabrałoby nam o wiele więcej miejsca, niż go na razie mieć możemy. Najprostsza droga musimy więc zdążać do celu; wiadomo zaś, że proste drogi nie zawsze są najwygodniejsze.

* * *

Nad kolebką Zygmunta Krasińskiego w Paryżu świeciła gwiazda Napoleona I-go, w swem zenitowem przesileniu; nad jego trumną, w tymże Paryżu, błyszcząły także Napoleońskie gwiazdy, w pozornie trwałym blasku.

Niemowlęcy wiek spędził za granicami Księstwa Warszawskiego, dzieciństwo i młodość w świeżo utworzonym Królestwie Polskim; patrzył na kraj, powoli krzepiący się i odradzający z ruin wojen Napoleońskich. Chłopięce lata wystawione były na szereg wrażeń historycznych, często najsprzeczniej-szych, które wstrząsnęły tą bujną naturą, jak pierwsze burze rolą na wiosnę, i pobudziły ją do rychłej, zbyt rychłej twórczości.

W olbrzymim pałacu rodzicielskim rośnie dziecko jedyne, wątłe i poważne nad lata. Ma zaledwie trzy lata, a już zwraca na się uwagę. Widzi go po raz pierwszy księżna Czartoryska, Generałowa Z. P. d. 19 lutego 1815 r. (a więc w trzecią rocznicę urodzin) i tak o nim pisze w liście do swego małżonka:

«J'ai vu hier un autre genre polszczyzny, cobym była chciała ci przesłać. Jest to synek Krasińskiego, tego, co gwardie komenderował. Il a trois ou quatre ans. Noszą go po polsku, ale zupełnie tak jak Opaliński na portrecie w Sieniawie. Szarawary trochę na buciki spadają. Żupan bogaty, pas na żupanie i szuba na ramionach. Szabla, kołpak i seledec. C'est la chose du monde la plus extraordinaire et la plus gentille. Przednią ma do tego minę, i jak pierwszy raz kogo widzi, tak zaraz oświadcza, że jest Zygmunt Krasiński. Il a trois ans.»

W miesiąc niespełna potem odbiera Księżę Generał Z. P. nową o niezwykłym dziecku wiadomość:

«J'ai diné il y a quelques jours chez Krasiński qui a vraiment de belles choses en armures. Son fils qui n'a que trois ans habillé po staropolsku est vraiment une petite perfection, przedni chłopczyk, w żółtych botach, kontusz broczkiem sełedczyk i mina tęga. Sama Krasińska i grzeczna i dobra»¹⁾.

Ten przedni chłopczyk był jedynym łącznikiem trojga osób, które mało miały z sobą wspólnego: starościny opinogórskiej (surowej i arcy-poważnej siostry Tadeusza Czackiego) generała Wincentego Krasińskiego i nerwowej, słabowitej generałowej, która w r. 1822 odumarła 10-letniego Zygmunta. Smutek rozsiadał się w dużym, wspaniałym pałacu; dzieciństwo nie mogło być wesołe: tęsknota za matką, uczucie sieroctwa i samotności nurtoowało w dziecięcej duszy.

«Czemu, o dziecię, nie hasasz na kijku, nie bawisz się lalką, much nie mordujesz, nie tarzasz się po trawnikach?... Skąd czoło opierasz na rączkach białych i zdajesz się marzyć,

¹⁾ Listy Księżnej Generałowej do Księcia Czartoryskiego z d. 20 lutego i d. 17 marca 1815 r. — Wyjątki powyższe zawdzięczam życzliwej uprzejmości p. B. Biskupskiego, kustosa Muzeum im. Ks. Czartoryskich w Krakowie.

a jako kwiat, obarczony rosą, tak skronie twoje obarczone myślami?»

Póki żyła matka, dziecka wychowanie szło zapewne nierówno. Tej miary nauczyciel, co Józef Korzeniowski, niedługo tu zabawił i z wielkim żalem generała rozstał się z ośmioletnim Zygmuntem. Po nim objął ster wychowania Chlebowski, jak z dochowanych listów wnosić należy, człowiek bardzo świątły, obywatelskim ożywiony duchem, ale despotyczny, popędliwy i zbyt szorstki dla delikatnego, wątłego dziecka.

Nauka domowa miała na celu doprowadzenie chłopca do wyższych klas Liceum, a fenomenalne zdolności Zygmunta Krasińskiego z jednej, wielka ambicya generała z drugiej strony sprawiły, że nauka ta szła w dziwnie przyspieszonym tempie.

Generał oddał się całą duszą wychowaniu jedy-naka. Zygmunta Krasiński chętnie później opowiadał, że ojciec jego po zgonie generałowej nieraz długie poświęcał mu godziny. Zamykał się z nim w osobnym pokoju, tam opowiadał mu dzieje ojczyzny, wpajał w umysł jego wyobrażenia o obowiązkach obywatela, tam kazał sobie przysię-gać, że tym obowiązkom i uczuciom zawsze wierny pozostanie. Nie sprzeniewierzył się tej dziecięcej przysiędze syn.

W tych opowiadaniach mamy rozwiązanie zagadki późniejszego stosunku generała do syna i syna do ojca. To zamykanie się w pokoju, te

przestrogi i zaklinalnia były jakby szeregiem zwycięstw pokojowych generała nad wątlą i wrażliwą duszyczką chłopięcą. Wtedyto Zygmunt popadł, jeśli nie na zawsze, to na bardzo długo w zależność, że tak powiem, psycho-fizyczną od ojca.

Generał z dumą i radością patrzył na olbrzymie postępy dziecka w naukach. Jeszcze za życia matki miał ośmioletni Zygmunt sporą biblioteczkę, złożoną ze 172 tomów (polskich książek 39, francuskich 133 i jedna niemiecka).

Wśród polskich nie brakło oczywiście *Nowego Elementarza Polskiego z obrazkami, Gramatyki* Kopczyńskiego, był i *Świat Malowniczy*, ale było także 26 tomów *Wyboru Pisarzy Polskich* wydania Mostowskiego, dar Babki, a w nim arcydzieła naszej poezji i prozy dla użytku szybko rozwijającego się chłopca. Postępy jego były tak niezwykle, że generał, ulegając podszeptom próżności ojcowskiej, urządził we własnym domu na wielką skalę egzamin 12-letniego Zygmunta. Na tę uroczystość sprosił ojciec co najznakomitszego było wówczas w Warszawie. Młodziutki uczeń obudził nieklamany podziw tak obfitością nabytej nauki, jak niemniej żywością odpowiedzi. Postępy jego, zwłaszcza w językach, literaturze, historii i geografii starożytnych, przeszły wszelkie oczekiwania. Był to dzień prawdziwie uroczysty i radosny dla syna, dla ojca, dla przyjaciół rodziny. Po takim publicznym egzaminie nabrał Zygmunt nowego

bodźca do pracy, i rzec można, miary w niej nie miał.

Najcelniejsi nauczyciele, których mu generał dobierał, zdumieni byli niezwykłą pojętnością chłopca, jego pamięcią bez granic, nienasyconą żądzą nauki. Było to o tyle niebezpieczne, że łatwo mogło skusić pedagogów do nadmiernego próbowania sił chłopięcych; jakoż mamy dziś istotnie wrażenie, że wymagano od niego za wiele, zwłaszcza za wiele n a r a z od dziecka. Z docho- wanych zeszytów szkolnych Zygmunta Krasińskiego widać, że już w 13-tym roku życia tłumaczyć musiał ustępy z *Pamiętników* Niemcewicza na łacinę, przygotowywać się ze słownika grecko łacińskiego do tłumaczenia *Illiady*, tłumaczyć trudne ustępy polskie na język francuski, przerabiać ćwiczenia algebraiczne na zrównania pierwszego stopnia, słowem wymagano od 13-letniego malca tego, czemuby dzisiaj sprostał zaledwie bardzo zdolny uczeń piątej klasy gimnazjalnej. Następstwem tego było to, że dziecko nie miało czasu być dzieckiem, że przedwcześnie zaczęło myśleć, a myśli swe wy- rażać nie jak dziecko, ale jak dorosły. Ponieważ zaś naczytało się wyrażen górnych i stylu Księ- stwa Warszawskiego, więc też chodziło zrazu na szczydłach wyszukanych frazesów. Nic pod tym względem bardziej charakterystycznego, jak te na- pół dziecinne, napół chłopięce listy 13-letniego Zygmunta, które generał z prawdziwym pietyzmem

przechował. Od pierwszego zaraz, z d. 24 lutego 1825 roku, kreślonego z dziecinną starannością na liniach, mamy to wrażenie, że chłopiec naśladuje jakiś niedawno przeczytany zwrot klasyczny. Zaczyna się ten list tak:

«Przecież dzisiaj mróz czterostopniowy ścisnął *ślabemi* okow y błoto po ulicach; zamiast chmur czarnych piękny lazur nieba rozwesela oko, przyzwyczajone w terażniejszey zimie do posępnych widoków».

Od najwcześniejszego dzieciństwa da się u niego zauważyć styl retoryczny, z którym stanie do walki żywe poczucie natury i wielka na jej wdzięki wrażliwość. Tegoż 1825 r. wczesną jesienią odbywa Zygmunt Krasiński w towarzystwie mentora Chlebowskiego pierwszą swą większą podróż. Jedzie z Warszawy na Garwolin, Żelechów, Krasnystaw, Włodzimierz, Poryck, Beresteczko, Krzemieniec i Jarmolińce do Dunajowiec na Podolu, i na każdym popasie pisze pierwszy swój «Dziennik Podróży», notuje skrzętnie wrażenia. Trzynastoletni podróżnik zadziwia nas refleksyjnym nastrojem swych spostrzeżeń.

Tak np. w Okrzei (za Żelechowem) dziwi go, że domy drewniane prawie wszystkie się wałą, i dodaje:

«To miasto w połowie do dóbr Królewskich należy, a w połowie do szlachty ubogiej. Zubożało przez proces prowadzony z pa-

nem Cieciszewskim. Z dawney okazałości został się tylko kościół i austeria murowana».

Przejeżdżając przez Adamów i Wołę Gutowską, widzi, że: «grunta częścią dobre, częścią nieurodzajne», i nadmienia, że «lud podlaski pracowitszy od mazowieckiego» — lecz zaraz w nocy u dołu stronicy dopisuje:

«Tak przynajmniej się zdaie próżniakowi, jadącemu wygodnym powozem i ziewającemu po nudnych piaskach».

Lud go widocznie obchodzi żywo. Podlaski nazywa szczęśliwszym od mazowieckiego dlatego, «że wsie wszystkie prawie przy wodzie i lasach leżą — przy każdej prawie chałupie znajduje się kilka drzew i ogród».

Dziewięciodniowa podróż na Podole bardzo go rozwija i kształci jego pogląd na świat i społeczeństwo.

Poryck budzi w nim niedawne wspomnienia Czackiego, Beresteczko krwawej bitwy-rzezi, Krzemieniec stawia przed oczy ten fakt, że tam «uczniów przeszło sześćset». Aż w Dunajowcach, po skończonej podróży, skupiają się jej wrażenia; los chłopca ruskiego w taką się krystalizuje syntezę. — Zważmy, że to trzynastoletni myśliciel pisze:

«Zacząwszy od Krasnego Stawu lud jest już po większej części ruskim, a od granicy wszędzie obrządek Ruski panuje. Piękne położenie i wesołe widoki Wołynia uprzyjemniaia

drogę. Rozległe stepy Podola wystawiają żyzność i obfitość wielką. Chłop ruski często zamożniejszy od mazowieckiego, ale uciśniony przez panów, będących często w zмовie z żydami, nieśmie podnieść głowy. Każdy pan jest królikiem u siebie despotycznym. Pan otoczony kozakami patrzy bez litości na męki zadawane z jego rozkazu włościanom, a ludzkość spodlona wygląda zbawiciela. Takim zbawicielem mógłby być mąż cnotliwy, któregoby wymowa miękczyła skamieniałe serca panów na cierpienia włościan. Ale taki sposób lepiejby się udał w średnich wiekach, kiedy jeden pustelnik wymową i wpływem religii tysiączne za sobą prowadził narody.

Takim zbawicielem mógłby się stać rząd wglądając w postępowanie niehumanitarne panów z włościanami».

«Trzeci środek najlepszy i jedyny jest: większa oświata».

Jakie to nadzwyczajne ujęcie trudnego przedmiotu! Jakie zrozumienie prawdziwego stanu rzeczy i jak bystro urodzaj ziemi przeciwstawiony niedoli ludu! Jak już tutaj dźwięczy przeszłość «zakuta w zbrojną stal» w owym zwrocie ku wojnom krzyżowym, a równocześnie trzeźwy rzut oka na teraźniejszy rozłam społeczny widzi «cierpienia włościan» i «skamieniałe serca panów» i to wszystko

nazywa po prostu «spodloną ludzkością!» Jak on już szuka «zbawiciela» dla tej ludzkości...

A niech nikt nie mówi, że to jest pozowaniem malca, udaniem lub poddanem mu (może przez towarzysza podróży) zamyśleniem nad dolą wieśniaczą — nie! To nie z głowy, przeładowanej nauką płynęło, ale z głębi czującego, kochającego serca. Bo oto w tydzień potem zwiedza Zygmunt Krasiński Podole i jary naddniestrzańskie i Ladawę Aleksandra Czackiego i tegoż wieś Serebryńce, a chwając w liście do generała dom «pana Aleksandra» i porządek w jego gospodarstwie, dodaje te znamienne słowa: «a co mi się najlepiej podobało, że go bardzo kochają chłopci».

Takich słów się nie pisze z głowy.

Przepiękne widoki jarów podolskich wzbudzają w nim zachwyt i wywołują pierwsze opisy wdzięków przyrody. W liście z 16 września 1825 roku znajdujemy następujący krajobraz:

«...rano w sobotę 11 września wyjechaliśmy z Bernaszówki. Mgła przeszkadzała nam do rozeznania przedmiotów. Długo dosyć jechaliśmy, wysiadając, gdzie zła była droga. Wyjechaliśmy na ogromną górę. Tu nam się pyszny widok ukazał. Mgła opadająca napełniała cały dół i jary okoliczne. Wystawiała ogromny przestwór jakby wodą (białą) śnieżną napełniony, na którym unosiły się bałwany róż-

nego kształtu, czarne, o które obijające się promienie świetnego słońca czyniły widok wzniosły i wspaniały...»

Młodziutkie pióro nie zdolne tu jeszcze wystawić, wyrazić zachwyty szczerego. On czuje więcej, niż może powiedzieć; widać to po nim, jak «myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie» — ale on już wie, gdzie piękno, on się już upaja promieniami wschodzącego słońca, igrającymi na skłębionych oparach Dniestrowych, a przyjdzie czas, kiedy mu ten obraz podolski odtworzy się w duszy, i wtedy napisze:

«Od baszt św. Trójcy do wszystkich szczytów skał

...leży mgła śnieżysta, biała, niewzruszona, mara oceanu, który miał brzegi swoje
...i głębokości swoje, gdzie dolina, której nie widać, i słońce, które jeszcze się nie wy dobyło.

«Powoli śpiące obszary budzić się zaczynają — w górze słycać szumy wiatrów — z dołu promienie się cisną — i kra z chmur pędzi po tem morzu wyziewów...

Słońce ze wzgórz na skały wstępuje — w złocie unoszą się, w złocie roztapiają się chmury...

Z gór podniosły się mgły — i konają teraz po nicościach błękitu... —»

Tamten obrazek ręką dziecka kreśliła, ten ręką tytana — ale ten sam człowiek widział i odczuł pierwsze, stworzył drugie.

Widoki podolskie rozszerzały horyzont społeczny i ideowy. To też zwycięstwa Grecyi, strąsającej wówczas okowy tureckie, wywołują zapamiętanie w 13-letnim Zygmuncie:

«Ucieszyłem się — pisze do ojca — ze zwycięstw Greków — a wydobyć się ujarzmionego tego narodu na wolność nazywa «najpiękniejszym fenomenem politycznym».

A w związku z tym zapamiętaniem może mniej przykre były preparacje greckie do Iliady, którą nieubłagany mentor Chlebowski nawet w Dunajowcach tłumaczyć kazał.

Należy sobie wyobrazić wówczas Zygmunta jako chłopca małego wzrostu, owalnej twarzy, szatyna z dużemi, piwnemi oczyma, trochę czerwonawą cerą. Dużo wdzięku i dobroci było w ustach prawie dziecinnych.

W rok potem widzimy Zygmunta Krasińskiego w ostatniej klasie Liceum warszawskiego.

Oto jak mu tam czas schodził:

«Chodzę codzień do Lyceum z rana, to jest od pół do 8 ey aż do 12-ey i popołudniu od drugiej do czwartej. We wtorek i czwartek po południu zupełnie wolne. Jest dosyć do roboty, ale nie nad siły. Dają w Lyceum polski, francuski, łaciński, niemiecki, grecki

język, oprócz tego historiją, literaturę, geografiją, matematykę. Szósta klasa jest dosyć liczną, gdyż przeszło pięćdziesiąt uczniów zamyka. Codzień o 10-ej z rana dziesięć minut wolnych jest, podczas których przybiegam do domu na śniadanie...»¹⁾.

Zachowane kajety licealne z nauki greckiego, historii, matematyki świadczą o wielkiej pilności; że wymagania ówczesnego Liceum były niemałe, dowodzi chociażby ten fakt, że 14-letni Zygmunt Krasiński przerabiał z algebry działania z ilościami urojonymi, teorią postępu i logarytmów, przechodził wreszcie początki analizy geometrycznej.

Ale równocześnie rozmarzał się «Freyszycem» na scenie warszawskiej i tak ojcu wrażenia swe opisywał:

«Muzyka mówią nie tak piękna jak w sztuce «Sroka złodziej» — ale za to opera więcej do dramy podobna, ma dużo akcyi, ustawicznie pioruny grzmia, ustawicznie na scenie strzelają, diabłów wywołują, którzy w ognistych przychodzą postaciach. Osobliwie drugi akt, gdzie Strzelec w nocy w lesie leje kule czarowane, jest pełny duchów, strachów, niedopyrzów, gromów, etc., etc., bardzo w guście romantycznym, a pomimo, co Pan Koźmian

¹⁾ List z d. 28 września 1826 r. Liceum mieściło się w gmachu uniwersyteckim.

mówi, że to są duby średnich wieków, jednak Freyszyc bardzo zabawny»¹⁾).

W rok potem siadał Zygmunt Krasiński do końcowych egzaminów licealnych. Egzaminy piśmienne były wówczas bardzo długie i bardzo uciążliwe.

Donosi ojcu d. 4 lipca 1827 r., że poprzedniego dnia siedział w Liceum od 6-ej z rana do 4-ej po południu i pisał ćwiczenia łacińskie. Nazajutrz siedział znowu od 6-ej z rana do 6-ej wieczorem i przez te 12 godzin napisał «robotę polską». Taki na nią nam temat zadali: «Wykazać niedostateczność prawideł moralności z samego rozumu wpływających i wskazać wyższość zasad moralności chrześcijańskiej». — A następnych dni czekały go znowu roboty francuskie i niemieckie. Wszystko to odbywało się pod surowym napozór nadzorem. Po tylogodzinnej pracy Zygmunt ma jeszcze dość sił, aby zabawić ojca opisem, jak się to takie egzaminu piśmienne odbywają:

«Czarownik kilka razy przychodzi na dzień do nas, zagląda pod stoliki, czy słowników lub książek nie mamy. Ciągłe zaś przy nas siedzi profesor. Nie wolno ani słowa gadać jeden do drugiego, lub się radzić, jednak nie zachowują tego przepisu, bo się śmieją, ga-

¹⁾ List z 5 lipca 1826 r.

dają i krzyczą, i nie tak to jest nudne, jak by mogło być».

Były jednak chwile uciążliwe, kiedy wśród upałów lipcowych trzeba było po piśmiennych egzaminach zasiąść do ustnych. Pierwszy to raz narzeka Zygmunt:

«Dużo mam bardzo do roboty. Cały dzień siedzę w klasie a wieczorem pracuję, osobliwie nad matematyką...»

Wreszcie po ostatecznych egzaminach wyszedł z Liceum i wstąpił do Uniwersytetu warszawskiego. Zbyt krótko bawił w nim syn generała Wincen-tego, aby można było mówić o istotnym wpływie nauk tu pobieranych. Szedł ściśle za programem nauk, składał egzaminy półroczne (np. z filozofii i z fizyki), a z dochowanych notat widać, że od dawał się studiom z ekonomii politycznej — a także (prywatnie w domu) brał od księdza Chiariniego lekcje języka arabskiego, tłumaczył z Alkoranu zdania na język łaciński; studyował starożytności hebrajskie i wogóle wschodnie pod kierunkiem tegoż X. Chiariniego.

Miał już wówczas lat 16-cie. Pod mundurem studenta uniwersytetu biło serce wrażliwe na wdzięki niewieście. W pałacu rodzicielskim pod opieką generała mieszkała wówczas młodzianka pani Amelia Załuska, której mąż oczekiwał w więzieniu śledczym na wyrok sądu sejmowego. O kilka

lat starsza od Zygmunta, kochająca go jak bracia, nie domyślała się, że była przedmiotem jego tajemnych wzdychań. Nie domyślał się też niczego generał, a czujnego oka matki nie było już, niestety.

Zygmunt rozmarzał się swoją pierwszą studencką miłością, żył niehygienicznie, wrażliwość wrodzoną podniecał sztucznie herbatą, której dużo z rumem wypijał. Następstwem tego były bezsenne noce, pełne gorączkowych marzeń. Dzień był nauce oddany, noc należała do niego. Podniecony chwycił za pióro i kreślił pierwsze swe, napół chłopiące jeszcze fantazyje. Tak powstawały drobne powiastki, np. «Pan Trzech Pagórków», ułamki ze starego rękopismu», utwór napisany w Opinogórze (6-go kwietnia 1828 r.) z dedykacją generałowi wierszami (10 strofek 4-wierszowych), a wśród nich takie niezbyt rytmiczne, ale pełne prawdy określenie chwały:

«Chwała! cóż bowiem czyni pierś niezłomną,
Co sprawia, że serce świętszym ogniem płonie?
A! ta myśl tylko, że nas niezapomną,
Że w sercach złomków odżyjem po zgonie».

«Pan Trzech Pagórków» to hołd złożony dzie-dzicznej Opinogórze, to próba śmiała upoetyzowania najpospolitszego krajobrazu, który był mu drogi, bo tam pacholące, swobodne, letnie pędził miesiące. W tej dziecinnej robocie są już drobne

ziarenka szlachetnego kruszcu; ale nie możemy ich tu oceniać dokładnie.

Pilno nam bowiem do pierwszych drukowanych jego prac, które dowodzą wielkiego rozmiłowania się w ojczystych dziejach.

Wcześniej bardzo zaczął oddychać literaturą i marzyć o sławie pisarskiej. Na obiadach literackich, które generał dla klasyków i romantyków wydawał, nie bywał wprawdzie Zygmunt Krasiński, ale dokładne echa sporów namiętnych dochodziły go za pośrednictwem Odyńca, budziły ciekawość, zapalały do rozczytywań się w najnowszych płodach romantyzmu. Nic to, że w ciągu marca 1828 r. w Uniwersytecie zbliża się pora egzaminów z filozofii, ekonomii politycznej i — fizyki. On dostał od Waleryana Krasińskiego najnowszy utwór Mickiewicza: *Wallenroda*, i pochłania go namiętnie. A jak go rozumie!

Jak się unosi nad nim w listach do ojca:

«Zdaje mi się — pisze 26 marca 1828 r. — że jeszcze Polska nic takiego nie miała. Ten charakter ciemny, ponury, ta zdrada mściwa — wszystko serce przeraża, umysł wzbija, duszę przenosi do piekielnych marzeń. A jakie piękne wiersze, jaka moc, energia, harmonia — wszystko tchnie żalem i smutkiem, żalem —»¹⁾

¹⁾ Jakże odmiennie oceniano *Wallenroda* starsze pokolenie. Znane są zdania klasyków: K. Koźmiana, Osieńskiego, Moraw-

Mickiewicz olśniewał go stylem poetyckim, rozpałał żarem uczucia, ale był jeszcze, na ogół biorąc, za trudny, za silny dla 16-letniego młodzieniaszka. Był natomiast inny pisarz, który utworami swymi historyczno-legendowymi, romantyzmem średniowiecza, fabułą przystępną dla chłopięcego umysłu działał na razie bezpośrednio na fantazyę i poddawał łatwe pomysły — to Walter Scott, którego tłumaczono wtedy u nas i naśladowano bez braku i smaku. Powszechnie poważany pisarz, uczestnik stały obiadów literackich generała, Niemcewicz, był właśnie jednym z najwcześniejszych naśladowców Walter-Scotta. Nic dziwnego, że 15-letni Zygmunt uległ czarowi opowiadań Walter Scotta, że rozmiłował się w idealnym świecie śre-

skiego i innych. Nieznanem dotychczas było zapatrywanie autorki *Malwiny*, księżnej Wirtemberskiej. W liście do brata, księcia Adama Czartoryskiego, pisze ona z Puław d. 4 kwietnia 1828 r.: «...Avez-vous lu le petit Poème de Walderod(1) par Mickiewicz — il fait l'événement du jour à Puławy — les uns l'admirent, les autres le gania — moi je trouve qu'il y a de la poésie dedans et quelques idées neuves — mais que ne sachant pas l'intention de l'auteur, to le plan du poème est si poétique, si romantique, si nébuleux, że ciężko zrozumieć, kto gada, o kim mowa i jak się tam znajdują różne figury, tantôt pod wieżą, tantôt w Litwie, tantôt w Marienburgu et l'on est un peu trop Warshaw! Ale Sienkiewicz et le Morasz en sont assez contents».

Wyjątek udzielony mi łaskawie przez p. Kustosza B. Biskupskiego.

dniowiecznym, że zapragnął niebawem odtworzyć tę przeszłość, a to na podstawie swojskich tematów. Píše więc za wzorem powieści Walter-Scotta swego «Zbigniewa», tę trzytomową powieść, która w toku pisania nazywać się będzie także Hanną z Ciechanowa, aż wreszcie otrzyma ceremonialny tytuł: «Władysław Herman i dwór jego».

Powieść ta, pisana długo, zapewne była przerabiana, może w toku pisania nieraz zaniechana. Tymczasem fantazja, nie mogąca zaludnić odległych czasów Władysława Hermana, zwróciła się do barwnej, awanturkowej, pełnej różnorodności epoki wojen trzydziestoletnich, którą z rozczytywania się w dziejach powszechnych lepiej mógł poznać. Rzuca więc rozpoczętego «Zbigniewa» i pisze powieść «oryginalną», jak na tytule czytamy: *Grób Rodziny Reichstalów*.

Utwór 16-letniego Zygmunta Krasieńskiego ma pewne znaczenie w dziejach rozwoju jego umysłu. Jest to pierwsza próba rozsnucia jakiejś intrygi na kanwie dłuższego opowiadania. W osnowie samej widzimy wyraźny wpływ Wallenroda. Alan Reichstal czeka lat kilkanaście na spełnienie zemsty swej. Dokonywa jej jako Leslie pod obcym nazwiskiem w przebraniu i pod maską, bardzo Wallenroda przypominającą. Motyw długo tajonej zemsty jest wyraźnym echem Wallenroda, którego wpływ jest pod tym względem tak potężny i trwały, że przenika on nietylko wszystkie

młodociane utwory Zygmunta Krasińskiego, lecz po latach wielu przesiąknie nim jeszcze nawskróś taki «Irydyon». Z tego punktu widzenia będą już zrozumiałe i drobne powiastki, niby to «narodowe» i niby «historyczne»: «Mśc i wy karzeń» i «Masław książę Mazowiecki», «Zamek Wilczki» i «największa» powieść historyczna, «Władysław Herman i dwór jego», największa, bo trzytomowa... Zemsta panuje w dwu drobnych powiastkach, zemsta szaleje w trzech tomach «Władysława Hermana», sieje spustoszenia i zbiera trupy. Są to dziwne, niezdolne do dłuższego życia, literackie potworki, których ojcem Wallenrod, a matką maniera naśladowcza Walter-Scotta.

Nie mielibyśmy powodu do zastanawiania się nad «Władysławem Hermanem», gdyby nie fakt znamieny, który sprawił, że utwór ten, rozwlekły i nudny, staje się pod koniec dokumentem psychologicznym, dowodem ważnym dokonywającego się w duszy młodziutkiego autora przełomu.

Wspomniałem już, że «Władysław Herman» pisany był długo, bez natchnienia, jakby na to tylko, żeby autor mógł się poszczycić, że nie tylko krótkie powiastki, ale i trzy tomy napisać potrafi. Otóż w toku pisania «Władysława Hermana» zaskoczyła Zygmunta Krasińskiego niespodziewana, rodzinna katastrofa, która kazała mu wybierać między opinią rodaków a miłością ojca, a gdy ojcu nieposłusznym być nie chciał — naraziła go na

znane zajście w Uniwersytecie po pogrzebie senatora Bielińskiego. Wiadome to rzeczy — rozwijać ich tu nie będę. Był to grom z jasnego nieba. W takich chwilach dojrzywał bardzo prędko młodzieniec, a zatem i autor. Gdy po bólu serdecznym i mękach «piekielnych» przyszedł do siebie i spokój odzyskał, już on nie był tym samym, który kreślił miarowo rozdział po rozdziale «Władysława Hermana». Byłby może powieści całkiem zaniechał, ale miłość autorska nie pozwalała na zagładę tak dużego utworu, a w dokończeniu jego mógł znękany umysł znaleźć rozrywkę. Zamiast myśleć o sądzie sejmowym i o sądzie dorywczym kolegów, mógł na chwilę zapomnieć o swej biedzie i dokończyć losów Zbigniewa i Mestwina. Pisał więc dalej, ale bezwiednie pisał już inaczej. Gdy przedtem rozum na chłodno kazał mu tworzyć obrazy, plątać intrygi i rozplątywać, teraz on z sercem zranionem inaczej odczuwał rozpacz i mściwe uczucia. «Piekło — jak sam potem napisze — zrodziło się w duszy dziecka» i przedwcześnie kazało dziecku dojrzeć na młodzieńca. To też inaczej będą ludzie czuli i mówili na początku, inaczej na końcu «Władysława Hermana».

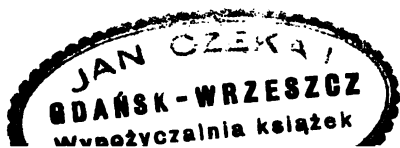
Któż w słowach Zbigniewa w przedostatnim rozdziale «Władysława Hermana» nie odczuje własnej niedoli Zygmunta Krasieńskiego:

«Ja płacę za sławą... Ciebie wszyscy Kochają, zaczynasz piękny zawód i masz na-

dzieję. Mnie odbiegły złudzenia i pociechy. Nadzieja, dawniej wzywająca na górne chwały sklepienia, błyszcząca dawniej dla mnie jak słońce na czystym niebie, nagle zniknęła, wszystko odpadło, radość pożegnała się z rozdartem sercem. Każdy wzrok mnie ściga zgrozą, każde usta przekleństwami... Stoję na brzegu przepaści...»

»Władysław Herman», sam w sobie błahy, ma dziś tylko wartość dokumentu psychologicznego, jako utwór, zawierający wyraźne znamiona dokonywającej się w ciągu pisania ewolucji duchowej, a nawet stylowej. Ciekawy jest wreszcie jako dowód niemałej energii pisarskiej, porywającej się nie na powiastki, ale na całe trzy tomy.

Mamy w nim także pośredni dowód olbrzymiego już w r. 1828 czytania, a to w drobnych wierszykach i wyjątkach dzieł, które jako *motta* zdobiją niemal każdy rozdział trzytomowej powieści. Jest w tem oczywiście popis naiwny młodzieńczego autora; dla nas dziś są to charakterystyczne próbki lektury, a sam natłok nazwisk przeróżnej wartości świadczy o dziwnej plątaniu wrażeń i wpływów w szesnastoletniej głowie. Obok Wallenroda Niemcewicz, potem Odyniec, Serbska Duma, Iliady XIX księga, Tymowski, Felińskiego Barbara Radziwiłłówna, dalej Grażyna, Jagiellonida, Szekspir, Alfieri, Walter Scott, La Bruyère, Byron, Dziadów część IV i Hamlet!..



Z tyłu nazwisk najciekawsze może jest Byrona, bo dowodzi, że Krasiniński zaczyna z wolna smakować w namiętym i pesymistycznym nastroju piewcy Childe-Harolda, a swemu Zbigniewowi każe pod koniec przemawiać tonem Manfreda. Na szeregu cytat, umieszczonych przed rozdziałami, można stwierdzić przełom w upodobaniach literackich i smaku estetycznym. Postęp był stały i widoczny, a dla samego autora już we dwa lata po wydaniu powieści tak oczywisty, że w liście do przyjaciela nie zawaha się napisać:

«Co do mego Hermana, uważam go za nikczemne dzieło, za płód dzieciństwa, gdzie kilka zaledwie iskierek ledwo że tleją wśród perzyny i gnoju».

Rozwój fantazy i uczucia szedł wówczas w parze z szybkim dojrzewaniem rozumu, wśród ponurych okoliczności, które otworzyły Zygmuntowi Krasinińskiemu oczy na rozłam między społeczeństwem a własnym ojcem.

W maju 1829 r. drukuje on w *Rozmaitościach Warszawskich*¹⁾ małą rozmiarami nowelkę pod tytułem *Sen Elżbiety Pileckiej*. Na tym drobnym utworze dostrzegamy stanowczych zmian w spo-

¹⁾ *Rozmaitości Warszawskie*. Pismo dodatkowe do gazety *Korespondenta Warszawskiego*. Dnia 13 maja 1829 roku, Nr. 19, bezimiennie. Autorstwo Z. Krasinińskiego wykazał prof. J. Bołoz Antoniewicz.

sobie tworzenia i pisania. Nastrój rzewny rozbrzmiewa tu po raz pierwszy pełnym elegijnym tonem, a obok resztek szablonu Walter-Skotowego znajdujemy poczucie nowe, żywe i bezpośrednie natury.

Szare i bezbarwne opisy krajobrazów z «Władysława Hermana» znikają; natomiast wybijają się w *Śnie Elżbiety Pileckiej* kolory, barwy i tony powietrzne, bogate, czasami olśniewające. Rok za ledwie upłynął od *Grobu Reichstaków*¹⁾, a jakże ogromna różnica! Język tam jeszcze trwożliwie poprawny, bezosobisty; tu już śmiały, pewny siebie, szczęśliwymi wzbogacony nowotworami. Uczyć się tam prawie dziecinnie wyrażane, nie przeżyte — tu nastrój szczerzy rozkochanego młodziana. Charakterystyka osób jeszcze ogólnikowa, przecież jest śmielsza w wyrażeniach, a szczęśliwsza w doborze rysów znamienych.

Śnem Elżbiety Pileckiej kończy się w sposób charakterystyczny okres twórczości Zygmunta Krasieńskiego, który nazwałbym warszawskim. Patrza liśmy na ciekawą ewolucję młodocianego, niepospolicie utalentowanego umysłu. Wychowany w sferze napół francuskiej, po-Napoleońskiej, zrazu całkiem wojskowej, wcześniej objawia Zygmunt Krasieński zamiłowanie do wszystkiego co rycerskie, co przenosi go myślą i sercem na pola bitew

¹⁾ Tamże. Nr 18 z d. 14 maja 1828 r.

i chwały. Wychowanie domowe, tradycja najbliższa wspierały to zamiłowanie do rzeczy i spraw rycerskich. Natura odmówiła mu jednak warunków zasadniczych dla kariery wojskowej: był małego wzrostu, wątłego zdrowia. Żądza sławy, odznaczenia się, odziedziczona po generale, musiała innego szukać ujścia, nie w wojsku; znalazła je całkiem naturalnie w sławie pisarskiej, o której od dziecka marzy. Dziecko widzi, jakim poszanowaniem otacza generał ludzi, odznaczonych nie na polu bitew, ale na niwie piśmiennictwa, walczących nie szablą, lecz piórem — i w umyśle dziecka obok ideału przeszłości, zakutej w zbrojną stal, staje ideał pisarza, przodownika społeczeństwa, poety...

Rojenia rycerskie i pisarskie schodzą się w jedno i wydają ustęp z wojny Trzydziestoletniej, *Grób Rodziny Reichstalów*, pełen urojonych nadzwyczajności. Pod koniec pisania wpada mu w ręce *Wallenrod*, krytykowany na obiadach u generała, broniony przez Odyńca — więc do *Grobu Reichstalów* wchodzi przebrany bohater, lat 15 czekający zemsty spełnienia. *Wallenrod* szczepi w duszy dziecka-pisarza to, czemu sam wielkość swą i zgryzotę zawdzięcza.

Stałem znamieniem pierwszych robót literackich będzie pewna naiwność w pojmowaniu stosunków historycznych i ludzkich, aż wreszcie pierwszy w życiu cios bolesny, tem straszniejszy, że z ojcowskiej woli wszczęty, a ręką przyjaciela doko-

nany, nauczy go, co to życie i co to cierpienie. Dodajmy, że cios ten rani serce w chwili, gdy ono przepelnione jest pierwszym miłosnym rozmarzeniem, a zrozumiemy całą pełnię gwałtownych wzruszeń, które przyspieszą i bicie serca, i rozwój ducha w autorze trzytomowej powieści. Już mu Walter Scott nie wystarczy, już Hamlet jego powiernikiem i Gustaw z IV-tej części *Dziadów*, a rozgorzcony niesprawiedliwym, niezasłużonym cierpieniem za winy niepopelnione, zaczyna autor *Snu Elżbiety Pileckiej* smakować w chmurnym i zgorzkniałym Byronie i tworzyć nową formę dla nowej ducha swego treści.

Siła zdarzeń wydała go wówczas z kraju. Wyjeżdża 17-letni młodzian, chciwy wrażeń, ale wówczas tęskniący za krajem ukochanym namiętnie. Opuszcza kraj napozór spokojny, zamożny, zagospodarowany. Gdybyż mógł przypuszczać, do jakiego kraju po trzech latach powróci!

Skoro nie mógł dłużej kształcić się w Uniwersytecie warszawskim, wyprawiał go ojciec do Genewy. Charakter francuski miasta, dobrane i inteligentne towarzystwo tamtejsze, rozgłos uczonych tej miary, co de Candolle, Sismondi, de Rossi, Bonstetten — wszystko to przemawiało za Genewą. Wyjechał tam Zygmunt Krasiński w towarzystwie starego Jakubowskiego; odprowadził syna generał do Błonia, rozstając się z jedynakiem na długo, na lata całe. Starali się zapewne nie my-

śleć o dziwnych i bolesnych powodach tego koniecznego rozstania, które było dla obu ciężkie i gorzkie. A przecież powitanie w roku 1832 miało być jeszcze cięższe i nad wszelki wyraz tragiczne.

II.

Trzeciego listopada 1829 r. stanął Zygmunt Krasiński w Genewie; rozpoczął życie regularne, oddane nauce, studjom uniwersyteckim i prywatnym.

Piękne okolice nad jeziorem Lemanu nie zdołały ukoić jego wielkiej za krajem tęsknoty. Rozpoczął powieść historyczną p. t.: *Zawisza*, wieczory spędzał w salonach genewskich, których trafną, wyborną charakterystykę dał nam Odyniec w swych *Listach z podróży*. Zajął się wielu rzeczami naraz, nie mając jak w Warszawie programu nauk ściśle określonego. Wszystko pochłaniał chciwy umysł genialnego studenta: Szekspir, Byron i Moore stali się codzienną przyprawą angielskich studyów; z wykładów uniwersyteckich szczególnie prelekcye słynnego Włocha, Rossiego, zachwycały go i przenośli wrażliwą fantazyę przyszłego twórcy *Irydyona* w świat cesarów rzymskich.

Zwolna otoczenie francuskie Genewy zaczyna oddziaływać nietylko na jego język potoczny, ale na formę natchnień nowych. Ani bowiem praca

usilna uniwersytecka, ani olbrzymia z krajem korespondencya (w ciągu siedmiu tygodni potrafi on napisać 80 listów!) nie wyczerpią jego energii duchowej. Jakaś żywiołowa natchnień siła zmusza go do przelewania na papier tego nadmiaru myśli, wrażeń i uczuć, które roją mu się dniem i nocą, a zwłaszcza nocą. W zimowe noce genewskie (1829—30), wśród ciszy uspięnej pensyi genewskiej, w pokoju czerwono obitym, przy dwu świecach, przy kominku, zasiada do pisania mały wzrostem, potężniejący duchem młodzian i z rozpalonym wzrokiem, przy cygarze puszcza wodze fantazyi. Drobnutkiem pismem zapełnia kartki po kartkach, na których widać równoległe, długie, regularne sznureczki pisma, perełki natchnień.

Pisał po francusku, bądź dlatego, że odwykał na obczyźnie od słowa polskiego, i łatwiej mu było po francusku myśli swe wyrażać — bądź też dlatego, że wydrukowawszy niedawno (luty 1830 r.) z powodzeniem list francuski do Bonstetтена o Literaturze polskiej, nabierał ambicyj pisarskich i pod umiejętnym kierunkiem genewskiego profesora Roge't'a pragnął wydoskonalić swój styl francuski. Pisał rzeczy drobne rozmiarami, niepozorne treścią: bądź to nowelki z podkładem auto-biograficznym, bądź też urywki wrażeń dziennych, przeważnie melancholijnych, odkąd wyjechała z Genewy uroczą Angielka, Henryka Willan, w której Zygmunt Krasieński na zabój się zakochał.

Było to całkiem odmienne uczucie od tego, jakim student warszawski rozmarzał się na widok pięknej pani Załuskiej. Miłość dla Henryki Willan była istotnie głębszem, szczerem uczuciem, była — jak sam potem zaznaczał — «punktem wyjścia dla jego natchnień poetyckich», uczuciem czystem, wolnem od jakiegokolwiek przymieszki ziemskiej, uczuciem smutku pełnem, bo oboje zakochani wiedzieli, że do siebie należeć nie będą nigdy.

Zawarta w Genewie serdeczna przyjaźń z młodym Anglikiem, Henrykiem Reeve'm, oddziałała bardzo korzystnie na młodego Polaka. Uzupełniali się ci dwaj młodzieńcy wybornie: Anglik wytrawnym, spokojnym sądem chłodził entuzyastyczne porywy polskie, a sam na wzajem ulegał bujnej fantazy Krasińskiego, poddawał się urokowi tej bogatej, płomiennej inteligencji.

Przez lat kilka Krasiński nie miał serdeczniejszego druha i lepszego powiernika. Reeve'owi mówił i pisał to, z czegoby się nigdy ojcu swemu nie zwierzał; bo młodość szuka do wynurzeń młodych serc, a nie rozumów doświadczonych. Dzięki częstej korespondencji z Reeve'm, dzięki rękopisom francuskim, które przyjaciel przy rozstaniu zabrał, z pietyzmem przechował i po latach 60 ciu wnukowi Zygmunta przekazał — mamy dziś wyjątkowo obfity i ważny materyał do skreślenia epoki genewskiej Zygmunta Krasińskiego. Pożółkłe kartki genewskie są wiernem i szczerem świa-

dectwem duchowych trudów, wytrwałej służby ideałom. Uczuć kwiaty, wieńczące nigdyś skronie młodego poety, znikły oddawna, ale woń ich unosi się nad starami kartkami, a myśli tkaninę mól czasu uszanował.

Z autografów francuskich wyczytać można zwiłkane dzieje cichych, bezkrwawych, a tak znojných walk wewnętrznych młodego poety, zdobywającego, po stromych ścieżynach w pocie krwawym, te ideały społeczne, które miały wieść go na szczyty prawdy i piękna.

Nie będziemy dawać tutaj wyczerpującej charakterystyki czterdziestu kilku artykułów francuskich, napisanych przez Krasińskiego w ciągu roku 1830 i 31-go. A przecież trudno je pominąć milczeniem. Mało mamy bowiem w historii literatury naszej podobnie ciekawych dokumentów psychologicznych. Dusza polska wyciska tu swe znamię na obcej formie, w obcym języku. Myśli bujne, wzbierające jak rzeka na wiosnę, wylewają się pędem żywiołowym i torują sobie drogi różne, nieoczekiwane, często zdumiewające. Nie są to jeszcze myśli wykształcone, ścięte w kryształ zasad, ale mgławice, ale puchy nasienne, gnane wichrem młodości, rodzajne kędyś po latach...

Utwory r. 1830 mają tę wspólną cechę zasadniczą, że kreślone są jeszcze spokojnie przez obserwatora pilnego, który bada siebie i innych z ciekawością psychologa: nawet cierpienie wła-

sne jest mu pożądane, bo wzbogaca jego materiały obserwacyjny — a cierpienie to nie będzie jeszcze tak przejmujące, aby odjąć ochotę do analizowania samego siebie, aby zaćmić łzą szczerą wzrok badającego. Inaczej będzie w r. 1831. Ale wtedy, w ciągu r. 1830, Zygmunt Krasiński jest szczęśliwy nadmiarem uczuć i wrażeń, szczęśliwy wzbierającą z miesiąca na miesiąc energią do pracy i rozmiarami tej pracy; jemu samemu wydaje się, że to tylko tęsknota za krajem szuka ulgi w pisaniu nieustannem — ale jest to złudzenie: on pracowałby wówczas z tęsknotą, czy bez tęsknoty, w Genewie, czy w Warszawie, czy na wet w Dunajowcach — bo pracować musiał, bo nadmiar energii twórczej już sobie szukał ujścia, a nadmiar uczuć młodzieńczych rwał się jak kwiat ku słońcu — do promieni dziewczęcych oczu. Traf zrządził, że były to oczy Angielki, Henryety Willan. Żył więc duchem i sercem — szczęśliwy poczuciem siły pisarskiej: już stary Bonstetten, wyrocznia literacka w Genewie, przyjął do druku jego artykuł o literaturze polskiej; już poważny Genewczyk, Roget, łzę szczerą uronił, gdy mu młodzianki uczeń odczytał swą historyjkę o polskim legioniście — sława autorska czyniła go przedmiotem podziwu dla panien w salonach genewskich, — już go czytała ona: Henryeta!

Wyjazd jej wczesny do Anglii był bolesny dla rozkochanego młodzieńca, ale jakże obfitą sta-

wał się kopalnią nowych wrażeń! Jakże wzbogacał tekę pisarską! Jak teraz błoga, niedawna przeszłość stawała się skarbcem niewyczerpanym najdroższych wspomnień! Jakże się teraz stokroć lepiej rozumiało Byrona i jak słuszny był powód do bajronizowania rano i wieczorem, na wycieczce w górach, lub na łódce, kołysanej modrą falą Genewskiego jeziora. Rozpoczynają się wówczas artykuły francuskie o charakterystycznych tytułach: «fragmenty dziennika», «fragmenty snu», refleksye nad «śmiercią», a dalej rozmiłowanie się w cmentarzach i podziemiach, a jeszcze dalej badanie samego siebie, przyglądanie się swemu bajronizmowi — a równocześnie z tem wszystkiem piękne, jasne, zdrowe artykuły o «Legiach polskich», o «Spowiedzi Napoleona», o «Duchowieństwie» i in.¹⁾

Niefortunna miłość była zatem wyborynym pretekstem do skreślenia kilku «nastrojowych» fragmentów, ale ani serca nie złamała, ani jasności sądu nie przyćmiła, ani woli nie nadwątliła. Rozogniła tylko fantazyę i dała jej kierunek bajronicznej ponurości, do której i dawniej autor *Grobu Reichstalów* miał już bezwiedny pociąg. Teraz przybył przynajmniej powód. Miłość dla Angielki, z góry skazana na smutną i stanowczą rozłąkę, nastraja go ponuro. Jeszcze Henryetę ma w Ge-

¹⁾ Ob. Dodatek do II-go tomu *Correspondance de Sigism. Krasiński...* Paris, Ch. Delagrave, 1902.

newie, jeszcze się jej widokiem upaja, a już mu fantazya rzuca welon czarny na złote rojenia kochanka. W snach gorączkowych widzi kataklizmy, całkiem podobne do tych, które w 10 lat potem odnajdziemy w *Legendzie*.

W tym samym fragmencie przeczuwa, że świat cały ma zginąć w strasznej konwulsyi, a on sam unosi się na krwi potokach, na oceanie krwawym. Dawne, ulubione motywy zemsty, którą dyszał i Alan Reichstal, i «mściwy karzeł», i Mestwin, i Zbigniew, i Teodoro, król borów, nie opuszczają go tutaj. Obok tych rojeń gorączkowych, sennych, znajdujemy w autografach francuskich sporo fałszywego, robionego liryzmu, który układa sobie, nie dramat jeszcze, ale przynajmniej bajroniczną pozę. W pięć dni po rozstaniu się z Henryetą pisze Krasieński długi fragment, historię pielgrzyma, którym jest on sam oczywiście. Pierwsza to próba własnego portretu duchowego — próba nierówna jeszcze, niedostrojona, ale mająca kilka dobrych rysów charakterystycznych:

«Twórca nieznużony — on lubił cieszyć się własnymi tworam... Silny własną mocą i wielkością swej woli, gromadził on wokół siebie fantastyczne fantomy, nawpół rozwiewne jak mgła, nawpół rzeczywiste: z nich on odgadywał wieki przyszłe. A wówczas wyciągał ramiona ku lepszym światom, piękniejszym, i jak gdyby mógł je objąć uści-

skiem — on tulił do serca swego te kształty ukochane; które z oddali mglistej zdawały się spływać ku niemu na słońca promieniach..»

Jakaż tu Konradowa miłość dla swych «dzieci wieszczych!» I czy nie mógł Krasiński wołać, jak we dwa lata po nim Konrad: «W pośrodku was jak ojciec wśród rodziny stoję — wy wszystkie moje!»

Fragmenty następują po sobie szybko — nieraz dzień po dniu — ale niepodobne są do siebie: raz ponure, to znowu spokojne, klasyczne niemal prostotą i swobodą opowiadania.

Nadchodzi lato 1830 r., a z niem pamiętna dla Krasińskiego i błogosławiona podróż po szwajcarskich górach i jeziorach w towarzystwie Adama Mickiewicza.

Po wykładach Rossiego, lekcjach Rogeta i tyłu francuskich artykułach odetchnął Krasiński pełną piersią przy boku Mickiewicza.

Przy takim genialnym nauczycielu, bez lekcji i wykładów nauczył się inaczej, zdrowiej na świat spoglądać, a dalszym jego myślom i natchnieniom nadał kierunek śpiewak Wallenroda i Farysa. Był to jakby cichy, niewidomy posiew nowego, jędrnego ziarna, które zejść miało po latach bujnym plonem.

Krasiński był oczarowany głębookością rozumu i wielkością duszy Mickiewicza — obszernie cha-

rakteryzował go w listach do generała i wyznawał, że spotkanie się z nim wiele mu dobrego przyniosło.

On go nauczył «zimniej, piękniej, bezstronniej rzeczy tego świata uważać, wyperswadował mu szumność w działaniu i mowie, wskazał mu wzniosły cel życia: prawdę — i jedyną drogę do niej: naukę». Nauczyciel był geniuszem — ale i uczeń godzien był mistrza. Zrozumiał odrazu, że to spotkanie wywrze wpływ zbawienny i stanowczy na dalszą drogę jego ducha. Ognia, przejętego wówczas z piersi wieszczka, nie uronił, ani na marne nie obrócił; zamknął go szczelnie w swej młodzieńczej piersi, gorzał nim wewnątrz, a po latach pójdzie od niego żar na ogrzanie milionów serc i blask, który objaśni wiekową pomrokę dziejów i przyszłą dolę ludzkości.

Zbawienny wpływ Mickiewicza zaznaczył się zaraz podczas podróży szwajcarskiej w dzienniku tej podróży, pisany po francusku może z zamiarem przesłania go Henryecie Willan. Dziennik to pisany już bez afektacyi, bez przesady, a zawiera tak silne odczucie krajobrazu, że dziś jeszcze, po latach 70-ciu kilku, wieje stamtąd woń łąk alpejskich. Dar spostrzegawczy jest w dzienniku podróży szwajcarskiej wprost zdumiewający ¹⁾.

¹⁾ Ob. Dodatek do II-go tomu *Korespondencyi francuskiej z Reeve'm*, str. 181—222.

Powróciwszy z tej pamiętnej podróży, pisze Krasiński dalej rozmaite fragmenty. Niektóre uważać należy za ćwiczenia w rysowaniu obrazków psychologicznych na zadany samemu sobie, obójny temat; ale tuż potem powstają zwierzenia genialnej duszy, spragnionej rozwiązania wiekuistej zagadki bytu.

Jeden z fragmentów, pisany w październiku 1830 r., jest niezmiernej doniosłości w historii rozwoju duchowego poety. Zawiera on bowiem w zarodku pomysł postępowej ewolucji ludzkości ku Bogu, a sama data świadczy o tem, że na lat dziesięć przed Prolegomenami Augusta Cieszkowskiego, przyszłym twórcą «Myśli Ligenzy» wstrząsały już prądy filozoficzne; już wówczas, w 1830 r. treść Bóstwa oswoadzał on «z wież gotyckich i nieskończoność dawał mu za mieszkanie»; a z głębokiem poczuciem godności człowieczej wołał tam:

«Dusza moja w nieśmiertelności swej nie
ustępuje Tobie!»

Śmierci już wtedy nie uznawał.

«Jest — mówi — tylko życie i wieczna przemiana. Gdy będę z Tobą, może znowu czegoś wyższego się domyślę? Z domysłów stwierdzonych ku domysłom wszczynającym się wzrastać będę zawsze, wlatywać ciągle, aż w końcu nie będę już miał ani domysłów, ani obaw. A wtedy będę... c z e m?»

I drżącą ręką napisał przyszły autor Psalmów:

«Bogiem może, równym Mu wiedzą i wolą — ale nie mocą».

Lecz przerażony śmiałością własną, przekreślił wnet po napisaniu te przepyszne słowa. Czuł bowiem swą ziemską znikomość; ale czuł także wiekistość swego bytu:

«jako ogniwo w bezmiarze nie mogę opuścić mego miejsca; lecz przyjdzie dzień, w którym przerwę to ogniwo, a wtedy szczątki me przetopią się na pierścień wyższy i świętniejszy. Cierpliwości zatem i męstwa!»

Były to rzadkie chwile ekstazy, w których 18-letni młodzian wychodził «za gwiazd kołowroty» i wzbijał się na zawrotne wyżyny, skąd wszechświat przeczuwał. Ale ogniwo ziemskie przykuwało go silnie do szarej rzeczywistości, ściągało na padół codziennych stosunków. Z hymnu natchnionego zstępował młody pisarz do prostej powieści: tworzył dalej fragmenty i nowelki, bez koniecznej potrzeby, często też bez natchnienia. Nie należy bowiem przypuszczać, jakoby wszystkie te francuskie, drobne utwory pisane były w chwilach szczerego zapału. Owszem — nieraz zasiadał Zygmunt Krasiński do pisania w chwili podrażnienia nerwowego, które w niedoświadczeniu młodzieńczym mógł uważać za moment twórczy. Pisanie przynosiło mu ulgę, może pozwalało ukoić tęsknotę, może dawało chwilę zapomnienia. Fragment taki

spełniał zatem zadanie chwili, ale nie miał w sobie dość treści żywotnej na przyszłość.

Generał W. Krasiński lękał się, że przewrót lipcowy we Francyi może pociągnąć dalsze następstwa polityczne w postaci wojny, i pragnął zawczasu oddalić syna z nad granicy francuskiej. Postanowił wysłać go do Rzymu, chociaż Zygmunt radby był — z łatwych do zrozumienia pobudek — przenieść się do Anglii.

W samą rocznicę przybycia do Genewy opuścił Zygmunt Krasiński brzegi pięknego Lemanu i na Symplon, Medyolan i Florencję kierował się ku wiecznemu miastu.

Pierwszy rok pobytu za granicą był, obok następnego, jednym z najdonioślejszych w rozwoju jego duchowym. Przyjeżdżał do Genewy, jak to słusznie zauważył Odyniec, rozmarzonym studentem, wyjeżdżał młodzieńcem, wzbogaconym w wiedzę, naukę, pilnie zapracowaną i porządnie nabytą. Genialne zdolności pozwalały mu objąć w krótkim stosunkowo czasie rozległe przestrzenie wiedzy, w różnoległych jej, nieraz wprost rozbieżnych kierunkach: poezya angielska, styl dyplomatyczny francuski, filozofia, matematyka stosowana, starodawne prawo polskie, historia powszechna, ekonomia polityczna — oto spis pobieżny najważniejszych gałęzi drzewa wiadomości.

Wrażliwość, wyobraźnia nic na tem nie tracą; źródł natchnień bije już tak silnie, że go ani ma-

tematyka nie zatamuje, ani studia dyplomatyczne i prawne nie wysuszą.

Więc z sercem, pełnem tęsknoty za krajem, pełnem żalu za uroczą Henryetą Willan, przekroczy Alpy, aby ujrzeć za niemi rozwieszone Włoch błękity.

III.

Nad Tybrem, w tem mieście omszałem od sławy, począł się nowy, bardzo ważny okres jego dojrzałości duchowej. Szczęśliwym nazwać go można, że w Rzymie znalazł takiego przewodnika, jak Adam Mickiewicz. On go zaprowadził do bazyliki św. Piotra, on potem w cichą, księżycową noc pokazał mu wewnątrz Kolizeum i był guślarzem na tych rzymskich Dziadach. Pełen zachwytu i upojenia opisuje Zygmunt Krasieński ojcu swemu wrażenia tem doznane. Z tego opisu weźmy bodaj mały ustęp, próbkę stylu i nastroju:

«...Weszliśmy na piętra górne. Widok był pełnym uroczystości. Milczenie, gdzie tyle głosów było; — samotność, gdzie cały naród się bawił. Arena piaskiem posypana leżała spokojnie pod promieniami księżyca. Już nie znać i kropli krwi, której tyle wypła... Ale w środku stoi w swojej prostocie krzyż z drewna, czarny. Ten krzyż wart wszystkich kościołów Medyolanu i Rzymu: przezeń żywiej

Bóg przemawia, niż przez sklepienia złotem, srebrem, drogimi kamieniami zasute. Ten krzyż temu tysiąc lat taki sam jak dzisiaj, deptany był w tych miejscach. Za niego rzucano tygrysom i lwom chrześcijańskie dziewice. Wtenczas Koloseum stało wielkie, pyszne; w niem lud najpotężniejszy świata przychodził patrzyć na to, co najwięcej mu wrazenia i radości sprawiało. A teraz rozsypuje się on w gruzy i upada — a krzyż się nie odmienił, z drewna, jak wtenczas — a jednak stoi w pośród budowy, stoi nad ziemią, która go prześladowała, i panuje tam, gdzie nim pogardzano... Przy świetle księżyca pięknym był ten krzyż czarny!

Tak głucho — pusto w około — pod nogami śpią męczennicy, a krzyż rzucał cień pokoju i błogosławieństwa nad nimi — nad prześladowcami i prześladowanymi zarazem. Ten widok miał coś boskiego. Nigdy nabożniejszym się nie czułem, jak wtedy. Powtarzam: ten jeden krzyż wart dla mnie wszystkich kościołów: godło w nim niezaprzeczone zwycięstwa nowego życia nad starem; stare wokoło niego w proch leci, gnije pomiędzy bluszczem. On jeden nieśmiertelny, prosty i boski. Żebyśmy miał nawracać niedowiarka, nie czytałbym mu rozpraw ani dowodów. W noc miesięczną zaprowadziłbym go do Kolizeum i rzekł-

bym: «Patrz!» Gdyby nie ukląkł i hołdu prawdziwie nie złożył, nie byłby-to człowiek...»

Ten wspaniały ustęp to jakby przedsmak najpiękniejszych kart *Irydyona*, to wielki dokument psychologiczny! A jest to prawie opatrnościowem, że Krasieński zwiedza Kolizeum i duma o zwycięstwie życia nowego nad starem wówczas, kiedy jeszcze mógł być o kraj swój spokojnym. «Nigdy się nabożniejszym nie czułem, jak wtedy» — mógł dodać, że nigdy dotychczas nie wznosił się na taką wyżynę poetyckiego, a zarazem chrześcijańskiego na świat wejrzenia... Pierwsze, zarodcze ziarno przyszłego arcydzieła wówczas w duszę jego zapadło. Lata przejdą, i zdawać się będzie, że myśl ta nie wykiełkuje, zgłuszona ruinami, ale żywotne ziarno nie zamarło, czekało tylko stosownej do rozwoju pory i, rosnąc z cicha w sercu miłującym, wystrzeliło po latach niewiędącym, ogromnym kwiatem: *Irydyonem*. Niebawem potem, w grudniu 1830 roku, doszła go wiadomość tragiczna z nad Wisły.

Na rozkaz ojca wrócił w marcu 1831 roku do Genewy, gdzie był strzeżony przez władze tamtejsze, zabraniające mu wydalania się z miasta. Nieodstępny mentor Jakubowski strzegł go jak oka w głowie.

Co się działo przez cały ten rok 1831 w sercu Z. Krasieńskiego, łatwiej odczuć, niż wyrazić. Listy do ojca, przebywającego w Petersburgu i do przy-

jaciela Reeve'a są brzemienne łzami goryczy, wstydu i rozpaczy. Nigdy żaden syn podobnych listów do ojca nie napisał. Mało kto wycierpiał wówczas tyle, co Zygmunt Krasiński. Do powodów ogólnej natury dołączały się jeszcze powody bezpośrednie, rodzinne: energiczny krok syna mógł dobić moralnie ojca — i na ten krok syn się zdobyć nie śmiał.

Ogólną cechą fragmentów wówczas skreślonych jest niedomówienie, przygnębienie, skupienie się w sobie. Rozpoczyna owego *Adama Szaleńca*, w którym własne swe biedy i ból serdeczny wyrazić pragnął.

Dojrzewał niesłuchanie szybko w szkole cierpienia, dojrzewał duchem, ale kosztem zdrowia fizycznego, kosztem oczu, które z łez ciągłych na to tylko osychały, aby służyć bez przerwy, dniem i nocą, ciągłemu czytaniu i pisaniu.

Katastrofa, bliska sercu jego, zmusza go do ciągłego zastanawiania się nad głębszemi jej przyczynami. Poza niedolą swego kraju wzrok ducha przenikliwy, nieszczęściami zaostrozony, dostrzega choroby społecznej całej Europy i całego wieku: innym niech się zdaje, że to wiek światła i odrodzenia — on wie, on czuje, on rozumie, że to jest «wiek bólu i próby» (Fragment z dnia 11 maja 1831 roku).

Pilna, gorliwa korespondencya z Reeve'm zmusza go do oderwania wzroku od Wisły i skiero-

wania na Zachód. Zaczyna wtedy głębiej zastanawiać się nad organizacją społeczeństw europejskich, zaczyna przewidywać kataklizm dziejowy. Głos z nad Tamizy, głos Reeve'a, pełen niezadowolenia i obaw o Anglię, która przebywała właśnie w 1831 r. ciężkie przesilenie polityczne, rozlega się pełnem współczucia echem w sercu Zygmunta Krasińskiego i porusza tam struny, ani polskie wyłącznie, ani angielskie specjalnie, ale wszechludzkie. Zrazu struny te dźwięczą cicho, ledwie dostyszalne — ale niebawem uderzy o nie pewniejsza ręka i wydadzą mistrzowskie tony.

W tymże liście do Reeve'a znajdujemy też pierwszą wzmiankę o St.-Symonizmie. Dużo wtedy mówiono o St.-Symonistach, ich organizacyi, ich przywódcach, a Krasiński, zaczął zastanawiać się nad ogólną niedołą ludzkości. Umysł jego, z natury refleksyjny, filozoficzny, wzbogacony spostrzeżeniami i rozmyślaniami, wyniesionemi z ruin Rzymu, zaczął teraz w Genewie w r. 1831 zgłębiać i porównywać dzieje ludzkości i jej nadzieje — i dążył nieznacznie na pozór, ale stale, do jakiejś syntezy społecznej.

Od września 1831 roku nie miał już dokąd się wrywać. Teraz chętnie i dobrowolnie w tej Genewie, z której na wiosnę chciał uciekać, zamyka się i ojca prosi, aby go stąd nie ruszał.

Jak dla naszego społeczeństwa całego, tak i dla Zygmunta Krasińskiego nastął w jesieni 1831 r.

czas skupienia się, pora wysnucia konsekwencji z dokonanej katastrofy.

Najtrudniej było zachować spokój ducha i stan nasz po r. 1831 oceniać nie tylko sercem, ale także rozumem. Aby to zrobić, trzeba było tę tak bliską, jeszcze niezagojoną rzeczywistość odsunąć, bodaj w myśli, na pewną odległość, uzyskać jakąś fikcyjną perspektywę duchową, któraby pozwoliła wznieść się ponad współczesną klęskę i ocenić doniosłość jej w życiu społeczeństwa. Dało się to osiągnąć tylko w ten sposób, jak tego dokonał Krasiński. Niezwykły jego rozum, który wyszedł zwycięsko z wewnętrznej ducha rozterki, przeciwstawił sprawę, tylko co przegraną, sprawie Europy, sprawie ludzkości. Tym sposobem uzyskał punkt Archimedesowy, poza krajem będący, i z tego wszechludzkiego punktu, rok 1831 od razu odsunął się na odległość pożądaną. To, co było tak blizkie jeszcze dla serca, stanęło teraz na dalekiej perspektywie duchowej i dało się ująć — rozumowi.

Zaprzestaje Krasiński skarg i wyrzekań. Serce już wypowiedziało wszystko, czem wezbrało od roku. On to rozumie doskonale, że kraj jego nie może być jakąś anomalią, że nic ludzkiego nie może temu krajowi być obojętnem, że przeto chcąc się mu na coś przydać, trzeba przedewszystkiem jasno zrozumieć, czem jest i do czego dąży cała Europa. Rozczytuje się więc Krasiński w historykach i filozofach, szuka uporczywie odpowie-

dzi, i oto przekonywa się, że całe społeczeństwo europejskie jest niepewne losu i drogi dalszej. To, co on wokół siebie widzi, to mu się wydaje strupieszale, to, co przeczuwa, dalekiem jeszcze urzeczywistnienia. Oto kilka ustępów ważniejszych z listu do Reeve'a:

«Nasz wiek jest tem dla starej Europy, czem był wiek ubiegły dla starej Francji. Społeczeństwo zblazowane, zepsucie, zbytek a nędza, mało wiary, wiele szafu — kilka zasad oderwanych od swego wiekuistego źródła i rzuconych na prąd, co nas unosi — oto nasz stan. Jasną jest rzeczą, że jesteśmy na pograniczu: z jednej strony parci przeszłością, z drugiej przyszłością... Nie będziemy nigdy ani takimi, jak przodkowie nasi, ani takimi, jak nasi następcy. Dla nas drogi zawile, fale wzburzone, ścieżki na przełaj, drożyny cierniste, a w końcu cierniowe korony. Nasza terażniejszość zawsze zatruta będzie albo tęsknotą za tem, czego już niema, albo miłością nigdy niezaspokojoną przyszłości, tego, co przeczuwamy, a czego nigdy nie ujrzymy.

Stąd to pochodzi, że nie jesteśmy z żadnego wieku, że nie możemy należeć do żadnego.

Wszystko nam bólem, a nic radością, wszystko przeszkodą, nic pomocą; bo jeśli tylko mamy serce i duszę, to zawsze będziemy

w niepewności, przerzucani z systemu do systemu, z wierzeń do wierzeń, z fali na falę.

Jedynym środkiem, by nie upaść przed czasem, jest wierzyć w słowo Boga i wiedzieć, że trzeba z ludźmi walczyć, nie oddawać się nigdy spoczynkowi».

Jeśli się spytamy: skąd w 19-letnim młodzieńcu bierze się tyle bystrości sądu i tak jasne widzenie współczesnego stanu Europy? — to odpowiedź znajdziemy najpierw w jego usposobieniu, skłonem do porównań, zestawiań, wydobywania wniosków z przesłanek historycznych i moralnych — a następnie w kolosalnem odczycaniu młodzieńca, przechodzącem poprostu zwykłą miarę ludzką i doprowadzającym go niemal do utraty wzroku.

To zaś, co się działo wówczas na Zachodzie, zmuszało każdy głębszy uuyśl do poważnych rozmyślań. Wspomniałem już, że w Anglii zanoşıło się na przewrót społeczny; gmin domagał się rozszerzenia praw politycznych. Reeve, przebywający wtedy w Anglii, donosi Krasinśkiemu o agitacyi w sprawie billu reformy. 8-go października 1831 r. parlament angielski odrzucił nieznaczną większością 41 głosów ten bill. Obawiano się wobec tego rozruchów nie tyle w Londynie, co na prowincyi. Reeve pisał:

«Niema wątpliwości, że lud angielski gotuje się do walki. Będziemy walczyli. Stara

Anglia przepadnie! Rozpoczną się dni odwetu».

Te obawy niedalekiego w Anglii przewrotu społecznego pochwyli Krasiński skwapliwie z listów Reeve'a jako objawy oczekiwanych i zapowiadanych przez niego wypadków. Zaznaczmy zaraz, że przesłanki do swych wniosków brał on z Anglii i z Francji, nie z tego, co się u nas działo.

«Nasza cywilizacja — pisał do Reeve'a — nie osiągnęła jeszcze stopnia cywilizacji francuskiej i angielskiej; u nas są jeszcze uczucia poetyczne honoru, wiary, kiedy tutaj nie myślą o czem innem, tylko o dobrobycie materialnym, o rewolucji wielkiej, ale nie politycznej, tylko społecznej, która każe oddać własność, ziemię, bogactwa, t. j. dobre łóżka, dobre obiady, dobre piece tym, co czuwają, co ziębną i łakną».

Rozpoczyna się w nim ferment duchowy, ostra krytyka stanu społecznego i przewidywanie dzisiejszych niemal stosunków. W końcu listopada tegoż roku 1831 wybucha w niedalekim od Genewy Lyonie formalna wojna robotników fabryk jedwabiu z wojskiem, tysiąc kilkaset trupów pada, fabryki palą się, a w niemożności szybkiego porozumienia się wojska z Paryżem, robotnicy są przez czas krótki panami miasta. I znowu wieść ta jest dla Krasińskiego objawem przepowiedzianej dyagnozy społecznej. W liście do Reeve'a maluje on

w jak najczarniejszych kolorach przyszłość społeczeństwa i woła:

«Na ruinach zamków i katedr, na złomach budowli gotyckiej, zbryzganej krwią, trzeba będzie usiąść. Ale z odwagą i natchnieniem, przy blasku pożarów można przechadzać się i gardzić mordercami; można pogodzić się z losem swym, a wzrokiem ducha dostrzedz w oddali przedświt, którego zmysł wzroku nigdy nie obaczy. Cóż znaczą te wrzaski i krzyki, te głowy spadające i ciała napół spalone, napół porąbane? To gniew Boży, który świat odradza. Wszystko runie, spłynie i zgnije — ale nadejdzie dzień, kiedy na tych samych miejscach zboże będzie falowało. Nie nam to zresztą myśleć o złotych kłosach. Dzieci nasze będą je zbierały na kościach naszych zbiegłych.

Nim stary budynek się zwali, możemy jeszcze rozprawiać w sklepionych salach i budzić echa przeszłości.

Ja, com widział krzyż na Koloseum, nie dam się zwieść kilku szaleńcom i nie będę wierzył temu, w co nie wierzyli moi ojcowie.

Wszystko to złudą, zmorą społeczeństwa, które tworzy i rozprawia, ale czuje, że ginie».

Ustęp powyższy dowodzi, że zasada, podwaliny i zrąb *Nieboskiej Komedy* już są w głowie Krasieńskiego w końcu 1831 roku.

Myśl jego już przepracowała wielki problem przeciwieństw społecznych. Chodziło tylko o formę, w której poeta wyrazić miał treść tak żywotną. Forma, której dotychczas używał (luźne opowiadania, wylewy liryczne) nie nadawała się do tak potężnej, kipiącej w sobie treści. Ale Kraszińskiego tak dotychczas pochłaniała treść sama, tyle trudu poświęcił na jej zgłębienie, że niepodobieństwem było wymagać, aby w 19-tu latach zdobył się już i na jedną i na drugą.

To też półtora roku upłynie, nim do tej, wzbie-
rającej ciągle w społeczeństwie ówczesnem treści,
dorośnie odpowiednia, jedynie jej godna forma.

On tymczasem, czujny na każdy objaw społeczny, nadśluchuje pilnie głosów ze wszęch stron, a ojcu, który go karci za egzaltację, tłumaczy się, że nie może być innym, skoro z «silnemi namiętnościami i wyobraźnią z ognia» dostał się w «taki właśnie wiek i takie okoliczności», kiedy to «pod zasłoną zawichrzeń i nieładu, coś nowego, nieznanego, czego się nie domyślamy nawet, usiłuje wyjść na wierzch i świat ten zagarnąć».

Jak roślinka, gdy raz kiełkować pocznie, czerpie ze wszęch stron soki żywotne, krzepi się rosą i wiatrem, a choć nikła nad ziemią i drobna na pozór, głęboko tkwi już w ziemi splotami korzeni — tak przyszła *Nieboska Komedya*, bez nazwy jeszcze, niekształtna, niepozorna, niepoetyczna, puszcza już korzenie głębokie i chłonie w siebie

wszystko, co jej wyjść może na pożytek, czy to list przyjaciela, czy broszurkę lub przygodnie otrzymaną gazetkę, czy wreszcie jakąś przypadkową na wsi rozmowę. Tę ostatnią warto przynajmniej naszkicować:

Na spacerze niedaleko Genewy, w słynnej miejscowości Ferney, wstępuje Krasiński do karczmy, aby oczyścić fajkę. Zastaje tam dwie służące; wszczyna się rozmowa o łożnych w Lyonie, a jedna z dziewczyn w odpowiedzi na słowa Krasińskiego, wybucha zjadliwie i ze śmiechem szyderczym, który go dreszczem przenika: «Pora już, abyśmy zajęli wasze miejsca — od iluż to wieków je zajmujecie?!» I widać było — dodaje Krasiński — w jej dużej, błyszczącej żrenicy płomień i pragnienie zemsty za wszystkie upokorzenia, których kiedykolwiek doznała. To przedstawicielka ludu z oczyma młodej dziewczyny, a z sercem tygrysiem i głodem w piersiach». Wychodzi z karczmy cały przejęty niespodziewaną sceną — i dziewczyna ta z ludu wejdzie potem do *Nieboskiej*.

Tak zatem ani w pokoju swym, ani na spacerze nie może Krasiński wyjść z zakłętego koła rozmyślań o doli społeczeństwa i obaw o jego przyszłość. Książka, dziennik, list przyjaciela mówią mu o tem w domu; przygodnie spotkana dziewczyna w karczmie o tem samem prawi; wszystkimi porami duszy wciskać się będą podatne włókna społecznych kwestyi i iść na pokarm

przyszłego arcydzieła, które już w łonie poety żyje i czeka, aż się czas wypełni.

A tymczasem snują się inne pomysły i fragmenty. Powstaje w lecie 1831 r. pomysł dziwnego utworu p. t.: *Adam Szaleniec*, który znamy dziś tylko z fragmentów, posyłanych Reeve'owi w przekładzie francuskim. Z pierwotnego romansu wyrastał tam rodzaj pamiętnika, w którym prawdy więcej było niż zmyślenia. Cały smutek, i rozpacz, i ból 1831 r. miał tam się zebrać w owym *Adamie Szalencu*.

Wyjątków z niego przytaczać tu nie mogę, powiem tylko, że jest ten utwór fragmentaryczny niezbitym dowodem współczesnego powstawania *Nieboskiej* i *Irydyona*. Do jakiego zaś stopnia siły i mocy wzniosł się Krasiński w *Adamie Szalencu* widać to z tego, że Reeve, znający ten utwór tylko z wyjątków, i to tłómaczonych, chce koniecznie, żeby Krasiński go drukował i pisze:

«Daj u Barbezata (w Paryżu) wydrukować rękopis swego *Adama*. Nie zapominaj, że możesz zmusić każdego człowieka, znającego język polski, do pokochania Ciebie i uwielbienia» ¹⁾.

A jednak pokusie tej przyjacielskiej nie uległ poeta i dobrze zrobił. *Adam Szaleniec* nie był

¹⁾ Ob. Fragmenty «Adama» w II-gim tomie *Korespondencji z Reeve'm*.

bowiem celem jego twórczych dążeń, ale środkiem do celu wiodącym. Była to tylko mgławica, w której łonie rosły i potężniały dwie bliźnie gwiazdy, dwa arcydzieła: *Nieboska* i *Irydyon*.

Arcydzieła te, na przekór przepaści dziejowej, która je dzieli, i pomimo tego, że na pozór czasy Heliogabala zdają się nie mieć nic wspólnego z okopami św. Trójcy — wypłynęły przecież z jednego, głębokiego źródła, z jednej i tej samej myśli. Tą myślą, trawiającą Krasinśkiego i wówczas w r. 1831, i później przez lata całe — to myśl gorzka o krzywdzie ludzkiej, społecznej krzywdzie. W *Irydyonie* krzywdzący Rzym przeciwstawiony jest krzywdzonemu i mszczącemu się Grekowi; w *Nieboskiej* krzywdząca plutokracja, bezmyślnie i samolubnie garnąca na swe zbytki owoce nieswojej pracy, przeciwstawiona jest krzywdzonemu i mściwemu pospólstwu. Te przeciwieństwa, poetycznie i artystycznie ujęte, rozsnute są na wspólnych krosnach filozoficznych: teza gniotącego Rzymu i antyteza mściwego Greka znoszą się i rozwiązują w syntezie Krzyża na Kolizeum. Tak samo w *Nieboskiej* teza arystokratyczna (hr. Henryk) i antyteza rewolucji społecznej (Pankracy) zmagają się długo, ale zwycięstwa nie odnosi żadna: nad pobojowiskiem wznosi się syntetycznie i symbolicznie znowu Krzyż, ten sam Krzyż, który niegdyś i Rzym pokonał, i Irydyona przekonał; na jego widok umiera Pankracy.

Zrozumiał wróg Henryka w chwili zdobycia Okopów, że ostatecznie zrujnowanie przeszłości nie stanowi jeszcze programu na przyszłość, i że z takich popiołów powszechnej pożogi żaden Feniks nowego społecznego życia nie wzleci.

Mamyż wykazywać, o ile doświadczenia dzisiejsze potwierdziły genialną przenikliwość młodocianego twórcy *Nieboskiej* i *Irydyona*?

Jakby niedość było jeszcze takiej pracy, na ten sam rok przypada kilka dużych fragmentów francuskich, a wreszcie *Agay-Han*, w Genewie napisany w ciągu ostatnich trzech miesięcy 1831 r. Z tej nadmiernej twórczości nie znać ani cienia chluby lub próżności w Zygmuncie Krasieńskim. Donosi o sobie ojcu w tych wzruszających prostotą słowach: «Napisałem dużo rzeczy w wielu rodzajach, jedne rozsądniejsze, drugie niepomiarkowane, podług stanów mojej duszy. Zdaje mi się czasami, że siła mojej wyobraźni coraz się krzepi».

Spostrzeżenie to było zupełną prawdą. Rok 1831 był przełomem w wyobraźni, w sile uczuć, w sile twórczej Krasieńskiego. Rok to wielki w jego życiu — może nawet największy. Nieszczęścia wszelkiego rodzaju, klęska narodowa, klęska rodzinna, klęska osobista sercowa — wszystkie te bóle przeorały do głębi młodzieńczą rolę umysłu i serca poety. A równocześnie padało ziarno natchnienia bujnego, pełne i czyste. Bez najmniejszej prze-

sady rzec można, że duch Krasieński będzie przez długi lat szereg czerpał soki żywotne z natchnień roku 1831-go. Stał on wówczas na wyznienie moralnej, dostępnej tylko po ciężkich próbach i bolesnych przejściach.

Kiedyś, gdy cała jego korespondencya poufna ujrzy światło dzienne, pokaże się dowodnie, że rok 1831 był istotnie najboleśniejszym w jego niedługim życiu. Siew natchnień jego był polewany łzami; plon wyrósł niepożyty — dla pokoleń całych.

Na wiosnę 1832 r. opuścił Krasieński Genewę i na rozkaz ojca wracał do kraju znękany, ze zdrowiem zniszczonem od nadmiaru pracy; duże sine okulary chroniły wzrok jego, zagrożony ślepotą. Ale oczyma ducha sięgał coraz to dalej.

Rok powtórnego pobytu w Genewie, rok cierpienia, był stokroć od pierwszego ważniejszy. Dojrzał w nim rychło człowiek — myśliciel. Zmierzył się zwycięsko z tylu zagadnieniami: społecznymi, narodowymi i osobistymi, które mu los nieubłagany odrazu i jednym niemal zamachem na młodzińcze ramiona zarzucił.

Odtąd nieść on będzie cierpliwie swe brzemię.

Pochyli mu ono ku ziemi wątłe ciało, nie ugnie się pod niem silny duch. Owszem, duch ten zmagać się będzie przez resztę życia z tem wszystkim, co on swem piekłem nazwie, i do ostatka

walczyć będzie o zwycięstwo na ziemi — dobra i prawdy.

Tak to w tych latach, młodość głębokimi ciosami swego dłuta rzeźbiła wiecznotrwałe kształty wielkiego ducha.

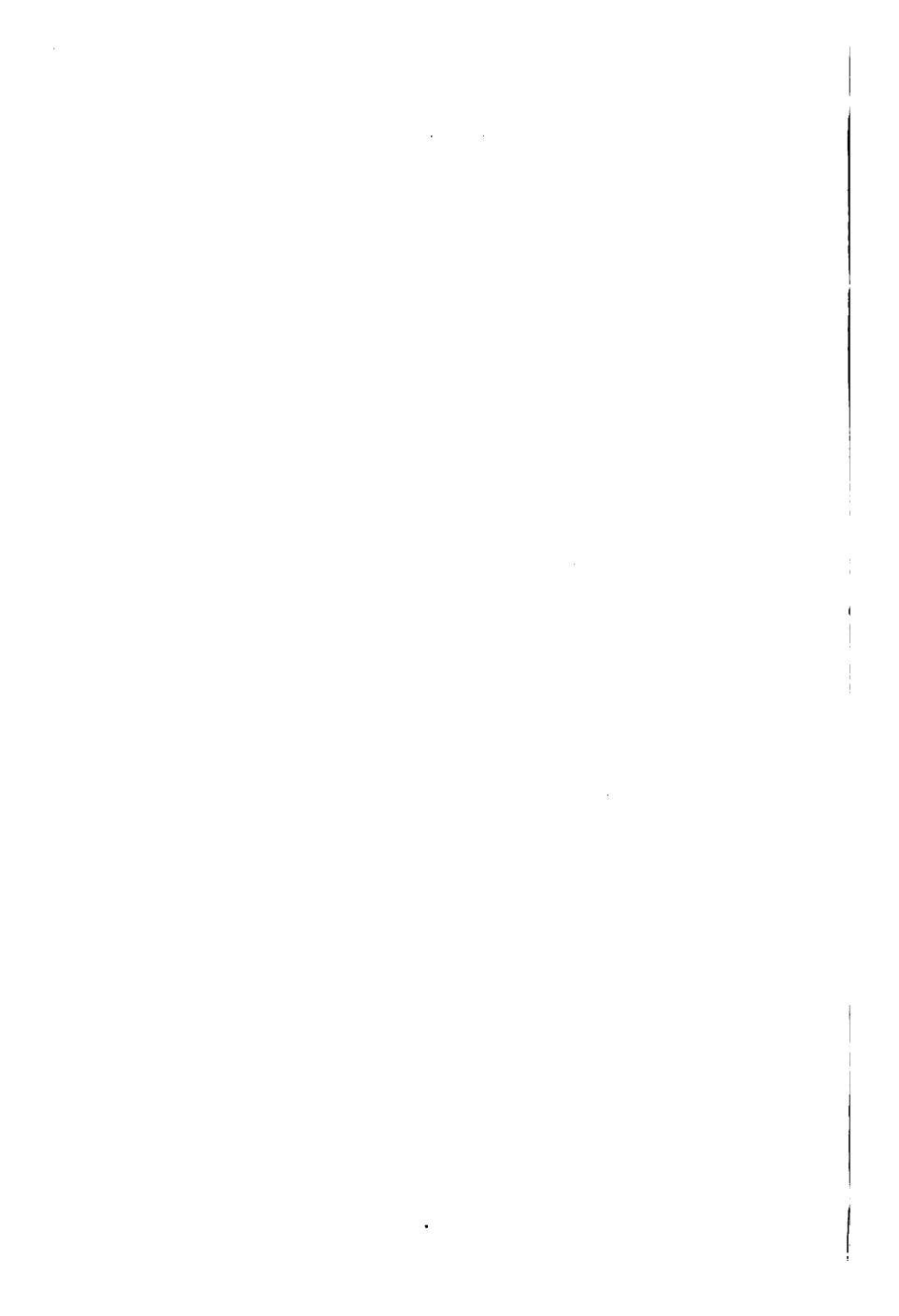


VIII.

TEOFILOWI LENARTOWICZOWI

w 10-tą rocznicę śmierci





Dzisiaj, czy jutro, gdy zapadnie wieko
Nad czołem mojem, które śmierć ostudzi,
Kiedy odejdę w tę podróż daleką
Od kochających i złośliwych ludzi,
Najspokojniejszy na to, co mnie czeka,
Gdym od współbraci gorszym był niewfele —
O jedno tylko proszę, przyjaciele:
Nie róbcie ze mnie wielkiego człowieka!

Taką prośbą zamykał przed laty Teofil Lenartowicz rachunki swe z własnym społeczeństwem. W dalszym ciągu tej rzewnej *Prośby* poeta określał dobitnie powody tej najszczerzej w świecie skromności: «żebym więc ciszę miał, o przyjaciele, nie róbcie ze mnie wielkiego człowieka!»

Cisza istotnie zaległa dokoła niego jeszcze za życia; tylko wybrana garstka pamiętała o lirniku mazowieckim. M. Konopnicka w pięknym wspomnieniu pozgonnem z goryczą wypomina, że zdarzyło jej się podczas opowiadań o żyjącym Lenartowiczu spotkać z pytaniem zadziwiającem: «To

Boże dusze się śpieszą), lub wreszcie *Chata pod sniegiem* (Było to w górach, gdzie śniegi nie giną), albo nieoceniony *Mazur za wołami*.

Powiecie, że to wszystko dziecinne, bo z dziecka to pamiętacie. Tak, zapewne, dziecinne, bo każde dziecko polskie zrozumie te piosnki, niewinne i czyste, jak dziecka oczy. I to jest zniamię pierwsze i trwałe: poezya Lenartowicza jest jasna, przejrzysta i czysta — niepokalanie czysta. Możesz ją śmiało dać do ręki dziewczęciu.

Tchnienia zmysłowości w niej niemasz.

Jużci, kochają się ludzie w jego poezjach, ale miłość to czysta, skromna, wiejska, nie skażona światowem zepsuciem. Kochają się jak ta para wieśniacza, przepięknie opisana w *Jagodzie*, tej jedynej może, szczerzej sielance polskiej:

«Ale my wciąż byli z dala,
Coś ciągnęło i zdzierzało,
Coś, co gasi i podpala,
I «Dość!» szepce i — «Za mało!»

Coś mówiło przez nią skromnie:
To, co łączy i co grodzi,
Że, aż nieraz przeszło po mnie:
«Czy się tego dotknąć godzi?...»

Dobłą, prawą, niezwichniętą naturę kmięcą on pierwszy pokazał swemu społeczeństwu w prostej, nieprzesadnej śpiewce. Ukochał lud sercem całym, a lud mu odpłacił zaufaniem takim, jakim ledwie

swoich darzy; odkrył przed lirnikiem wszystkie swe biedy, i troski, i tę odrobinę słodyczy, którą się krzepi w rzadkie dni wypoczynku. Nikt się tak nie zaśmieje po mazursku, nikt tak nie zapłacze z nim krótko a szczerze. Żadnej przytem nie zna on czułości, żadnego pieszczenia się. Dusza chłopska w nim gra i przezeń jęczy.

Jeden *Mazur* stanie za wszystkie wywody. Wszak znacie go wszyscy? Znacie — a więc posłuchajcie:

Hej, do tańca dziewczuchy!
Zagraj, dudko Jaśkowa!
Cóż to, grajku czyś głuchy?
Co tak siedzisz jak sowa?

.

Bartek z boku spojiera,
Łzy rękawem ociera,
A dziewczuchy, parobcy,
Jak nie swoi, jak obcy.

.

Cóż to, grajku, tak smutnie?
Wesołego niech utnie!
Bo mnie na złość kapeli
Jakoś coraz weselej.
Oj ta dana, oj dana!
Doloż moja kochana!

«Co mam nie być wesoły?
Spaliły się stodoły —
Kłopot sobie nie zadam,
Kędy zboże poskładam!

Bo je grady złożyły,
Pocięły i zmłóciły.
Oj ta dana, oj dana,
Doloż moja kochana!

Co mam nie być wesoty?!
Mój majątek: dwa doły,
A w onych dołach żona
Z małym dzieckiem złożona.
Oj ta dana, oj dana,
Doloż moja kochana!»

.
Kropła w kropkę przez oczy
Z twarzy grajka się toczy.
Czy się zmachał od grania?
Skrzypki rzucił, podeptał,
Otarł lice sukmanem,
I coś mruczał i szeptał,
A dziewczki się splotały —
Że skrzypki grać przestały...

Weź Kołodzieja, weź Wiochnę, jeżeli ci mroczno
na duszy i wielkomięski zaduch cię dławi; roz-
szerzy się twój pokój, a woń pól i lasów go wy-
pełni. Zamarzysz, żeś daleko, za borem, hen! za
rzeką...

Aby tak mową czarować, nie rozumu wielkiego
trzeba, lecz serca. Trzeba tak umiłować, jak Lenar-
towicz. Trzeba się oddać duchowi języka i czuć
go nawskróś:

O czarodziejska ojców mowo droga!
Rycerska, twarda i jak stal chropawa,

Jak anioł jasna, jak naród uboga,
A miła sercu, jak rodzinna sława,
Ty ukochana od lirników cechul...
Jam cię ukochał i znam twoje czary,
U serca ludu jam cię ssał jak mleko,
Wzrokiem ze zbroi wciągałem cię starej...

.
Karpackich orłów przeraźliwe świsty,
Jaskółek lotnych perłowe szczybioty
Mowy mnie ludu nauczyły czystej,
Z którą wędruję pod ojczyste wroty.
Bo choć łotrzyków pustują tam gwary,
I niepojęta w sercach zawierucha,
Jeszcze dla pieśni kąś się znajdzie starej,
Wchodzącej wzorem domowego ducha...

II.

To było źródło żywe, ludowe, jego pieśni. Z niego szły owe *Kaliny* i *Grajki*, naturalne, proste, wyśpiewane jednym tchem, jak śpiew skowronka. Tam była ruda srebra szczerego, i poeta garściami brał i rzucał. Ale dłonie to były nie prostackie, i przyszedł czas, że w lirniku ocknął się artysta i zaczął kształtnie ugniatać podatne bryły rudy rodzimej. Poeta poczuł się wcześniej członkiem społeczeństwa. Zapragnął lirę ludową nastroić na tętsze, dalsze, nietylko mazurskie akordy. Zdrojem ożywczym mowy kmiecej zapragnął orzeźwić omdlewającą od skwarów i posuchy poezję — dał pieśni, o ton cały wyższe i gorętsze.

Opiewał zatem, «lasy nasze, ciemne lasy!... pełne wczesnej woni leśnej i słonecznej krasy»; więc kreślił epizody historyczne z czasów to bardzo blizkich, to bardzo dalekich. Tu zabłysnął w pełni dar malarski poety. Kilku wierszami umie on namalować krajobraz polski, taki żywy, taki nasz, że zdumiewać się trzeba nad pewnością pędzla i tonami barw. Oto jesień nasza:

Depcą woły czarną rolę na jesienne siewy,
Chłodne wody stoją w dole od nocnej ulewy;
Co powieje wiatr zachodni, drobne fale zbiera,
Co zaskrzypi topól stara, oczy dziad otwiera.
Po łachmanach wiatr powieje, dziada przejdą dreszcze,
Oj, wy piękne dni majowe, ujrzę-ż ja was jeszcze?
Zaszło słońce nad lasami...
Poszarzały siwe wzgórki, mgły się gęste kłębią,
Przelatują zimne wiatry, co po kościach ziębią,
Idą ludzie do karczmyska...

A to wewnątrz karczmy i jej goście, z jakąż siłą, z jakim nastrojem skreślone! Jacy tam chłopię! jaki dziad wędrowny! co za wiersz, jędrny, bogaty, jakby od niechcenia rzucany!

Za stołami siedzą starzy i coś sobie rają,
Powiadają sobie ludzie, co na sercu mają...
Na frasunek dobry trunek, dobra kapka miodku...
Jeden z drugim rzędem długim, a dziad u ogniska
Zapatrzył się w suche drzewo, co iskrami pryska.

Grzeje zęby dziadowina i kościste dłonie,
Włos rozwiany, potargany, gdyby gniazdo wronie.
Pierś wychudła, szmat od szczudła, jak pakuły broda,
Rozsiada się dziad u ognia jakby wojewoda.
Z pod brwi gęstej potysk częsty z szarych oczu strzela,
Ciepłem piwskim i ogniskiem starość rozwesela.
Lira jego koło niego, co ją rady kręci,
Stare pieśni, stare pieśni w sercu i pamięci...

Do tego «karczmiska» wchodzi potem dziewczę
sierota, «zahukane, zabiedzone».

Białe usta się ruszały, każdy ząb dygotał,
Z pod płachciny dwie rączyny czerwone jak raki...

Historia tej sierotki, jej dola i niedola, opisana przejmująco, ale nie tu miejsce na jej streszczanie. Nam chodzi o przypomnienie tylko znamienych cech pieśniarza, o uwydatnienie bodaj kilku dźwięków tej lutni bogatej. Więc gdy o historię potraciliśmy, jak nie wspomnieć o rapsodzie p. t.: *Elekcyja* (Sobieskiego), gdzie doskonały rytm rycerski przystaje tak wybornie do treści podniosłej! Już samo oczekiwanie hetmana zwycięskiego wyrażone jest ze wzruszeniem, udzielającym się czytelnikowi. A oto i sam hetman:

On jechał w całej męża krasie,
Pod nim koń biały, w rząd odziany,
Żując wędzidło, rzucał piany,
Miecz przy rycerza wisiał pasle.

Na głowie hełm ze złotym ptakiem,
Na piersiach droga zbroja perska,
Z boku zwieszona tarcz rycerska;
Przed nim z hetmańskim rycerz znakiem,
Z buńczukiem, co ma jabłko w górze
I w wiatr sterczące skrzydło duże.
A puklerz Jana, z złota kuty
Co najprzedniejszych mistrzów dłuty,
Jak słońce świecił się w przestworza;
A jak Achilles świecił zbroją,
Którą mu dała na bój z Troją
Tetys, modrego córka morza;
I jak ten wszystkie czyny swoje,
Jan niósł na tarczy wszystkie boje;
Wszystkie dni jego pełne chwały
Z tej złotej tarczy wyrastały...

Miłosnem okiem obejmował przeszłość narodu
swego Lenartowicz. Nie dlatego, żeby nie widział
stron ciemnych i bolesnych, lub żeby je umyślnie
zatajał. Ale czuł i rozumiał, lepiej niż inni za dni
naszych, że uragać błędom ojców to nie bohater-
stwo ani zasługa, że win i z tej i z tej strony
wiele, i że rzeź roku 1846 stargała już za jego
czasów i zniweczyła dosyć. Więc nie zółcią poił,
ale balsam kładł na rany, choć samemu się serce
krwawiło, choć na jego

pieśniarską strunę

Leciały wspomnienia, jak ptaki na lunę —
I krzyczały w sercu, i krzyczały w głowie,
I rwali mi duszę panowie ojcowie!

Był gołębiem, co z nad potopu gałązkę oliwną
unosił. Jątrzyć nie umiał, nie potrafił. Słuch miał
czujny, ziemi rodzinnej się radził:

Gopło mi szeptało o ziemicy chleba,
Wielkopolskie Gopło, srebrzysta koleba.
Po burzliwej nocy pływałem pod wieżę,
Pod czerwoną wieżę, co popiołów strzeże.
Badałem się wieży, kędy sława leży?
Badałem się kości o stare miłości,
I burzy o grzmoty, i orłów o loty,
Badałem się grobów o ojcowskie cnoty.

Z tem, co mu wieś polska i nauka grobów
dały, poszedł na Zachód.

III.

Łatwo było przewidzieć, przepowiedzieć, co
nastąpiło.

Rozwinięła się w nim szalona, niepoahamowana
tęsknota za tym krajem, tak namiętnie ukochanym,
za Wisłą, za wsią polską, której mu żadne czary
i rozkosze Włoch i Francyi zastąpić nie zdołały.
Nadzieja powrotu podtrzymywała siły pielgrzyma,
więc żył, tworzył — ale ciężkie to, nad wyraz
gorzkie było życie. Wszystko, co na obcej pisał
ziemi, jest przepojone tęsknotą i żalem. Tęsknota
wciska się do poematów, nie mających istotnie

najmniejszego z polską stroną związku. Oto obrazek włoski p. n.: *Rafael*, oto myśl buja w czasach Odrodzenia, oto Róma, a jego nagle «żałość bierze», bo przypomniał sobie Kraków:

I Maryacką naszą wieżę,
I to wzgórze za Zwierzeńcem,
I topole długim wieńcem...

Innym razem opowiadać ma o żegludze dalekiej kędyś między Włochami a Francją. Noc. Księżyc rzuca świetlaną smugę na morskie fale.

Inny, zachwycony cudnym widokiem, o świetle całym by zapomniał, tylko nie on:

Oj! czy wiecie
Co to wędrować po wielkim świecie?
Lepiej na małej siedzieć zagrodzie,
Las mieć na wschodzie, las na zachodzie,
I wciąż na jedne patrzeć obrazy,
Na staw szeroki, na brzeżne głązy,
Gdzie ludzie wodę wiadrami biorą,
Bydło poryka i chusty piorą,
I gdzie za płótem wieśne koniarki
W noc księżycową dmą we fujarki...

Niepoprawny! Co mu po Rafaelu i Buonarrotti! Fornarina życzy mu *buona notte* i ani się domyśla, że głos jej przypomni mu góralską prostotę w Zakopanem, i że mu potem noc całą śnią się na włoskiej ziemi «widzenia nie do wiary»,

a tak przejmujące, że nad ranem «całe głowy mej wezglowie, jak gdyby je wyjął z wody» (Rafael, II). A to nie raz, nie dwa się zdarzało — ten płacz we śnie za stronami rodzinnymi przesładował go często, skoro o nim i w listach pisał:

«Nie związany z nikim w kraju, kiedy naturalna siła magnetyczna, sen, znieruchomi mnie i podobnym ziemi uczyni, mowa ziemi, z prądami idąca, uderza mi w serce, i wtedy zdarza się, że poduszka moja bywa, jakby ją z wody wyjął». (Jesień 1889)¹).

Człowiek cierpiał i tęsknił — poeta kształcił się i wzmagał. Pobyt długoletni we Włoszech był i korzystny i ujemny. Rozszerzył widnokreśli duchowe Lenartowicza, pogłębił myśl jego, ale też długie oddalenie zahamowało w nim poniekąd naturalny rozwój swojskich sił, czerpiących swe soki z rodzinnej ziemi. Nie piszę tu dziejów jego ducha. Dotknąć ledwie mogę tego, co wymagałoby szerokiego, spokojnego rozwinięcia. Sądzę, że Lenartowicz miał wewnętrzne zasoby ogromne, które we Włoszech zaledwie zakiełkować mogły; dały tam trochę kwiecia, a nie związały się w owoc. U nas byłyby wystrzeliły innym kwieciami, byłyby przymnożyły dorobku poetycznego. On mógł być

¹) Marya Konopnicka: *Ludzie i rzeczy*. Warszawa, 1898, str. 441.

dać, czego nie dały nam średnie wieki nasze. Francya ma swoje *lais* i *chansons de geste*, mają Niemcy swego Wolframa i *sagi*; Lenartowicz jeden był na drodze odtworzenia nam w pieśni polskiego średniowiecza. Gdy czytam jego *Słówko o Piotrze Duńczyku*, żal mnie ogarnia, że to tylko *słówko*, że to nie całe słowo, nie epos. Bo kto tak ugodził w ton właściwy polskiemu eposowi? Słuchajcie tylko. Piotr Duńczyk, przyjęty gościnnie przez Krzywoustego, obdarowany Skrzynnem i księżną, żoną, «po latach dziesięci wdziawszy cne zbroje, poprowadził Bolesława we strony swoje». Układ z nim zawiera o swe skarby duńskie. Na morzu ciężkie mają przeprawy. Świętego Olawa o pomoc błagają:

«Święty Olaw w grobie leży, pobok z Kanutem,
Co się rady przyodziewał przedzonym drutem.
Rozbudzi się Kanut stary, po mieczu płasnie,
Po słupach się kęs popatrzy, westchnie i zaśnie.
Obudzi się święty Olaw, słucha a duma,
Skoczy z grobu święty Olaw z złotego tuma:
«Idęć, idęć, dobrej myśli bywaj mi, bracie!..
Obajśma to żywot cały na krucyjacie».
Jedną nogę na ląd stawił, na morze drugą,
Z nieczystymi się duchami nie bawił długo.
One smoki, co już nawę żarły, już żarły,
Porozcinał precz na boki święty umarły;
One grzbiety, najeżone płam złotych sierci,
Porozpraszał, poroznaszał, pociął na ćwierci.

I za drzewo jednym palcem jąwszy, by pierze,
Na niebieskiej cichej wodzie ustawił w mierze.
Potem wiatru sprosił z nieba, by w nawę dmuchał.
Tak to głosu Bolesława Olaw wysłuchał.

Co to za rytm bohaterski, co za naiwność pierwotna słowa, jaki Bolesławowy nastrój, a jak zarazem blizki i Reja i dzisiejszego kmięcia! Czy mamy coś w całej starej poezji naszej, cobyśmy mogli postawić obok tych stu kilkudziesięciu wierszy *Słówka o Pietrze Duńczyku*?

Ale jest inna jeszcze szkoda.

Średniowieczna poezja to poezja rycerska, ale także poezja Świętych. Szczycą się swoimi Francuzi, Włosi i t. d.; mamy, Bogu dzięki, także swoich niemało: św. Wojciech, św. Stanisław, św. Jacek i tylu innych.

Wzniósł im niezgorsze pomniki w prozie naszej wielki Skarga, ale czemuż nie dał nam ich poetycznych żywotów pieśniarz mazowiecki? — Skądże ta pretensya do Lenartowicza? Nie byłoby jej, gdyby nie cudowna jego legenda p. n.: *Św. Franciszek z Paolo, apostoł do królów*. Kto tak wspaniale, tak idealnie trafił w ludowy ton legendy o bce j, jakże dopiero byłby się wzniosł w opowieści wierszem o św. Wojciechu lub św. Stanisławie?!

Św. Franciszek a Paolo żyje na puszczy, odany modlitwom; «chore leczy, umarłe wskrzesza».

Wieść o świętym starcu dochodzi do króla, który
każe łucznikom swym sprowadzić na swój dwór
św. Franciszka.

Poszli, odszukali w leśnym ostępie bożego
męża, który przyjął ich gościnnie i wybrał się
z nimi w drogę do króla.

Tymczasem króla ciekawość zdejma:
Co się to znaczy, że dworskich nie ma?
Siedzi za stołem, miód, wino pije,
Stałą ręką po stole bije.
Bije po stole, aż srebro złata,
We trzy warkocze brodę zaplata.
Na wieży strażnik, przelękły srodze,
Stoi jak żóraw na jednej nodze,
Stoi a patrzy... nie widać wcale:
Okręty płyną przez morskie fale,
Jako łabędzie płyną okręty —
Ale nie widać, żeby szedł Święty.
Ażci na króla wystąpią poty:
O ziemię rzucił roztruchan złoty,
W oprawne okno pięścią uderzy,
Rękę podniesie i patrzy z wieży.

Nadchodzi tymczasem poselstwo z Francyi od
króla Ludwika.

Przyszli, kłaniają, papier oddają,
Papier oddają, swego czekają.

Ludwik francuski posyła włoskiemu królowi
bogate dary i ciężką złożony chorobą, prosi o przy-

stanie mu św. Franciszka, który może go cudownie uzdrowić. A tu Świętego jak niema, tak niema. Wreszcie dostrzeżono go z wieży:

Z wyrazem, co się opisać nie da,
W podartym płaszczu szła święta bieda.

Jak go tam lud i król przyjmował, jakie poczynił on cuda i jak potem do Francji płynął, to już sobie, ciekawy czytelniku, jeśliś nie znał tej Lenartowicza legendy, sam doczytasz. Mnie zależało na przytoczeniu tych kilku bodaj ustępów, aby uzasadnić to, co rzekłem: że tak ślicznych legend o naszych świętych nie mamy i już może mieć nie będziemy. Tajemnicę takiego ich wystowienia wziął Lenartowicz z sobą do grobu. I o to mam żal do włoskiej krainy.

IV.

Renesans włoski uwiódł seraficzną, średnio-wieczną duszę naszego lirnika. Arcydzieła Michała Anioła, Rafaela i in. oczarowały wzrok poety, a za tym zmysłem, «co kochać przymusza, poszło i serce...», tylko nie dusza.

Rozpoczął się pewien nowy ferment w duszy jego, który wydał utwory połowiczne, włoskie tematy na polską nutę: *Rafael, Michał Anioł, Tasso*,

Werona, Rawenna i t. d., i t. d. Nie mogło się to podobać, bo poszło z głowy, nie z serca. Nastroj nie był tam jednolity; jak już wyżej stwierdziłem, do krajobrazów włoskich wkradały się co chwila brzozy i stawy polskie, mąciły harmonię tonów; nie brak, oczywiście, i tam piękności, które są niemi, póki są z osobna. Razem zaś wzięte, kłócą się, niedostrojone, niezharmonizowane. Natchnienie, z obcej czerpane krynicy, nie dopisywało. Dziesięcio-zgłoskowy wiersz, ulubiony przez Lenartowicza, a bardzo niebezpieczny, bo jak to już Słowacki w dopisku do *Żmii* zaznaczał, «mordujący nieprzyjemnie ucho czytelnika», dziesięcio-zgłoskowiec nie odpowiadał treści obcej, znosił zaledwie swojską. Forma nużyła i mściła się nieraz na motywie, skądinąd bardzo wdzięcznym, jak np. w «Apostołach», gdzie treść sama, świetnie zaczęta i poetycznie świeża, nie jest dokończona, ani wytrzymała w pierwszym nastroju.

Pouczający pod tym względem jest hymn «Stabat Mater», który razić musi nieodpowiednią treścią lekkością strofy. Warto zaś przypatrzeć się «Hymnowi do Matki Boskiej». Zaczęty zbyt krótkim wierszem, zwolna, w miarę jak natchnienie bierze górę nad formą, przechodzi ten hymn w wiersz dłuższy, nabrzmiewający powagą, i sam, nieznacznie, wyszukuje sobie stosowny rytm w odpowiedniej liczbie zgłosek.

Mistrz swojskiej formy popadł w rozterkę

z sobą samym pod ciemnym błękitem Włoch. Znać w nim trud myśli, łamiącej się z nadmiarem nowych wrażeń.

Nieudani *Gladyatorowie* (1857 r.) powinni byli ostrzedz go, że zboczył na manowce, zwłaszcza po tak przejmującej, a zarazem pouczającej krytyce Kłaczki, który z nadzwyczajną bystrością przenikliwie sięgnął w samą głąb organizmu duchowego poety i wydobył na jaw słabe strony jego umysłowości. Ale Mazur zaciął się. Chciał może dowieść Kłaczce, że zarzuty były niesłuszne, że tą drogą, w *Gladyatorach* obroną, można przecie wedrzeć się na skałę pięknej Kalliopy. Niestety! pomyłka była nie po stronie krytyka. Całe *Album Włoskie* zawiodło i rozczarowało, a co gorsza, z latami wady zaznaczone przez Kłaczkę, rosły i rozrastały się, jak łopuchy, głuszając sobą wdzięczne fijołki rodzimego natchnienia.

Najniepotrzebniej ogłoszony w wydaniu pośmiertnem poemat dramatyczny p. t.: *Sędziowie Ateńscy* wykazał jaskrawo, do jakiego stopnia Kłaczko miał słuszność, kiedy zarzucał Lenartowiczowi, że nie umie odczuć i zrozumieć «antyki» (*l'antique*), i że mu Apollo «żadnego nie udzielił zmysłu do poznania i odtworzenia klasycznego świata». Do *Sędziów Ateńskich* można i należy zwrócić wprost te słowa, które na lat trzydzieści przedtem stosował Kłaczko do *Gladyatorów*: «Pierwszy rzut oka wystarczy tu do przekonania, że te

drobne ułamki ułomnej wiedzy są nabyte *ad hoc* i dorywczo, że nie są rezultatem żadnych poważniejszych studyów, żadnego głębszego przejęcia się całością przedmiotu». I tu, jak tam, «licency archeologicznej nie okupuje poetycznością ni obrazów, ni wyrazów»; i tu i tam często «wypada z obrazu i z epoki». W tym dramacie pseudogreckim słyszymy o Marsie i Wenerze, Dyanie i Cererze, o Gracyach i Sylwanach, ba! o Fawonim, o tem, że się ludzie w długich płaszczach *parwanią* (! od: *se pavaner*), o *audytoryum* i t. p. W innym jego poemacie stwierdzamy starą prawdę, że *nos Poloni non curamus quantitatem syllabarum* i znajdujemy taki dwuwiersz:

Życie świeżą traci cerę,

Szemrząc: *Noli me tangere..* (!)

Głupstwa to są i drobiazgi, o których nie wspominalibyśmy, gdyby nie były drobnymi ale złowieszczymi symptomatami. Lirnik z Mazowsza rozpraszał swe studya, a za tem szło, że rozpraszał i treść swych utworów coraz więcej. O skupienie tej treści i o jędrność zdania czasem jakby mu nie chodziło. Rozwiewność brał za lekkość, bładość wyrazu za jego przejrzystość, i stało się, że on, co w takim *Słówk*u o *Piotrze Duńczyku*, w legendzie o św. Franciszku z Paolo, rąbał słowem jak toporem, teraz nużącym dziesięciozgłoskowym

wierszem snuł szarą gawędę, jak na sprawdzenie dalszych zarzutów Klaczki: «Przy ciągnięciu malowaniu brak wszelkiego w całość ujęcia. Mimo roztoczonego opowiadania trudno zdać sobie dokładną sprawę z akcji; wątła treść gubi się wciąż i zanurza w słów i rymów powodzi, i niejeden ustęp musi być kilkakrotnie odczytywany, nim jak-bądź się ukształci i ułoży w naszej wyobraźni; przy niejednym też przychodzi pytać się: czy to naracya, albo rozmowa? słoważ to poety, albo osób, które na scenę wprowadza?»

Poemat powstaje z jakiejś mgły marzenia, ulla-tnia się coraz bardziej w jakąś parę westchnienia, opada ostatecznie w kilku łzach rozczulenia».

Tak bywało istotnie w lat wiele, wiele po *Gladyatorach*, to szło z jego organizmu poetycznego, któremu dłuższe, bardziej skomplikowane poematy były oporne. Wszelka większa akcyja, dłuższa historyja, wymagająca planu i rozwagi, obciążała mu natchnienie. Do *Słówka* tchu mu starczyło, do *Legendy* także, ale na *Słowo* epiczne zdobyć się nie chciał, a może i nie mógł. Historycznego tematu się nie podjął, choć historyczne polskie momenty odczuwał wybornie; wystarczy tylko zestawić Krzywoustego ze *Słówka* z Janem III-im (Elekcyja), aby się przekonać, że wnikał z równą łatwością w świat średniowiecza, jak w świat Imci Pana Paska; bo też tu nie chodziło o Ateńskich Sędziów, ani o Gladyatorów, ani o *cinque cento*.

Tam dochodził książkowem ślęczeniem, tu się wzbijał polskiem czuciem. A już miał taką nieoprawną, polską naturę, że sercem obejmował więcej niż rozumem.

V.

Wśród tych prób, tego łamania się z obcem otoczeniem, które ostatecznie skończyło się zwycięstwem florenckiego środowiska artystycznego i lirnika Mazura przerobiło pod koniec życia na rzeźbiarza, Lenartowicz cierpiał dużo i dojrzewał w ciężkiej szkole tęsknoty.

Jako poeta mylił się nieraz, kiedy szczere złoto swych uczuć mieniał na liczmany włoskie; dziecie przyrody polskiej wysługiwało się zbyt długo sztucznej sztuce obcej. Jako człowiek czuł się osamotnionym i coraz mniej zjednoczonym z tą nową falą swego społeczeństwa, z nowem jego pokoleniem, które o Lenartowiczu ze słychu tylko wiedziało.

Anteuszowego dotknięcia ziemi rodzinnej, nowego sił nabrania nie miał przez długie lat dziesiątki. Żył i krzepił się wspomnieniami; źle mówił: krzepił; on niemi krwawił zabliźnione rany, gdy z «opowiadań powracającej» tworzył swe posępne, jak piekło Danta *Cienie*, gdy rozpamiętywał myśli *Napoleona* na Elbie, gdy wreszcie

z długiego, częstego obcowania z arcydziełami Michała Anioła wynosił tę, doświadczeniem okupioną radę:

Iskrę górną próżno traci,
Kto się zbyt czułością ludzi.
Myśl, że iść masz nie do braci,
Ale: że masz iść do ludzi...
Siła jedna wiąże tłumy,
Mniej czułości — więcej dumy.
Nie marzeniem, nudą strutem,
Tnij tak słowem — jak ja dżutem.

A na innym miejscu taką prawdę wyrzekł żywotną:

Słowa niech będą oszczędne jak złoto,
Kto dużo prawli, źle prawli;
Mało ten mówi i z dziwną prostotą,
Czyje się serce wciąż krwawi.

* * *

Wracam do pierwotnego założenia. Lenartowicza siła i niepożyta wartość tkwi w ludowości jego natchnienia. Co z ludu wyszło, nie zestarzeje się nigdy i wróci śmiało, jak do siebie, pod wiejską strzechę. Zapomną może kiedyś całkiem o jego *Wandzie* i *Pięknej Bonie*, o *Gladyatorach*, *Rafaelu* i *Sędziach Ateńskich* — ale «Kalinie», ale «Grajka», «Mazura», «Małego świątka» nie zapomną, bo to do serc trafiło — bo «życie ludu to wieczność».

Żóraw pieśni ludowej, wrywał się on latami
całemi «w świat chłopów», nad ulubione swe błonia.

Odleciał z tylu innymi w zaświaty.

A może i nie odleciał? Może za tyle lat tę-
sknoty używa teraz swojskich pól i borów i krąży
nad nimi i upatruje, gdzie jego «świątek», i sam
z sobą w milczeniu gwarzy:

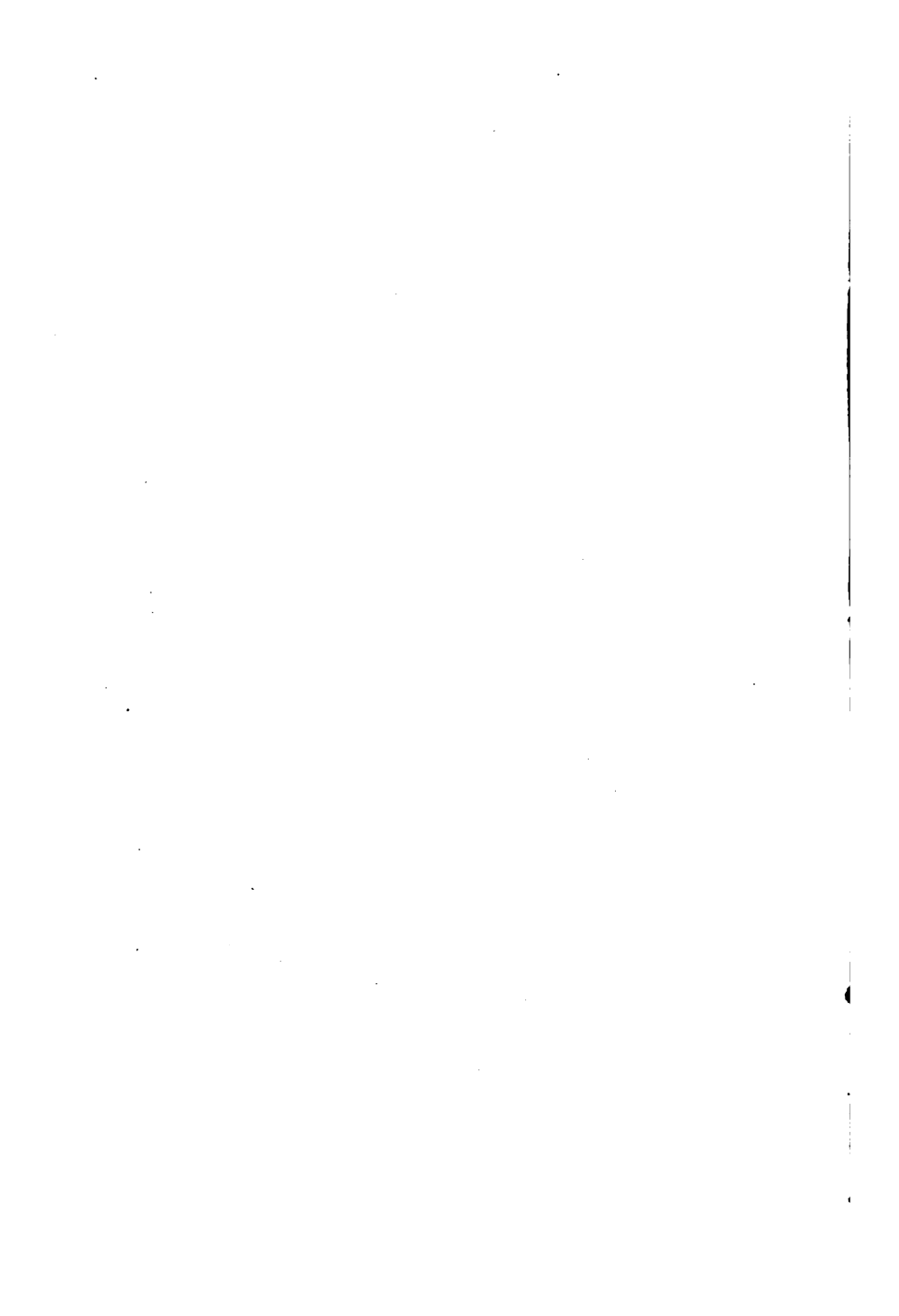
Cisza wokoło... Tylko piosenka
Z chałup, gdzie drobne
Świecą okienka,
Jakby z za światła
Do mnie dolata...



IX.

ANTONI MAŁECKI

SYLWETKA JUBILEUSZOWA



Różne bywają jubileusze. Zdarza się, że człowiek w skromnym zakresie swego działania zrobi wiele dobrego, ożywi zamierającą gałąź nauki, lub przemysłu, stworzy podstawy dla wielu do pracy mrówczej, niepozornej, a wypełniającej życie; czasem świeci tylko przez lat kilkadziesiąt przykładem wzorowej, niezmordowanej, zawodowej pracy i doczeka się dnia, w którym wdzięczni współpracownicy, lub uczniowie, ozdobią sędziwe skronie wieńcem uznania. Dowiadujemy się o tem z dzienników, cieszymy się, że jubilat doczekał rzadkiej uroczystości i — przechodzimy nazajutrz do porządku lub nieporządku dziennego, a nowa, nieustająca fala zdarzeń, kłopotów i obowiązków zmywa z pamięci ludzkiej jubileusz po jubileuszu. Czasem znowu niespodziewany, przedwczesny zgon zasłużonego pracownika wzbudzi żal w społeczeństwie, że nie zdążyło w porę wyrazić zmartemu swego uznania; na mogile zielenią się wówczas wieńce niestrwałe... Przyspieszony pęd gorączkowej, nadmiernej pracy skraca życie. O pięćdziesięcio-

letnich jubileuszach coraz rzadziej słyszymy, a mnożą się obchody pracy trzydziestoletniej lub dwudziestopięcioletniej. Są bowiem dwudziestopięciolecia o plonie nadzwyczajnym, przebudnym, godnym uwielbienia i czci ogółu.

Do bardzo rzadkich, wyjątkowych jubileuszów należy powszechny hołd, złożony sędziwemu a tak czerstwemu i pełnemu sił, Antoniemu Małeckiemu. Wyjątkowym jest fakt przeszło sześćdziesięcioletniej, nieustannej, wydatnej pracy na różnych polach piśmiennictwa polskiego; wyjątkowa jest, i zapewne na długo pozostanie, ewolucya od poezyi i filozofii począwszy, przez filologię, lingwistykę i literaturę ku badaniom historycznym; a daj Boże, aby niewyjątkową, owszem, krzewiącą się jak najczęściej i jak najszerzej, była u nas tak potężna, zdrowa, jednolita i jakby ze spiżu wykuta organizacya duchowa, którą trzy pokolenia polskie mają wpośród siebie, na którą patrzą, od której się tyle nauczyły i ciągle jeszcze uczą. Trudno wyrazić, ile zawdzięczamy Małeckiemu i jaka nas radość przenika, ilekroć pomyślimy, że tam, w cichem skrzydle świątyni naukowej, zwanej *Ossolineum*, działa, tworzy, zagrzewa swym przykładem do pracy, Antoni Małecki, ten sam, który w roku 1841 od ludowej nuty wierszem zaczynał, a w roku 1905 badaniu genezy społeczeństwa polskiego zachód pięknego żywota poświęca.

Byłoby to zuchwalstwem, chcieć w króciutkim

szkicu dać pełny wizerunek duchowy męża takiej miary. Ale można, a nawet potrzeba uwydatnić, chociażby w ogólnym zarysie, doniosłość, obfitość i rozmaitość zasług czcigodnego jubilata. Nie powiemy tu nic nowego. Już przed trzydziestu laty zapowiadał J. I. Kraszewski: «nie należy dr Antoni Małecki do tych, którymby odmawiano dziś znakomitego talentu, gruntownej nauki i wielkich zasług, ale przekonani jesteśmy, że przyszłość jeszcze go wyżej daleko postawi, niżeli dzisiejsze uznanie»¹⁾. Przepowiednia w zupełności się sprawdziła.

I.

Urodził się Antoni Małecki w r. 1821 w Obiezierzu, o trzy mile od Poznania. Dzieciństwo miał sielskie; ze wsi wielkopolskiej wyniósł na cały długi żywot miłość rodzinnej ziemi, nienarażonej wówczas jeszcze na ciężkie, dzisiejsze próby. Kształciła go dzielna matka, bo ojciec odumarał go przedwcześnie. Początki nauk dawał mu zacny nauczyciel Cybichowski, a pierwsze łyzy rozumne wylewał chłopiec nad męką Chrystusa, opisaną w Biblii Budnego. Stary druk XVI wieku zasiewał w dziecinnej główce i słowa Zygmuntońskiej polszczyzny,

¹⁾ Ob. szczegółowy życiorys A. Małeckiego przez J. I. Kraszewskiego w *Kłosach* z r. 1874, str. 190—192.

i przyszłą miłość ojczystego piśmiennictwa. Odany w roku 1834 w Poznaniu do szkół gimnazjalnych, ukończył je w roku 1841, a w tymże roku, jakby na dowód istotnej nie na papierze tylko, dojrzałości do studyów uniwersyteckich napisał młody «abituryent» pierwszą pracę, którą A. Popliński, gimnazjalny jego profesor, uznał godną druku. Był to szkic: *O życiu i pismach Mickiewicza*, wydrukowany w dwu numerach *Ore-downika Naukowego* (1842 roku, str. 246—248 i 254—256).

Jest to ze wszech miar godny uwagi zarys biograficzny, którego wartość polega na tem, że Małecki czerpał wiadomości swe z bardzo dobrego źródła, bo od brata poety, Franciszka Mickiewicza. Jak do tego szkicu literackiego przyszło, opowiada sam Małecki. Po rychłej śmierci rodziców swoich oddany został w opiekę hr. Józefowi Grabowskiemu¹⁾ w Łukowie, gdzie spędzał zawsze wakacje. Tutaj to poznał Franciszka Mickiewicza, który przebywał stale od roku 1831 w gościnnym domu Grabowskich. Młodziutki uczeń gimnazjalny pozyskał życzliwość, a w dalszych latach i przyjaźń brata A. Mickiewicza. «Było to w roku 1841 —

¹⁾ Tego-to J. Grabowskiego są *Pamiętniki z czasów wojen Napoleońskich* (1812—1814), które w opracowaniu W. Gąsiorowskiego niedawno ukazały się nakładem Kasy warsz. pomocników księgarskich. (Gebethner & Wolff, 1905, str. XIV + 344).

pisze Antoni Małecki — w miesiącu wrześniu, ostatnim miesiącu uczęszczania mego do gimnazjum w Poznaniu»¹⁾).

Zakończyły się egzamina dojrzałości. Małecki wraz z innymi kolegami zaliczony został do tak zwanych abiturjentów. Było wówczas zwyczajem w gimnazyach wielkopolskich, że całoroczne nauki szkolne kończyły się aktem publicznym, podczas którego rozdawano celującym uczniom nagrody, abiturjentom zaś wręczano świadectwa dojrzałości. Ostatnią tę czynność poprzedzało wygłoszenie trzech mów w języku łacińskim, polskim i niemieckim; profesorowie wybierali mówców z pośród abiturjentów; wybrani zaś mogli sami decydować o przedmiocie mowy, za zgodą władzy szkolnej.

W owym roku mowę polską wygłosić miał Małecki.

«Kiedy mnie profesor nasz języka polskiego, Antoni Popliński, zapytał, o czym mówić zamierzam, odpowiedziałem bez namysłu: «Oczywiście o Mickiewiczu!». — «Dobry przedmiot — odparł na to profesor — ale cóż ty o nim powiesz, kiedy tak mało o życiu jego wiadomo?»

«Zdajcie to panowie na mnie — odpowiedzia-

¹⁾ Z *Dziejów i Literatury*. Pomniejsze pisma Antoniego Małeckiego. Lwów, 1896. (K. Grendyszyński w Petersburgu), str. 194 i nast.

łem — niech to już będzie mój kłopot. Mam takie źródło, z którego warto zaczerpnąć».

«Źródłem owem dla mnie miał naturalnie być p. Franciszek w Łukowie»¹⁾.

Na gorące listowne prośby Małeckiego, który sam z powodu obowiązków gimnazjalnych wyjechać do Łukowa nie mógł, przyjechał stamtąd Franciszek Mickiewicz, gościł w Poznaniu dni parę, mówił z Małeckim «w cztery oczy otwarcie o wszystkim», a po jego odjeździe ułożył «abituryent» swoją niepospolitą mowę, którą po wygłoszeniu zaraz mu prof. Popliński zabrał i, jako redaktor *Orędownika* w czasopiśmie tem po jakimś czasie wydrukował.

Krótką tą, niezupełną i dorywczą biografią Adama Mickiewicza, była przecież pierwszą w polskim języku. Nie tyle się dziwić, że ten lub ów szczegół jest tam chronologicznie nie na miejscu, jak raczej zdumiewać się nad trafnem postawieniem całej kwestyi i śmiałem jej ujęciem. Błędami tej młodzieńczej pracy muszą się podzielić: brat poety, Franciszek, który niejedno mógł źle zapamiętać, i Francuz, Ludwik Loménie, który właśnie wtedy wydał w Paryżu broszurkę o Mickiewiczu w *Galerie des contemporains illustres*. Korzystał z tej broszurki młody mówca, «jako ze źródła».

¹⁾ Tamże.

Uwielbienie Mickiewicza i zapał dla jego poezji cechują tę drobną pracę, którą tak znacząco rozpoczął swą działalność pisarską Małecki. Przyszły biograf Słowackiego, już tutaj, jako 20-letni autor objawiał trwałe zalety swego talentu badawczego, już wówczas zwracał uwagę na cechy ważne, charakterystyczne, na pamięć nadzwyczajną poety, dar improwizacyjny, doniosłość otoczenia uniwersyteckiego w Wilnie, samorodną nutę ballad i t. d. Określenie świadomości poetyckiej Mickiewicza jest doskonałe:

«Pojął Mickiewicz, co to jest być poetą, i zrozumiał, jak się ma objawiać święta, boska poezya. Wiedział, że poezya jest kapłaństwem niepokalanem, którego do płaskich, niskich celów nagiąć się nie godzi, a poeta — kapłanem ludu, organem i głosem onegoż do Boga, do potomności». — Tak mówił o poecie, a poezją jego już wówczas, kiedy trwały wykłady w Collège de France, uważał jako pieśń, która «będzie kiedyś świadectwem dni naszych, to jest obrazem rzetelnym, prawdziwym, a świeżym, gdzie życie drga jeszcze, gdzie uczucia jeszcze nie ostygły. Niechaj inne narody czekają, aż się dzieje ich zamglą dawnością i fantazją dawności omroczą. Mickiewicz tego nie potrzebował. On do swej pieśni i treść, i kształty miał przygotowane. Dosyć mu było pochwyć je, póki nie uleczą, dosyć rozkazać twórczym rozka-

zem: pokryjcie się ciałem! pozostawcie, jako pomnik dni naszych w najpóźniejsze lata! dosyć, mówię, było mu na tem, by najplastyczniejszą stroną życia narodowego potomności niewzruszoną przekazać».

Tę mowę «abituryenta» chciał widocznie student uniwersytetu uzupełnić. W mowie doszedł do znaczenia *Pana Tadeusza* i na tem rzecz się w *Ore-downniku* urywa, z uwagą nawiasową: *Zdanie o prelekcjach później*. Ale uzupełnieniu stanęły na przeszkodzie lata uniwersyteckiej, sumiennej, cichej, żelaznej pracy, na której, jak na głębokich, a niewzruszonych fundamentach wznieść się miał gmach, stawiany potem przez lat dziesiątki pewną i skrzętną ręką mistrza. Mową o Poecie zamykał młodzieniec swe lata gimnazyalne, lata pierwszych porywów i rojeń poetyckich. Odczuł piękności Ballad i ludowego ich nastroju, bo mu w piersi grały także ludowe pieśni, bo się już poczuł synem kochającym rodzinnej ziemi. Łacina i greka nie wysuszyły w nim w gimnazyum poznańskim źródeł natchnienia; z pól rodzinnego Obiezierza dolatywała zdrowa, wiejska nuta, a rozmarzony młodzian pisał wierszem *Ostatki*, tak mu drogie, tak ukochane, bo je dzieckiem zapamiętał¹⁾:

¹⁾ Dnia 28 lutego 1841 roku. Wydrukowane w *Przyjacielu Ludu*, Leszno, 1841, str. 309—310.

«Chcecież wiedzieć, jak się chłopcy bawią z dziewczętami
Na ostatki w Obiezlerzu pod Obornikami?
Jak się bawią, jak śpiewają, jak tańczą wesoło?
Chcecież wiedzieć? To słuchajcie, obśtańcie mnie w koło».

I opowiedział kolegom wierszem potoczystym, z zacięciem, przypominającym *Sielanki* Szymonowicza, zwyczajnie wiejskie w zapusty. Jest w tym wierszu i prostota, i humor łagodny, i bystrość obserwacji, a nie brak w końcu umyślnej aluzji do wymuszonych zabaw w mieście, sztucznie urządzanych, a tak niepodobnych do szczerzej ochoty wiejskiej:

«A w mieście, cóż ludzie robią? — Wieczoró w tam wiele,
A salony brzmią muzyką, a świec, jak w kościele!
Czy szczęśliwi na swych balach? czy się bawią szczerze?
Tańczą przecież kontredansa, rulady śpiewają,
Po francusku paplą z sobą, albo w wista grają,
Ale, żeby się bawili — temu ja nie wierzę!»

Nie na zabawę też pojechał nasz «abituryent» do wielkiego, obcego miasta, do Berlina. Dążył tam po wiedzę, z pełną świadomością jej potrzeby, z gorącym pragnieniem, żeby po latach przywieźć jej jak najwięcej i dla siebie, i dla swoich.

II.

Uniwersytet berliński świecił wówczas znakomitościami naukowymi. Były to czasy wszech-

władnego jeszcze panowania hegelianizmu, który żył siłą tradycji miejscowych, ale chylił się już upadkowi. Małeckiemu zależało przede wszystkim na zdobyciu metody naukowej, którą chciał do polskiej zastosować wiedzy. Nic dziwnego, że młodego ucznia uniwersytetu oszołomiła zrazu i zachwycała filozofia heglowska, tak pewna siebie, z taką powagą rozwijająca przez tezy i antytezy wszelkie zagadnienia wieków, wznosząca się z jednej do drugiej syntezy.

Młody umysł nurzał się z lubością w tej próżni abstrakcyjnej, biorąc szych formułek i nadpowietrznych konstrukcyi za szczere złoto prawdy niewzruszonej. Skuszony tą pozorną łatwością piętrzenia idei na ideach rzucił się, z tym świętym zapałem, co mierzy siły na zamiary, do rozwiązania najtrudniejszych problematów i napisał rzecz: *O żywej, pojmującej się i dokonywającej Narodowości*, którą poznański *Tygodnik Literacki* (Woykowskiego) zaczął drukować dnia 30 września 1843 r. ¹⁾ Obracamy się tu w zaczarowanym kole terminologii transcendentalnej: bezróżni, nadsprzecznici, jedni i t. d. Mamy do czynienia z dyalektyką widzialną, «posuwającą się w Czasie realnym, wyrzucającą z siebie kolejno coraz nowe ka-

¹⁾ Str. 306 i n.; na str. 357 czytamy po artykule o narodowości: «ciąg dalszy później nastąpi». Nie znajdujemy jednak dokończenia tej pracy w *Tygodniku*.

tegorie, znosząc ją następnie jako coraz nowe momenta, wywijającą z nich znowu coraz dalsze konsekwencye...»

Wydać się to może dzisiaj igraszką słów, goniących się jak rój jednodniówek w cichy wieczór lipcowy nad brzegiem rzeki — a przecież tkwi w tej filozoficznej rozprawie ogrom rozmyślań nad tak żywotną dla Polaka kwestyą. Takie zapuszczanie się w las gęsty pojęć i idei wymagało niecodziennej tęgości umysłowej, ostrzyło zmysł orientacyjny w labiryncie abstrakcyi, wymagało doskonałego kompasu logiki. Studya filozoficzne nie mogły wypełnić potrzeb gorącego serca, ale były wyborną szkołą porządnego myślenia. Zaczytywał się w filozofach nowszych i starożytnych Małeckci. Z rozprawy o narodowości widać, że mu nawet Boehme obcym nie był. We wszechstronem rozpatrywaniu istoty i znaczenia narodowości, stosunku jej do ludzkości, w oznaczaniu różnych «pojawów» narodowego życia nie mógł oczywiście Małeckci pominąć j ę z y k a.

Ze wszechmiar godne uwagi jest, jak przyszły badacz mowy określa doniosłość języka dla narodu. W ustępie, który z zapomnianej od pół wieku rozprawy wydobywamy, znajdzie czytelnik zarazem próbkę ówczesnego filozoficznego nastroju Małeckiego:

«Język jest narodowość wewnętrzna, pochodzenie mająca z ducha, bogata w wyobrażenia i obrazy,

z natury ojczystej zdjęte, ale przeczyszczone przez płomień Ducha wewnętrzny i zidealizowane przezeń: narodowość wyobrażeń, ślad stosunku narodu do miejscowości i czasowości swojej. Wielki tu już skarb istoty swojej składa naród: mądrość wyobrażeń i zapatrzenia się jego na wszystko, co go otacza i na siebie samego, będzie kiedyś zdumiewała późne jego pokolenia, będzie zdumiewała milionem lat odgrodzoną od niego Ludzkość. I bez wątpienia więcej wypowiada w języku swoim naród, niż sam wiedzieć o tem może. Duch jego jeszcze mrzący, a najwięcej jeśli czujący się, nie potrafiłby tego, gdyby implicite nie miał tej mądrości w sobie w zarodzie, którą mu rzeczywiście wieków prace pozyskają. Język jest potężnym a przeważnym organem narodowości; co w naturze skamieniało na martwe kształty, będąc ledwo symbolem narodowości: — to płynie tu pod pokrywą głosu i brzmienia, jak niezgłębiony potok z całym prądem nieprzebranego życia i mądrej genialnej intuicyi. Tutaj to przyszłe pokolenia czerpać będą treść ojcowizny swojej, która ich jedynie zasilać zdolna, która sama odkryć im może ich narodowość, bo sama jest narodowością. W zwrotach, brzmieniu, ukształtowaniu wyrazów i całej wogóle strukturze języka już tak dalece odbija się narodowość Ducha, że można z niej zawsze odgadnąć istotę przynajmniej jego historii; równie i naturze położenia jeograficznego(!)

tak wyraziście świadczy brzmienie mowy ojczystej, że jak wprzód mogliśmy nazwać język narodowością w brzmieniu znoszącą realność swojej natury: tak teraz dodać odwrotnie możemy, że język, gdyby był zaklęty w skamieniałe formy i masy przestrzeni zajmujące, mógłby tylko ojczystą ziemię powtórzyć, z przyciskiem głównego piętna, które ją znamionuje¹⁾.

Ta próbka filozofii i stylu daje miarę bezgranicznego zaufania młodzieńca do ideologii, a zarazem wielkiej miłości mowy ojczystej. Umysł tak trzeźwy i rozważny, jak Małeckiego, nie mógł długo przebywać na wyżynach transcendentalnych i nadobłocznych. Był młodym, łaknął silniejszego pokarmu i znalazł go podostatkiem w studiach historycznych, literackich i filologicznych.

Znalazł mistrzów nielada: historii nauczał w Berlinie Ranke i Raumer, filologii klasycznej Boeckh, Zumpt i Lachmann, filozofią obok Schellinga, już starego, wykładał Trendelenburg, zrywający z Hegelianizmem, który miał przecież przedstawiciela w Michelecie. Młodzieży polskiej było wówczas sporo w Berlinie; kolegował Małecki z wielu rodakami, głośnymi z czasem. Kształcili się tam wówczas: Henryk Szuman, ksiądz Prusinowski, ksiądz Janiszewski (późniejszy biskup), Zielonacki, Rogier Raczyński, Szafarkiewicz i w. in. Młodzież

¹⁾ *Tygodnik literacki*, 1843, str. 323—324.

polska miała w Berlinie własną, składkową bibliotekę, zbierała się co sobotę wieczorem, czytała, rozprawiała, roiła.

Po kilkuletnich studiach składa Małecki egzamina i otrzymuje (1844 r.) w uniwersytecie berlińskim stopień doktora filozofii za rozprawę pod tytułem: *De Academia Vetere*, w której rozwiódł się nad systemem filozoficznym pierwszych uczniów Platona. W lutym roku 1845 złożył tamże egzamin pedagogiczny i otrzymał świadectwo, upoważniające go do nauczania w wyższem gimnazjum filologii klasycznej, filozofii i historii powszechnej. Wróciwszy do Poznania, nauczał od roku 1845 do roku 1850 w gimnazjum katolickiem łaciny, greki, języka polskiego. Czas wolny od żmudnych zajęć pedagogicznych poświęcał studjom historycznym i literackim. Silny był wówczas ruch umysłowy w dzielnicy wielkopolskiej. Obok czasopism tygodniowych, wychodziły wtedy w Poznaniu dwa miesięczne przeglądy: *Rok* i *Przegląd Poznański*. W obu umieszczał swe prace Małecki, a dość wymienić ich tytuły, aby przekonać się o różnorodności badań, o tem, co niemal równocześnie nęciło wyobraźnię i umysł młodego badacza.

Najpierw ukazała się rozprawa pod tytułem: *Porównanie pierwotnych związków społecznych u Germanów i Słowian*¹⁾. Nie mamy zamiaru

¹⁾ *Przegląd Poznański*. Pismo miesięczne, tom III, 1846.

wchodzić w szczegóły tej starannej pracy, której wyniki autor teraz samby inaczej, zdaje się, określił; ale nie możemy przemilczeć, z jak szlachetnych i gorących wyszła ona pobudek. Na czele jej czytamy takie *motto* z Roepell'a, które i dzisiaj jeszcze, dzisiaj właśnie, nie straciło swej mocy: «Es wird uns Deutschen nicht leicht, den nationalen Geist der Slaven unbefangen aufzufassen und zu würdigen; aber mit dem reinen Negiren, *absoluten Verurtheilen* desselben, wie man solches in unseren (!) Tagen gar häufig findet, kommt man sicher der Sache nicht auf den Grund».

W pracy tej żegna Małeckci stanowczo i na zawsze zaciekania filozoficzne, a zadawszy sobie pytanie, «jaki rodzaj pracy umysłowej sprawie a pożytkowi powszechnemu najwięcej posłużyć może?» dochodzi do przeświadczenia, że badań filozoficznych nikt słuchać nie zechce w czasie,

Poznań (Redaktor dr Szafarkiewicz), str. 209—270 i 273—286. Rzeczywistym redaktorem i nakładcą *Przeglądu* był Jan Koźmian, później ksiądz. Szafarkiewicz był tylko podstawiony. W tomie tym znajdujemy liczne rozprawy, poświęcone historii włościan: «O służbie wojennej włościan za dawnej Polski». — «Wyjątki z historii ludu włościańskiego w Polsce». — «Historja ludu włościańskiego w Polsce». Autorem ich był Ant. Szymański, emigrant zamieszkały w Paryżu. Ten prąd badań ówczesnych, zmierzających do rozjaśnienia doli historycznej włościan jest bardzo znamennym i naturalnym w roku 1846. Mógł on być pobudką dla przyszłego badacza pierwiastkowych dziejów Polski do podjęcia własnych na tem polu poszukiwań.

kiedy wre walka potęg tysiąca przeciw tysiącom innych», że obecnie pora nie tyle na filozofią rozumu, ani na filozofią pewnej wyłącznej zasady i dążności, ile raczej na filozofią dobrej woli i dobrej wiary».

A czynem dobrej woli i dobrej wiary było to studium porównawcze o genezie dwu społeczeństw, dwu organizmów narodowych, z których jeden, germański, tuczyć się pragnął krzywdą drugiego, słowiańskiego. Filozof-historyk pragnął dotrzeć do samego jądra kwestyi, do zarodkowej komórki pierwotnego organizmu społecznego Germanów i Słowian, chciał wykazać, «w czym mianowicie, zaraz w czasach pierwotnych, zarody społeczeństwa słowiańskiego od zarodków społeczeństwa germańskiego się różniły». Wieś germańska wobec wsi słowiańskiej — oto problem zasadniczy, ważny, a samo postawienie jego i próba rozwiązania drogą porównawczą były dowodem niepospolitej na owe czasy bystrości badacza. Nie miał wtedy Małecki tych wszystkich pomocniczych zbiorów źródeł, regestów, monografii, słowem tego wszystkiego, co w kilkadziesiąt lat potem nagromadziła wiedza historyczna, która, dzięki równoczesnym i równoległym poszukiwaniom etnologicznym, lingwistycznym i heraldycznym dokonała przedwstępnej pracy i wydzieliła okruszyny prawdy z rumowiska zmyśleń średniowiecznych; a przecież jak dzielnie potyka się autor z trudnościami, jak im nigdzie

z drogi nie schodzi! Mamy już tu i kwestyę opola i oddzielania się rodów, i kwestyę wspólnot herbowych, osad rzemieślniczych i pańszczyzny, systemu dziedziczenia kmiecego i szlacheckiego i t. d. i t. d.

Te wszystkie ciekawe i ważne kwestyę genezy, które po latach pięćdziesięciu nie przestaną zaprzętać myśli badacza, są tu przecież dla Małeckiego tylko zbiorem narzędzi naukowych, zmierzających do przebicia się na jaśnię, do uchwycenia zarodkowych różnic dwu olbrzymich szczepów, do skreślenia znamion charakterystycznych Germanów i Słowian. Małecki tak je streszcza: za cechy trwałe, rasowe Germanów uważa wojowniczość, silny a odrębny indywidualizm, nierówność społeczną, wydającą feudalizm; tym wszystkim cechom germańskim przeciwstawiają się, zdaniem autora, cechy Słowian starożytnych: rolniczość, porządek ziemski i gromadny, równość powszechna, brak tęgości indywidualizmu, a natomiast familijność i rodowość.

Jużby się mogło było zdawać, że historia powszechna, że zwłaszcza dzieje pierwotne Polski pociągną ku sobie badacza i pochłoną go na zawsze. Ale młody nauczyciel poznański rozczytywał się wówczas pilnie w prelekcyach Mickiewicza paryskich. Te mu nie dały zasklepić się w jednym, choćby najobszerniejszym, zakresie szczegółowym wiedzy. Znalazł tam wprawdzie po-

budkę do zajęcia się starożytnościami etnicznymi Słowian, ale wyczytał także wspaniały rozbiór *Nieboskiej*; — a że do umysłu, wytrawionego studiami filozoficznymi, znającego na wylot Hegła i Schellinga, przemówił Irydyon potęgą swej myśli, co wieki przeżyła, to chyba wszyscy zrozumiemy.

I tem się tłumaczy, że w tym samym roku 1846, wydał Małecki obok historycznej rozprawy porównawczej o pierwotnych zawiązkach społecznych Germanów i Słowian — świetne studium: *O stanowisku i dziełach Autora Irydyona*¹⁾.

Był to początek dłuższej pracy, której potem zaniechał autor, napisawszy tylko rozbiór Irydyona. Ten wstępny rozdział, sam dla siebie stanowiący całość, jest doskonale pomyślany, a pod względem stylu należy do najlepszych utworów Małeckiego. Streszczać go nie można, tak jest pełnym treści. To zaś, co tam Małecki o Zygmuncie Krasieńskim napisał, tak jest przenikliwe, tak trafnie stawiające autora *Irydyona* na właściwym mu miejscu, że nietylko dziś, po tylu latach, ale kiedyś pewnie, w najdalszej przyszłości, historia myśli polskiej powtórzy tylko i potwierdzi bystry sąd 24-letniego młodzieńca. Uznawszy dzieła «bezimiennego autora» za wielce ważne, najważniejsze może z ostatnich faktów naszej literatury», przystępuje Małecki

¹⁾ *Rok 1846*. Zeszyt lutowy. Rozprawa ta przedrukowana jest w książce pod tytułem: *Z Dziejów i Literatury*, str. 1—9.

do ich oceny tem skwapliwiej, «że mało są dotąd rozpowszechnione, mało czytane, wielu nawet nieznane...» Ten dziwny brak popularności tłumaczy autor bardzo trafnie tym, tyle w naszym społeczeństwie mówiącym argumentem, że autor *Nieboskiej* «nie należy do żadnych z wojujących dziś partyi». Nie rozumie tego ogół, że są ludzie wyżsi, którzy dlatego nie podzielają wyłącznie tych lub owych przekonań stronnicych, «że już je przeszli i wyszli poza ich obręb». Takim jest twórca *Nieboskiej*. «W tym razie nienależenie do żadnej partyi będzie cechą ducha wyrobionego i wprzeczającego czas swój». Kto jednak do prawdy wyższej zdołał się wzniesić, «ten zwyczajnie od różnych różnie pojmowany, każdej partyi za nieprzyjaciela uchodzi». Autor *Irydyona* u demokratów uchodzi za arystokratę. «Czemu? — bo z niepięknej strony odsłonił zamysły Pankracego i jego zastępów; u arystokracji, przeciwnie, za demokratę okrzyczany — a czemu? bo wystawił w temże dziele w przerażającym świetle wszystkie te stare, dziś przedawnione uczucia, które władwały dawnymi czasy feudalizmem, później arystokracją. Jeżeli zechcemy pójść dalej, obaczymy, że ortodoksi z niechęcią o nim wspominają, bo to zasady nienarodowe, niekatolickie, bo to filozofia. Filozofowie ze swej strony zarzucają mu znowu zbytnią fantazyę i uczuciowość, «która pochodzi z przesadzonego religijnego kierunku (!) i nie cierpi

tej wolności, która wszelkiego myślenia swobodnego a samodzielnego jest niezbędnym warunkiem». Inni znowu do Towiańszczyzny go liczą! Owóż chaos wyobrażeń, zgiełk sądów różnych, sprzecznych o człowieku tym samym. — Każda partya odsyła go do drugiej, sobie przeciwnej; podczas gdy on do nich wszystkich w połączeniu przyznać się może, oczyściwszy naturalnie każdą z tej pleśni, przez którą wyrzuca się na wierzch nurtująca we wnętrzu ich nienawiść. Autor nasz wyrzekł się nienawiści pierwiastków jednych dla miłości pierwiastków innych: i tem jednym już je z sobą złączył, by mu wszystkie służyły, by go wyniosły tam, dokąd żaden pojedynczo nie doprowadzi. W tem jasnym spojrzeniu na całą prawdę, a nie na niektóre tylko strony prawdy — w tem ujęciu wszystkich władz umysłu ludzkiego w jedną siłę, czy ją tam nazwiemy fantazyą twórczą, czy intuicyą, czy duchem, w tej mowie zupełnej i całkowitej wszystkiego ducha pracy, ukryta leży tajemnica wysokości stanowiska autora naszego, którem się od innych naszych poetów różni i którem ich prześciga».

Nie wiem, czy od czasu, gdy to było wydrukowane, pojawiło się głębsze, trafniejsze, sprawie-

¹⁾ *Z Dziejów i Literatury*, str. 5—6.

dłuższe określenie natury duchowej, znaczenia i stanowiska Zygmunta Krasińskiego. Małecki czuł dobrze, jak wiele tu twierdził wobec powszechnej wówczas obojętności ogółu dla arcydzieł myśli naszej; to też szczegółowo uzasadnia swój sąd, dowodzi znakomicie, dlaczego autor *Irydyona* «ludzkości całej poetą nazwany być powinien», dlaczego widzi w nim «prawego i dalej poezję prowadzącego, następcę Mickiewicza». Ta drobna rozmiarami rozprawka o dziewięciu stronach druku, tworzy epokę dla badań nad Zygmuntem Krasińskim. Była to jakby uwertura wielkiej opery filozoficznej, od dziejów *Nieboskiej*, poczynwszy aż do złotych zór *Przedświtu*. Nieodżałowaną jest stratą dla piśmiennictwa naszego, że z opery tej jeden zaledwie akt pozostał: rozbiór *Irydyona*. Że do rozbioru tego przystąpił autor po głębokiem zastanowieniu się nad myślą przewodnią *Nieboskiej*, widać to choćby z tych ustępów, gdzie porównywa spotkanie się *Irydyona* i Aleksandra Sewera z dialogiem Henryka i Pankracego¹⁾. Uważa wreszcie Małecki w końcowym ustępie pierwotnego tekstu, *Irydyona* za ślad wyższego (od *Nieboskiej*) stanowiska». Cary rozbiór *Irydyona* jest właściwie filo-

¹⁾ Wyraźnie świadczy o tem zresztą następujące zdanie (*Przeegl. Pozn.*, 1847, str. 219, w przypisku): «Część ta pisma naszego, gdzie wyjaśniliśmy znaczenie i skład organiczny *Komedyi*, dotąd drukiem ogłoszona nie została».

zoficznym jego streszczeniem; widzimy dziś dokładnie zamiar wydzielenia z poematu (nazwanego pierwotnie przez Małeckiego: tragedią) pierwiastków ideologicznych.

Estetyczna strona arcydzieła nie obchodzi prawie naszego krytyka. Natomiast dla filozoficznej ma sąd dziwnie przenikliwy; ma poprostu nietylko współczucie dla Irydyona, ale jakby współwiedzę najtajniejszej myśli autora. Zygmunt Krasiński tak był zdumiony tą analizą Irydyona, że, dziękując Gaszyńskiemu gorąco za jej przysłanie, pisał z Nicei, 2 maja 1847 roku. «To prawda, że ten krytyk, jak nożem chirurga, ale doskonałego, rozrznął na najdrobniejsze muszkuły, ścięgnął, włókna, żyłki, arteryjki Ducha Irydyonowego. Czytając, czułem to, co muszą czuć ci, którzy eteru zażywszy, są dyssekowani. Dziwne wrażenie, bezbolesne, a jednak to twe ciało rzną i to twa krew płynie». Zważmy, że poeta, który tak chętnie polemizuje, ilekroć spotka się z niezrozumieniem swej myśli (przypominam tylko odparcie zarzutów L. Ulrycha w liście do Gaszyńskiego), tutaj ani jednego zarzutu nie stawia; tylko drażliwa i wrażliwa jego natura poetycka nie posiada się z podziwu, że ktoś tak bystro, tak głęboko, a nie sprawiając bólu, przedostał się do najskrytszych tajni jego twórczości. Musimy tu oprzeć się pokusie, aby szczegółowo przedstawić zapatrywania Małeckiego na *Irydyona*: przekroczyłoby to znacznie

rozmiary szkicu niniejszego, a uwagi nasze nie dałyby się zamknąć w kilku zdaniach już choćby z tego tylko względu, że Małecki, przedrukowawszy w roku 1896 w «Pomniejszych pismach» rozbiór *Irydyona* z roku 1847, poczynił w nim znaczne pod koniec zmiany, skreślił ustępy niektóre, dodał inne, uwydatnił postać Masynissy, określił dokładniej stosunek jego do Kościoła, zmienił wreszcie pogląd na ideę, «kamień węgielny» *Irydyona*. Mamy tu zatem do czynienia z dwojma zapatrywaniem autora na ten sam utwór; jedno wygłasza młodzieniec, drugie mąż dojrzały półwiekiem doświadczeniem. Rzecz to sama w sobie ciekawa i godna szczegółowego rozpatrzenia, którego wyniki może z czasem podamy¹⁾. Teraz spieszo nam do dalszych kolei życia, do tak licznych innych prac Antoniego Małeckiego.

III.

Kiedy tak nauczyciel poznański przez lat pięć pełnił spokojnie obowiązki gospodarza klasy («ordynariusza») po kolei: w sekście, quincie, wyższej kwarcie, teryci i niższej sekundzie; kiedy otaczał

¹⁾ Różnice tekstu zaczynają się w książce: *Z Dziejów i Literatury*. (Pomniejsze pisma) 1896 r., na str. 39 od słów: «Przez cały przebieg dramatu...». Tekst pierwotny urywa się na zdaniu: «Masynissa porywa w objęcia i zapada z nim». Ob. *Prześl.*

go rój uczniów, lgnących z miłością do takiego kierownika nauk, naraz w końcu roku 1849 otrzymał Antoni Małecki (bez żadnych swoich starań) wezwanie Uniwersytetu Jagiellońskiego na katedrę filologii klasycznej. Na czele rządu austriackiego stał ks. Schwarzenberg. Ministrem oświaty był hr. Leo Thun. Kiedy katedra filologii klasycznej zaważowała w Krakowie po Trojańskim, Thun za pośrednictwem znakomitego filologa Bonitza zaczął szukać odpowiedniej naukowej siły w W. Ks. Poznańskim. Bonitz przez znajomego sobie Kisslinga, dyrektora II-go gimnazjum w Poznaniu trafił do Małeckiego, proponując mu listownie katedrę w Krakowie. Małecki zażądał profesury etatowej z płacą wyższą niż zwyczajna, a otrzymawszy za kontraktem postawione warunki przeniósł się na Wielkanoc 1850 r. do Krakowa. W Uniwersytecie krakowskim zaczęły się wykłady w języku polskim, wygłaszane przez ludzi tej miary i zasługi, co Józef Majer, Józef Muczkowski, Skobel, a z młodszych Wincenty Pol, Józef Kremer, A. Helcel, Zielonacki i inni. Do tego to grona przyłączył się Małecki i z młodzieńczą energią jął się pracy na takim, tyłowiekową tradycją uświęconem polu.

Pozn., 1847, str. 214, ostatni wiersz u dołu. Dwudziestu dwóm stronicom pierwotnego tekstu odpowiada w przeróbce z r. 1896 ośm stronic. Nieraz zasadnicze pojęcia uległy zupełnej odmianie. Pojęcie naprzykład Szatana (*Przeł. Pozn.* 1847, str. 220), nie ostało się w przeróbce. Szczegóły liczne musimy tu pominąć.

Obok zajęć uniwersyteckich, rząd powierzył mu na dwa lata także dyrekcję gimnazjum św. Anny z zadaniem zreorganizowania go według nowego systemu. Małeckiemu paliła się, rzecz można, robota w rękę. Już w końcu pierwszego półrocza pobytu w Krakowie ogłasza drukiem wykłady swe uniwersyteckie, miane w semestrze letnim roku 1850, pod tytułem: *Prelekcye o filologii klasycznej i jej encyklopedyi* (Kraków, 1851, stron 252). Był to naturalny całkiem początek zawodu profesorskiego: zaznajomienie słuchaczy z istotnem znaczeniem i umiejętną dążnością nauk filologicznych. Jak to pojmował nowy profesor, widać dokładnie z prelekcji wstępnej, dziś jeszcze przejmującej wzruszeniem. Mówi tam «mieszkaniec innych stron, na Wielkopolskich wychowany równinach», który «od najpierwszej młodości z czcią i uwielbieniem zwracał myśl swoją ku tej matce wszystkiej oświaty naszej».

Te prelekcye o filologii klasycznej, nawet dziś, po pięćdziesięciu latach, nie straciły zasadniczej wartości. Uprzedzenia przeciw językom klasycznym były takie same u nas wtedy, jak i dzisiaj, równe przeciw filologii klasycznej zaciętrzewienie, równa krytykowanego przedmiotu ignorancja. Małeckie zna wszystkie zarzuty i spokojnie, poważnie się z nimi załatwia. Nie będziemy tu powtarzać jego głównych argumentów, zwłaszcza gdy niedawno, w *Bibliotece Warszawskiej* wytrawny, długo-

letni pedagog, znakomity filolog, prof. Bronisław Kruczkiewicz, tę samą kwestyę wszechstronnie objaśnił. Tu radbym tylko zaznaczyć, że w książce swej Małeckie nie stoi bynajmniej na stanowisku pedantycznym. Zna on wybornie odwrotną stronę medalu i wyraźnie stwierdza, że «kierunek wyłącznej i wyłączającej erudycji coraz więcej schodzi z pola; błednie szkolna lampa wobec słońca, wlewającego coraz rześistsze promienie swoje razem z pełniejszą życia umiejętnością, w posępne dawniej sklepienia pracowni filologicznych». Ten profesor filologii jest zarazem Polakiem i doskonale rozumie, że w «Polsce ubóstwianie rzeczy starożytnych nie tylko znaczne wyrządziło szkody w zakresie piśmiennictwa i języka ojczystego; ale, co gorsza, wiele sprawiło zamętu w dziedzinie dziejowej i politycznej».

A przecież Małeckie zachęca do studyów filologicznych, i stwierdziwszy ujemne ich strony, wynikające z jednostronnego i ciasnego rozumienia celu filologii klasycznej, pragnie, by młodzież nasza, pokonywając trudności tej nauki, przywykała do wyrabiania w sobie samodzielności umysłu a temsamem i hartu woli, tak potrzebnej do zwalczania trudności życia. Bo filologia, wyszedłszy na pozór od rzeczy, nie mających najmniejszego związku z życiem bieżącym, doprowadzi w końcu wytrwałego ucznia «do życia napowrót, dając mu w na-

grodę spojrzenie na świat jasne, bystre i wysokie: trafność sądu i czerstwość woli».

Część druga książki wylicza najważniejsze gałęzie filologii klasycznej. Niemiec byłby tu dał rzecz nudną, suchą i ciężką. Uczeń Boeckh'a i Lachmanna ma trwałą podstawę naukową, a buduje na niej gmach estetyczny i harmonijny. Aparat bibliograficzny tych prelekcyi ma dziś oczywiście tylko historyczną wartość; ale książka ta tyle zawiera cennych spostrzeżeń, hojną dłonią sianych, tak umie ożywić klasyczną przeszłość ciągiem przypominaniem świetnych momentów poezyi wszechludzkiej, że ustępy jej czytają się i z zajęciem i z trwałym pożytkiem. Małecki włada tam, jak mistrz, olbrzymią skalą swej erudycyi wszechstronnej. Objaśniając istotę romantyzmu wobec klasycyzmu, to przytacza ustęp *Irydyona*, to przeciwstawia *Odyssei — Komedya Boską* Danta. Shakespeare, Goethe i Schiller wchodzi do rozbioru arcydzieł greckich i rzucają promienie swych arcydzieł na rozjaśnienie Antygony, Elektry i Edypa. W tych prelekcyach objawił się nie tylko dzielny filolog, ale przerastający go o wiele poeta.

Przez dwa lata oddawał się Małecki spokojnie zajęciom naukowym, ani się domyślając, że zbliża się dla niego i dla Uniwersytetu Jagiellońskiego katastrofa, której genezę trzeba tu szczegółowo przedstawić. Dlatego trzeba w opowiadaniu cofnąć się o lat kilka.

Po zajęciu wolnego miasta Krakowa zaczął rząd austriacki Uniwersytet tamtejszy powoli germanizować. Przy każdej sposobności wakansu jakiej katedry, obsadzano ją człowiekiem *von draussen*. Ci nowi przybysze wykładali po niemiecku. Z dawnych profesorów ledwie który władał biegle językiem niemieckim. Więc do czasu i wykłady polskie cierpiano.

Wskutek przewrotów roku 1848 nastał dla Krakowa czas lepszy. Z letniem półroczem r. 1849 zyskał Uniwersytet uznane prawo języka polskiego, jako wykładowego. Niemców jednego po drugim przenoszono do Austrii. Kilka katedr obsadzono Polakami, świeżo mianowanymi. Chętnym wykonawcą tego zmienionego systemu, a może i jego sprawcą, był hr. Thun, minister oświaty, pół Niemiec, a pół Czech, chęci dla nas najlepszych.

Najdalej we dwa miesiące po przybyciu Małeckiego do Krakowa zabrał się Wydział Filozoficzny Uniw. Jag. do załatwienia konkursu na katedrę historii powszechnej. Wpłynęło pięć lub sześć podań różnych kandydatów. Wśród współubiegających się był Antoni Walewski, do niedawna emigrant w Paryżu, od dwu lat mieszkający w Wiedniu jako *privatier*. Fama w Krakowie była taka, że Walewski spełnia tam usługi agenta rządowego. Wydział Filozoficzny był w kłopotcie, co robić z tym fantem. — Zamianowano, jak zwykle, komi-

syę, złożoną z Małeckiego i W. Pola, do ułożenia dla Ministerjum referatu w tej sprawie konkursowej.

Komisya postawiła t. zw. *terno* z trzech kandydatów; Walewskiego zaś pominęła, a to z uwagi, że kandydat ten nie posiadał wymaganego ustawą stopnia doktorskiego, a żadnem wydanem dziełem nie był w stanie braku tego zapełnić. Ten motyw wyraźnie dołączono do referatu, wiadano bowiem, że Walewski będzie w Wiedniu silnie popierany; samo zatem milczące nieuwzględnienie tego kandydata nie zdawało się dostateczną zaporą, by go rząd nie mianował. Wydział przyjął referat Komisji bez zmiany i posłał go do Ministerjum. Profesura ta miała więc być z wyjązją (komukolwiekby była nadana) z płacą tej randze odpowiednią i spodziewać się należało, że nominacya nastąpi w sierpniu lub wrześniu 1850 r., tak, iżby nowy profesor mógł już w zimowym półroczu wykładać.

Stało się jednak inaczej. Zamianowano wbrew opinii Wydziału, Walewskiego, co prawda po długiej zwłoce, dopiero w marcu czy kwietniu 1851 r. i to zamianowano go profesorem na dzwyczajnym, z płacą o kilkaset złr. niższą, niż ta, na jaką liczył stosownie do konkursu. Otóż to go rozgoryczyło i stało się powodem, że się na członkach Komisji konkursowej postanowił zemścić za tę zwłokę czasu i za ten niższy stopień i za niższą płacę posady.

Na sposobność wywarcia zemsty czekał niedługo. W październiku 1851 r. odwiedził cesarz Kraków i Lwów. Profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego wystąpili przy obu sposobnościach (w pałacu Spiskim i w murach Wszechnicy) przed cesarzem w togach. To wznowienie tóg, zarzuconych w Uniwersytecie krakowskim od czasu trzeciego podziału Polski, zostało uchwalone przez całe gremium wszystkich czterech wydziałów na wniosek Helcla. Był na tej naradzie i Walewski, lecz ni słowem nie oponował; słuchał a milczał.

Czy się te togi (zamiast mundurów) otoczeniu cesarskiemu podobały? trudno wiedzieć. Ale buntu w nich chyba trudno było dopatrzeć; w takim razie bowiem z pewnością namiestnik Gołuchowski byłby, przynajmniej w cztery oczy zrobił wymówki rektorowi Uniwersytetu, a nie uczynił nic podobnego. Więc wtedy jeszcze nie przyjęto tego tak źle.

W tych czasach jednak (w jesieni 1851 r., a cóż dopiero przez cały rok 1852) wiał już w Austrii znowu inny prąd, przeciwny temu, co wiał w r. 1849, przeciwny dokonaniem spolszczeniu Uniwersytetu i pragnący obalić to wszystko, co się w r. 1849 i 1850 stało.

Walewski, świadomy tego zwrotu opinii w otaczającej cesarza kamarylli wiedeńskiej, użył go skwapliwie za narzędzie do swoich celów i wystosował do Jenerała Kempen von Fichtenstein, ów-

czesnego ministra wszechwładnego policji, już w jesieni 1851 r. denuncyację na nielojalność całego Uniwersytetu, a w szczególności dwóch profesorów, co tego wszystkiego złego byli przyczyną.

O tej denuncyacji nikt w Krakowie, ani wtedy, ani później, do niedawna nie wiedział. Wydobył ją z aktów dopiero w kilkadziesiąt lat później ś. p. Rittner, b. minister, i od niego-to przejął tę całą wiadomość do swej znakomitej monografii o A. Gołuchowskim Dr Bronisław Łoziński ¹⁾.

Cała ta rzekoma nielojalność Uniwersytetu krakowskiego i wina owych dwu profesorów wyległa się tylko w mózgu denuncyanta. Całym symptomem nielojalności były tylko owe nieszczęsne togi! Ale dla rozjuszonej wtedy reakcji germanizacyjnej to wystarczało, bo niechętna spolszczeniu Uniwersytetu szukała dziury na całym, a tej dziury dostarczył jej — Walewski!

¹⁾ *Agenor hr. Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich* (1846—1859) przez Dr Bronisława Łozińskiego. We Lwowie (H. Altenberg) 1901, str. 104—108.

Zdaniem Antoniego Małeckiego zaszła w opowiadaniu Rittnera Drowi Br. Łozińskiemu ta niedokładność, że owymi dwoma sprawcami złego mieli być Małeck i Kremer. «Z pewnością w denuncyacji nie Kremer był wymieniony, bo ten Walewskiego ani grzał ani ziębił, ale Pol, kolega Małeckiego w owej konkursowej Komisji. Przy katastrofie noworocznej 1853 r. nic się też nie stało Kremerowi; wogóle żadnych nieprzyjemności on ani wtedy ani później nie doznał». Nie trzeba dziś chyba za-

Otrzymawszy minister policyi, Kempen to oskarżenie w jesieni 1851 r. chciał mieć jeszcze więcej dowodów. Zażądał z Krakowa od władzy gubernialnej, od szefa krakowskiego *Gubernium*, Etmayera, w marcu 1852 r. najdokładniejszej o wszystkim tem relacyi. Etmayer polecił ułożyć ją Neusserowi, dyrektorowi policyi krakowskiej. Ten, widocznie pod dyktandem Walewskiego, napisał obszerną relacją o Uniwersytecie krakowskim i jego profesorach; tylko członek kolegium profesorskiego mógł Neusserowi dostarczyć tych wszystkich szczegółów, wprawdzie kłamliwych, ale z takim pozorem prawdy i tak drobiazgowo podanych, że wzbudziły wiarę u Kempena, do którego cały ten zatruty pasztet oszczerstw wysłał Neusser d. 21 marca 1852 r. *via* Lwów, skąd odszedł d. 26 marca 1852 r. z nic nie znaczącym, obojętnym dopiskiem Gołuchowskiego. Z długiej delacyi Walewskiego-

pewniać, że całe to podłe oskarżenie Uniwersytetu o nielojalność, czy to profesorów, czy młodzieży, było najzupełniej wyssane z palca. Ani jeden z profesorów nic przeciw rządowi nie knował! Wdzięczni wszyscy byli, że język nasz jako wykładowy i urzędowy nadano i że go nie odbierano; bo ponowna germanizacya Wszechnicy Jagiellońskiej zaczęła się później dopiero, w drugiej połowie 1853 r., powoli dokonywać i trwała potem aż do wojny z Prusami r. 1866, choć i wtedy starsi niektórzy profesorowie wykładali jeszcze po polsku. Co do młodzieży, to ta przez wszystkie owe lata (1849—1851 i później) zachowywała się spokojnie. Ani uwzięcie ani śledztw wcale nie było.

Neussera obchodzi nas tu przede wszystkim ustęp dotyczący Małeckiego:

«Antoni Małecki przybył z Poznania z panującymi tam polskimi i pruskimi (!) austriackiemu rządowi nieprzyjaznymi zapatrywaniami. Zrezygnował on z posady dyrektora w tutejszem gimnazjum, aby nie brać udziału w rzekomych usiłowaniach germanizacyjnych rządu. Umieszczone w *Gońcu Polskim* nieprzyjazne artykuły o tutejszym Uniwersytecie wyszły, według mojego osobistego przekonania, po większej części z pod pióra Małeckiego»¹⁾).

To wszystko działo się zaocznie, skrycie.

Dopiero od połowy 1852 r. zaczęły obiegać Kraków głuche wieści, że się coś w Wiedniu przeciw Uniwersytetowi knuje, że zanoszą się na liczne dymisy; ale nikt nie wiedział, za co i na czyje instygowanie. O tych bowiem denuncyacjach nikomu wtedy nie było wiadome. Za powrotem z wielkich wakacji r. 1852 i to sobie już powtarzano, że Walewski był w ciągu wakacji wzywany do Wiednia dla udzielenia pewnych wyjaśnień. «Wszystko to dziwiło każdego, aleśmy skłonniejsi byli i wtedy jeszcze uważać wszystko za bajki». (*Z opowiadania Ant. Małeckiego*).

¹⁾ Całą tę relację Neussera może ciekawy czytelnik odczytać w wymienionej, źródłowej publikacji Dra B. Łozińskiego na str. 106—108.

Dopiero dnia 1 stycznia 1853 r. wrzód pękł. Przyjechał Gołuchowski do Krakowa i przysłał, Małeckiemu, Polowi, Helclowi i Zielonackiemu każdemu z osobna, dymisją, bez podania żadnych powodów. Z daty papierów tych urzędowych widno było, że te dymisyje aprobowane były przez cesarza jeszcze w trzecim kwartale 1852 r., ale w Ministerjum oświaty długo leżały nieużyte, widocznie w nadziei, że do takiej katastrofy może nie przyjdzie. Lecz pod naciskiem nalegań Kempena musiał je Thun na kilka tygodni przed końcem r. 1852 do Gołuchowskiego wysłać, z tem koniecznym żądaniem, by on sam do Krakowa zjechał i winowajcom za bytności swojej w miejscu te kary wymierzył!!

Dlaczego właśnie ci czterej profesorowie zostali wydaleny? Z referatu Neussera byłoby wynikało, że połowa profesorów na to zasługuje. Jeżeli jednak trafiło to tylko czterech, to musiał Walewski, kiedy podczas wakacyi dawał w Wiedniu swoje dodatkowe wyjaśnienia, tyle na nich dopowiedzieć rzeczy najgorszych, że to ich w opinii rządu dobiło do reszty.

Wybrani przedtem przez Wydział na rok szk. 1852/3 dziekani i rektor Uniwersytetu Jag. nie dostali od Ministerjum zatwierdzenia aż do końca r. 1852. W dniu zaś 1 stycznia 1853 r. przyszedł z Wiednia dekret, że wybranych dziekanów i rektora się nie zatwierdza; zamiast rektora

zamianowano samowładnie w Wiedniu kuratora Uniwersytetu i oktrojowano z pomiędzy profesorów Niemców trzech dziekanów dla innych wydziałów, wydziałowi zaś filozoficznemu narzucono dziekana w osobie... Walewskiego, a to w taki sposób, że jednego dnia awansowano go na profesora zwyczajnego, drugiego przysłano mu honorowy (!) doktorat, a trzeciego nominacją na dziekana — na przeciąg czasu nieograniczony. Był też nim przez lat kilka. *Sic itur...*

MałECKI, którego rząd austriacki powołał był z W. Ks. Poznańskiego na podstawie osobnej, jak wiemy, umowy, zaskoczony nagłą, niczem nie zasłużoną dymisią próbował się bronić, a przede wszystkim chciał wiedzieć, dla jakich powodów nagle go pozbawiono posady. Korzystając z pobytu namiestnika Gołuchowskiego w Krakowie, poszedł do niego. W Krakowie wrzało powszechnem na rząd oburzeniem za niezasłużone usunięcie z Uniwersytetu ludzi otoczonych ogólnym szacunkiem. Gołuchowski, którego uważano wówczas za *schwarzgelbera*, przyjął MałECKiego najserdeczniej, w rozmowie polskiej wyparł się jakiegokolwiek współdziałania w sprawie dymisji i radził MałECKiemu dla wyjaśnienia zagadki pojechać do Wiednia i rozmówić się z ministrem oświaty Thunem. Usłuchał rady MałECKI, pojechał i stanął się przed Thunem z zapytaniem, za co go spotkała dymisya? Ale, o dziwo! sam minister oświaty nie był o powo-

dach zbiorowej dymisyi czterech profesorów poinformowany. Odesłał Małeckiego do wszechwładnego ministra policyi, generała Kempen von Fichtenstein, który profesora Uniwersytetu przed oblicze swoje dopuścić nie raczył. Po kilku godzinnem bezowocnem wyczekiwaniu na audyencyi u Kempena, zrozumiał Małecki, że minister policyi nie chce mu prawdy powiedzieć — i wrócił z niczem do Krakowa.

Takie to były wówczas w Austrii czasy i tacy ludzie!

Wypędzony z Krakowa i Austrii w kwietniu r. 1853 spędził Małecki całe lato na wsi w Poznaniańskim u rodziny. Wśród tych czasów wiejskich, wolny od obowiązkowych zajęć przełożył *Elektrę* Sofoklesa i napisał *List Żelazny*. Oba te utwory wyszły z druku w końcu r. 1853 (z datą na tytule: 1854). W październiku tego roku w Poznaniu otwarto nową szkołę realną, w której otrzymał Małecki stanowisko profesora. To przejście z Uniwersytetu Jagiellońskiego do skromnej nauczycielskiej posady było ciężką próbą, która — na szczęście dla literatury naszej — trwała niedługo.

Ewangeliczne słowa: «Przyjacielu! posiadź się wyżej!» nie dały długo na siebie czekać. Thun już w listopadzie tegoż roku ofiarował Małeckiemu katedrę filologii klasycznej — w Insbrucku. Geograficznie było to znacznie wyżej, niż w Krakowie, ale nie milej. Trzy lata (1854—1856) spędził Ma-

łecki w Tyrolu, w tej Syberyi austryackiej, jak się sam wyrażał — uroczej dla oczu, przez poczciwy lud zamieszkałej, ale dla niego smutnej i pustej. «Gdybym był Niemcem, pewniebym gdzieindziej mieszkać nie chciał, ale...»

To *ale* kazało mu Insbruck za nową próbę trudności życia uważać. Dymisya krakowska przewrała była różne prace, między innymi rzecz o teatrze i dramacie greckim, z której wyjątki dopiero w lat kilkanaście potem doczekały się druku¹⁾. W Insbrucku napisał Małecki w r. 1855 komedią w czterech aktach, pod tytułem: *Grochowy Wieniec*, czyli *Mazury w Krakowskiem*. Wymowny to był dowód, jak zetknięcie się umysłu poetycznego z nieśmiertelnymi tworamii hellenckiego ducha działało ożywczo i zapładniająco na twórczość, bez uszczerbku dla narodowego jej kierunku. Na obczyźnie nie przestawał profesor myśleć o kraju i służyć mu.

Już poprzednio, w r. 1853, jako tłumacz Sofoklesa, dążył do jak najwierniejszego oddania nie tylko treści utworu, ale i jego formy, rytmiki. Chciał dać przykład, jak tragedye greckie powinny być na język nasz przekładane. A że przykład ten był potrzebny i był skuteczny, o tem świadczy

¹⁾ *Ustęp* z *historii dramatu greckiego*. Biblioteka Ossolińskich. Poczet Nowy. Tom IX. Lwów, 1866, str. 62—80. Tom X, str. 80—145,

pięknie współzawodnik Małeckiego na tem polu, Kazimierz Kaszewski. Przyznaje on, że przekład *Elektry* «jest nietylko dosłownem niemal tłómaczeniem tekstu, ale go ściśle co do rytmu i miary na język nasz przenosi, czyli stanowi możliwie wierne odbicie pierwowzoru, jakby postaci jakiejś w zwierciadle. Ta ściśłość z jaką Małecki dokonał przekładu *Elektry*, nie poszła na marne w dalszym ciągu prac tego rodzaju. Można się było zgodzić z nim, lub nie zgodzić na metodę, ale po takim wzorze wierności każdy przedsiębiorzący podobną pracę, czuł się obowiązany szanować, ile możliwości, jeśli nie wszystkie drobiazgi, to przynajmniej charakterystyczne rysy pierwowzoru». (*Wędrowiec*, z dnia 16 listopada 1901 roku, Nr 40, str. 909).

Przekład *Elektry* był wyborną szkołą dla dramaturga. Uczył zwięzłości i mocy stylu, dawał wzór wzniosłej tragiczności. Próby ujęcia dziejowych naszych zdarzeń w ramy dramatu, lub tragedyi, nie były, jak wiadomo, pomyślne. Małecki śmiałą ręką, niespodziewanie zapewne dla wszystkich współczesnych, co o nim tylko jako o profesorze filologii słyszeli, sięgnął po laur dramaturga. Dał nam historyczną tragedję i historyczną komedję, dwa sceniczne utwory, które wytrzymały i próbę sceny i — co ważniejsza, próbę czasu. *Grochowy Wieniec*, utwór, napisany przed pięćdziesięciu laty, odegrano na scenie warszawskiej 2 lipca 1897 roku z takim powodzeniem, że od-

ład grano tam tę komedię już czterdzieści pięć razy, i nieraz jeszcze grać będą¹⁾.

List Żelazny w latach kilku po wyjściu miał powodzenie na scenie. Był w r. 1856 i następnych kilka razy grany we Lwowie, a za czasów Wielopolskiego i w Warszawie²⁾. Mało mamy w naszej literaturze dramatycznej utworów, któreby mogły się zmierzyć z *Listem Żelaznym*. Nikt przed Małeckim nie umiał wydobyć z bolesnego tematu pańszczyzny takiego iście tragicznego założenia: szlachcic ambitny, u celu marzeń będący, w przedniu ślubu z ukochaną dziewczyną, dowiaduje się, że jest synem chłopskim, w kolebce przez mamkę zamienionym, że z dumnych rojeń strącić go ma w przepaść poddaństwa fakt prosty, a w Polsce stanowczy: nie jest «urodzonym». Walka duchowa, jaka się w tym człowieku toczy, i zwolna, lecz stale, do zbrodni go wiedzie, skreślona jest z wielką znajomością duszy ludzkiej. Spotkanie z matką wstrząsa do głębi. Całość rzucona jest na tło ponure, dziejowe, bez przesady skreślone. Znajomość epoki ogromna, a język szczeropolski, miejscami z powodu białego wiersza do złudzenia przypominający *Odprawę posłów greckich*, pozostanie

¹⁾ Ob. artykuł D. Zglińskiego w *Wędrowcu*, 1901 r. Nr 46, str. 912: «A. Małeckii jako dramaturg».

²⁾ Recenzja nleżyciwa była tylko jedna. Wyszła w *Czasie* z pod pióra L. Siemieńskiego, który z dziwną nienawiścią napadł na autora «Listu Żelaznego».



trwałą ozdobą tej przejmującej tragedyi. W pojęciu swem zasadniczem jest ona iście klasyczną: jak *fatum* nad rodem Labdakidów, tak tutaj, nad tą polską tragedją, straszne, nieubłagane *fatum* przesądu kastowego, pańszczyzny, zawisło — a widz polski w ambitnym i zapamiętałym synu Marty, wieśniaczki, ma jakby wcielenie wiekowego grzechu polskiego, ucisku poddaństwa, który w końcu mści się na sobie samym. Dla ogółu teatralnego jest może *List Żelazny* zbyt ponury, zbyt poważny, zbyt wreszcie treściwy. Ale może nadejść czas, w którym będzie powszechniej rozumiany.

Kto dołą kraju tak na wskrós rozumiał i tak gorąco ukochał, temu pobyt na obcej ziemi ciążył kamieniem na sercu. Starął się autor *Listu Żelaznego* o powrót do jednego z dwu Uniwersytetów galicyjskich. Dowiedziawszy się z programu wykładów lwowskich, że katedra literatury polskiej nie jest tam obsadzona, zwrócił się Małecki do ministra, hr. Thuna, najpierw listownie, wreszcie osobiście z prośbą o udzielenie mu tej katedry lwowskiej. Ponieważ chodziło nietylko o historję literatury, ale także o język polski, wymagał Thun od Małeckiego dowodów, że potrafi wykładać gramatykę polską porównawczo, to jest z uwzględnieniem innych języków słowiańskich — i odesłał go do znanego sławisty, Fr. Mikloszica. Ten zachęcił Małeckiego do wyuczenia się języka starosłowiań-

skiego¹⁾. Małecki nie wiedział zrazu, czego chcą od niego; ale był to warunek konieczny do uzyskania upragnionego w kraju stanowiska. Zabrawszy z księgarni wiedeńskiej wszystko, co Miklosz i inni z zakresu starosłowiańszczyzny wydali i napisali, z całą paką nieznanych sobie dzieł wrócił Małecki do Insbrucku i zasiadł do studyów starosłowiańskich: «Kiedy się zabierałem do tego, — pisze Małecki²⁾, — drwiłem z wymaganego warunku. Sądziłem, że to bzik, żeby ten stary mamut zdał się na co, na pożytek dzisiejszej polszczyzny. Ale jabym się był uczył z równym zapałem i po japońsku, skoro to miało być warunkiem odzyskania życia w ojczyźnie. Już po trzech dniach tej nauki otwarły mi się oczy i zatopiłem się w tych studyach z całym zamiłowaniem».

W trzy miesiące, od Wielkiej Nocy do św. Jana 1856 roku, przestudował Małecki wszystko, co uważał za potrzebne, dał tego zadowolające dowody, a kiedy w lipcu tegoż roku przejeżdżał przez Wiedeń w Poznańskie, już go Thun zapewnił o niedalekiej nominacji na profesora języka i literatury polskiej w Uniwersytecie lwowskim. Nominację tę podpisał Franciszek Józef I dnia 22 sier-

¹⁾ Szczegółowo opowiada to sam A. Małecki w *Historji Uniwersytetu Lwowskiego*, napisanej przez Dra L. Finkla i Dra Stanisława Starzyńskiego (Lwów, 1894, str. 335 i dalsze).

²⁾ W liście do mnie (z dnia 13 stycznia 1902 roku), w którym niejedną szczegół życia swego i działalności wyjaśnił.

pnia 1856 roku ku zupełnej niespodziance Uniwersytetu lwowskiego, a nawet namiestnika Galicyi hr. A. Gołuchowskiego.

Przed Małeckim otworzyło się rozległe pole działania wśród swoich i dla swoich.

IV.

Początki nie były łatwe. W latach owych germanizacyjny zapęd szalał w najlepsze. W Uniwersytecie lwowskim wszystko wtedy odbywało się po niemiecku. Małeckie nie miał upoważnienia do wykładów w polskim języku; mimo to na własną rękę odważył się na wykład polski po radzie ze starym, doświadczoneym bibliotekarzem, Strońskim. To mu jakoś uszło. Wykłady języka polskiego i starostówiańskiego były mu «rekreacją», domowej pracy nie wymagały. Więcej trudu sprawiało spisywanie zeszytów do wykładu historii literatury.

W roku 1859 rozpiął Wydział krajowy wspólnie ze szkolnym departamentem Namiestnictwa konkurs na gramatykę języka polskiego dla szkół średnich. «Na razie nie miałem zamiaru wdawać się w tę aferę, tak daleką od mych estetyczno-literackich aspiracji i zajęć. Ale znajomi i życzliwi, głównie Bielowski, Piłat (ojciec dzisiejszych), Szajnocha, miru mi nie dawali, namawiając, żebym wziął udział w konkursie. Sam musiałem im przy-

znać słuszność, że od tej sprawy się nie wybiegam, planowanej przez Wydział już od roku 1845, dotąd bez skutku, i ponowionej w 1859 roku. Byłbym jako profesor polskiego języka w każdym razie musiał należeć do Komitetu sędziów konkursowych, a być pewnie i referentem. Byłbym musiał wszystkie roboty konkursowe czytać i oceniać — robota mozolna i przykrzejsza, niż samemu napisać gramatykę i właśnie przeto być wolnym od uczestnictwa w Komitecie. To był powód, że się do tej pracy zabrałem.

W ciągu roku dwie gramatyki (r. 1860) oddałem do ocenienia: szkolną dla uczniów i większą dla nauczycieli, jako instrukcją do wykładu tamtej. Szkolna tkwiła w większej, obfitszej w wyjaśnienia i dowody twierdzeń, wypowiedzianych dogmatycznie w szkolnej gramatyce.

Trutynowano rzecz do końca roku 1862! Wygrałem, i tak wszedłem w poczet gramatyków, do którego więc tylko zewnętrzne okoliczności mnie przyłączyły. Druk gramatyk z końcem 1863 r. ukończono¹⁾.

Szkolny ten podręcznik rozszedł się w niezliczonym mnóstwie egzemplarzy i doczekał się już dziewięciu wydań²⁾. Znaczenie *Gramatyki* trafnie

¹⁾ List z dnia 13 stycznia 1902 roku.

²⁾ Wydanie dziewiąte z r. 1903 ukazało się w nowej stylizacji, formie i całym układzie,

scharakteryzował doskonały znawca przedmiotu Ad. Ant. Kryński: «Pojawienie się *Gramatyki Małeckiego* było wypadkiem, ważnym dla nas z dwu względów. Przedewszystkiem miała ona doniosłe znaczenie pedagogiczne; przy pomocy bowiem tej książki, pierwiastki wiedzy językoznawczej wprowadzono do nauki języka polskiego, co zarazem podnosiło poziom nauczania tego języka; powtórę, zasady naukowe, w tem dziele zawarte, sprawdziły w szerszych kołach zmianę w pojmowaniu i traktowaniu nauki języka ojczystego» (*Wędrowiec*, j. w., str. 905). Do tych zwięzłych słów uznania dodać chyba możemy to tylko, że mało znamy książek, tak praktycznie dla szkoły średniej ułożonych, tak ponętnych nawet (o ile książki szkolne mogą być ponętne) dla młodzieży dorastającej, lat 10—13. Zwłaszcza składnia zdumiewa bogactwem trafnie dobranych przykładów, które drażnią ciekawość chłopięcą, wbijają się same w pamięć, a że są opatrzone nazwiskami autorów, tworzą zatem jakby pierwszy, bezwiedny, samoistny podkład dla przyszłej nauki o dziejach prozy i poezji polskiej ¹⁾.

Profesor języka polskiego był zarazem profesorem literatury polskiej. Uczyniwszy zadość obo-

¹⁾ W szesnaście lat potem wydał Małecki nowe dzieło pod tytułem: *Gramatyka historyczno-porównawcza języka polskiego*. Lwów, 1879. Tom pierwszy, str. XII + 490. Tom drugi, str. 546. Nie jest to drugie, poprawne wydanie gramatyki «większej»

wiązkom gramatyka, wypełniwszy dotkliwy brak książki niezbędnej — zwrócił się Małecki z całym zapalem do dziejów piśmiennictwa polskiego. Wykłady jego były tłumnie uczęszczane. «Pociągały one — pisze prof. Finkel — prostotą formy, przemawiającą do każdego umysłu, a głębokością i gruntownością studyów zadziwiały. Wszystkie epoki literatury objął w swoich prelekcjach»¹⁾. Rozgłos tych wykładów sprawił, że w roku 1862 Małecki otrzymał wezwanie od margr. Wielopolskiego na katedrę w Szkole Głównej w Warszawie i, ulegając namowom Papłońskiego, (który przybył umyślnie w Poznańskie celem wyszukania kilku profesorów dla Szkoły Głównej), — postanowił przypatrzeć się stosunkom na miejscu, pojechał na dni kilka do Warszawy. Ofiarowano wówczas Małeckiemu cztery zajęcia: profesorstwo w Szkole Głównej, w Akademii Duchownej, następnie nadzór nad wychowaniem dzieci Wielkiego księcia Konstantego i uczenie samego Wielkiego Księcia polskiego języka. Z wielkimi honorami przyjmowano wtedy Małeckiego u Wielopolskiego, Enocha i Krzywickiego. Margrabia Wielopolski był dla Małeckiego nadzwyczaj uprzejmy, nie szczę-

z roku 1863, lecz zawiera zupełnie nowy wykład, rozwinięty na obszernej historyczno-porównawczej podstawie; zaledwie jedna trzecia osnowy ma podobieństwo do dawnej gramatyki. Tę nową podstawę określa autor w «Przedmowie» z roku 1879.

¹⁾ *Historya Uniwersytetu Lwowskiego*, j. w., str. 336.

dził oznak wielkiej życzliwości. Ale Małeckie nabrał w Warszawie przekonania o niepewności całej sytuacji i dlatego nie przyjął żadnej ze stawianych mu ofert. Wróciwszy do Lwowa, odpisał staitąd, że nie może się przenieść do Warszawy ¹⁾).

Nie tak zaraz i w Galicyi nastały czasy lepsze dla języka narodowego; walka o prawa autonomiczne była ciężka.

Sala wykładowa Małeckiego nie mogła pomieścić trzystu jego słuchaczy. Na rozbiór *Króla Ducha* zapisanych było stu pięćdziesięciu trzech. Daleko więcej przychodziło niezapisanych. Z trudem udało się wywalczyć w niechętnym Senacie akademickim udzielenie większej sali. «Małeckie mówił zawsze, nigdy nie czytał swych prelekcyi. Forma wykładu była pełną naturalności i prawdziwie szlachtetnej prostoty. Władał zawsze tematem, nigdy mu się porwać nie dał... W chwilach tylko, kiedy znakomity profesor wnikał w istotę natchnienia któregoś z wielkich poetów, kiedy zstępował w ten tajemniczy, a wspaniały świat twórczości poetyckiej, kiedy wskazywał słuchaczom swoim najpromienniejszą stronę rozbieranego właśnie utworu, lub w końcu kiedy przychodziło mu szukać do słów poematu komentarza w kolejach i boleściach życia poety — wówczas głos ten spokojny stawał się dziwnie wymownym i wzrusza-

¹⁾ *Historya Uniwersytetu Lwowskiego*, j. w., str. 337.

jącym, a oko profesora iskrzyło się blaskiem zapału, lub wzruszenia, które magiczną siłą porwały najobojętniejszego nawet słuchacza»¹⁾.

Wykłady takie szerzyły znajomość literatury, budziły w słuchaczach zapał dla poezji, uczyły, jak czytać i gdzie szukać estetycznych rozkoszy. Doniosłość ich nie da się dziś nawet dokładnie zmierzyć i ocenić, jak niepodobieństwem jest obliczyć, ile plonu w lecie przyczyni cichy, ciepły, obfity deszcz na wiosnę. To pewna, że poziom wiedzy literackiej w Galicyi rósł od tych wykładów, że setni słuchacze, późniejsi nauczyciele gimnazjalni nieśli z sobą w głąszę prowincjonalną zapas obfitych myśli, starczących na wypełnienie jałowych dni małego miasteczka, pobudzających do namiętnych, długich koleżeńskich dysput i gawęd.

Kto chce mieć wyobrażenie o metodzie wykładów ówczesnych Małeckiego, niech odczyta dwie jego monografie literackie o *Morsztynie i o Fryczu Modrzewskim*²⁾. Znajdzie tam masę nowych (na owe czasy) szczegółów, podanych w tak prostej a ponętnej formie, że zrozumie najlepiej, czem były w szóstym dziesiątku lat zeszłego stulecia takie wykłady — i ile im dalszy rozwój naszej historii literatury zawdzięcza. Zasadniczą jest

¹⁾ *Gazeta Lwowska* (feuilleton) r. 1874, Nr 5. Ustęp powyższy przytoczył J. I. Kraszewski, l. c., str. 192.

²⁾ Przedrukowane w pomniejszych piśmach: *Z Dziejów i Literatury*.

dził oznak wielkiej życzliwości. Ale Małeckie nabrał w Warszawie przekonania o niepewności całej sytuacji i dlatego nie przyjął żadnej ze stawianych mu ofert. Wróciwszy do Lwowa, odpisał staniąd, że nie może się przenieść do Warszawy ¹⁾.

Nie tak zaraz i w Galicyi nastały czasy lepsze dla języka narodowego; walka o prawa autonomiczne była ciężka.

Sala wykładowa Małeckiego nie mogła pomieścić trzystu jego słuchaczy. Na rozbiór *Króla Ducha* zapisanych było stu pięćdziesięciu trzech. Daleko więcej przychodziło niezapisanych. Z trudem udało się wywalczyć w niechętnym Senacie akademickim udzielenie większej sali. «Małeckie mówił zawsze, nigdy nie czytał swych prelekcyi. Forma wykładu była pełną naturalności i prawdziwie szlachetnej prostoty. Władał zawsze tematem, nigdy mu się porwać nie dał... W chwilach tylko, kiedy znakomity profesor wnikał w istotę natchnienia któregoś z wielkich poetów, kiedy zstępował w ten tajemniczy, a wspaniały świat twórczości poetyckiej, kiedy wskazywał słuchaczom swoim najpromienniejszą stronę rozbieranego właśnie utworu, lub w końcu kiedy przychodziło mu szukać do słów poematu komentarza w kolejach i boleściach życia poety — wówczas głos ten spokojny stawał się dziwnie wymownym i wzrusza-

¹⁾ *Historya Uniwersytetu Lwowskiego*, j. w., str. 337.

jącym, a oko profesora iskrzyło się blaskiem zapału, lub wzruszenia, które magiczną siłą porwały najobojętniejszego nawet słuchacza»¹⁾.

Wykłady takie szerzyły znajomość literatury, budziły w słuchaczach zapał dla poezji, uczyły, jak czytać i gdzie szukać estetycznych rozkoszy. Doniosłość ich nie da się dziś nawet dokładnie zmierzyć i ocenić, jak niepodobieństwem jest obliczyć, ile plonu w lecie przyczyni cichy, ciepły, obfity deszcz na wiosnę. To pewna, że poziom wiedzy literackiej w Galicyi rósł od tych wykładów, że setni słuchacze, późniejsi nauczyciele gimnazjalni nieśli z sobą w głąsę prowincjonalną zapas obfitych myśli, starczących na wypełnienie jałowych dni małego miasteczka, pobudzających do namiętnych, długich koleżeńskich dysput i gawęd.

Kto chce mieć wyobrażenie o metodzie wykładów ówczesnych Małeckiego, niech odczyta dwie jego monografie literackie o *Morsztynie i o Fryczu Modrzewskim*²⁾. Znajdzie tam masę nowych (na owe czasy) szczegółów, podanych w tak prostej a ponętnej formie, że zrozumie najlepiej, czem były w szóstym dziesiątku lat zeszłego stulecia takie wykłady — i ile im dalszy rozwój naszej historii literatury zawdzięcza. Zasadniczą jest

¹⁾ *Gazeta Lwowska* (feuilleton) r. 1874, Nr 5. Ustęp powyższy przytoczył J. I. Kraszewski, l. c., str. 192.

²⁾ Przedrukowane w pomniejszych pismach: *Z Dziejów i Literatury*.

zwłaszcza rozprawa o *Andrzeju Fryczu Modrzewskim*. Wstęp do niej jest jakby programem działania naukowego, mądrym i do naszych potrzeb tak trafnie zastosowanym, że pod tem hasłem Małeckiego działali, działają i działać będą historycy literatury. Wykazawszy, jak pochopnie brali się u nas kompilatorzy do różnych «historyi», «zarysów», i «obrazów» literatury polskiej, bez sprawdzania podawanych faktów, bez wyjaśnienia licznych, nietkniętych zagadek, mówi tak dalej: «Pracujemy od niejakiego czasu nad historią literatury w taki sposób, jakby część materyalna nauki zupełnie już była załatwiona, i jakby zależało tylko jeszcze na umiejętnem i artystycznem utworzeniu całości z materyałów nagromadzonych. A tymczasem w rzeczy samej największa potrzeba zachodzi właśnie co do samychże materyałów. Bo z tych, które mamy, w dzisiejszej chwili trwałego i dogodnego gmachu wznieść nie potrafi najzręczniejsza ręka! Są bowiem niedostateczne, wątpliwe, niezdatne. Są to po największej części cegły z niedobrej gliny, i kruszą się na pierwsze uderzenie krytycznej kielni...»¹⁾ Tylko niektóre działy piśmiennictwa, poezya i historia, są jako tako obrobione. «Ale dalsze przestrzenie literatury, czy to w wieku Zygmunto wskim, czy w epokach temuż wiekowi przyległych, w smutnym okazują się stanie. Jest

¹⁾ *Biblioteka Ossolińskich*. Tom płyty, Lwów, 1864, str. 125.

to ugor, którego pewne tylko punkta poruszył lemiesz oracza. Są to rozłogi dalekie, obszerne, nieprzejrane, ale bez stałych osad. Są to kraje, o których umiejtana geografia mało co umie powiedzieć, i które tradycya tylko zapełnia podaniami, lecz nie podaniami badaczy, ale dyletantów, lub kupców, co kiedyś tamtędy przejeżdżali...».

Cóż ma wobec takiego stanu rzeczy robić pisarz sumienny, chcący objąć cały ogrom literatury, a uważający sobie za obowiązek «nie przyjmować do obrazu swojego, jak tylko twierdzenia i wiadomości pewne, sprawdzone, wyjaśnione do statecznie?» Jak smutne jest jego położenie! Doświadczył tego na sobie Małeckci. «Trzeba co chwila budowniczą pracę nad całkowitem przeszłości naszej umysłowem przedstawieniem przerywać i zwracać się do krytycznych, cząstkowych rozpa trywań, dotyczących to tego, to owego szczegółu. Robota taka postępuje zwolna i zbyt trudna jest jak na siłę pojedynczej osoby». I dochodzi się koniecznie do tego wniosku, że musi nastąpić rozumny podział pracy, i że trzeba przedewszystkiem dobrych cegieł, jeśli budynek ma być trwały, że trzeba «badań częściowych, z którychby się dała kiedyś złożyć zupełna, porządna, wszelkim wymaganiom zadość czyniąca całość. *Monografie* zatem stanowiłyby dzisiaj najwłaściwsze zadanie pracy, a nie całkowite, coraz nowe historye piśmien-

nictwa, do których tyłu ciągle widzimy porywających się ochotników»¹⁾).

Na takie rozumne *mot d'ordre*, rozpoczęła się mrówcza praca zbiorowa, ukazał się i ukazuje szereg *monografi* historyczno-literackich, które tworzą silną i trwałą podstawę dla naukowej historii literatury polskiej. Jeśli dzisiaj trzech historycy literatury mogli nas obdarzyć dziełami, obejmującymi całość spuścizny duchowej ubiegłych wieków, to niewątpliwie jest w tem dużo zasługi Małeckiego, który przed 35-u laty wydał rozumne hasło podziału pracy i naukowego przygotowywania materiału. Jest to tak w oczy bijąca prawda, że ilekroć w wymienionych historykach literatury, które w tych latach się pojawiły, okres jakiś mniej nas zadowala, po bliższem wniknięciu w przedmiot pokazuje się na pewno, że historyk nie mógł tu lub tam oprzeć się na dzielnych monografiach, że, mówiąc stylem Małeckiego, zmuszony był użyć cegły «z niedobrej gliny», która nie wytrzymuje uderzenia krytycznej kielni.

Nie wynika z tego, abyśmy mieli mnożyć bez końca monografie i na długie lata odkładać próby ujęcia tych monografi w jakąś syntetyczną całość. Sam fakt pojawienia się współcześnie trzech historii literatury polskiej jest bardzo znamienym i pocieszającym objawem. Jest to jakby wielki prze-

¹⁾ *Biblioteka Ossolińskich*. Tom piąty, Lwów, 1864, str. 127.

gląd sił zbrojnych naukowych, przegląd konieczny od czasu do czasu, sprawdzenie pozycji, awanse i degradacye, na które pozwala sobie wszechwładny pan, *Czas*, i potężna królowa — *Opinia*.

Monograficzne opracowanie Morsztynów i Mo-drzewskiego miało być dla młodszych zachętą i nauką, wzorem i przykładem, co można zrobić dla pisarza XVI-go lub XVII-go wieku. Szczęśliwy traf zrządził, że niebawem po tych mniejszych monografiach dostała się Małeckiemu nieznaną ogromną spuścizną rękopiśmienna Juliusza Słowackiego, wspaniały materyał do skreślenia mistrzowskiej monografii.

Jakiej niespożytej energii potrzeba było, aby w ciągu dwu lat uporządkować niezliczone mnóstwo bezładnych autografów Słowackiego, wydać jego *Pisma pośmiertne* w trzech tomach (razem 1.124 stron druku), a równocześnie ogłosić dwutomową monografią! I to wszystko, nieprzerywając zajęć profesorskich — przeciwnie, mnożąc je, bo na tenże rok 1866 przypada dekanat Małeckiego w Wydziale Filozoficznym.

Pisma pośmiertne Słowackiego odśloniły wówczas po raz pierwszy całe duchowe oblicze tego poety, tak rozmaicie i wtedy i dziś ocenianego, pozwoliły wejrzeć w całe bogactwo tej wielkiej duszy. Monografia o nim narzucała się wprost Małeckiemu; postać poety wyzierała jak żywa z jego przeslicznych listów do Matki, przemawiała z tyłu

dził oznak wielkiej zycżliwości. Ale Małeckie nabrał w Warszawie przekonania o niepewności całej sytuacji i dlatego nie przyjął żadnej ze stawianych mu ofert. Wróciwszy do Lwowa, odpisał stantąd, że nie może się przenieść do Warszawy ¹⁾.

Nie tak zaraz i w Galicyi nastały czasy lepsze dla języka narodowego; walka o prawa autonomiczne była ciężka.

Sala wykładowa Małeckiego nie mogła pomieścić trzystu jego słuchaczów. Na rozbiór *Króla Ducha* zapisanych było stu pięćdziesięciu trzech. Daleko więcej przychodziło niezapisanych. Z trudem udało się wywalczyć w niechętnym Senacie akademickim udzielenie większej sali. «Małeckie mówił zawsze, nigdy nie czytał swych prelekcji. Forma wykładu była pełną naturalności i prawdziwie szlacheckiej prostoty. Władał zawsze tematem, nigdy mu się porwać nie dał... W chwilach tylko, kiedy znakomity profesor wnikał w istotę natchnienia któregoś z wielkich poetów, kiedy zstępował w ten tajemniczy, a wspaniały świat twórczości poetyckiej, kiedy wskazywał słuchaczom swoim najpromienniejszą stronę rozbieranego właśnie utworu, lub w końcu kiedy przychodziło mu szukać do słów poematu komentarza w kolejach i boleściach życia poety — wówczas głos ten spokojny stawał się dziwnie wymownym i wzrusza-

¹⁾ *Historja Uniwersytetu Lwowskiego*, j. w., str. 337.

jącym, a oko profesora iskrzyło się blaskiem zapалу, lub wzruszenia, które magiczną siłą porwały najobojętniejszego nawet słuchacza¹⁾.

Wykłady takie szerzyły znajomość literatury, budziły w słuchaczach zapal dla poezji, uczyły, jak czytać i gdzie szukać estetycznych rozkoszy. Doniosłość ich nie da się dziś nawet dokładnie zmierzyć i ocenić, jak niepodobieństwem jest obliczyć, ile plonu w lecie przyczyni cichy, ciepły, obfity deszcz na wiosnę. To pewna, że poziom wiedzy literackiej w Galicyi rósł od tych wykładów, że setni słuchacze, późniejsi nauczyciele gimnazjalni nieśli z sobą w głąsę prowincjonalną zapas obfitych myśli, starczących na wypełnienie jałowych dni małego miasteczka, pobudzających do namiętnych, długich koleżeńskich dysput i gawęd.

Kto chce mieć wyobrażenie o metodzie wykładów ówczesnych Małeckiego, niech odczyta dwie jego monografie literackie o *Morsztynie i o Fryczu Modrzewskim*²⁾. Znajdzie tam masę nowych (na owe czasy) szczegółów, podanych w tak prostej a ponętnej formie, że zrozumie najlepiej, czem były w szóstym dziesiątku lat zeszłego stulecia takie wykłady — i ile im dalszy rozwój naszej historii literatury zawdzięcza. Zasadniczą jest

¹⁾ *Gazeta Lwowska* (feuilleton) r. 1874, Nr 5. Ustęp powyższy przytoczył J. I. Kraszewski, l. c., str. 192.

²⁾ Przedrukowane w pomniejszych pismach: *Z Dziejów i Literatury*.

dził oznak wielkiej życzliwości. Ale Małeckie nabrał w Warszawie przekonania o niepewności całej sytuacji i dlatego nie przyjął żadnej ze stawianych mu ofert. Wróciwszy do Lwowa, odpisał stantąd, że nie może się przenieść do Warszawy ¹⁾.

Nie tak zaraz i w Galicyi nastały czasy lepsze dla języka narodowego; walka o prawa autonomiczne była ciężka.

Sala wykładowa Małeckiego nie mogła pomieścić trzystu jego słuchaczy. Na rozbiór *Króla Ducha* zapisanych było stu pięćdziesięciu trzech. Daleko więcej przychodziło niezapisanych. Z trudem udało się wywalczyć w niechętnym Senacie akademickim udzielenie większej sali. «Małeckie mówił zawsze, nigdy nie czytał swych prelekcji. Forma wykładu była pełną naturalności i prawdziwie szlachetnej prostoty. Władał zawsze tematem, nigdy mu się porwać nie dał... W chwilach tylko, kiedy znakomity profesor wnikał w istotę natchnienia któregoś z wielkich poetów, kiedy zstępował w ten tajemniczy, a wspaniały świat twórczości poetyckiej, kiedy wskazywał słuchaczom swoim najpromienniejszą stronę rozbieranego właśnie utworu, lub w końcu kiedy przychodziło mu szukać do słów poematu komentarza w kolejach i boleściach życia poety — wówczas głos ten spokojny stawał się dziwnie wymownym i wzrusza-

¹⁾ *Historja Uniwersytetu Lwowskiego*, j. w., str. 337.

jącym, a oko profesora iskrzyło się blaskiem zapału, lub wzruszenia, które magiczną siłą porwały najobojętniejszego nawet słuchacza»¹⁾.

Wykłady takie szerzyły znajomość literatury, budziły w słuchaczach zapał dla poezji, uczyły, jak czytać i gdzie szukać estetycznych rozkoszy. Doniosłość ich nie da się dziś nawet dokładnie zmierzyć i ocenić, jak niepodobieństwem jest obliczyć, ile plonu w lecie przyczyni cichy, ciepły, obfity deszcz na wiosnę. To pewna, że poziom wiedzy literackiej w Galicyi rósł od tych wykładów, że setni słuchacze, późniejsi nauczyciele gimnazjalni nieśli z sobą w głąsę prowincjonalną zapas obfitych myśli, starczących na wypełnienie jałowych dni małego miasteczka, pobudzających do namiętnych, długich koleżeńskich dysput i gawęd.

Kto chce mieć wyobrażenie o metodzie wykładów ówczesnych Małeckiego, niech odczyta dwie jego monografie literackie o *Morsztynie i o Fryczu Modrzewskim*²⁾. Znajdzie tam masę nowych (na owe czasy) szczegółów, podanych w tak prostej a ponętnej formie, że zrozumie najlepiej, czem były w szóstym dziesiątku lat zeszłego stulecia takie wykłady — i ile im dalszy rozwój naszej historii literatury zawdzięcza. Zasadniczą jest

¹⁾ *Gazeta Lwowska* (feuilleton) r. 1874, Nr 5. Ustęp powyższy przytoczył J. I. Kraszewski, l. c., str. 192.

²⁾ Przedrukowane w pomniejszych pismach: *Z Dziejów i Literatury*.

prawą o najstarszych przekładach biblii i słownikiem wyrazów staropolskich¹⁾.

W rok później uznanie całego Uniwersytetu obdarzyło go rektorstwem, dającym głos wirylny na Sejmie Galicyjskim. Był Małecki pierwszym Polakiem z wydziałów świeckich²⁾, którego wybrał Uniwersytet lwowski na rektora. I pod tym względem uitorował na dobre drogę rodakom.

Jeszcze w r. 1869 wezwał go Jerzy ks. Lubomirski na zastępcę kuratora zakładu nar. im. Ossolińskich. Mnożące się obowiązki urzędowe i administracyjne pochłaniały czas drogi, który mógł być lepiej użyty.

Przyszła chwila walki wewnętrznej ducha, żądnego dalszej nad sobą pracy, z kępującymi go więzami codziennych, monotonnych zatrudnień. Walka cicha doprowadziła do wyniku, będącego bolesną dla Uniwersytetu lwowskiego niespodzianką: zaraz po rektoracie swym złożył Małecki obowiązki profesorskie i wyrażając się stylem urzędowym «przeszedł w stan spoczynku». A stało

¹⁾ *Biblia królowej Zofii, żony Jagielly z Kodeksu Szaropatackiego*, nakładem księcia Jerzego Henryka Lubomirskiego, wydana przez Antoniego Małeckiego. We Lwowie, 1871, in 4-o, str. L+340. Liczne podobizny, bardzo pięknie wydrukowane, tworzą z wydawnictwa tego i pod względem czysto typograficznym dzieło pomnikowe.

²⁾ Z wydziału teologicznego, gdzie nie było żadnego Niemca, bywali i przedtem rektorami Polacy lub Rusini.

się to właśnie dla tego, aby oddać się niepodzielnie i wyłącznie naukowej pracy. Był to nowy sposób pojmowania emerytury.

Z żalem głębokim żegnał Wydział filozoficzny znakomitego kolegę, uczniowie i słuchacze niezrównanego profesora. Nie można się było oswoić z tą myślą dobrowolnego ustąpienia; różni to różnie tłumaczyli. Józef Ignacy Kraszewski całkiem się pomylił, przypisując ustąpienie Małeckiego zniechęceniu, wywołanemu jakoby nielicznem uczęszczaniem słuchaczy na wykłady.

Pobudki były głębsze; płynęły nie z ambicyi niezadowolonej, ale owszem z najszlachetniejszej chęci skupienia reszty sił dla jednego wyłącznie, drogiego sercu, a ściśle naukowego celu. Oto co pisze sam Małecki:

«Prelekcye moje były tłumnie frekwentowane. I przez pierwsze lata mnie to cieszyło, pochlebiało; zresztą sam przedmiot, dokładniej krok za krokiem badany, zajmował mnie niepomiernie. Ale po kilkunastu latach rzecz zaczęła dla mnie powszednieć, traciła urok świeżości.

«Im bardziej sala natłoczona była słuchaczami, nie tylko studentami, ale najróżniejszymi ludźmi z miasta, nawet przejezdnyimi, tem uciążliwsze być musiało przygotowywanie się na każdy odczyt. Samo takie rozmyślanie prelekcji, w rannych godzinach, na podstawie moich tak lakonicznych no-

tatek zajmowało bez mała dwie godziny». (List z d. 13 stycznia 1902).

Na wykładach języka starostowiańskiego, mianych co drugi lub trzeci semestr, bywała tylko garstka słuchaczy, oddających się głębszym studiom lingwistycznym. Ale na historyi literatury ilość słuchaczy do samego końca wzrastała. Przychodzili i ludzie do Uniwersytetu nie należący, zwłaszcza i zamiejscowi, przez Lwów przejeżdżający, którzy z jednej prelekcji, lepszej lub gorszej, tworzyli sobie zdanie o wszystkich. To wymagało tem dokładniejszego przygotowania, tak jakby się koncert jaki dawało — i to mogło *à la longue* znużyć i zniechęcić.

Powody ustąpienia z katedry były rozmaite. Głównym był stan zdrowia. Małecki podlegał zawsze i podlega kataralnym zapaleniom krtani. Dolegliwości te trwają nieraz kilka tygodni. Mówienie tedy w sali słuchaczami nabitej, gorącej, nigdy nie przewietrzanej nabawiało tego cierpienia. Miewać mimo tego odczyty znaczyło to pogarszać chorobę; zawiesić prelekcje na kilka tygodni było niemożliwe; «bo trudno było na te tygodnie wcale z domu nie wychodzić; owszem ta nie obłożna dolegliwość wymagała wyjścia na świeże powietrze. A dawać się widzieć na ulicy, obowiązków zaś nie spełniać, jakby to było tłumaczone? Więc wybrałem owo pierwsze, ale to mi bardzo szkodziło. Tak nie mogło iść dłużej».

Drugim powodem było owo wspomniane już «zabijanie czasu koncertowem występowaniem, czego w interesie naukowej pracy po prostu było szkoda».

Skoro zaś od r. 1866-go Uniwersytet lwowski zaczął na dobre polszczeć i ustąpienie Małeckiego w r. 1873 nie mogło pod względem narodowym żadnej szkody wyrządzić, skoro wreszcie i względy finansowej natury żadnej tu roli nie odgrywały, z wszystkich wymienionych powodów osądził Małecki, że opuszczając katedrę będzie i nauce i sobie pożyteczniejszym.

Po tylu latach pracy miał on chyba prawo odpuścić według swego upodobania, wrócić nareszcie do ulubionych od wczesnej młodości studyów nad genezą społeczeństwa polskiego. «Od lat najmłodszych był to mój najulubieńszy temat rozmyślań. Historya — jeżeli nie cywilizacyi, to społeczności polskiej: wewnętrzne dzieje — dzieje duszy narodu. Gdybym był po rodzicach wziął w spadku taki majątek, któryby mi na utrzymanie wystarczał, byłbym od razu w tym, tylko w tym przedmiocie pracował. Ale nie było tak».

Trzeba było zdobyć chleb pracą na innem, pokrewnem polu, ale czy to w gimnazjum poznańskim, czy w Krakowie, czy w Insbrucku, a nawet we Lwowie — przez długich lat kilkadziesiąt nie byłoby to, czego w głębi «dusza pragnęła». Aż wreszcie po tylu latach dzielnej wytrwałej pracy

dla drugich, doczekał się Małecki z upragnieniem wyczekiwanej chwili swobody, «swobody prywatnego człowieka», którą mógł wreszcie swoim ulubionym badaniom oddać. I tu tkwiło rozwiązanie zagadki, dlaczego w sile wieku rozstał się z katedrą uniwersytecką. *On revient toujours à son premier amour*. Tą pierwszą miłością młodzieńca były badania przeszłości społecznej polskiej, które rozpoczął w roku 1846: «Porównaniem pierwotnych związków społecznych u Germanów i Słowian». Do niej teraz wracał z tyloletniej koniecznej wędrówki, wracał, jak do źródła ochłody. Ze spokojem i prostotą mędrca helleńskiego oddawał się cichej rozkoszy uczenia się na starość. «Cała moja radość badać rzecz w sobie ważną i ciekawą, a dla mnie niejasną, lub zawikłaną. Dla zbliżenia się, bodaj pod koniec życia do tej ciągle zaniedbywanej z musu materyi, poświęciłem katedrę i stanowisko. Nigdy tego potem nie żałowałem!»¹⁾.

V.

Zapowiedzią nowych studyów na niwie dziejowej przeszłości Polski pierwotnej, a zarazem przejściem naturalnem z dziedziny filologicznej do historycznej była rozprawka, ogłoszona w roku 1872

¹⁾ List z dnia 13 stycznia 1902 roku.

pod tytułem: *Co rozumieć o runach słowiańskich i autentyczności napisów na mikorzyńskich kamieniach*. (Poznań, przedruk z *Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego*). Odtąd, niemal rok po roku, ogłaszał Małecki z młodzieńczym zapałem owoce swych historycznych poszukiwań ¹⁾. Dokładność ich i rozległość pochłonęła wszystkie niemal siły badacza, który rzadko już tylko i jakby dorywczo na dawne pola się przenosił ²⁾. Założona w roku 1873 Akademia Umiejętności w Krakowie zwróciła się do niego przy organizowaniu Wydziału Filologicznego. Napisał wtedy Małecki doskonały program: *O zadaniach Wydziału Filologicznego Akademii Umiejętności*, w którym nakreślił bystro plan najpotrzebniejszych prac. A do nich zaliczał: 1) «potrzebę nieodzowną biografii», monografii ważniejszych pisarzy, 2) wydawanie dzieł rzadkich, 3) wizerunki dziejów specjalnych nauk, 4) historię różnowierstwa polskiego, 5) dzieje Uniwersytetu Jagiellońskiego i t. d., nie pomijając niczego ważnego, aż do ludowego słow-

¹⁾ Ob. *Przewodnik naukowy lwowski* r. 1873: «Panowanie Bolesława Krzywoustego» — r. 1875: «Rewizya dziejów polskich w pierwszych dwóch wiekach politycznego istnienia». — «Testament Bolesława Krzywoustego», — «Biskupstwa», — «Klasztory i Zakony».

²⁾ *Gramatyka języka polskiego* (historyczno-porównawcza), Lwów, 1879, dwa tomy.

nictwa i reformy pisowni¹⁾. Każdy dziś przyzna, że ten program jest drogowskazem polskich filologów, i że nie jeden z punktów programu Małeckiego wszedł już w życie. W roku 1874 ogłosił w drugim tomie *Rozpraw Wydziału historycznego Akademii Umiejętności* studium, pod tytułem: *Kartki z dziejów Uniwersytetu krakowskiego* (epizod z czasów Kazimierza Jagiellończyka). Ale były to urywkowe zajęcia, które nie zdołały oderwać autora od ulubionych studyów średniowiecznych²⁾. Hipotezy Piekosińskiego o dynastycznym pochodzeniu szlachty polskiej i ciekawe dyskusye naukowe nad tą ważną kwestyą (Bobrzyński i Smolka) pobudziły Małeckiego do ogłoszenia wyników własnych poszukiwań, których część wydał jako *Studia Heraldyczne* (dwa tomy, Lwów, 1890). Znaczenie ich dla nauki oceniła najlepiej Akademia Umiejętności, odznaczając dzieło nagrodą z zapisu Barczewskiego. W motywach tej nagrody czytamy między innymi:

«Jest to dzieło rozległej erudycyi, niezmordowanej pracowitości, ważny przyczynek do wyjaśnienia zagadkowej genezy społeczeństwa polskiego, która od pewnego czasu zajmuje tyłu pracowni-

¹⁾ *Rozpr. i Spraw. Wydz. Filolog. Ak. Umiej.* Tom I, Kraków, 1874, str. 1—20.

²⁾ «Kiedy powstał memoriał Ostroroga?» *Kwartalnik historyczny*, rok 1887, tom pierwszy, 385—404.

ków w literaturze historycznej. Literatura tego przedmiotu obecnie już wcale obfita, nie wydała jeszcze dotąd dzieła, któreby w równej mierze, jak książka Małeckiego, wyzyskiwało tak skrętnie, tak pracowicie cały rozległy materiał źródeł, złożony w pomnikach historyograficznych, dyplomatycznych i sfragistycznych¹⁾.

W ślad za *Studyami Heraldycznemi* poszły liczne rozprawy, drukowane przeważnie w *Kwartalniku Historycznym*²⁾ mające zawsze (nieraz odległy) związek z główną kwestją genezy społeczeństwa polskiego. W roku 1896 powraca do niej Małecki w ważnym dziele pod tytułem: *Lechici w świetle historycznej krytyki*. W roku 1895 objaśnia *Znaczenie Unii horodelskiej w roku 1413 z punktu widzenia heraldycznego*. (*Kwart. Hist.*, tom XII, 751—762).

Ten prosty spis badań historycznych Antoniego Małeckiego ma tutaj tylko zewnętrznie uwydatnić

¹⁾ *Rocznik Zarządu Akademii Umiejętności*. Rok 1890, str. 121. Szczegółowy rozbiór tego dzieła dał Piekosiński w *Kwartalniku historycznym* z roku 1890, str. 670—730.

²⁾ «Grzywny karne w dawnej Polsce i najdawniejsza nasza grzywna mennicza». Rok 1893, str. 214—239. — «Stydium nad bullą Innocentego II z roku 1136 wydaną dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego». Poznań, 1894 (*Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk*), str. 53. — «Kronika Baszka, czyli tak zwana Wielkopolska kronika». *Kwartalnik historyczny*, 1894, str. 1—23. «Ludność wolna w księdze henrykowskiej», tamże, str. 391—423.

obfitość, ciągłość, nieznużoną trwałość i wytrwałość pracy sędziwego Jubilata. Nie dał się on pod tym względem nikomu wyprzedzić. Zastanawiać się tutaj nad znaczeniem i wartością tych badań nie będziemy, są to bowiem materiały, gromadzone na rzecz historycznej syntezy — materiały, starannie obrabiane krytyczną analizą¹⁾ — plany, wymiary, obliczenia budowniczego, który ostatniej swej myśli jeszcze nie ogłosił. Zajęty jest Małecki ciągle genezą i historią szlachty polskiej aż do końca średniowiecza.

«Ta praca moja tak prędko ukończona nie będzie, bo to sprawa i rozległa, i trudna, a zawiślana. Genezę mam, napisaną z pierwszego rzutu; oczywiście, osobno nigdybym jej nie ogłosił, a wymagałaby i ponownego przestylizowania. Bo ja zawsze to, co piszę, naprzód piszę dla siebie, a dopiero potem *pro publico*. Do dalszych części materiału po większej części już mam. Ale robotę tę i to rozpaczliwie utrudnia, że ten rodzaj historycznego wykładu sprawia wielkie formalne trudności. Zwykła historia snuje się jak nić z kłębka, a tu ciągle kilka kwestyi n a r a z trzebaby opowiedzieć i udowodnić: jedno bez drugiego i trzeciego niejasne, ciągły *circulus vitiosus!* Trzech ust,

¹⁾ Najnowszą pracą w tym kierunku jest studyum Małeckiego p. t.: *W kwestyi fałszerstwa dokumentów*. (We Lwowie, 1904, str. 86. Odbicie z tomu XVIII *Kwartalnika Historycznego*).

trzech piór naraz mieć niepodobna. Więc sama walka z formą hamuje rażny postęp roboty». (*List z dnia 13 stycznia 1902 r.*).

Hamuje — ale jej nie wstrzyma! Czujemy to i życzymy gorąco czcigodnemu Jubilatowi, życzymy nam wszystkim, aby tyloletnich trudów dojrzały owoc wzbogacił co rychlej naukę polską!

«Trzech ust, trzech piór naraz mieć nie podobna» — mówi autor *Lechitów*. Naraz — nie! Ale miał on te trzy złote, nierdzewiące pióra po kolei w ciągu swego wspaniałego żywota. Miał jedno, którem pisał o Mickiewiczu, Krasińskim i Słowackim; miał drugie, filologiczne; ma trzecie, umiłowane, dla genezy społeczeństwa polskiego. Wdzięczni rodacy zachowają w późne pokolenia trzech tych piór dorobki. J. I. Kraszewski mniemał w roku 1874, że pióro historyka literatury nie tylko nie będzie złamane, ale owszem, gotuje się do dzieła, wieńczącego długoletni zawód profesorski — i wypowiedział nadzieję, że z rąk Małeckiego dostaniemy pierwszą, prawdziwą historię literatury polskiej, która «będzie najpiękniejszym pomnikiem jego talentu i trudów. Nikt lepiej przysposobionym nie przystępował do tego zadania i z jaśniejszym pojęciem tego, czem dzieje piśmiennictwa być powinny. On tylko może nam rozproszyć te mroki, jakie pokrywają kolebkę aż do nagłego zjawienia się języka i literatury z Kochanowskim. Z monografii, ogłoszonych już o Morsztynie, Modrzew-

skim i t. p., możemy wnosić, z jaką sumiennością i trafnością poglądu opracowane będą epoki późniejsze, do których przedstawienia materyału już jest opracowany».

Nie przyszło do tego. Pierwsza, młodzieńcza naukowa miłość znęcała badacza ku sobie, a historyk literatury, wytknąwszy młodszym nowe horyzonty poszukiwań, wskazawszy bogate, nietknięte pokłady zabytków piśmiennych, prawdziwy las dziewiczy przyszłych monograficznych opracowań — rzucił się sam z młodzieńczym zapałem ku temu «czego dusza pragnęła». Historyk literatury umilkł. Czyżby jednak zagać miał ślad pisemny kilkunastoletnich (1856 – 1873) wykładów? Pytanie to nasuwało mi się nieraz natrętnie, a szczęśliwy jestem, że ciekawości mej Jubilat nie wziął za złe, i że ją w tych słowach zaspokoił:

«Notatki z wykładów są wszystkie zachowane; tworzą duży stos zeszytów. Ale były tylko dla mnie pisane, lapidarnie, *Stichwörter*, i suche daty, nazwiska, tytuły, fakta biograficzne. Żeby to ustylizować, trzeba by z dziewięć lat! Prelekcje były mówione z głowy. Jedna kartka pisana starczyła na godzinę mówienia. W postępie lat moich profesorskich przybywały coraz nowe wiadomości w piśmiennictwie współczesnem o wykładanych przedmiotach. Kwintesencja z tego wchodziła w moje zeszyty (pisane zawsze *fracta pagina*). Ale to sprawiało w nich zamęt, pozorny nieszyk,

który mnie żadnych nie sprawiał trudności, ale drugi nie łatwo się w tem zorientuje».

Czego odżałować nie można, to tego, że wśród licznych słuchaczy Małeckiego, nie znalazło się kilku, notujących pilnie, spisujących na czysto wykłady o literaturze polskiej. Taki rękopis gotowy byłby z pewnością profesor przejrzał, poprawił, uzupełnił; byłby może tomami i epokami historią literatury ogłosił. A tak ubożsi dziś jesteśmy o całą historię literatury polskiej, wygłoszoną kilkakrotnie w cyklu pięciu półroczy, odpowiednio do pięciu przyjętych przez autora epok (średniowiecze, czasy Zygmuntofskie, makaroniczne, stanisławowskie, nowsze do roku 1863). Przebrzmiało żywe, ożywczc słofo, karmili się niem słuchacze Małeckiego — nam pozostawili nieukojoną tęsknotę do tego dzieła, które roflo latami i powinno było przetrwać lata.

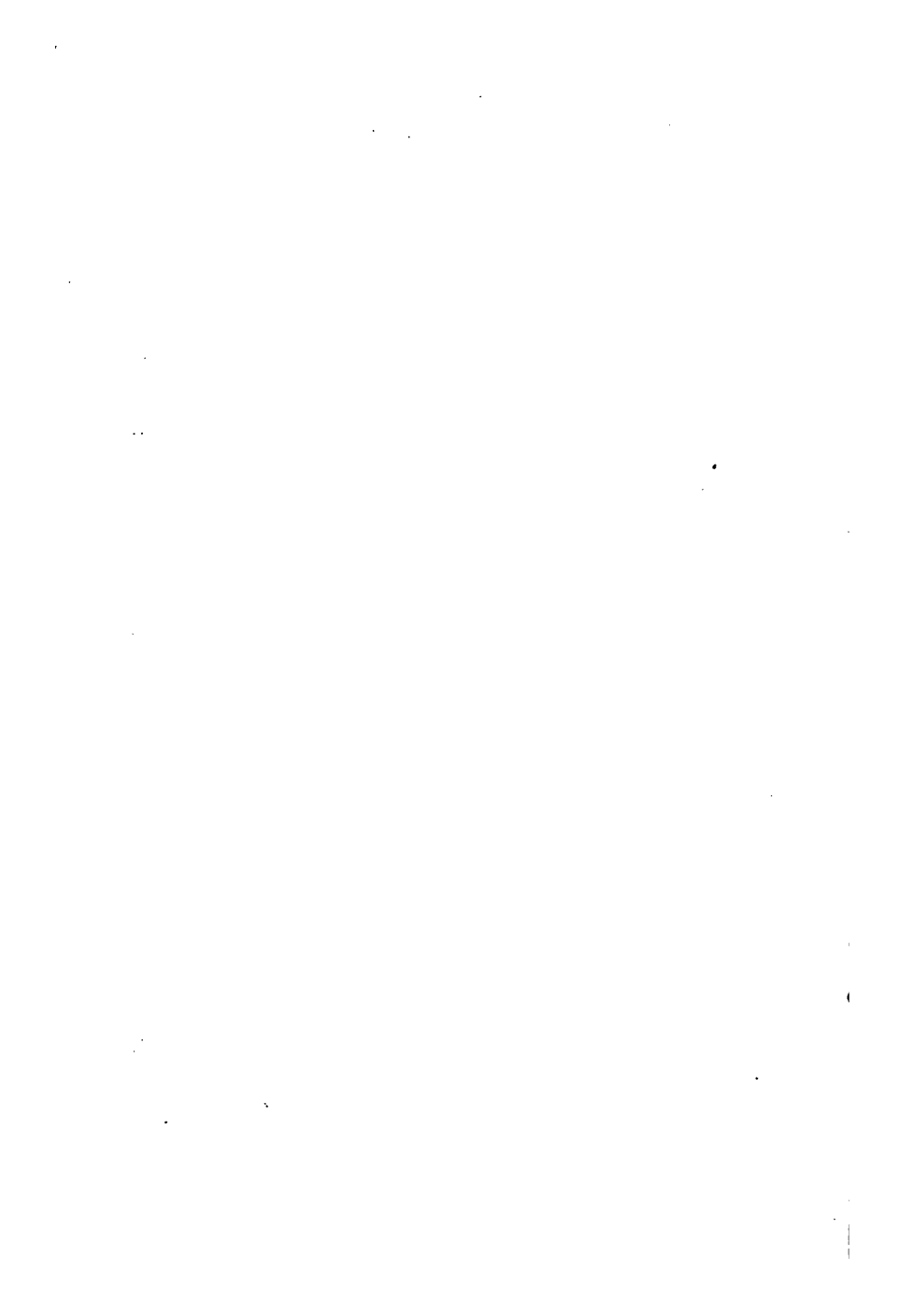
* * *

Przyjaciel Jana Kochanowskiego i wydawca pism jego, Januszowski, obejmując myślą obfitość i doskonałość prac poety, z miłością wyrzekł: «Co kto weźmie, gdzie wejrzy, najdzie się czemu podziwić, z czego się ukochać». Te słowa przypominają się dziś, kiedy przebiegamy w myśli tak wspaniałą plon Jubilata, zapracowanego, ani myślącego o spoczynku. Jest się, zaiste, czemu podziwić: poeta piszący gramatykę, gramatyk pi-

szący o Modrzewskim, biograf i krytyk Juliusza Słowackiego, wertujący pergaminy i źródła średniowiecza — to człowiek zupełnie wyjątkowy, to chluba naszej umysłowości. A cóż dopiero, gdy przy bliższem wniknięciu w ten żywot długi, równy, czysty, pokazuje się, że jest w nim także «z czego się ukochać». Że był i jest nam wzorem niedoścignionym wytrwałości niezmordowanej i żelaznej pracy, wszyscy oddawna uznaliśmy. Ale co rzec o tem cichem zaparciu się, trwającym lat kilkadziesiąt, które każe mu pracować na przeróżnych polach, tylko nie na tem, którego «dusza pragnęła». Kto inny byłby zrywał się, zniechęcił i — zobojętniał w końcu dla pierwszego ideału swych młodzieńczych pragnień. On poszedł w świat spokojnie, z uśmiechem, z pogodnym wzrokiem; sumiennie spełniał te prace, które mu życie narzucało czy to w Poznaniu, czy w Krakowie, czy w Insbrucku, lub Lwowie. A była to «służba twarda i pochłaniająca czas, ducha, swobodę, myśli...». Pochłonięta ona wiele, ale nie wyziębiła pierwotnego ognia. I oto po latach wielkich trudów, które los mu rzucał jedne po drugich, przyszła nagroda najmiłsza, możliwość powrotu do badań z lat młodych, z roku 1845! Jakaż to miłość wielka była w tem nieznużonem pielgrzymowaniu ze wzrokiem, utkwionym w cel ukochany. I czy nie wielki to wzór dla wszystkich, czy nie dowód żywy, ile może spokojna, cicha, niekrzykliwa, nie-

narzucająca się, ofiarna dla drugich praca? Życiem swem całem pomagał i pomaga «ku pożytku dobra spólnego», a pocziwa sława nie szukana, nie czekana, sama wykwitła tam, kędy przeszedł niestrudzony siewca dobra i prawdy.

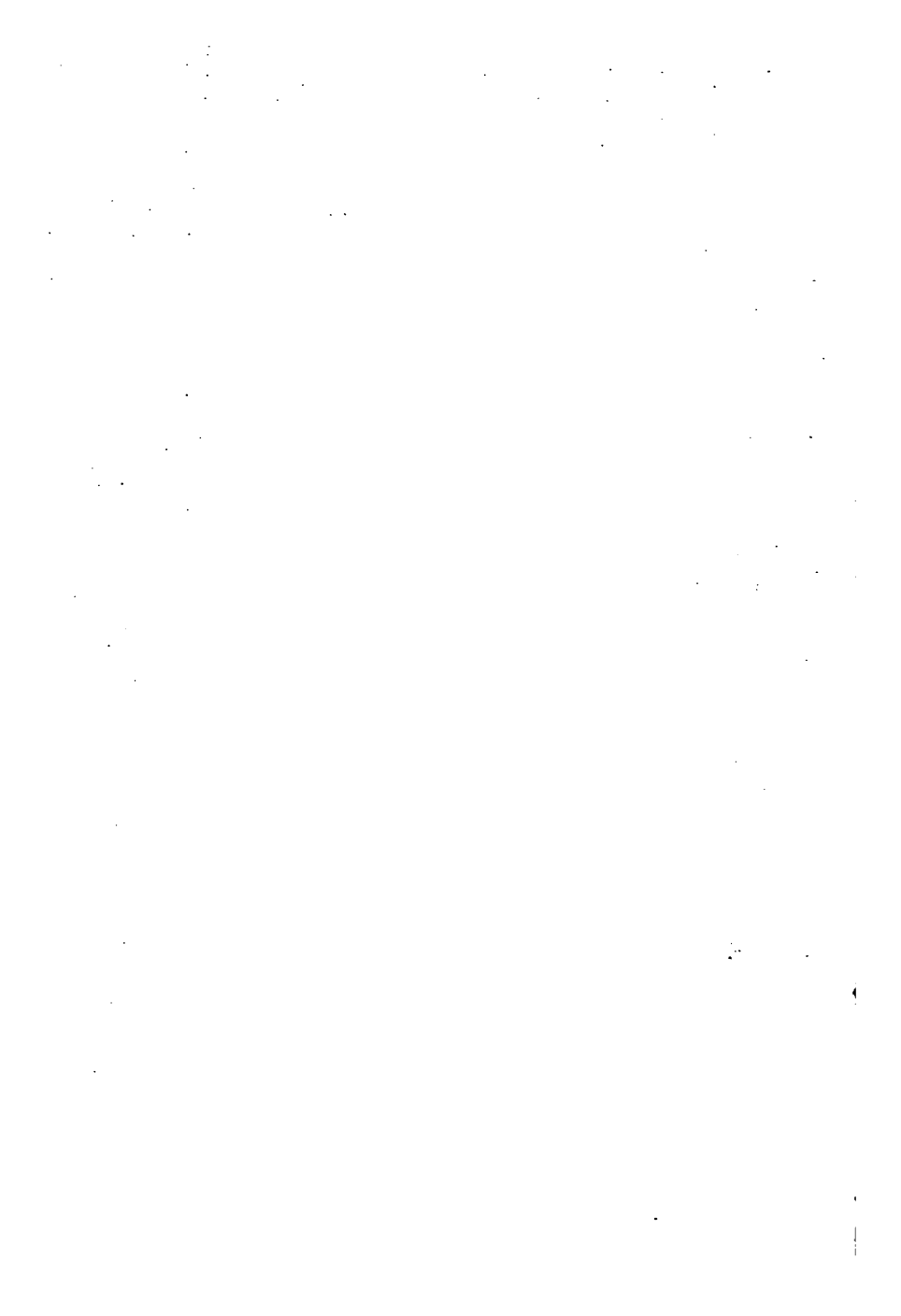




X.

KALENDARZ KRÓLA JANA III Z ROKU 1683





Z niemałym wzruszeniem bierzemy do ręki skromny na pozór Kalendarz z r. 1683. Wszak to pamiątka po królu Janie III-im! Książeczka ta towarzyszyła mu w pochodzie z domu pod Wiedeń oblężony przez Turków, przezeń wyzwolony; przeszła z nim Austryę i Węgry — wróciła szczęśliwie w zacisze rodzinne. Na białych kartach Kalendarza wpisywał król z dnia na dzień szczegóły pochodu, odsieczy, przeprawy węgierskiej. Cichy to świadek dni jasnych, bohaterskich, powiernik chwil wesołych i przygód wojennych. Gdyby ten Kalendarz losy swe mógł opowiedzieć, jakążby to gawędą nieskończoną nas uraczył! *Habent sua fata libelli*— Kalendarz króla Jana różnym ulegał losom, był dosłownie na wozie i pod wozem — a dziś, gdy na spłwiałały od starości tytuł spoglądamy, zdaje się szeptać do nas:

«Gdziem potem nie był, czegom nie kosztował!...»

Przypatrzmy mu się bliżej...

* * *

«Nowy y Stary Kalendarz świąt rocznych y biegów niebieskich... na rok Pański MDCLXXXIII.

...przez *M. Stanisława Slowakowica* Filozofiey y Medycyny w Akad. Krakowskiey Doktora.

W Krakowie. W drukarni Schedlow, I. K. M. Typogr.»

Format: 19 cm × 15,6 cm. Strony nie są liczbowane. Kustosze u dołu; brak w *D* drugiej i trzeciej karty. Dochowały się arkusze do *F*₄.

Obok zwykłych tabeli kalendarzowych idą z drugiej strony «Animadversie na Abryz Komety Astronomiczney...», uwagi polemiczne autora. Po ukończeniu polemiki mamy «*Appendix*» (*C*₄), a po nim: *Pierwsza część Prognostyku* (*E*), dalej *Druga część Prognostyku* (*F*₂).

Kończy się Kalendarz «Krótkiem Zebraniem Iarmarkow w niektórych Krainach Cudzoziemskich y Miastach Polskich».

Kalendarz był pięknie oprawiony, jak to widać z brzegów suto złożonych, ale oprawę zdarto zapewne dla zatarcia śladów pochodzenia. Do Kalendarza wprawione były czyste karty dla zapisywania ważniejszych zdarzeń.

Papier tych kart jest czerpany, o drobnych prążkach, ze znakiem wodnym, wyobrażającym lwa małego, wzniesionego, trzymającego w łapie berło; nie wszystkie kartki mają ten znak wodny. Jest też kartka z innym znakiem wodnym (tarcza herbowa z czterema polami, gryfy i prążki pło-

nowe). Nadto jest luźna kartka papieru czerpanego, odmiennego, dołączona później, nie mająca śladu złocień. Ogółem jest kart dołączonych do Kalendarza *dwadzieścia pięć*, z tego nie zapisane są cztery; są to karty 9, 12, 15, 17 (mojej paginacji).

Na K. 7-ej wyciśnięto w XVIII wieku ostrym stemplem wyraz: AZEC. Litery te wbiły się na kartach 8, 9, 10, 11, 12. Ślady wybicia znać nawet na kartach 13—19¹⁾.

I.

Notaty własnoręczne króla Jana gęsto rozsiane po kartach Kalendarza, ciekawe są z dwójakiego względu: historycznego i obyczajowego. Wprawdzie szczegółów ważnych historycznych nie zawierają krótkie, dorywcze, między jednym a drugim przemarszem pisane uwagi, ale nie o to nam chodzi: potrzeba Wiedeńska jest nam dziś bardzo dokładnie znana z różnych źródeł i pamiętników współczesnych; pod tym względem Kalendarz może

¹⁾ Domyślać się można było, że w tych literach kryje się nazwisko dawniejszego właściciela tego Kalendarza. P. Francisek Pułaski odgadł trafnie, że wyraz AZEC złożony jest z pierwszych liter: *Andreas Załuski Episcopus Cracoviensis*. Przypuszczenie to zmienia na pewnik uwaga Janozkiego: *Specimen Catalogi MSS... Dresdae MDCCLII*, p. 33 (Nr. LXXXVII).

tylko drobiazgi uzupełnić. Natomiast cała strona duchowa odsieczy ma tu świadka niepodejrzanego, zupełnie wiarogodnego. Mógł król Jan w listach do «Marysieńki» ulegać tym lub owym względom — w Kalendarzu sobie pisał, nie komu, krótko, zwięźle, jak na wojnie, ale szczerze chyba. I w tej zupełnej szczerości odmalował nam bezwiednie i siebie, i ducha swej epoki.

Więc przede wszystkim prostota i naturalność jak na dłoni tu się znaczą.

Tak pisać mógł każdy brat szlachcic XVII-go wieku, i cała polska dusza wyziera z tych notatek; króla tu nie znać zrazu, króla po wygranej potrzebie poznamy. Na polskiej ziemi to Piast, to katolik gorący, to dobry, czuły ojciec, to szlachcic dbały o swą genealogię równie jak o dobry obiad. Oto kilka wyjątków z Kalendarza *exempli gratia*: (K. 23 a)

«15-ta vela 14-ta Julij. Oblenzony Wieden.

16. *Założenie primi lapidis¹⁾ OO. Capucinow w Warszawie.*

17. *Dzieci się ruszyły de Falent pułtory mile dobre z Wilanowa.*

18. *Mysmy sie sami ruszyli do Falent na obiad tamże y na noc.*

(K. 23 b).

¹⁾ Pierwszego kamienia.

22. *Obiad w Witowie klasztorze Fundacji kiedys Ianinów: Biskupa Płockiego y Woiewody Sendomir: Rodzo[nych] Braci ktorzy zyli inter Annum Milesimum centesimum et Ducentesimum. Zapis Fundacionum Klasztorow Witowsk(iego) Buskiego y Płockiego oddal się Iasieczkowi w Czenstochowie do szkatuły: Derszław Ianina.*
24. *Jedlismy obiad w Kruszyńie, ztamtond samym wyiechawszy wieczorem na noc mil trzy dobrych do Czenstochowy.*
25. *Spowiedź y dzień cały na Nabożeństwie.*

Z Częstochowy ruszył do Krakowa..

Potem na Wawel skalisty gdy wjedzie,
 Wielkiego uczci męczennika kości,
 Lecz zaraz wyjazd (do czego go wiedzle
 Sama Papieskiej powaga zwierzchności)
 Ogłosi, a sám z Krakowa wyjedzie,
 Kędy go płaczą bogaci i prości,
 Wielcy i mali, wszyscy omen bierą
 Dobre, z wesołą że wyjeżdża cerą.
 Pod nim ćwiczony rumak w żartkim kroku
 Wyrzuca cugle i uszyma strzyże...

Rusza król z wojskiem na odsiecz, idzie jak na zabawę, boć mu Turek nie nowina, a po drodze nie o bisurmanach myśli, ale o tych krajach żyznych i bogatych, które przechodzi. *Ziemianin, rolnik* odzywa się w nim; wszak to koniec sierpnia,

po żniwach; nie wróg srogi królowi w głowie, ale «srogie» sady owocowe, kopy gęste na polach, brzoskwinie i winogrona. Może i żal zbiera, że to nie polska już ziemia...:

(K. 28).

«Augustus.

.....

29. *Szliśmy kraiem cudownie pienknym, żyznym nadzwyczaj, kopy genstsze niżeli gwiazdy, pultory mile od Bruny miasta y Fortece mszy Ś. słuchaliśmy u OO. Franciszkanow.*

.....

Zamek obronny, na gurze winogrady, po gurach wina, Brzoskwinie pno się po murach, sady srogie, klasztory, domy białone dokoła...»

Ale nie czas myśleć o gospodarnej Cererze i o Pomonie. Mars srogi coraz bliżej następuje. Niemcy błagają o pośpiech... Polski szlachcic przedzierzga się w Króla Wodza.

Poczuł wroga z pod Chocima i Kamieńca. Zbiera hufce swoje i obce. Ogrom tureckiej nawały go nie przeraża. Spokojnie, z prostotą Homerową a Tacytowską lapidarnością, zapisuje w swym Kalendarzu historyczne dni europejskiej zasługi:

(Karta 29 a-b.

«September.

-
11. *Skoro dzień stanolem na gurach nade wsio, tam consilium było o szyku z Electorami y Generalami, woisko nadeszło o południu, przechodziliśmy gury y stanelismy nad Obozem Tureckim na gurach Calemburskich. Concilium na mogile. Janczarowie wy(s)zli ku Klasztorowi y Zamkowi strzylali się z naszymi. Wiatr cały dzień y noc niezwyuczainie wielki, z miasta biio z dział mocno dzień y noc. Nocleg w lesie przy infanterij.*
12. *Sit nomen Dni benedictum wygrana potrzeba.*
13. *Wiazd do Wiednia, nocleg w obozie (tureckim pod Drzewem), ieszcze Tureckim w smrodach srogich...»*
-

Przed królową w listach podzieli się radością swą, opisze zapał mieszczan wiedeńskich i zawistne spojrzenia c. k. figur dworskich. Ale dla siebie zanotuje tylko: «Niech będzie błogosławione Imię Pańskie... Wygrana potrzeba...» *Deus vicit...*

A król Jan w namiocie Wezyra jak u siebie w Wilanowie. Łupów zacnych co niemiara. Znajcie króla polskiego!

Rozpoczyna dzielić zdobycz i po królewsku, ze słowiańską starą gościnnością obdarza Niemców, poczynając od tego, który zamiast bronić własnej stolicy umknął z niej w bezpieczne ustroenie... Jakaż to nieporównana, wspaniała, iście rycerska i polska hojność! jaka dobroć niezmierna, gdy się zważy z drugiej strony małoduszność obdarzonych i późniejszą ich niewdzięczność! Król Jegomość własnoręcznie zapisuje w Kalendarzu: [Karta 6-ta].

Notata:

[a] *Cesarzowi JMci Tuł¹⁾ Wezyrski y koni dwoch z siedzeniami. Rzond Diamentowy z siodłem z kamieniami barzo bogatemi. Dworzaninowi Jednemu Cesarza J-o Mci Dwie parze głównych soboli. Officerowi Jednemu który mi drogę przez lasy wiedeńskie pokazawał Pierścień Diamentowy.*

Xciu J-o Mi Bawarskiemu Chorongwi kilka, tureckich wienzniow, y chłopca tureckiego, koni trzech y szable Turecko złoto y inne drobiazgi.

Xciu Saskiemu koni dwoch z siedzeniami, chorongwi także kilka Tureckich y wienzniow, y Porcelan kilka Tureckich.

¹⁾ Kołczan.

Tegosz General Adiutantowi konia, Generalowi Gulczowi szable we złoto oprawno.

[b] *Xciu Anhaltskiemu konia ze wszystkim siedzeniem.*

Xciu Saskiemu fon Eisenach Rzond złocisty.

Xciu Saskiemu fon Lauenburk szable złoto turecko y Buzdygan.

Xciu Florenckiemu Kobierzee złoty wezyrski.

Generalowi Sztaremberkowi Konia tureckiego ze wszystkim siedzeniem.

Xciu Lotarinskiemu Dwoch koni Tureckiego y Polskiego z siedzeniami bogatymi y czoldarem¹⁾ perłami haftowanym y kanczuk oprawny Turecki.

Tegosz general Adiutantowi konia.

General. Dynenwaldowi konia ze wszystkim siedzeniem y trzy pary soboli y szable Turecko blachmalowo²⁾.

Pułkownikowi Szaffemberkowi konia ze wszystkim siedzeniem y trzy pary także soboli.

¹⁾ Przykrycie wełniane na konia.

²⁾ Rodzaj szabl roboty damasceńskiej w łuski srebrne lub złote.

Montekukulemu konia głównego Tureckiego ze wszystkim bogatym siedzeniem».

* * *

A po tych krótkich dniach upojenia i radości — *confusio* pod Parkanami: długie, ciężkie dni drogi węgierskiej, trudnej przeprawy wśród jesiennej szarugi i niedostatku dla wojska polskiego... Kalendarz milczy prawie o tem wszystkim: krótko zwycięstwo zaznaczał, krótko niepowodzenia. Król rozdarował co mógł, wódz martwi się i kłopotczy o doprowadzenie «towarzystwa» do granic Polski, a szlachcic-rolnik znowu o matce ziemi myśli:

Nowember.

5. *Przymrozek duży, biały — grunty czarne, dobre, pszeniczne, zasiane obszernie, kościołów siła, dawno kiedyś spalonych. Figury murywane, zburzone, zamek także Dregiet pusty...»*

Spokojnie, obojętnie niemal, dochodzi do spiskiej granicy, a pożegnawszy się z wojskiem, dąży do Lubomli, zapisując sobie tylko, że «na drodze, na łące kamień wielki» widział. Rzekłbyś, że z wycieczki niedalekiej do dom wracał, nie z odsieczki wiedeńskiej!

* * *

Różne inne drobne notatki królewskie, nie mające już związku z wyprawą wiedeńską, bo wcze-

śniejsze, rozsiane są gęsto po kartach białych Kalendarza. Nie możemy ich tu wszystkich przytaczać. Kilka zdań jeszcze dla scharakteryzowania strony poufnej, codziennego życia w Wilanowie: [Karta 18-a].

«Prywilegia Leskonis oddały się Jasiowi schować do szkatuły (w) Wilanowie 23 Mai. Kamień Ingwaru dobry na kamień dał się schować do szkatuły».

[K. 20 a].

Iuni 4. Kwadrans circiter po Siodmy zrana dał nam P. Bog syna».

[K. 21 b]

Listy do Krolowy.

(Spis listów wysłanych z drogi do «Marysieńki—ogółem 14 numerów).

Wreszcie zamięłowanie do zwierząt, zajęcie się niemi widać z tych notatek o pieskach:

12. Januarii. Faramuska z Grilonem chowała się.

«d. 3 Aprilis. Berzerka chowała się z Taraskiem».

II.

Kalendarz Słowakowica nabrał ogromnej wartości skutkiem notatek własnoręcznych Jana III. Ale druk sam w sobie jest ciekawy, a kto nasycił

się autografami Sobieskiego, znajdzie jeszcze nie-mało zadowolenia odczytując treść Kalendarza. Jesteśmy przecie w złotym wieku astrologii, autor zaś Kalendarza jest nietylko «Filozofey y Medycyny» doktorem, ale także «Astrologiey Ordynaryuszem w Collegium Minus» Uniwersytetu krakowskiego ¹⁾. Szanowny Ordynaryusz ma dużo zmartwień z powodu konkurencyi «nielojalnej», jakby dziś powiedziano.

Ktoś skrytykował jego «horoskopy», więc w odpowiedzi Słowakowic uczenie uzasadnia swe obliczenia. A gdy się z przeciwnikiem uporał, daje czytelnikom swym niezawodną wskazówkę, jak mogą odgadnąć, pod którym kto się rodził planetą. Już sam Kalendarz obok dnia każdego zawiera znaki charakterystyczne, z których przy pomocy Mistrza Słowakowica horoskop postawić można. Tu zaś mamy ogólną wskazówkę, jak z fizyognomii wróżyć o zaletach i wadach człowieka. Nam dziś łatwo z tych rad żartować, ale wówczas ani król ani chudopachołek nie gardził astrologią, a jej «ordynaryusz» tak prawił:

(K. 32).

A P P E N D I X.

Po dokończeniu tego mego Dyskursu, aby ta ostatnia nie próżnowała karta, pokazuję tu sposób,

¹⁾ Stanisław Słowakowic urodził się w Bieczu 1634 roku; umarł 1702 r.

jak poznać Saturnalistów, Jowialistów, Marcyalistów, Solistów, Wenereistów, Merkuryalistów y Lunistów, to jest, jako tego dojść, pod którym się kto Planetą urodził. Ci albowiem, którzy wiedzą o Roku, Miesiącu, Dniu y godzinie urodzenia swego, kazawszy sobie figurę erygować, snadno tego dojdą, pod którym znakiem i Planetą z tym przywitali się światem, ale ci, którzy nie mają *notatum Nativitatis tempus*¹⁾ z swoiey powinni się dorozumiewać complexiey y obyczajów, pod którym się rodzili Planetą; jako naprzykład:

Saturnalistę z complexiey y obyczajów tak poznasz:

Gdy obaczysz człowieka, że ma twarz ogromną, niekrasną, oczy mierne ku ziemi często pogląda-
jące, z których jedno nad drugie będzie większe
cum aliqua macula, Nos gruby y spory, wargi
mięzsze, powieki y włosy czarne, ostre; zęby różne,
brodę bez włosów, a przynajmniey włosy rzadkie;
nogi spore, nakrzywione, wzrost pomierny, chudy,
cerę płowiąstą, *et cuius corpus hircum olet*,²⁾ ten
jest urodzony Saturnalista.

Z obyczajów też tak go poznasz.

Myśli jego są głębokie, rady zdrowe, nie ry-
chło zakocha, ale jak pocznie kochać, kocha bez
miary, nienawistny jest, niezbyt, ale gniew gniew-

¹⁾ Zanotowanego czasu urodzenia.

²⁾ Którego ciało czuć kozłem.

liwy długo trzymający, łakomy, zdrażliwy, cichy, małomowny, skąpy, obżarty, leniwo chodzący, lichwiarz, nowiniarz, pieniądze pod ziemią kryje, y konwersacyey się chroni.

Jowialistów z komplexy y obyczajów tak poznasz.

Gdy obaczysz człowieka cery białej z żółtą miernie pomieszanej, z policzkami rumianymi, oka wielkiego, nie całe czarne, zrzenice szerokie y okrągłe, do tego brodę ma kędzierzawą, nozdrza krótkie y nierówne, dwa zęby przednie wielkie od inszych różne, z jaką czarną makułą; włosy białe y długie, troszkenkę się zawiiające, nie tłusty, ani chudy, ale w miarę ciało mający, *cum barba bifurcata et rotunda*¹⁾, y z łysiną na głowie, ten jest lowialista. lego complexia jest ciepła y wilgotna.

Z obyczajów tak go poznasz:

Jowialista jest człowiek dobry, pobożny, sprawiedliwy, poczciwy, wierny, wesoły, przyjemny, dyskretny, szczodry, miłosierny, spokojny, przychylny, szczery, o przyjaźń się starający, nabożny, mądry, zakony kochający, w potrawach y napoiu brakujący, ostrożnie śmiały, z przymusu gniewliwy, y kogo rozgniewa *summīs conatibus* onego *persequitur*²⁾, prędko się nauczy y dobrze pamięta,

¹⁾ Z brodą rozdzieloną i okrągłą.

²⁾ Najusilniej dochodzi.

absque Veneris officio ¹⁾ prędko się rozchoruie. Jego complexia iest krwią przeięta.

Marcyalistę z complexiey y obyczaiow tak poznasz.

Marcyalista ma twarz okrągłą, niepozorną, chrostami czerwonymi nakrapianą, z kryszą na czole lub na gębie, *actu vel potentia*, weyźżenia straszego y bystrego, nosa wielkiego, cery czerwoney z czarną pomieszaney, jakby nieco na słońcu przypaloney, włosy ma rzadkie, rydzawe, nie kędzierzawe, ani proste, częścicy iednak kędzierzawe, oczy małe żółto czerwone, y nieiako ogniste, włos na brodzie rzadki, zęby krzywe y długie, szyja długa i ruba, statura pochyła y duża; niektorzy z Marcyalistów są kosmaci na piersiach, rękach y nogach.

Z obyczaiow poznasz Marcyalistę.

Jest człowiek niestateczny, niewstydlivy, oszukiwaiący, uporny, gniewliwy, mściwy, niezgodliwy, zradliwy, pyszny, zabiiak, głupi, natręt, furyat, gorący, śmiałek y ludziom niewierzący. Do woyny do buntów y do rozruchow pierwszy, sobie ufaiący, siła ie, siła piie, siła chce, a mało może, monetę rad fałszuie. W takich *praedominatur calor et siccitas* ²⁾, y są choleryczni.

¹⁾ Bez stosunków płciowych.

²⁾ Przeważa gorąco i suchość.

*Solistę, to iest, który się pod Słońcem urodził,
z complexiey tak poznasz.*

Jest człowiek twarzy piękney i okrągłej, biały z małą rumianością, w ciele dobrym, wzrostu miernego, oczy ma pomierne, ale dość wielkie y żółto czerwone, abo czerwone, głowę wielką, włosy długie, nieco kędzierzawe y żółte, nos wklęsły, brodę piękną y gęstą, usta szerokie, brwi schodzące: a iezeli miał Słońce *in Horoscopo*, ma znak taki na twarzy, jest łysy. Complexią ma w miarę ciepłą y suchą.

Z obyczajow Solistę tak poznasz.

Solista jest człowiek poczciwy, szczodry, sławy pragnący, na urzędach będący y do nich sposobny, jego myśli są głębokie, rady zdrowe, ma się dobrze, ale nie jest sekretny, niektórzy z nich znajdują się nabożni powierzchownie, a w rzeczy samey są hypokrytami, pyszni, *communiter tamen magnae sapientiae et magnifici*¹⁾.

Wenereistę z complexiey tak poznasz.

Wenereistowie równają się w complexiey Jo-wialistom, to jednak nad nich mają, że ich uroda podobna jest gładkości białogłowskiey; mają abo-wiem oczy piękne, wesołe, bardziej czarne niż białe, którymi affekty przyjacielskie łowią, brwi

¹⁾ Powszechnie jednak wielkiej mądrości i wspaniali.

czerniawe złoczone, włosy piękne, długie, podczas y kędzierzawe, twarz pełną, okrągłą, dobrej cery, nie bez iakiego znaku, nos zakrzywiony itd. itd.».

Następują charakterystyki Merkuryalistów i Lunistów, które pomijamy, nie chcąc przedłużać opowiadania. Przytoczone ustępy dają nam obok błahostek doskonale sylwetki ludzi XVII-go wieku, na których Słowakowic patrzył i których cechy typowe doskonale pochwyił.

Nie brak oczywiście w Kalendarzu tym przepowiedni o pogodzie. Falb XVII-go wieku nie mniej był dokładny od dzisiejszych wróżbiarzów, tylko, że wówczas podstawą prognostyków była nie meteorologia, lecz astrologia. To też słyszymy, że «gdy będzie kometa w Bliźniętach, grozi Aegypcyanom, Ormianom, Flandriey, Brabanciey, Lombardiey, Kordubie (!) Moguncyey...»

Z Kalendarzem króla Jana miłą spędziliśmy chwilę. Dwieście dwadzieścia lat ubiegło od owych pamiętnych zdarzeń, zapisanych ręką królewską, od owych ludzi, dla których mistrz Słowakowic prognostyki pisał. Wiek siedemnasty drogi nam zawsze, a wspomnienie odsieczy Wiedeńskiej miłe jak pamięć pogodnego zachodu słońca przed smutną jesienną nocą...

Pamiętka po królu Janie, po długich latach tułaczki, po tylu podróżach wróciła szczęśliwie tam,

skąd przed dwoma wiekami wyszła — do Wilanowa. Nabyta za królewską cenę przez hrabinę Annę z Potockich Branicką jest dziś własnością hr. Ksawerego Branickiego.

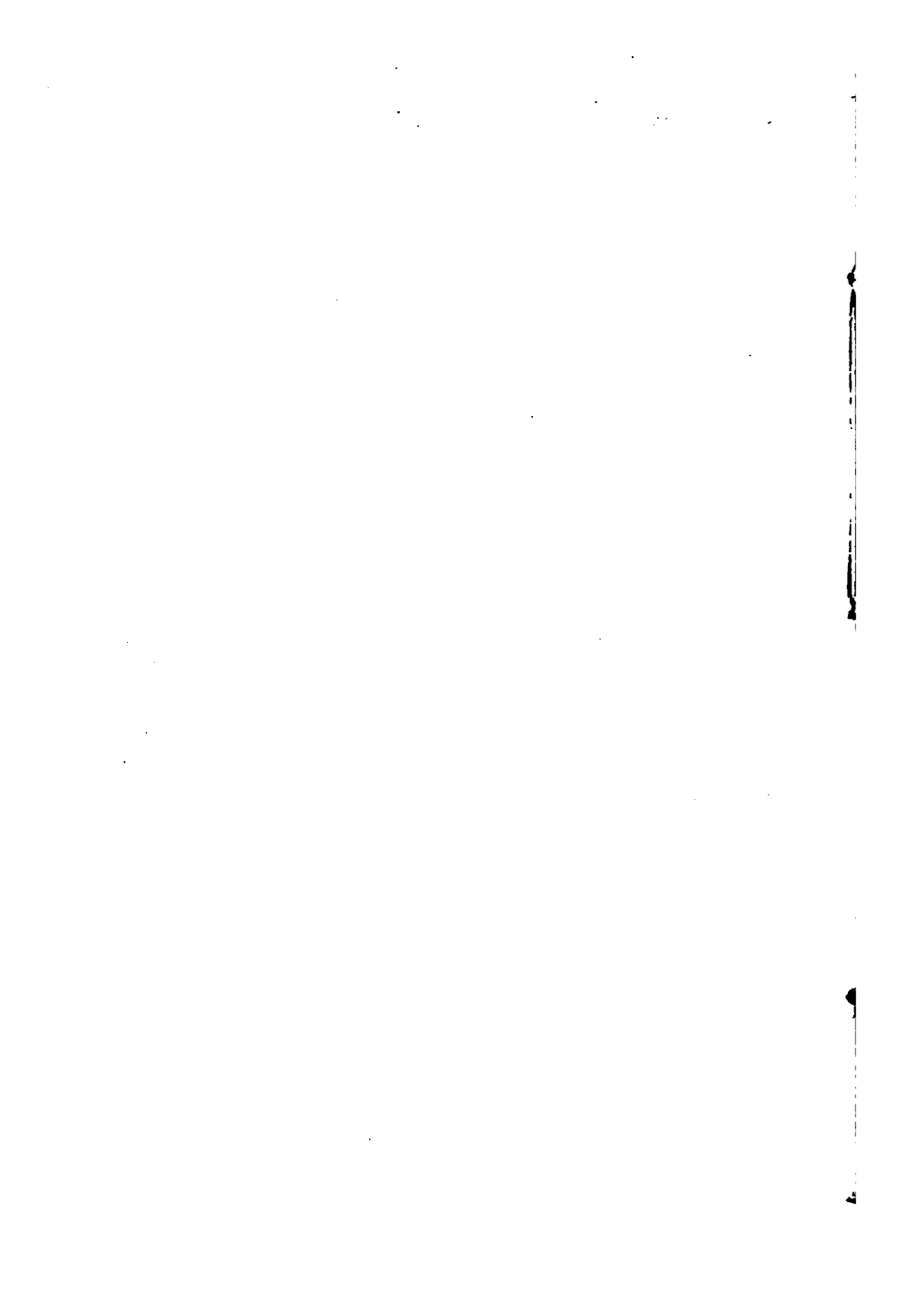
Do tyłu wspaniałości Wilanowa przybyła niepozorna książeczka, której mogą nam biblioteki europejskie pozazdrościć. Dla Kalendarza odsieczy wiedeńskiej niema lepszego na świecie miejsca, niż to, które nam na każdym kroku przypomina «możnego króla wiekopomne dzieła...»



XI.

BRITISH MUSEUM

(WRAŻENIA I PAMIĄTKI)



Mgła i drobny, przenikliwy deszcz towarzyszyły mi w chłodny poranek listopadowy, kiedy po raz pierwszy próbowałem z małej uliczki w okolicy Brunswick Square dojść do British Museum. Domy i place zlewały się w jedną, bezkształtną, żółtawo brudną masę. Można było dojrzeć na dziesięć kroków przed sobą, nie więcej. Kilkakrotnie pytałem przechodniów o drogę do British Museum, wreszcie policyjant stojący przed długim, zakratowanym obejściem, oznajmił mi, że jestem przed Muzeum. Przeszedłem może połowę dziedzińca i dopiero wtedy ujrzałem potężny rząd kolumn jońskich, niewyraźnie rysujących się wśród pary mglistej. Z kolumn i ścian budynku ściekała brudna woda powoli. Piękne kolumny zdawały się drżeć z zimna i cierpieć z braku promieni słonecznych. Wszedłem do olbrzymiej sali, której rozmiarów dokładnie dla mroku ocenić nie mogłem i trochę przygnębiony smutnem wrażeniem pierw-

szem, rad byłem, że w tym obcym, ogromnym gmachu powita mnie przecie polska mowa.

Miałem bilet z kilku słowami polecającemi mnie panu Janowi Naake, urzędnikowi starszemu w British Museum ¹⁾. W parę minut po wejściu, prowadzony przez służbę szeregiem długich korytarzy, poznałem pana Naake, rodem z Warszawy, który przyjął mnie jak najgościnniej, ułatwił kilka przedwstępnych formalności, upoważniających mnie do pracy w British Museum i bezzwłocznie zajął się tem, aby oswoić mnie z ogromem biblioteki i jej urządzeniem. «Wybrałeś się pan do Londynu w najgorszą porę roku» — uprzedził mnie p. Naake — «będziemy mieć gorsze o wiele dni, niż dzisiejszy, ale mam nadzieję, że British Museum pocieszy pana nieraz».

Z temi słowy wprowadził mnie nasz ziomek do samego serca olbrzymiego gmachu, do Reading Room.

I.

Napisano dotychczas tak o British Museum, jakoteż o jego różnych składowych częściach, 870

¹⁾ P. Naake jest od r. 1860 urzędnikiem w British Museum, mając powierzony sobie dział piśmiennictwa słowiańskiego. W r. 1874 wydał on po angielsku zbiór podań i bajek ludu polskiego, serbskiego, czeskiego i ruskiego p. t.: *Slavonic Fairy Tales*. — Miejsce pana Naake zajmuje obecnie p. R. N. Bain.

książek i książeczek. Niemam pretensyi napisać ośmsetnej siedmdziesiątej pierwszej. Radbym tylko podzielić się z czytelnikiem wrażeniami, których doznałem w ciągu czteromiesięcznej pracy w bibliotece Muzeum. Historia zbiorów muzealnych, historia samego budynku, bardzo nauczająca i zajmująca, wreszcie historia powolnego rozwoju administracyi tej najlepiej dziś urządzonej biblioteki, przekroczyłaby znacznie rozmiary niniejszego szkicu, który z wielu względów ani dokładnym, ani wszechstronnym być nie może. Z kilku niżej przytoczonych dat i liczb, można się przekonać o zdumiewajacem bogactwie biblioteki i o krezusowem jej uposażeniu.

W r. 1753 nabyto aktem parlamentu na własność narodu angielskiego ogromny zbiór książek, rękopisów itd., które zgromadził w ciągu długiego żywota swego Sir Hans Sloane. Ten zbiór łącznie z rękopisami Cotton'a nabytemi jeszcze w r. 1700, stanowił poważny związek publicznej biblioteki, która zrazu miała jednak bardzo skromne pomieszczenie i dla niewielu tylko mogła być dostępną. Ale kiedy r. 1757 Jerzy II podarował starą bibliotekę królewską (około 10.500 tomów), a 1763 r. Jerzy III sławną *Thomason Collection*, ogół żywo zajął się instytucją tyle obiecującą i dary osób prywatnych coraz hojniej płynęły. Między innymi składa r. 1820 Sir Joseph Banks 16.000 tomów, a r. 1823 Jerzy IV oddaje na własność narodowi

bibliotekę cenioną wówczas na 130.000 funtów sterlingów. Przy takim wzroście zbiorów, wobec wciąż hojniejszego uposażenia Muzeum ze skarbu państwa, nie wystarczał już dawny budynek i po długich naradach (od r. 1854), dzięki niezmordowanym staraniom naczelnego bibliotekarza Panizzi'ego, przystąpiono do przebudowania gmachu z głównym uwzględnieniem potrzeby czytelnicy. Technika nowoczesna oddała nieocenione usługi. Ograniczono do minimum użycie drzewa. Żelazne półki, galerye, wiązania, pozwoliły na małej stosunkowo powierzchni uzyskać bardzo wiele miejsca dla książek. Dziś przechadzając się po tym gmachu żelaznym, widząc po nad sobą przejrzyste chodniki żelazne, pod sobą całe rzędy wązkich uliczek, a po obu stronach tysiące szczelnie wypełnionych książkami szaf, podziwia się prawie równie tyle architektoniczną wartość budynku, co skarby w nim zawarte. Żaden opis nie może dać dokładnego pojęcia o tem prawdziwym mieście bibliotecznem.

Po żelaznych uliczkach, toczą się szybko eleganckie wózki, wyścielone miękką skórą, naładowane książkami żądanymi przez czytelników; roje posługaczy krzątają się prędko i co chwila nowe wózki z różnych stron jadą cicho na kółkach skórą obitych i obdzielają w czytelnicy rzesze spragnione wiedzy. Oprowadzany przez p. Naake po tym prawdziwym labiryncie nowoczesnym, ciągle znajdowa-

tem powody zachwytu. Znużyłbym czytelnika, opisując mu, jak są prześlicznie urządzone półki, jaki porządek i kontrola wydawanych dzieł, jaka zbytkowna oprawa nawet najdrobniejszych broszur, jaka opieka czuła nad książkami. Bogactwo niezmierne Anglii tu dopiero w całej pełni przedstawia się oczom. Od 60 przeszło lat, British Museum otrzymuje darmo wszystkie druki angielskie, a więc kupuje tylko zagraniczne książki. Otóż na ten cel przeznaczają parlament r o c z n i e ładną sumę 10.000 funtów (t. j. przeszło 120.000 złr.), a jak te książki są oprawione, można z tego wnosić, że r o c z n i e na oprawę książek ma British Museum 9.000 funtów (przeszło 108.000 złr.). Skoro jestem przy cyfrach, to nadmienię, że dokładnej liczby znajdujących się tu książek nikt nie jest w stanie podać. *Encyclopaedia Britannica* z r. 1882 podaje, że ilość druków ma wynosić 1,550.000, a rękopisów 50.000. Zważywszy, że roczny przyrost książek wynosi około 30.000 tomów, możemy śmiało przyjąć teraz ilość druków na 2,500.000 tomów. Dodajmy, że British Museum ma z górami 11.000 tomów z działu muzyki wokalne, a 6.000 tomów instrumentalnej, pojedyncze zaś utwory muzyczne w liczbie 70.000; dodajmy, że map jest przeszło 116.000, a zrozumiemy, że takie zbiorowisko płodów ducha ludzkiego jest stanowczo jedyne dziś w świecie. *Bibliothèque Nationale* w Paryżu podobno ilością tomów przewyższa bibliotekę angielską; jeśli je-

dnak zwrócimy uwagę na zaniedbanie licznych działów w bibliotece francuskiej, na administracją pod wielu względami bardzo zacofaną, wreszcie na główny brak biblioteki paryskiej, brak generalnego katalogu, to przyznamy bibliotece angielskiej stanowczą wyższość. Te skarby nieprzebrane pomieszcza British Museum w szafach, których liczba wynosi przeszło 6.000.

Gdyby półki z tych szaf wyjęto i ustawiono w jeden podłużny rząd, ciągnęłyby się one 43 mile angielskie ¹⁾. Olbrzymi aglomerat rękopisów i druków, map i rysunków, byłby martwym kolosem, gdyby nie liczne klucze pomocnicze. Osobne, szczegółowe, systematyczne katalogi rękopisów, rysunków, utworów muzycznych, a nadewszystko godny podziwu, monstrualny *Katalog główny*, zawarty w dwu tysiącach potężnych tomów *in folio*, sprawia, że praca w British Museum znajduje tysięczne ułatwienia i ciągłą pobudkę do poszukiwań. Katalog główny, dawniej pisany, od dłuższego czasu był przedmiotem szczególnej troskliwości zarządu i pojawił się w druku. W r. 1889 doprowadzono druk do litery *H*, nadto wydano drukiem kilka specjalnych katalogów. Tak np. osobno wyszedł *Aristoteles*, *Goethe* (opracowany

¹⁾ Por. The Library Chronicle, May 1884, p. 65. *Estimate of the contents of the B. M. Library*. By J. P. Anderson. 3 mile ang. = 5 kilometrów niespełna.

przez p. Naake, w czem można znaleźć dowód nowy «intrygi polskiej»; są katalogi osobne do innych autorów np. Shakespeare'a.

Na drukowanie katalogu dawało rocznie British Museum 3.000 funtów (przeszło 36.000 zlr.). Druk ten obecnie ukończono. Katalog drukowany zawarty jest w 393 tomach. *Supplement*, po ukończeniu, będzie miał 52 tomy. Cena katalogu wraz z Dodatkiem wynosi 94 funty.

Katalog główny przechowywa się w dwóch kopiach: jedna, przeznaczona dla użytku czytelników, znajduje się jak wspomniałem, w czytelnicy, druga zaś jest w sali urzędników bibliotecznych, dla ciągłego notowania nabytków (około 1500 sporych *in folio* tomów).

Biblioteka jest surowym materyałem, katalogi są przewodnikami pracy, właściwą zaś kuźnicą umysłową jest Reading Room, czytelnia i zarazem pracownia, jakiej równej niema na świecie. Kto widział Panteon rzymski, ten łatwo wyobraz sobie architektoniczny kształt Reading Room'u. Kilka stóp dodanych w rozmiarach, byłoby Reading Room uczyniło największym domem na świecie. Średnica u spodu ma 140 stóp, wysokość wynosi 106', podczas gdy Panteon ma w obu rozmiarach 142'. Olbrzymie wnętrze Reading Room'u oświeca 20 okien wysokich 27', szerokich 12', pomieszczonych na dolnej pochyłości sklepienia.

W mgliste dni rzuca snopy światła elektrycz-

nego pięć lamp, zawieszonych u stropu. Światło to jest jednostajne i nie męczy wzroku.

Ściany Reading Room'u są na 25' wysokości od dołu założone książkami najważniejszymi, w liczbie przeszło 80.000 tomów. W dni bardzo mgliste i w wieczory, kiedy w bibliotece ciemno, mogą zawsze czytelnicy wybierać dowoli z pomiędzy tych 80.000 tomów.

Książki na samym dole pomieszczone (encyklopedye, słowniki, miesięczniki, klasycy starożytni i nowsi, bibliografie itd.) są w otwartych szafach, do których każdy czytelnik ma przystęp. W czytelnicy może wygodnie siedząc pracować przeszło 360 osób; w razie przepełnienia pomieści się do 500. Dziennie pracuje tu około 700 osób. Stoły dla pracowników urządzone tak, że każdy ma dla siebie dość miejsca na pomieszczenie dwudziestu przynajmniej książek; ma kałamarz, parę piór, bibułę, pulpit dla foliałów. Przegroda parę stóp wysoka zasłania go od czytelnika naprzeciw siedzącego. W czytelnicy jest bez liku różnych fotelów, krzeseł, stołków — prawdziwa wystawa stolarska; można się urządzać jak w domu i pracować w zupełnym skupieniu ducha.

Cicho jak w kościele; każdy we własnym interesie szanuje spokój sąsiadów. Posadzka wyłożona dywanem kauczukowym, tłumi odgłos kroków. Rząd podwójnych, złączonych przegrodą stołów, rozchodzi się w promieniach od kilku koncentrycz-

nych, w podkowę bieżących stołów, które mieszczą w dole owe 1500 tomów katalogu druków, dalej katalogi rękopisów, map itp.

Środkowy, o parę stóp nad poziom wzniesiony stół, przeznaczony jest dla urzędników, wydających rewery po przeczytaniu książek, wyjaśniających jak najuprzejmiej różne kwestye bibliograficzne, czuwających nad porządkiem w czytelni. Czytelnia ogrzana jest w zimie gorącą wodą, rozprowadzaną rurami pod posadzką. Wspomniany już Panizzi, Włoch rodem, znany wydawca *Boiarda* i *Ariosta*, zasłużył sobie na wieczną wdzięczność całych pokoleń pracowników pióra, wystawieniem tej wspaniałej czytelni. Koszta urządzenia Reading Room'u wynosiły w dniu otwarcia jego (18 maja 1857 r.) 150.000 funtów t. j. przeszło milion ósmkroć sto tysięcy złr. Przed kilkunastu laty dodano z niezmiernym kosztem światło elektryczne, które w ciągu 4 zimowych miesięcy jest prawie niezbędne.

Tak urządzona rzeczpospolita biblioteczna, podlega opiece pięćdziesięciu opiekunów (*The Board of Trustees*), których wyznacza parlament. Trzema głównymi opiekunami są: arcybiskup Canterbury, Lord Kanclerz i *the Speaker of the House of Commons*. Osobną kategorię opiekunów tworzą członkowie rodzin dobroczyńców; i tak są dwaj z rodu Sloane'ów, dwaj z Cotton'a, dwaj z Harley'a potomków itd. Resztę opiekunów wybiera parlament z pomiędzy znakomitych uczonych. Dość

wspomnieć, że należeli do *Trustees*: Macaulay, Lewis, Grote i inni.

Całe British Museum dzieliło się na ośm wielkich departamentów: 1) Druków, 2) Rękopisów, 3) Starożytności, 4) Rysunków, 5) Zoologii, 6) Geologii z Paleontologią, 7) Mineralogii, 8) Botaniki. Działy przyrodnicze dla wciąż wzrastających zbiorów przeniesiono od kilkunastu lat do *Natural History Museum* (Cromwell Road). Naczelnik każdego z powyższych działów nazywa się «Keeper». Wymienię kilku dawniejszych, których nazwiska są związane z losami zabytków naszych, o czym będzie niżej. I tak, jednym z bardzo zasłużonych keeperów w dziale rękopisów, był Francis Douce, który zrażony z czasem osobistymi stosunkami w British Museum, opuścił je i po swej śmierci (1834) zostawił bibliotekę bogatą w darze Oxfordzkiemu Uniwersytetowi. Późniejszym kustoszem rękopisów był Sir Frederick Madden, znakomity znawca starożytności. Ze starszych, zasłużonych urzędników British Museum, zwracał do niedawna uwagę na siebie Mr. Richard Garnett, niepospolity wydawca i bibliograf¹⁾. Usunął się w zacisze domowe w r. 1899.

¹⁾ Obecnie (1905) są następujący naczelnicy: 1) Keeper of Printed Books, 2) Manuscripts, 3) Oriental Books and Manuscripts, 4) Prints and Drawings, 5) Egyptian and Assyrian Antiquities, 6) Greek and Roman Antiquities, 7) British and Mediaeval, 8) Coins and Medals.

II.

Każdy nowy pracownik w czytelnicy British Museum przejść musi w pierwszych tygodniach pewien stan zamętu i odurzenia. Samo przeświadczenie, że liczne unikaty, niesłychanie rzadkie druki, najkosztowniejsze edycje na pergaminie itp. może mieć na zawołanie, samo to przeświadczenie budzi nieustanną ciekawość i nie pozwala oddać się spokojnie jednemu tylko przedmiotowi. Z niemałym zajęciem przegląda się najpierw autorów polskich i dochodzi się do wniosku, że jeśli wydań bardzo rzadkich XVI wieku jest stosunkowo niewiele, to ogólny zbiór arcydzieł literatury naszej jest kompletny, w niektórych partjach wyczerpujący. Książek, o których Estreicher pisze, że są znane tylko z tytułu, daremnie szukałem; trudno wymagać, aby były tu, za morzem, skoro ich w kraju nie przechowywaliśmy. Z rzadkich u nas druków wymienię *Biblię Radziwiłłowską Brzeską* z r. 1563 ze zbioru Załuskiego, z jego autograficzną notatką o cenności książki; Biblia ta dochowana jest znakomicie i zupełnie. Nie brak w British Museum i Kochanowskiego *Elegij łacińskich* z r. 1584 ani *Victorii Deorum* Klonowicza, z przedmową do Gorayskiego. Niemałą osobiwością jest Montesquieu'go *Świątynia Wenery w Knidos* wydana r. 1807 w Parmie nakładem Jana Tarnowskiego. Egzemplarz Bri-

tisch Museum jest drukowany na pargaminie, może unikat z tego względu.

Szczególnie bogatym jest dział literatury naszej emigracyjnej i z lat 1840—1860. Ostatnimi czasy trochę nas zaniedbano, z tej prostej przyczyny, że książki polskie dziesiątkami lat leżą nierozcinanane i nie żądane przez nikogo. Z dawnej kolonii polskiej w Londynie nie masz już nikogo; lata mijają, nim ktoś zażąda w czytelni książki polskiej. Stąd też najnowszy nasz ruch historyczno-literacki słabo się zaznacza na półkach biblioteczných British Museum. Pospieszam jednak dodać, że na pierwszą uwagę z mej strony o kilku brakach, uprzejmy zarząd natychmiast zapisał kilka nowości; nie było np. *Ateneum*, którego wszystkie roczniki od początku sprowadzono; *Przegląd Polski* zatrzymał się na r. 1885, ale dalsze tomy zamówiono; *Biblioteka Warszawska* jest w komplecie. *Przewodnik Bibliograficzny* Wiśtockiego będzie na przyszłość pożyteczną wskazówką dalszych nabytków polskich. Wydawnictwa b. Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, a następnie Akademii Umiejętności, są w s z y s t k i e w Bibliotece. Pod tym względem wyprzedza British Museum Bibliotekę Narodową francuską. Nie znajdzie nikt w czytelni Bibliothèque Nationale *Bibliografi polskiej* Estreichera. British Museum posiada dwa egzemplarze tej nieocenionej pracy, jeden w Rea-

ding Room, drugi dla wyłącznego użytku pana Naake.

Po drukach polskich pragnie się ujrzeć tę jedyną w swoim rodzaju wystawę druków całego świata. Jest ona zawarta w długiej galerii (King's Library) w szeregu oszklonych gablotek i zawiera egzemplarze, zapłacone nie już na wagę złota, ale chyba pereł. Począwszy od słynnej *Biblii* t. zw. Mazarina, drukowanej przez Guttenberga i Fausta około 1455 r., możemy tu śledzić powolny rozwój potężnego kunsztu drukarstwa. Szczególniej zwraca uwagę *Livius*, drukowany w Rzymie około r. 1469 na pergaminie. Jestto jedyna kopia na pergaminie drukowana dla Aleksandra VI. W r. 1815 zapłacił za nią Tomasz Grenville 903 funt. szt. Niestychanie oryginalną jest pierwsza podróż *ilustrowana*. Jestto Breydenbacha *Opus transmarinae peregrinationis ad sepulchrum dominicum in Jherusalem*. Drukowane na pergaminie w Moguncyi 1486 r., dzieło to posiada pierwsze ilustracye zadziwiające dokładnością szczegółów. Na wystawionej karcie widzimy Plac św. Marka, Campanile, Piazzettę i za-tokę przepelnioną gondolami. Zwiastunem humanizmu jest pierwsza drukowana gramatyka grecka Lascaris (Medyolan 1476) z charakterystyczną odmianą słowa «typto». W ogóle pierwsze druki nieśmiertelnej epoki Odrodzenia, przenoszą myśl w te niepowrotne czasy, kiedy odkrycie klasyka było świętem narodowem, a druk jego największym ty-

tułem do sławy. Są tu oni wszyscy: Cicero (Moguncya 1466), Catullus, Tibullus, Propertius (1472), wspaniale iluminowany Ovidius (1471), Terencyusz (pierwszy klasyk drukowany w Anglii, Lond. 1497), Plautus (1514), Vergilius (1519), Horacy (pierwsza Aldyna na pargam. 1501). Obok nich Dante (Foligno 1472), Petrarka (1501) u Alda drukowany prześlicznym włoskim typem na pargaminie. Pierwsza, znana zwrotka nowym urokiem przemawia do widza i brzmi jak spowiedź młodego humanizmu:

«Voi, ch'ascoltate in rime sparse il suono
 Di quel sospiri, ond'io nudriua il core
 In sul mio primo giovenile errore
 Quand'era in parte altr' huomo da quel ch'ì sono».

Piękne okazy wczesnego drzeworytnictwa (Dürer 1511, Holbein 1538), osobne zbiory druków angielskich, najstarszych druków muzycznych i starych map, przy bardzo pobieżnem zwiedzeniu zajmują kilka dni. W pośród osobliwości umieszczono za szkłem pierwszy numer *Times'a* z datą 1 stycznia 1788 r.

III.

Rękopisy znajdujące się w British Museum są równie łatwo dostępne jak druki, dzięki doskonałym katalogom, które w liczbie przeszło stu tomów ogromnych *in folio* znajdują się w osobnej sali

(*Students Room*) przeznaczony dla studyów rękopiśmiennych. Sala ta otwarta od godz. 10 rano do 4 po południu, oświetlona jest równie jak Reading Room w dni mgliste światłem elektrycznym. Po bliższem poznaniu pracownika, uprzejmy kustosz rękopisów pozwala przenieść manuskrypt po godzinie 4 do Reading Room, gdzie można go dalej studyować aż do zamknięcia czytelnicy o godz. 8 wieczorem. Pozwolenie to może jednak dotyczyć tylko rękopisów późniejszych i nie zbyt kosztownych.

Zaspokoivszy pierwszą ciekawość co do druków polskich, zwróciłem się tem spieszniej do katalogów rękopisów, w nadziei, że i tu dział polski nie będzie ubogi. Jakoż rękopisów, dotyczących historii polskiej znalazłem obfitość tak wielką, że nie jednego, ale dziesięciu pracowników mogłyby przez długi czas zająć. Wieki XV i XVI nie tyle; są to bowiem po większej części negocyacje handlowe, omawiające bądź to stosunki kolonii angielskich kupców w Elblągu, bądź też strzegące interesów polskich handlarzy z Prus, nielicznie nawiedzających Londyn. Korespondencya dworu polskiego z angielskim, głównie jest ożywiona za Zygmunta Starego. Ale wieki XVII i XVIII coraz liczniejszych dostarczyły relacji o Polsce, które tu bądź w oryginale, bądź w kopiach (zwłaszcza nuncyatur włoskich) obficie są przechowane. Grono historyczno-literackie polskie, jako filia paryskiego

Towarzystwa, pracowało między r. 1840—1850 nad wydobyciem materiału historycznego z rękopisów tak British Museum jak i archiwum rządowego w *Record Office*. Praca ta poszła poniekąd w zapomnienie. Dzisiejszy pracownik na polu historii polskiej, powinien jednak uwzględnić tych kilkadziesiąt tek kopii i wypisów z British Museum, przechowanych w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Nie zawsze te kopie są wierne, a mniej wykształcony kopista, nieraz liczne popełniał usterki, nie mogąc odczytać starego pisma. Narzekał już na to Mickiewicz, jako sekretarz Tow. Hist.-Literackiego w Paryżu. W każdym razie kopie te są pożądanym podkładem dalszych studyów i rzucają dostateczne światło na stosunki polityczno-ekonomiczne Polski z Anglią w ciągu kilku wieków. Badanie tych stosunków nie było mojem zadaniem. To też stwierdziwszy tylko niezaprzeczone bogactwo materiału historycznego polskiego w rękopisach British Museum, tem skwapliwiej jąłem się tych zabytków, które do dziejów literatury i oświaty naszej należą.

A tout seigneur tout honneur. Modlitewnik króla Zygmunta I, bierze się do rąk jak relikwię świętych czasów i z niemałym wzruszeniem przegląda się te karty. Im dokładniej poznaje się modlitewnik, tem większy żal rośnie, że ta pamiątka, dla której właściwe miejsce w skarbcu na Wawelu, dziś po długiej tułaczce tutaj spoczywa.

I chyba tem się pocieszać, że bezpieczniej dla modlitewnika w British Museum, niż gdzieindziej... Modlitewnik szedł dziwnymi drogami. Po królu, a raczej jeszcze za jego życia, używała go Bona, która na czystych kartach pergaminowych własnoręczne zapiski poczyniła; z Boną był ten modlitewnik we Włoszech, a po jej śmierci wrócił do Polski, skoro na jednej z kart u góry czytamy autograf: *Sigismundus Rex Tertius*. Później dopiero z obcięciem ducha polskiego, obcięto też szkaradnie ten piękny zabytek, tak, że z górnych i bocznych illuminacyi zaledwie wązki skrawek pozostał. Z trzech większych miniatur, ta jest najpiękniejsza i najważniejsza, która przedstawia Zygmunta Starego, jak na kolanach przyjmuje Komunię św. z rąk samego Zbawiciela. Chrystus Pan zstąpił tylko co z krzyża i na twarzy nosi znamię przebytej męki. W oczach zawarty jest wyraz niewysłowionej dobroci, usta ma jakby do przemowy lekko rozwarte. Jakoż od ust Jego wychodzi w kierunku skośnym ku Zygmunutowi napis: *Caro mea vere est cibus*. Zygmunt w stroju monarszym, jest wykończony portretowo. Charakterystyczna twarz przedostatniego z Jagiellonów przykuwa do siebie i oderwać się od niej trudno. Żyje ten portret i nieznany artysta widywać musiał króla często i blisko, skoro tak go namalować umiał. O innych miniaturach, o notach historycznych na modlitewniku, nie rozpisuję się już z tego względu, że mo-

dlitewnik ten staraniem Komisji Hist. sztuki w Akademii Umiejętności będzie dokładnie opisany i z podobiznami miniatur wydany ¹⁾. Dodam tylko, że modlitewnik Zygmunta przechodził z rąk do rąk królów polskich, aż go r. 1719 Marya Klementyna Sobieska, idąc za księcia Jakóba, do Szkocji zawiozła. Jakiem prawem? trudno dziś dojść. Potem był ten modlitewnik w posiadaniu kardynała York, a po jego śmierci dostał się do biblioteki księcia Sussex. Stąd nabyło go r. 1844 British Museum. W r. 1845 opisał go pierwszy Sir Frederick Madden, wspomniany wyżej, w *Gentleman's Magazine*, bardzo dokładnie i z wielką znajomością rzeczy. Zwróciło to snąc uwagę ś. p. Aleksandra hr. Przeddzieckiego, który już przed 30 laty z głównej miniatury kazał być zrobić *fac simile*. Ale *fac simile* to zaginęło, jak się dowiedziałem od ś. p. hr. Konstantego Przeddzieckiego; późniejszy opis modlitewnika, dokonany na miejscu przez zmarłego historyka Lukasa, także do dziś dnia w rękopisie spoczywa. Akademii Umiejętności przypadnie zasługa wydania tej pamiątki, tak ważnej dla historii sztuki w Polsce.

Idąc dalej porządkiem chronologicznym, zano-

¹⁾ Pisane w r. 1889. Od tej pory Komisja Hist. Sztuki, pomimo dostarczenia jej wszelkich potrzebnych materiałów i złożenia na ten cel subwencji ś. p. Konst. hr. Przeddzieckiego modlitewnika nie wydała jeszcze.

tować wypada drobny szczegół, rzucający pierwszy promyk światła na bardzo ciemną sprawę. Wiemy o rozbudzonym ruchu umysłowym w Polsce w pierwszej połowie XVI wieku, o licznych migracjach scholarów polskich po szkołach niemieckich i włoskich. Mniej daleko wie się dotychczas o studiach Polaków we Francji, prawie nic o studiach ich w Anglii. Pierwszym, jeśli się nie mylę, śladem wędrowki naukowej Polaka do Anglii, będzie świadectwo Sturmia, wydane w Strassburgu (25 kwietnia 1559 r.) Stanisławowi Koniecpolskiemu *Vielunensis praefecti militaris filio*¹⁾. Świadectwo to przechowało się w kopii między innymi kopiami listów cudzoziemców z czasów Elżbiety. Chwali tam Sturmius Stanisława Koniecpolskiego i jego nauczyciela «Christophorum Trecium»; mówi, że obaj kilka lat spędzili w Uniwersytecie pilnie i przykładowie, że na ich własne życzenie wydaje im to świadectwo, *non ut pro testimonio sit, sed pro laudatione*. Widocznie nauczyciel z uczniem wybierali się do Anglii na studia; gdzie je prowadzili, czy w Londynie samym, czy w Oxfordzie lub jeszcze gdzieindziej, nie udało mi się wyśledzić. Że jednak odwiedziny Polaków w Anglii za panowania Elżbiety przynajmniej nie były rzadkie, a stosunki i komunikacje częste, wnoszę z kilku nadzwyczaj interesujących listów,

¹⁾ Bibl. Regia, 13 B. I fól. 6a, Por. Paprocki, 232 Tur.

również w kopii współczesnej przechowanych¹⁾. W listach tych, datowanych z Windsoru w lutym 1563 r., królowa Elżbieta występuje ni mniej ni więcej, tylko jako swacha szlachcica polskiego z królową szwedzką. Znana jest tragiczna historia Jana Tęczyńskiego, wojewody bełskiego, który w drodze do narzeczonej, królowej szwedzkiej Cecylii, smutnie w Danii życie zakończył. Ale to mniej znane, że po śmierci wojewody bełskiego, dziedzic jego mienia, starosta rohatyński, także Jan Tęczyński²⁾ na fortunie polskiej poprzestać nie chciał, ale w spuściznie po zmarłym także i miłość jego przejąć pragnął. Jaką drogą starosta rohatyński do Cecylii trafił, a jaką znowu do królowej Elżbiety, tego powiedzieć nie umiem, ale ze wspomnianych listów Elżbiety jasno jak na dłoni wynika, że królowa była staroście rohatyńskiemu przychylną, że go rada na swym dworze widziała, i że na ten dwór zapraszała usilnie Cecylię, królową szwedzką, aby obojgu poznanie ułatwić. Tęczyński darami z Polski starał się królowę jeszcze lepiej usposobić i o przyspieszenie swej sprawy prosił, ale rozważna Elżbieta tłómaczy mu niestosowność pośpiechu. Po tak świeżej, bolesnej stra-

¹⁾ Cotton. Nero B. IX. fol. 102. — Bibl. Regia 13 B. I fol. 109b—112b.

²⁾ Zdaje się, że tensam, o którym szeroko pisze Paprocki (str. 84—89, Tur.), jakkolwiek mu tytułu starosty rohatyńskiego nie daje.

cie, Cecylia w smutku pogrążona o weselu myśleć nie może...; kiedy przyjedzie do Anglii, żywe słowo więcej zdziała od listów...

A równocześnie w liście do Cecylii chwali Elżbieta i z mowy i z postawy starostę, i mniema, że królowej będzie miłym, choćby tem, że przypomina zmarłego...

Konieczpolski i Tęczyński byli ludźmi wielkiej Jagiellońskiej epoki, a pochwały Sturmiosa i Elżbiety wcale nas nie dziwią. Ale nadchodzą początki panowania Zygmunta III i warto wiedzieć, jak tacy ojcowie dzieci chowali. Czasy się zmieniały; za granicę ruch młodzieży wprowadzić nie ustał ale znacznie osłabł. System wykształcenia ulegał zwolna, ale stałe, przeobrażeniu silnemu. Zamoyski budując szkołę wyższą w Zamościu, stara się ją stworzyć nie tyle na modłę zagraniczną, ile raczej dla potrzeb kraju. Akademia ta, póki on żyje, rozwija się i gromadzi młodź szlachecką z Podlasia i Rusi; z jego śmiercią «zaledwie da się szkoła utrzymać», pisze Szymonowicz do Casaubona. Listy Zamoyskiego i Szymonowicza do Casaubona i do Jana Douzy, rzuca z pewnością dość światła na przełom cywilizacyjny Polski z początkiem XVII wieku ¹⁾.

¹⁾ Bibl. Harl. 4935; Bibl. Burn. 363—366. Wydałem w dodatku do pracy mej francuskiej *Les Humanistes Polonais*. Friebourg (Suisse) 1891.

Wszechstronna działalność kanclerza wielkiego, jego dwoista natura humanisty i polityka, nowymi się tu znaczą rysami. Powaga Szymonowicza u postronnych powiększa jeszcze szacunek dla autora *Sielanek*. Szymonowicz jest moralnym wodzem humanistycznych aspiracji polskich z początkiem XVII stulecia; on je budzi i krzepi w młodem pokoleniu. «Umysłem żywszym w Akademii naszej sprostać nie możemy» — pisze Simonides w jednym z listów do Casaubona; «przeto namawiam często młodzieńców zdolniejszych, aby gdzieindziej szukali, czego w domu nie mają». I wysyła do Casaubona, Jakóba Sobieskiego, syna Marka. A kiedy się dowiaduje, że Casaubon nietylko radą i towarzystwem swem oświeca wojewodzica lubelskiego, ale że go sam, on sławny po świecie Casaubon, uczy pilnie, radość Szymonowicza niema granic. «Toć chyba miłość ludzkości uniosła cię, Casaubonie, że się tak dla młodzieńca męczysz! Cześć ci za to!» A dalej dodaje te złowrogie dla literatury naszej słowa: «grozi nam upadek oświaty... w naszych stronach tak rzeczy stoją, że gdyby nauki nie podtrzymali co przedniejsi, jak ten Sobieski, wrodzone nam barbarzyństwo (*innata barbaries*) jużby nas ogarnęło». Kształcił się tedy młody Jakób Sobieski w Paryżu pod kierunkiem Casaubona, z przerwami w ciągu lat 1607—1611, a od tych studyów odrywają go zdaje się wyprawy na Moskwę. Kształcił się pilnie, z po-

czątku sam, później razem z Janem Stanisławem Sapieżą, synem Lwa, podkanclerzego w. ks. lit.

Casaubon objaśnia im Arystotelesa, pożyczając łacińskie tłumaczenie Tucydidesa Sapieżę, pożyczając historię francuską Thuana Sobieskiemu. Kilka zachowanych w autografie listów Jakóba Sobieskiego do Casaubona, pisanych w czasie studyów w Paryżu, ożywia bardzo materiał rękopiśmienny. W jednym z listów zapytuje Sobieski, skądby mógł dostać mowy Henryka IV, dla którego jest pełen uwielbienia. To znowu skarży się Casaubonowi, że się po grecku dawniej nie nauczył, a teraz widzi, że bez greki ani rusz. I prosi o wyjaśnienie kilku zdań greckich z komentarza Casaubona do Suetoniusa. Casaubon jest w listach oficjalnych bardzo grzecznym; ale dochowały się jego pamiętniki *Ephemerides*, i z nich widzimy, że młodzi Polacy czasem mu byli ciężarem, i że «niepotrzebnie wdał się w ich nauczanie».

Co się tyczy listów do Douzy, znanego humanisty holenderskiego, to przebija z nich żywe zainteresowanie się Zamoyskiego nowymi pracami humanistów, chęć utrzymania stosunków księgarskich z Niderlandami i wielka życzliwość kanclerza dla synów Douzy, Jerzego i Dytrycha. Listy te obejmują lata od r. 1598—1604.

Innem, mniej dotychczas znanem ogniskiem światła na północnym zachodzie Europy, był Amsterdam. Przyciągał tu młodzież polską gramatyk

i retoryk, Gerard Voss. W zbiorze listów różnych osób do niego ¹⁾ znajdują się korespondencye łacińskie Jerzego na Konarach Słupeckiego (h. Rawicz), Krzysztofa Słupeckiego i Jana Zawadzkiego (h. Rogala) ²⁾ (1632—1646), którzy z kraju wdzięcznie wspominają mistrza i nieraz zasięgają jego rady. Do uzupełnienia obrazu studyów tych Polaków, nadzwyczaj pożądaną była korespondencya Vossa drukowana ³⁾, z której przekonałem się, że nie tylko z Vossiusem, ale z nierównie sławniejszym od niego Hugonem Grotiusem, mieli wymienieni Polacy częste i ożywione stosunki.

Kiedy w powyższych rękopisach znajdowałem materiał polski w języku łacińskim wyłącznie, to po długich poszukiwaniach, z nietajoną radością, powitałem gruby tom in 4-o zapisany nie samą tylko łaciną, ale też po polsku. Jestto rodzaj *Silva Rerum*, tak licznych w XVII w., ciekawy zbiór wypisów z ksiąg prawniczych, literackich, przeplatany uwagami polskimi ⁴⁾. Pisał je Jan Gollius, mieszczanin z Zamościa, między r. 1650 a 1666. Niemiec z pochodzenia, ale Polak pod wpływem otoczenia i stosunków, ewangelik, z czasem predykant, jest Gollius doskonałym typem mieszczana-

¹⁾ Harl. 7012.

²⁾ Por. Niesieckiego, X, 105.

³⁾ G. J. Vossii et clarorum virorum ad eum epistolae. Londini 1690, fol.

⁴⁾ Przechowany w zbiorach Sloane'a, 1361.

nina polskiego z niemieckim nazwiskiem, w pierwszej fazie polszczenia. Urodzony r. 1634, puszcza się jako 16-letni wyrostek do Lipska, zapisuje się na uniwersytet, gorliwie ubiega się o honor zaliczenia się w poczet prawdziwych studentów, a choć asystuje hulaszczemu życiu burszów, przecież o książkach i wykładach nie zapomina. Pobyt swój w Lipsku i dalszych kilka lat życia w Polsce, opisał po prostu i w naiwnej polszczyźnie sam Gollius¹⁾. Żywot to nie bogaty w przygody, cichy i pracowity, jak całe mieszczaństwo polskie XVII wieku. Od niedawna zaczynamy je lepiej poznać, dzięki pięknym studjom prof. Kubali i p. Wł. Łozińskiego. Mierny stan przypadł w udziale Golliusowi. Zdaje się, że czas jakiś nauczycielstwem się trudnił w Zamościu, przy okazyjach mówki komponował, bał wierszyki — i lubiany od «sławetnych» z latami porastał może w pierze. Burze kozackie wyrzuciły go z Zamościa na dobre. Nie wiemy dobrze co się z nim przez lat kilka działo. Koło r. 1665 wypływa nagle w Kieydanach na Żmudzi, zabiega koło Imć panny Katarzyny Budrewiczównej, a r. 1666 już gości na wesele zaprasza. Z innych notat dowiadujemy się, że r. 1668 broni przed inwazyą żołnierską dóbr Miłaszuny, w powiecie

¹⁾ L. c. fol. 110a—120b. Wydałem w VII tomie Archiwum dla dz. lit. i ośw. Kraków, Akad. Umiej. r. 1891. Także w osobnym odbiciu.

Wilkomirskim, należących do Judyty Budrewiczowej, snadź swej świekry. Ale z tych najświetniejszych swych czasów, Gollius nam się nie spowiada. W pamiętniku objął parę zaledwie lat, kiedy mu trudno o grosz było i kiedy sposobu do życia szukał.

Melancholikiem nie był i liczne tego dowody sam złożył w swojej grubej księdze. Żarciki «dobrym towarzyszom gwoli», wiersze uszczypliwe, tu i owdzie ekskursy przeciw żydom i talmudowi, urozmaicają poważne wypisy jurydyczne lub formularze listów i mów przygodnych. Ilość autorów czytanych i skrzętnie wypisywanych, świadczy bardzo korzystnie o wytrwałości Golliusza. Od Tomasa Morusa i Bacona aż do Kojałowicza przesuwają się w *Variach* Golliusza cały szereg autorów najchętniej w XVII wieku czytanych. Wtajemnicza nas to bardzo łatwo w sferę wyobrażeń XVII w., tłómaczy niejedno w losach literatury.

Nigdy nie będziemy zdaje się, mieć dosyć opowiadań cudzoziemców o Polsce. Skwapliwie wczytujemy się w każdą relację naocznego świadka dawno minionych urzędzeń, sposobu życia i zabawy w Polsce. Radzi słuchamy pochwał o charakterze polskim, o świetności dworu, ludzkości panów i łatwości życia; nie zamykamy też uszu na cierpkie nieraz uwagi o zaniedbaniu, wewnętrznym nieładzie i niesfornej, butnej naturze. A jeżeli znajdziemy, że i Włoch z czasów Zygmuntów Au-

gusta i Anglik za Zygmunta III, nie zważając się między sobą, jedno i to samo o Polsce orzekną, to chyba przyznamy, że mówią prawdę. Fines Moryson, rodem z Lincolnshire (r. 1566), szlachcic angielski, rychło po ukończeniu studyów w Cambridge, udaje się w podróż za granicę i spędza lat dziesięć zdala od kraju rodzinnego. Zwiedza całą niemal Europę i Ziemię Świętą. Przez Polskę przemyka się bardzo prędko, bo spieszy do Włoch. Powróciwszy do Anglii, spisuje swe długoletnie wrażenia, najpierw po łacinie, później tłómaczy opis swój na język angielski. Opis łaciński zachował się tylko w pierwszym tomie; trzy inne zaginęły. Natomiast relacya angielska dochowała się prawie kompletnie. Tylko części czwartej nie zdążył Moryson przetłómaczyć z łaciny, tak, że obecnie całkiem jej nie mamy. Wypadło zatem ustępy dotyczące Polski, rozsiane po całym dziele, uzupełniać tekstem angielskim tam, gdzie łacina zaginęła. Styl autora jest prawie równie ciekawy, jak jego wrażenia. Nie jest to pełne, gładkie opowiadanie Ruggiera lub Lippomana o barwach umiejętności i harmonijnie dobranych, z pominięciem drobniaków powszedniej natury. Moryson praktycznie podróżuje i praktycznie streszcza swe wrażenia. Nie tai się z tem, że radby dać rodakom swym w ręce wskazówki, na doświadczeniu oparte, coś w rodzaju Baedekera dzisiejszego. Píše sucho, ale jasno. Powie, ile którego dnia ujechał i ile za to

zapłacił, ile wydał na jedzenie, nocleg itp. Ceny nabiału, drobiu, piwa, wylicza skrupulatnie nasz magister artium. Anglik od stóp do głowy, nie zachwyca się niczem, ani nie oburza, tylko notuje skrupulatnie. Do Polski przybywa na Gdańsk we wrześniu 1593 r. Widzi w Gdańsku Zygmunta III i królowę, wybierających się do Szwecyi. Opo-wiada spokojnie, że Zygmunt III miał w ten dzień wcale pomyślny wiatr do żeglugi; ale że oboje z królową, boją się to poniedziałku, to piątku, jako dni feralnych, więc niewiadomo, kiedy z Gdańska wyjadą. Moryson tymczasem na Toruń, Łęczycę jedzie do Krakowa. Z wielką flegmą i z większą jednostajnością notuje, że jechał *per agros frumentiferos et quercuum silvas*, na popasach kupuje sobie to kurę, to chleba i piwa, a czasem na dobry targ trafi. Gdzieś niedaleko Piotrkowa płaci za gęś trzy grosze, za kuropatwę dwa, za udziec barani dwa, a za prosiaka trzy grosze! I jak tu nie chwalić dawnych wieków!

W Łęczycy zaprasza dwóch Polaków na śniadanie i zapisuje z tryumfem, że go to kosztowało raptem... cztery i pół grosze... Przyjeżdża do Krakowa, rozgląda się po rynku, zwiedza Wawel, i jak na przybysza nieświadomego języka, poznaje niezłe miasto, zapewne oprowadzany przez Niemców, bo po niemiecku trochę umiał. Opisuje przedmieścia Krakowa, a o Stradomiu tyle ma do powiedzenia po łacinie, że aż tego nie śmie później

na angielskie przetłómaczyć... Wreszcie ekwipuje się w Krakowie; kupuje konia, siodło, ostrogi i inne potrzeby podrózne, i tak wierzchem, w towarzystwie jakiegoś szlachcica Włocha za Alpy się wybiera. W ciągu tak przelotnego pobytu w Polsce, Moryson dokładnie się przypatruje i dokładnie snadź informuje, skoro nietylko zna ceny wiktuałów, ale bardzo głębokie wyprowadza wnioski o ekonomicznem położeniu Polski i jej podobieństwie w tym względzie z Irlandyą.

Nizkie ceny produktów krajowych nie są, zdaniem Morysona, dowodem bogactwa w społeczeństwie. W Anglii wszystko o wiele droższe, ale wszyscy się lepiej mają...

Zdania Morysona o szlachcie, sejmie, wymiarze sprawiedliwości względem mieszczan, są całkiem trafne. Szlachcic angielski niekorzystnie się wyraża o szlachcie polskiej: «W Polsce szlachta porywcza do kłótni, bijatyki, mordów, zwłaszcza gdy sobie podpije. W sądach niewiele się szlachcic obawia boć go powinowaci sądzą. Ten i ów, co był za granicą, jest bardziej ucywilizowany, ale ogólnie rzecz biorąc, nie masz kraju, gdzieby cudzoziemiec bardziej powinien się wystrzegać kłótni, zwłaszcza jeśli nie jest równy stanem». Bogactwo przyrodzone ziemi polskiej wystawia Moryson na wielu miejscach. Srebro, żelazo, siarka, miód pszczelny i leśny, mnóstwo wosku, lnu, konopi, smoła, drzewo, na budulec i maszty, sól, bursztyn, ług, zboże wsze-

lakie, którem się karmią inne narody w czasie nieurodzaju — oto źródła zamożności kraju. «Toż niedziwota», dodaje Moryson, «że kupcy znoszą tu jedwab z Włoch, sukno z Anglii, wino z Hiszpanii, korzenie z Indyi, bo nietylko, że sprzedają po takiej cenie, jaka im się żywnie podoba, ale biorą w zamian wymienione wyżej skarby». Na tę inwazyę towaru obcego, która zastanowiła Anglika, narzekał na kilkadziesiąt lat przed nim stary Bielski.

IV.

Kiedy i druki i rękopisy trochę zmęczą, może wzrok i umysł tak odpocząć, że nie opuszczając British Museum, przenosi się w inne światy na czas jakiś. Kogóż nie zachwycą wspaniałe resztki Partenonu, a wśród nich dziarska młodzież na koniach w Panatenajskiej procesyi! Do kogo nie przemówi piękna głowa Peryklesa, symbol pogody i mądrości helleńskiej? Tu, nie wychodząc poza obręb jednego gmachu, można się przypatrzeć rzeźbie assyryjskiej z czasów Assurbanipala i Nemroda, pomnikom egipskiej kultury od 2000 lat przed Chrystusem, etruskim grobom, portretem chińskim z XV i XVI wieku i bożkom islandzkim... Wszystko zdaje się być zebrane jako jedno, wielkie *argumentum ad hominem*, że głowa ludzka za mała, życie za krótkie, siły za słabe, aby ten

ogrom pracy i myśli dawnych pokoleń znieść w sobie i przetrawić.

Wracam do Reading Room o różnych porach i uważam, że trzy razy dziennie zmienia czytelnia fizyognomię zewnętrzną. Do 11-ej rano niewielu jest stosunkowo czytelników i ogromna sala dość pusta. Około 12-ej daremniebyś już szukał osobnego stolika. Już wszystko zajęte i trzeba się przysiąść do bocznych, dodatkowych a nie tak wygodnych stołów. Między 1-szą a 4-tą praca największa. Służba ledwie nadażyć może potrzebom czyteln. Wszyscy zaczytani, zapracowani; szmer przewracanych kart katalogów, przerywa jednostajnie ciszę. Bardzo wiele pań, pracujących tak tutaj, jak i w *Students Department*, ma osobny rząd fotelów.

W chwili tego największego życia czyteln, warto nieraz zajrzeć do arkanów bibliotecznych. Dzięki uprzejmości pana Naake przechodzimy szeregi sal, w których legion urzędników zajęty jest katalogowaniem nabytków; każdy ma swój dział ograniczony i nikt nie jest przeciążonym. Ale praca to ciężka i w czasie trzydziestoletniego pobytu p. Naake w British Museum sześciu jego kolegów dostało pomieszania zmysłów.

Przypominam sobie z tych spacerów po zaczarowanym pałacu jedną niewielką salkę, którą wypełnia kilka tysięcy tomów w encyklopedyi chińskiej, drukowanej w Pekingu 1726 r. Nazywa się ona «cesarską encyklopedyą», a brzmi to w tym

powabnym języku: *Koo Kin T'oo Shoo Tseih Ch'ing*.

Na zakręcie jednej z galeryi spotkaliśmy ładnego czarnego kota. Pan Naake objaśnił, że «Jack» jest wprawdzie najmniejszym, ale nie najmniej pożytecznym urzędnikiem British Museum. Przed kilku laty myszy wkradły się do muzeum i po jakimś czasie rozzuchwalone przemykały się nawet w Reading Room obok czytelników. Jack położył temu rychły koniec; oddawna nikt już myszy nie widział w bibliotece i Jack, syt chwały, jest właściwie na łaskawym chlebie. Pobiera pensję rządową w kwocie jednego penny na dzień i melancholijnym wzrokiem spogląda na półki biblioteczne.

Około 5-jej popołudniu Reading Room zwolna traci czytelników; *five o'clock tea*, a następnie obiad zmusza wielu do wyjścia. Między 6-tą a 8-mą pozostają najwierniejsi, i... najgłodniejsi czytelnicy którzy czasu nie chcą tracić. Nikt już nowych książek nie żąda, urzędnicy mają chwile dobrze zasłużonego odpoczynku. Cisza kościelna zalega całą salę. Zdaje się jakby wszystkie książki układały się do snu. U góry szmerzą cicho olbrzymie lampy elektryczne.

Im smutniejsze dni zimowe, im przykrzejsza mgła ciężka, tem dosadniej występuje zasługa narodu, który stworzył takie ognisko światła i po ciechy na szarą, smutną dolę, tyłu a tyłu pracow-

ników pióra. Wielu z nich ma tutaj prawdziwy dom, zagrzewa się do walki z losem, wynosi tyśiączną pobudkę do pracy i postępu. Królowie wyrzekali się ogromnych bibliotek, bogatsi i ubożsi rozstawali się ze zbiorami, trudem całego życia, aby tylko zgromadzić wszystko na jednym miejscu dla dobra wszystkich. Kto wie, ile jest miłości własnej w posiadaniu białych kruków bibliotecznych, ile namiętnego przywiązania do własnych książek, świadków i towarzyszy różnych chwil w życiu, ten pojmie znaczenie i doniosłość tych licznych ofiar, z których urosło British Museum. Spełni ono z czasem wielki ideał ogólnej biblioteki świata, a komu danem było choć przez czas krótki korzystać z dobrodziejstw tego olbrzyma, ten musi go żegnać serdecznem życzeniem: oby trwał wieki na chwałę Anglii, na pożytek ludzkości.

L 223



WYKAZ NAZWISK.

- Abłamowicz Ign.**, 56.
Ajschylos, 97
Aleksander I., 37.
Allori, 167.
Anderson, J. P., 366.
Antoniewicz, J. B., 208.
Arystoteles, 383.
Augustyn św. 105.
- Bain R. N.**, 362.
Beethoven, 178.
Bielecki Paweł, 59.
Bieliński Józef Dr., 10. 35, 37.
41.
Bieliński P., 206.
Bielowski A., 310.
Bielski M., 390.
Biskupski B., 188.
Bobrowski X. Michał, 56.
Bona, królowa, 377.
Bonitz H., 292.
Bonstetten 211, 213
- Borowski Leon** 13, 62, 68.
Branicka hr. A., 358.
Breydenbach, 373.
Brodziński, 85.
Bryczkowski, 7.
Bułharyn, 154.
Buonarotti Michał Anioł, 164.
Byron, 208, 212.
- Cammucini D.**, 160, 170, 171.
Candolle de, 211.
Carracchi, 167.
Casaubon, 381—383.
Cavé, 145.
Cecylia, królowna, 380.
Chiarini X., 200.
Chlebowski P., 189, 192, 197.
Chmielowski P., 139, 154.
Chodakowski, 58, 71.
Chreptowicz hr. Adam, 14.
Cieciszewski, 193.
Cieszkowski A., 221.

- Cimabue, 167.
 Cornelius, 158.
 Correggio, 166, 167.
 Cotton, 363.
 Cybichowski, 271.
 Cycero, 99, 105, 177.
 Cywińska 23—24.
 Czacki Aleksander, 195.
 Czarnocki Ad. (ob. Chodakowski).
 Czarnowska M., 110, 112.
 Czartoryska, księżna Generałowa Z. P., 187, 188.
 Czartoryski Adam, 10, 35—86.
 Czeczot Jan, 12, 25.
 Czerwiński, 108, 109.

 Daniłowicz J., 54, 55, 56.
 Dante, 161, 295.
 David, 168, 169, 170.
 Dąbrowski, 7.
 Dittmer, 145.
 Domeyko Ign., 11, 23, 27.
 Dominikanie, 80.
 Douce Fr. 370.
 Douza J. 881—883.
 Drzewiński Fr. 56.
 Dumas Al., 145.
 Dürrer, 374.

 Elżbieta, król. ang., 379—881.
 Epikur, 98.
 Esquerot, 57.
 Estreicher, 371, 372.
 Etmayer, 300.

 Eurypides, 98.

 Federowski M., 116, 120.
 Feliński Aloizy 58, 59.
 Finkel L., 313.
 Focysz, 105.
 Fustel de Coulanges, 93—95.
 98, 100.

 Garnett R., 370.
 Giotto, 167.
 Gnoiński, 7.
 Gogol, 142.
 Gollius J. 384—386.
 Gołuchowski Agenor, 299, 302,
 303, 310.
 Gołuchowski Józef, 50.
 Grabowski hr. J., 272.
 Grenville T. 373.
 Groddeck, 13, 41, 42, 47, 56.
 Grotius H., 384.
 Guercino, 167.
 Guido, 167.

 Hartknoch, 108.
 Helcel, 302.
 Herberski Winc., 56.
 Herminjard A. L. 176—178.
 Holbein, 374.
 Homer, 95, 96, 99, 295.
 Horatius, 74, 102.
 Hreczyna, G. 59.
 Hugo V., 145, 146.

 Ihering, 100.

- Jakubowski N., 211, 226.
 Jerzy IV., król ang., 363.
 Jeżowski Józef, 12, 74.
- Κ**aczkowski Karol, 12.
 Karmelici, 81.
 Karpowicz Abdon, 12.
 > Julian, 28.
 Kempen v. Fichtenstein, 298,
 304.
 Kiersnowski Nikodem, 28.
 > Waleryan, 28.
 > Zygmunt, 27.
 Klaczko J. 261, 263, 321.
 Klonowicz F. 371.
 Kochanowski J., 371.
 Kojalowicz, 386.
 Komarnicki, 53.
 Koniecpolski N., 60.
 > Stanisław, 378.
 Konopnicka M., 243, 253.
 Korzeniowski Józef, 189.
 Kozłowski Mikołaj, 18, 19.
 Koźmian Jan, 283.
 Krasieńska Marya z Radziwiłłów,
 188.
 Krasieński Wincenty, 189, 223.
 > Zygmunt, 185—240,
 286—291.
 Kraszewski J. I., 271, 325, 333.
 Kremer Józef, 299.
 Kruczkiewicz Br., 294.
 Kryński A. A., 312.
 Kubala L., 385.
- Lascaris, 373.
 Lavater, 161.
 Le Braz A., 117—123, 129.
 Lelewel J., 49, 50, 154.
 Lenartowicz T., 243—266.
 Leon X., 160.
 Livius, 170, 373.
 Loménie L., 274.
 Lubomirski J., ks. 324.
 Lucian, 98.
 Lukas St., 378.
- Ł**aukys, 115.
 Łoziński Br., 299.
 > Wład., 385.
- Maciejowski M., ksiądz, 54.
 Madden F., 370, 378.
 Majewska Agata, 17.
 > Barbara, 29.
 Malewski Franc., 14.
 > Szymon, 39, 43, 44,
 47, 67, 68.
 Małecki Ant. 270—337.
 Melecycusz, 107.
 Mengs R., 167.
 MÉRIMÉE, 145.
 Mianowski Mikołaj, 57.
 Michelis, 57.
 Mickiewicz Adam, 7—32, 68,
 74, 89—92, 124—128, 130—
 133, 137—140, 146—149,
 153—158, 175—181, 219—
 220, 224, 274—276, 285,
 376.

- Mickiewicz Aleksander, 16.
» Franciszek, 16, 28,
272, 274.
Mickiewicz Mikołaj, 6, 17.
» Stefan, 12.
Miechowicz Fr., 56.
Mikłosić Fr., 308.
Miładowski, 53.
Miodoński A., 105.
Mochnacki M., 38.
Modrzewski, 315.
Montesquieu, 371.
Moore, 212.
Morsztyn A., 315.
Moryson F., 387—390.
Mrongovius, 85.
- Naake J., 362, 364, 367.
Napoleon, 217.
Narbutt T., 90, 112.
Nessler, 177.
Neusser, 300—1.
Nowosiłcow, 82.
- Odyniec A. E., 16, 147.
Olivier J., 179.
Ołdakowski Ign., 55.
Opaliński, 187.
Orpiszewski J., 176.
Orzeszkowa Rozalia, 28.
Ossoliński N., 60.
Overbeck, 158.
Ovidius, 102, 103, 104.
- Panizzi, 369.
- Papłowski, 313.
Piekosiński Fr. 330, 331.
Pilat St. 310.
Platon, 282.
Plautus, 101.
Plutarch, 97.
Podczaszyński Kar. 56.
Pol Wincenty, 297, 299, 302.
Poliński M. P., 56.
Popliński Ant., 272, 273.
Pozzo di Borgo, 57.
Prudencjusz, 177
Przećławski Józef, 12.
Przeździecki K., hr. 378.
Pułaski Fr., 343.
Puszkina, 142.
Puttkamer Wawrzyniec, 22.
- Rafael, 164, 166, 167.
Reeve Henryk, 214, 228, 236.
Renevier, 175.
Rittner E., min. 299.
Riumin G., 181.
Roepell, 283.
Rohde E., 96, 98, 100, 107.
Rokossowska Zofia, 110.
Rolle M., 35.
Rossi, 211, 212.
Ruysdael, 28.
- Saint-Martin, 156, 157.
Sapieha J. St. 383.
Sapieha L., 60.
Schlegel A., 167.
Servius, 101.

- Shakespeare, 212, 295, 367.
 Siemieński L., 307.
 Sismondi, 211.
 Skarga, 257.
 Sloane H., 363.
 Słowacki Euzeblusz, 62.
 » Juliusz, 86, 260, 314,
 319—323.
 Słowakowic St., 342, 352—357.
 Słupecki J. K., 384.
 Sobieski Jan, 251, 341—358.
 » Jakób, 382—3.
 Sobieska Marya Klem., 378.
 Sobolewski Ludw., 56, 74.
 Sofokles, 304.
 Spazier, R. O., 153.
 Springer A., 159.
 Stattler, 155.
 Stroński, 310,
 Sturm Joh., 379.
 Strykowski, 108.
 Suetonius, 383.
 Sussex księżę 378.
 Szafarkiewicz, 281, 283.
 Szajnocha, 310.
 Szejn P. W., 105.
 Szymański Ant., 283.
 Szymonowicz S., 277, 381—2.

 Śniadecki Jan, 39, 42, 50, 60,
 61, 68.

 Tacyt, 170.
 Tarnowski St., 320.

 Terajewicz, 17.
 Tertulian, 105, 106.
 Tęczyński Jan, 380.
 Thuanus (de Thou) 383, 304.
 Thun hr. Leon, 292, 296, 302,
 308, 309.
 Trojański Leonard, 6.
 Tycydyes, 383.
 Twardowski Józef, 35, 39, 82,
 83.
 Tycyan, 166.

 Ulrych L., 290.
 Uztowscy, 28, 29.

 Varro, 105.
 Vinci L. da, 166.
 Voss Ger., 384.

 Wakulski, 7.
 Walewski Ant., 296—303.
 Wereszczaka Józef, 23.
 Wereszczakówna Maryla, 20—
 26.
 Wergiliusz, 101, 102.
 Wielopolski A., 313.
 Willan Henryka, 213, 224.
 Wistocki, 372.
 Wiszniewski M., 50.

 Zaleski Bohdan, 27.
 Załuska Amelia, 200, 201, 214.
 Załuski A., biskup, 343.
 Zamoyski Jan, 381.

Zan Tomasz, 12, 21, 24, 25.	Zienowicz, 59.
Zawadowski hr., 37.	Zygmunt Stary, 376—7.
Zawadzki J., 384.	Zygmunt III, 377, 388.
Zgliński D., 307.	
Zielonacki prof., 281, 302.	Żmigrodzki M., 46, 77



TREŚĆ.

	Str
Słowo Wstępne	V
I. Kraj lat dziecinnych	3
II. Kuratorya Wileńska (1803—1823)	35
III. Tło obrzędowe «Dziadów»	89
IV. «Wieczory w Neuilly»	137
V. «O Malarstwie religijnem»	153
VI. Słuchacz Mickiewicza	175
VII. Z młodych lat Z. Krasieńskiego	185
VIII. T. Lenartowiczowi w 10-tą rocznicę	243
IX. Antoni Małecki	269
X. Kalendarz Jana III z r. 1683	341
XI. British Museum	361
Wykaz Nazwisk	394

50

